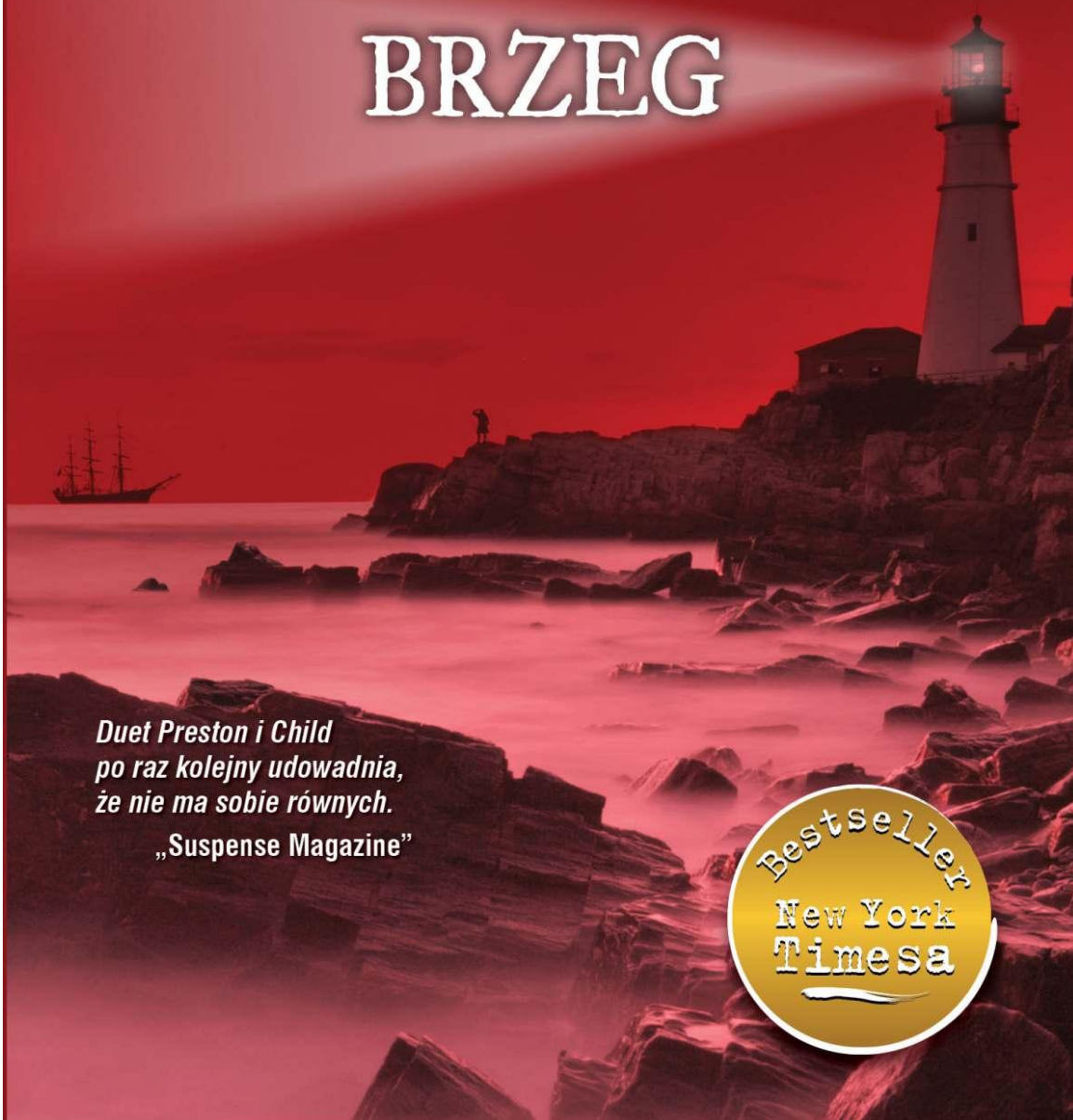


DOUGLAS PRESTON LINCOLN CHILD KARMAZYNOWY BRZEG



*Duet Preston i Child
po raz kolejny udowadnia,
że nie ma sobie równych.*

„Suspense Magazine”



Karmazynowy brzeg

Tytuł oryginału: *Crimson Shore*

Copyright © 2015 by Splendide Mendax, Inc. and Lincoln Child

This edition published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2016 by Burda Publishing Polska Sp. z o.o.

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Tłumaczenie: Robert P. Lipski

Redakcja: Joanna Ziolo

Korekta: Łukasz Mackiewicz (eKorekta24.pl), Magdalena Szroeder-Stępowska

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Hachette Book Group

Rysunki: Hachette Book Group

Zdjęcie na okładce: Harald Braun, Berlin/Photographer's Choice/Getty Images

Opracowanie graficzne zdjęcia: Stanisław Fernandes

ISBN: 978-83-8053-153-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej:

The logo for 'virtualo' features the word in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters 'v' and 'i' are blue, while 'rtualo' is black. A thin horizontal line is positioned above the letters 'i' and 'r'.

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

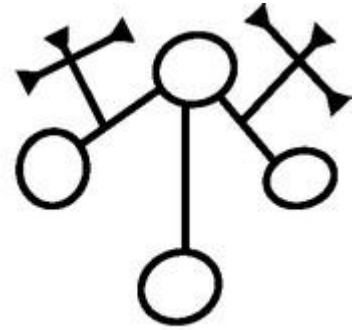
60

Epilog

Przypisy

*Lincoln Child dedykuje tę książkę
córcie Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę
Edowi i Darii White'om*



1

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych, Constance przerwała grę na klawesynie flamandzkim i w bibliotece zapanowała przepełniona napięciem cisza. Spojrzała w stronę siedzącego przy dogasającym kominku agenta specjalnego Aloysiusa Pendergasta, który w cienkich białych rękawiczkach kartkował w skupieniu iluminowany manuskrypt; obok niego stał na wpół opróżniony kieliszek amontillado. Constance przypomniała sobie ostatni raz, gdy ktoś zadzwonił do drzwi rezydencji przy Riverside Drive 891, co zdarzało się wyjątkowo rzadko. Wspomnienie tamtej strasznej chwili zawisło w pokoju jak niezdrowe miazmaty.

Na progu biblioteki pojawił się Proctor, szofer, ochroniarz i zaufany Pendergasta.

– Czy mam otworzyć, panie Pendergast?

– Proszę. Ale nikogo nie wpuszczaj. Dowiedz się tylko, kto to i w jakiej sprawie, a potem zdaj mi relację.

Trzy minuty później Proctor powrócił.

– To Percival Lake. Chce wynająć pana do prywatnego śledztwa.

Pendergast uniósł rękę w geście odsunięcia od siebie tej informacji, ale nagle się zastanowił.

– Czy wspomniał o naturze przestępstwa?

– Odmówił wyjawienia jakichkolwiek szczegółów.

Agent specjalny pogrzyżył się w zamyśleniu, jego smukłe palce stuknęły delikatnie w złocony grzbiet manuskryptu.

– Percival Lake... To nazwisko brzmi znajomo. Constance, czy

byłabyś tak uprzejma i sprawdziła, co o nim piszą w internecie?
W wyszukiwarce, którą nazwano na cześć tej wielkiej liczby matematycznej.

– Google?

– Tak. Wygoogluj je dla mnie, bardzo proszę.

Constance uniosła palce znad pożółkłych ze starości klawiszy z kości słoniowej, odeszła od instrumentu, otworzyła niewielki kredens i wysunęła laptop umieszczony na przesuwanym blacie. Przez chwilę stuknęła w klawiaturę.

– Jest rzeźbiarz o takim nazwisku, który pracuje nad monumentalnymi dziełami w granicie.

– Wiedziałem, że coś mi to mówi. – Pendergast zdjął rękawiczki i odłożył na bok. – Wpuść go.

Gdy Proctor wyszedł, Constance spojrzała z powagą na Pendergasta.

– Czy nasze finanse zostały aż tak uszczuplone, że musimy brać takie chałtury?

– Oczywiście, że nie. Ale solidna męska robota, chociaż nieco staroświecka, bywa stymulująca. O ile dobrze pamiętam, jego postacie wyłaniają się z kamienia niemal jak *Przeciągający się jeniec* Michała Anioła. Mogę przynajmniej go przyjąć i wysłuchać, o co mu chodzi.

Po chwili Proctor wrócił, a z tyłu za nim w drzwiach biblioteki stanął niezwykle przystojny mężczyzna. Wyglądał na sześćdziesięciopięciolatka, ale tylko gęsta grzywa białych włosów zdradzała jego wiek. Miał blisko dwa metry wzrostu i ogorzałą od słońca, mocno pobrużdżoną, lecz przystojną twarz oraz smukłą, atletyczną sylwetkę. Nosił niebieski blezer, a do niego nowiuteńką białą bawełnianą koszulę i brązowe spodnie. Tryskał zdrowiem, emanował wigorem i sportowym stylem życia.

– Inspektor Pendergast? – Podszedł i ścisnął dłoń gospodarza swoim wielkim łapskiem; potrząsnął nią tak mocno, że niemal przewrócił kieliszek z sherry.

Inspektor? Constance skrzywiła się. Wyglądało na to, że jej opiekun rzeczywiście ma szansę na oczekiwaną stymulację.

– Proszę usiąść, panie Lake – rzekł Pendergast.

– Dziękuję. – Lake zajął miejsce, założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu.

– Czy mogę zaproponować coś do picia? Sherry?

– Nie odmówię.

Proctor bez słowa nalał nieduży kieliszek i postawił obok łokcia mężczyzny.

Rzeźbiarz upił łyk.

– Doskonały trunek, dziękuję. I dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

Pendergast pochylił głowę.

– Zanim opowie mi pan swoją historię, muszę poczynić sprostowanie. Obawiam się, że nie mogę pozwolić, by tytułowano mnie inspektorem. To brytyjskie określenie. Ja jestem jedynie agentem specjalnym FBI.

– Chyba czytam za dużo kryminałów. – Mężczyzna poruszył się na krześle. – Pozwoli pan, że przejdę do rzeczy. Mieszkam w małym nadmorskim miasteczku w północnym Massachusetts o nazwie Exmouth. To spokojna miejscina, z dala od turystycznych szlaków, omijana nawet przez tłumy letników. Jakies trzydzieści lat temu kupiliśmy z żoną starą latarnię morską i domek latarnika w Walden Point i od tamtej pory tam mieszkam. To miejsce okazało się nad wyraz wymarzone dla mojej pracy. Zawsze ceniłem szlachetne wina, czerwone, nie przepadam za białym, a piwnice starego domu doskonale nadawały się do tego, żeby trzymać tam dość pokaźną kolekcję – nisko osadzona piwniczka z kamiennymi ścianami i podłogą pozwala zachować przez okrągły rok, niezależnie, zimą czy latem, stałą temperaturę dwunastu stopni Celsjusza. Otóż kilka tygodni temu wybrałem się na długi weekend do Bostonu, a gdy wróciłem, zobaczyłem, że okno z tyłu jest wybite. Z domu nic nie zginęło, kiedy jednak zeszliśmy do piwnicy, okazało się, że została zupełnie ogołocona. Cała zawartość mojej piwniczki zniknęła!

– To straszne.

Constance odniosła wrażenie, że w głosie Pendergasta wychwyciła delikatną nutę pogardliwego rozbawienia.

– Proszę powiedzieć, panie Lake, czy nadal jest pan żonaty?

– Moja żona zmarła przed kilkoma laty. Obecnie mam... ee... przyjaciółkę, która ze mną mieszka.

– Czy była z panem w weekend, kiedy okradziono piwniczkę?

– Tak.

– Proszę mi opowiedzieć o swoich winach.

– Od czego mam zacząć? Miałem całą kolekcję chateau léoville poyferré, poczynając od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, a także pokaźny zbiór najlepszych roczników chateau latour, pichon-longueville, petrus, durfort-vivens, lascombes, malescot-saint-excupéry, chateau palmer, talbot...

Pendergast przerwał tę wyliczankę zdecydowanym ruchem ręki.

– Przepraszam – rzekł Lake, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Kiedy schodzę na temat wina, czasami mnie ponosi.

– Tylko francuskie bordeaux?

– Nie. Ostatnio zacząłem zbierać również niektóre spośród precudownych win włoskich, głównie brunello, amarone i barolo. Wszystko przepadło.

– Poszedł pan z tym na policję?

– Szef policji z Exmouth nie nadaje się do tej sprawy. Prawdę mówiąc, to osioł. Przybył z Bostonu i zna niezbędne procedury, ale nie mam wątpliwości, że nie traktuje tego poważnie. Podejrzewam, że gdyby chodziło o kolekcję piwa Bud Light, wykazałby się większym zaangażowaniem. Potrzebuję kogoś, kto znajdzie moje wino, zanim się bezpowrotnie rozplynie albo, uchochaj Boże, zostanie wypite.

Pendergast powoli pokiwał głową.

– Ale dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

– Czytałem książki o pańskich dokonaniach. Te, których autorem był Smithback. William Smithback, o ile się nie mylę.

Minęła dłuższa chwila, zanim Pendergast znów się odezwał.

– Obawiam się, że te książki w dużej mierze przeinaczają fakty. Niemniej podają przynajmniej tyle prawdy, żeby mógł pan wiedzieć, że zajmuję się przede wszystkim dewiacjami ludzkimi, a nie skradzionym winem. Bardzo mi przykro, ale nie mogę panu pomóc.

– Cóż, miałem nadzieję, że pan się zdecyduje, bo o ile dobrze zrozumiałem, z książek wynikało, że i pan jest koneserem. – Lake

wychylił się na krześle do przodu. – Agencie Pendergast, jestem w rozpaczliwym położeniu. Moja żona i ja poświęciliśmy mnóstwo czasu na zgromadzenie tej kolekcji. Każda butelka wina ma swoją historię, a przede wszystkim wiążą się z nimi wspomnienia cudownych lat, jakie przeżyłem u jej boku. W pewnym sensie odnoszę wrażenie, jakbym ponownie utracił żonę, jakby znowu umarła. Jestem gotów zapłacić panu sowite honorarium.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że nie mogę panu pomóc. Proctor odprowadzi pana do wyjścia.

Rzeźbiarz wstał.

– Cóż, wiedziałem, że szanse na pozyskanie pańskiej współpracy są nikłe. Jestem wdzięczny, że zechciał mnie pan wysłuchać. – Jego udręczona twarz nieco się odprężyła. – Mogę przynajmniej podziękować Bogu, że złodzieje przegapili haut-braquillanges!

Zapadła cisza.

– Château haut-braquillanges? – spytał półgłosem Pendergast.

– Tak. Całą skrzynkę rocznika tysiąc dziewięćset czwartego. Mój najcenniejszy nabytek. Wino stało z boku, w kącie piwniczki, w oryginalnej drewnianej skrzynce. Ci cholerni idioci ją przegapili.

Proctor otworzył drzwi do biblioteki i czekał.

– Jak udało się panu zdobyć całą skrzynkę rocznika tysiąc dziewięćset czwartego? Sądziłem, że od dawna nie istnieje.

– Wszyscy tak uważali. Zawsze uważnie wypatruję win, które są w ofercie sprzedaży. Zwłaszcza gdy ich właściciel umiera, a spadkobierca chce wymienić zbiory na gotówkę. Natknęliśmy się z żoną na to wino w starej kolekcji w Nowym Orleanie.

Pendergast uniósł brwi.

– W Nowym Orleanie?

– Wystawiła je na sprzedaż pewna stara francuska rodzina, która popadła w tarapaty finansowe.

Constance zauważyła, jak na twarzy Pendergasta pojawił się wyraz rozdrażnienia – a może niepokoju?

Lake odwrócił się w stronę otwartych drzwi i w tej samej chwili Pendergast wstał z fotela.

– Myślę, że jednak zajmę się pańskim małym problemem.

– Naprawdę? – Rzeźbiarz znów się odwrócił, a na jego ustach pojawił się niepewny jeszcze uśmiech. – To cudownie! Jak już wspomniałem, oferuję sowite...

– Moim honorarium będzie po prostu butelka haut-braquillanges. Lake zawahał się.

– Myślałem o gotówce.

– Jedna butelka.

– Ale otwarcie skrzynki... – Lake nie dokończył; w bibliotece zapadła długa cisza. W końcu uśmiechnął się. – Czemu nie? Przecież widać, że pieniędzy panu nie brakuje. Powinienem się cieszyć, że zdecydował się pan mi pomóc. Nawet pozwolę, żeby sam wybrał pan butelkę ze skrzynki!

Zarumieniwszy się po tym jakże wymownym geście szczodrości, rzeźbiarz wyciągnął rękę.

Pendergast ją uściśnął.

– Panie Lake, proszę zostawić swój adres i wszelkie niezbędne informacje Proctorowi. Dołączę do pana w Exmouth jutro.

– Nie mogę się doczekać. Niczego nie ruszałem w piwnicy, wszystko zostawiłem tak, jak było. Oczywiście policja przeprowadziła oględziny, ale zrobili jedynie kilka zdjęć, i to, nie uwierzy pan, aparatem w komórce.

– Byłoby dobrze, gdyby wymyślił pan jakiś powód, żeby nie zbliżali się więcej do tego miejsca. Sugeruję to, na wypadek gdyby wrócili.

– Gdyby wrócili? To mało prawdopodobne.

Po chwili rzeźbiarz wyszedł odprowadzony przez Proctora. Constance odwróciła się do Pendergasta. Odnalazł jej spojrzenie, a w jego srebrnych oczach malowało się rozbawienie.

– Mogę zapytać, co robisz? – rzuciła.

– Przyjmuję prywatną sprawę.

– Skradzionego wina?

– Moja droga Constance, w ostatnich miesiącach Nowy Jork wydaje się przygnębiająco uwolniony od seryjnych morderców. Jak to się mówi, mój talerz świeci pustkami. To idealna okazja, żeby wybrać się na małe wakacje. Tydzień lub dwa w uroczym nadmorskim

miasteczku poza sezonem, a naszą *amuse-bouche* będzie mało znacząca sprawa, którą zajmiemy się na boku. Nie wspominając o sympatycznym kliencie.

– Nazwałabym go raczej pyszałkiem i samochwałą.

– Masz większą skłonność do mizantropii niż ja. Muszę przyznać, że po ostatnich wydarzeniach dobrze mi robi jesienna aura sennego nadmorskiego miasteczka.

Przyjrzała mu się z uwagą. To była prawda, po przeżyciach minionego lata wszelka odmiana na pewno wyjdzie mu na dobre.

– Ale butelka wina w charakterze zapłaty? Jak tak dalej pójdzie, wkrótce zaczniesz przyjmować sprawy w zamian za darmowego hamburgera z byle sieciówki.

– To akurat wątpliwe. Jedynym powodem, dla którego przyjąłem tę sprawę, jest wino. W dziewiętnastym wieku Château Haut-Braquillanges wytwarzało najlepsze wina we Francji. Ich najsłynniejsze, czerwone, pochodziło z jedynej winnicy o powierzchni niespełna hektara, z tamtejszych zbiorów właśnie powstawały cabernet sauvignon, cabernet franc i merlot. Plantacja znajdowała się na wzgórzu niedaleko Fronsac. Niestety wzgórze mocno ucierpiało podczas pierwszej wojny światowej, gdy użyto tam gazu musztardowego, który na zawsze skaził glebę, a chateau zostało zrównane z ziemią. Wiadomo o istnieniu co najwyżej dwóch tuzinów butelek wina różnych roczników z tej winnicy. Nie pozostała jednak ani jedna z najlepszego ze wszystkich roczników, tysiąc dziewięćset czwartego. W każdym razie powszechnie uważa się, że już nie istnieją. Dlatego to niesamowite, że ten człowiek ma ich całą skrzynkę. Widziałas, z jaką niechęcią rozważał myśl, że miałby oddać choćby jedną butelkę.

Constance wzruszyła ramionami.

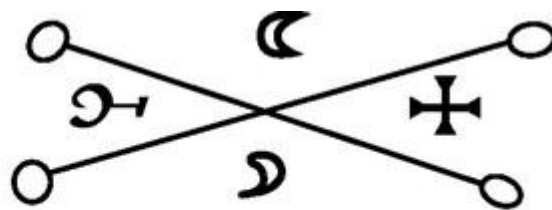
– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił na tych wakacjach.

– Nie wątpię, że będą to niezapomniane wakacje dla nas obojga.

– Dla nas? Chcesz mnie zabrać ze sobą? – Poczula, że jej serce mocniej bije, a policzki zalewa rumieniec.

– Oczywiście. Myślę, że jesteś już gotowa na wyjazd daleko od znanych ci miejsc. Prawdę mówiąc, nalegam. Potrzebujesz wakacji, podobnie jak ja, no i dobrze będzie wykorzystać okazję, żeby chociaż na

jakiś czas uwolnić się od natrętnych listów, jakimi zasypuje nas administracja ogrodu botanicznego, nie uważasz?



2

Constance poczuła zapach morskiego powietrza, gdy tylko Pendergast wjechał klasycznym porsche roadsterem na most Metacomet, niszczącą konstrukcję z zardzewiałych podpór i kratownic, rozciągniętą nad szerokimi słonymi trzęsawiskami. Promienie październikowego słońca odbijały się od tafli wody, gdy mknęli po estakadzie. Na drugim końcu moczarów droga na krótkim odcinku biegła przez ciemny sosnowy las, po czym znów wychodziła na otwartą przestrzeń. To właśnie tam, wzdłuż rozległego zakola, gdzie bagniste tereny spotykały się z oceanem, leżało miasteczko Exmouth. Zdaniem Constance wyglądało tak, jak wyobrażała sobie typową dla Nowej Anglii osadę – z jedną główną ulicą i skupiskiem niewielkich, krytych gontami domów, kilkoma kościołami i ceglany budynek ratusza. Kiedy zwolnili, zaczęła z zaciekawieniem rozglądać się wokoło.

Exmouth wydawało się nieco zaniedbane, lecz paradoksalnie przydawało mu to uroku: ot, typowe nadmorskie miasteczko z białymi domkami z desek, nierównymi ceglany chodnikami, lokalnymi sklepikami i krążącymi w powietrzu krzykliwymi mewami. Minęli stację benzynową i kilka starych szerokich przeszklonych witryn sklepowych, przydrożny bar, dom pogrzebowy, kino przerobione na księgarnię i osiemnastowieczną rezydencję kapitańską z charakterystycznym tarasem na dachu. Tablica informacyjna przed budynkiem głosiła, że mieści się tu Towarzystwo Historyczne oraz Muzeum Exmouth.

Kilkoro przechodniów na ulicach zatrzymało się, by na nich popatrzeć. Constance była zaskoczona swoją nienasyconą ciekawością. Nigdy nie przyznała się do tego, że pomimo sporego odczytania nie miała okazji, aby zobaczyć więcej świata, i czuła się jak Marco Polo

opuszczający ojczyznę.

– Widzisz może kogoś, kto mógłby być potencjalnym złodziejem wina? – spytał Pendergast.

– Ten starszy dżentelmen w madrasowej marynarce, z fioletową muchą wygląda podejrzanie.

Pendergast zwolnił i bezceremonialnie podjechał do krawężnika.

– Zatrzymujemy się?

– Mamy czas. Spróbujmy czegoś, co, jak sędzę, jest miejscowym rarytasem – bułkę z homarem.

Kiedy wysiedli, dżentelmen w madrasowej marynarce minął ich, uśmiechając się, i lekko skinąwszy głową, pomaszerował dalej.

– Zdecydowanie podejrzany – szepnęła Constance.

– Powinno się go zamknąć choćby za samo chodzenie pod muchą.

Przeszli do końca ulicy i skręcili w boczną uliczkę prowadzącą nad ocean. Sklepiki z akcesoriami dla rybaków i wędkarzy mieszały się tu z innymi sklepikami i nielicznymi restauracjami, a rząd pirsów wchodził w zatokę u ujścia terenów zalewowych. Dalej, ponad połacią falujących morskich traw, Constance dostrzegła jasną linię oceanu. Czy mogłaby mieszkać w takim miasteczku? Absolutnie nie. Ale uznała to miejsce za ciekawe i warte odwiedzenia.

Przy handlowym pirsie stał kramik oferujący owoce morza, z namalowanym wizerunkiem homara i małża tańczących przed rzędem muszli grających na rozmaitych instrumentach.

– Poproszę bułkę z homarem – rzekł Pendergast, gdy podeszli do lady.

Posiłek podano bardzo szybko: spore kawałki homara w kremowym sosie wciśnięte do rozciętej, posmarowanej masłem bułki jak do hot doga; każda porcja na tekturowej tacce.

– Jak się to je? – spytała Constance.

– Nie mam pojęcia.

Na pobliski parking zajechał dwukolorowy radiowóz i wykręcił. Zwolnił, a kierowca, potężny mężczyzna w randze kapitana, przyglądał im się przez chwilę, po czym posłał znaczący uśmiech i pojechał dalej.

– To szef policji – rzekł Pendergast i wyrzucił nietkniętą bułkę z homarem do kosza na śmieci.

- Najwyraźniej coś go rozbawiło.
- Tak i śmiem twierdzić, że wkrótce się dowiemy co.

Kiedy wrócili na główną ulicę, Constance zauważyła mandat trzepoczący się na przedniej szybie porsche. Pendergast wyjął go i obejrzał.

– Wygląda na to, że zaparkowałem na dwóch miejscach postojowych. Jakie to niedbalstwo z mojej strony.

Constance zauważyła, że Pendergast faktycznie zaparkował ukośnie, w poprzek linii oddzielających dwa miejsca parkingowe.

- Ale tu nie ma żadnych innych parkujących aut.
- Prawa należy przestrzegać.

Pendergast włożył mandat do kieszeni marynarki, po czym wsiedli z Constance do samochodu. Uruchomił silnik i wyjechał na główną ulicę. W kilka chwil przemknęli przez miasteczko i znaleźli się na jego drugim końcu, gdzie sklepiki ustąpiły miejsca skromnym domkom z dachami krytymi gontem.

Droga pięła się pod górę pośród trawiastych łąk, po obu stronach rosły masywne dęby, w końcu znaleźli się na wyżej położonym terenie, skąd rozciągał się widok na Atlantyk. Patrząc w stronę stromych skał, Constance dostrzegła w oddali latarnię morską w Exmouth, cel ich podróży. Była pomalowana na biel kości słoniowej, miała czarny wierzchołek i odcinała się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Obok niej widać było domek latarnika, surowy, jakby wyjęty z obrazu Andrew Wyetha.

Kiedy podjechali bliżej, Constance ujrzała również skupisko rzeźb na łące wzdłuż krawędzi urwiska – wykute z granitu, wypolerowane, nieco złowieszcze sylwetki: twarze, fragmenty ciał, mityczne potwory morskie. Było to doprawdy niezwykle miejsce na ogród kamiennych rzeźb.

Pendergast zatrzymał porsche na wysypanym żwirem podjeździe przy domu. Kiedy wysiedli, w drzwiach pojawił się Percival Lake, po czym wyszedł na ganek.

– Witam! Wielkie nieba, naprawdę podróżuje pan z klasą! To porsche spyder pięćset pięćdziesiąt, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć, jeżeli się nie mylę – rzekł, schodząc po schodach.

– Prawdę mówiąc, rocznik pięćdziesiąty czwarty – odparł Pendergast. – To samochód mojej nieżyjącej żony. Wolę coś wygodniejszego, ale moja współpracownica, panna Greene, uparła się na ten samochód.

– Wcale nie – wtrąciła.

– Pańska współpracownica. – Constance nie spodobało się ironiczne rozbawienie, z jakim Lake uniósł brwi, gdy na nią spojrział. – Miło mi znów panią widzieć.

Uścisnęła mu dłoń dość chłodno.

– Odwiedzmy miejsce przestępstwa – zaproponował Pendergast.

– Nie marnuje pan czasu.

– W wypadku dochodzenia w sprawie o charakterze kryminalnym zachodzi odwrotnie proporcjonalna zależność między jakością materiałów dowodowych a czasem rozpoczęcia badania miejsca zdarzenia.

– Racja.

Lake wprowadził ich do domu. Przeszli przez frontowy hol i salonik, skąd rozciągał się urzekający widok na ocean. Stary dom był zadbane, wywietrzony i czysty, bryza znad morza wywoływała lekkie falowanie firanek. W kuchni atrakcyjna tleniona blondynka, szczupła i wysportowana, oskrobywała i kroїła marchewkę.

– To moja współpracownica, Carole Hinterwasser – oznajmił Lake.

– Przedstawiam ci agenta Pendergasta i Constance Greene. Przyjechali tu, żeby odnaleźć moją kolekcję wina.

Kobieta odwróciła się, ukazując w uśmiechu białe zęby, wytarła dłonie w ściereczkę i kolejno uścisnęła ręce gościom.

– Przepraszam, ale robię właśnie mirepoix. Tak się cieszę, że przyjechaliście! Perce jest naprawdę zdruzgotany. To wino wiele dla niego znaczyło, i nie mam na myśli tylko jego wartości w gotówce.

– Z pewnością – rzekł Pendergast.

Constance zauważyła, że srebrzyste oczy agenta strzelały na wszystkie strony.

– Tędy – powiedział Lake.

Na drugim końcu kuchni znajdowały się wąskie drzwi. Gospodarz otworzył je i przekręcił włącznik światła. Ujrzeni strome, nierówne

schody prowadzące w ciemność. Z piwnicy napłynęła chłodna woń żywej wilgotnej ziemi i kamieni.

– Ostrożnie – ostrzegł. – Te schody są strome.

Zeszli do labiryntu piwnic z kamiennymi ścianami pokrytymi saetrą i kamiennym podłożem. W jednej z wnęk znajdowały się piec i podgrzewacz wody, w innej zaś pracownia z narzędziami szlifierskimi, uszczelniaczami, workami z piaskiem, kombinezonami ochronnymi oraz sprzętem do polerowania kamieni.

Skręcili za załom korytarza i znaleźli się w największym spośród piwnicznych pomieszczeń. Jedna ze ścian była zabudowana od podłoża po sklepienie prostymi drewnianymi leżakami na wino. Do nich przyklepione były odklejające się przy rogach poźółkłe karteczki z oznaczeniami, inne zaś walały się na podłodze pośród potłuczonych butelek; w powietrzu unosił się ciężki aromat wina.

Pendergast podniósł fragment stłuczonej butelki i odczytał napis na etykiecie.

– Château latour, rocznik sześćdziesiąty pierwszy. Włamywacze byli wyjątkowo nieostrożni.

– Narobili tu nielicznego bałaganu, kretyni.

Pendergast ukląkł przed stojącym najbliżej niego leżakiem na wino, by mu się przyjrzeć w jasnym świetle ołówkowej latarki LED-owej.

– Proszę opowiedzieć o weekendzie, w którym doszło do kradzieży.

– Udaliśmy się z Carole do Bostonu. Często to robimy, żeby pójść do restauracji, do filharmonii albo do muzeum, żeby zażyć trochę świata. Wyjechaliśmy w piątek po południu i wróciliśmy w niedzielę wieczorem.

Promień światła przesuwiał się to w jedną, to w drugą stronę.

– Kto wiedział o waszym wyjeździe?

– Praktycznie wszyscy w miasteczku, tak sędzę. Musieliśmy przejechać przez całe Exmouth, a jak miał pan okazję się przekonać, to nieduża miejscina. Wszyscy wiedzą, że często wypuszczamy się do Bostonu.

– Wspomniał pan, że złodzieje wybili szybę. Zakładam, że dom był

zamknięty na klucz.

– Tak.

– Czy jest tu system alarmowy?

– Nie. Teraz, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, wydaje mi się to niezmiernie głupie. Ale przestępczość jest tu praktycznie zerowa. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz w Exmouth doszło do kradzieży.

W dłoniach Pendergasta pojawiła się próbówka i pęseta wyjęta z którejś z licznych kieszonek ukrytych w marynarce jego garnituru. Pęsetą wyłuskał coś ze stojaka na wino i umieścił w próbówce.

– Jaka jest historia tego domu? – spytał.

– To jeden z najstarszych budynków na północ od Salem. Jak wspomniałem, był to dom latarnika, postawiony w roku tysiąc siedemset czwartym i w późniejszych latach rozbudowywany. Moja żona i ja kupiliśmy go i nie szcędząc czasu, poddaliśmy gruntownej renowacji. Jako rzeźbiarz mogę pracować gdziekolwiek, stwierdziliśmy, że to naprawdę sielska okolica, cicha, spokojna, z dala od uczęszczanych tras, a jednak dość blisko Bostonu. Czarujące, nieodkryte dotąd miejsce. No i miejscowy granit jest znakomity. Po drugiej stronie słonych moczarów znajduje się kamieniołom. Stąd pochodził w większości różowy granit użyty do budowy nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Cudowny materiał.

– Chciałbym, żeby kiedyś oprowadził mnie pan po swoim kamiennym ogrodzie.

– Bardzo chętnie! Zatrzymacie się w gospodzie? Umówimy się na zwiedzanie.

Podczas gdy Lake zachwalał zalety lokalnego granitu, Constance patrzyła, jak Pendergast pełza na kolanach, brudząc garnitur, i uważnie przepatruje każdy fragment podłoża piwniczki.

– A butelki haut-braquillanges? Zakładam, że są w tamtej skrzynce w kącie?

– Tak i Bogu dzięki, że nie zwrócili na nią uwagi!

Pendergast znowu się podniósł. Na jego bladej twarzy malowały się troska i niepokój. Podszedł do drewnianej skrzynki mającej odcisniętą pieczęć château. Wieko było zdjęte, podniósł je więc i zajrzał do środka. Następnie delikatnie wyjął butelkę, przytulił ją niemal tak,

jakby trzymał w ramionach dziecko.

– Kto by uwierzył! – wymamrotał pod nosem.

Odłożył ją na miejsce. Przy wtórze chrzęstu tłuczonego szkła Pendergast wrócił do pustego regału na wino. Tym razem przyjrzał się uważniej jego górnej części. Pobrał jeszcze kilka próbek, omiół promieniem latarki sklepienie i podłogę, do której przymocowano stojaki na wino. Nagle schwycił dwa drewniane uchwyty w środkowej części regałów i szarpnął z całej siły. Z głośnym trzaskiem oderwał regał, odsłaniając znajdującą się za nim ścianę z ociosanego kamienia.

– Co, u licha...? – zaczął Lake.

Pendergast zignorował go jednak i odrywał kolejne fragmenty regału na wino, aż ich oczom ukazała się cała środkowa część pokrytej zaprawą ściany. Następnie wyjął niewielki scyzoryk, wbił ostrze pomiędzy dwa kamienie i zaczął wyluskiwać spomiędzy nich zaprawę. Ostrożnie odłożył jeden kamień na ziemi i poświecił latarką przez powstały otwór. Constance ze zdumieniem stwierdziła, że za ścianą znajduje się wnęk.

– A niech mnie kule biją – mruknął Lake i wychylił się do przodu, by się lepiej przyjrzeć.

– Proszę się cofnąć – rzucił ostro Pendergast.

Agent wyjął z kieszeni marynarki parę lateksowych rękawiczek i je nałożył. Potem zdjął marynarkę i rozścieliwszy ją na brudnej podłodze, umieścił na niej kamień. Pracując nieco szybciej, lecz z jeszcze większą troską i ostrożnością, usunął kolejny kamienny blok, a potem jeszcze jeden i wszystkie ułożył na marynarce wewnętrzną stroną do góry. Constance skrzywiła się, bo szyty na miarę angielski garnitur wydawał się nie do uratowania.

Stopniowo Pendergast odsłaniał płytką niszę. Była pusta, jeśli nie liczyć łańcuchów w głębi, wkutych w górną i dolną część ściany. Zwieszały się z nich kajdany na ręce i nogi. Constance przyglądała się im z chłodną obojętnością; dawno temu odkryła podobne przedmioty w podpiwniczonych pomieszczeniach należącej do Pendergasta rezydencji przy Riverside Drive. Jednak agent FBI był zdecydowanie bledszy niż zazwyczaj.

– Jestem zaskoczony – odezwał się Lake. – Nie miałem pojęcia...

– Ani słowa, bardzo proszę – uciszyła go Constance. – Mój opiekun, to znaczy pan Pendergast, jest bardzo zajęty.

Pendergast usuwał kolejne kamienie, aż odsłonił całą wnękę. Miała około metra osiemdziesięciu wysokości, blisko metr szerokości i głębokości. Była równie stara jak dom i bez wątpienia powstała, by uwięzić w niej człowieka. Kajdany na ręce i nogi były zardzewiałe i pozostawały zamknięte, ale nie było w nich szkieletu. Wnęka, jak zauważyła Constance, wyglądała podejrzanie czysto, bez choćby odrobiny kurzu.

Pendergast ukląkł i zaglądał do każdej, nawet najmniejszej szczeliny przy użyciu szkła powiększającego, cały czas trzymając w gotowości pęsetę i kilka probówek. Constance obserwowała go przez kolejnych dziesięć minut, aż w końcu agent – nie znalazłszy zbyt wiele – skupił uwagę na podłożu przy wejściu do niszy. Znów długo i żmudnie badał. Lake, który przyglądał się temu wszystkiemu, wyraźnie miał coraz większy problem z zachowaniem milczenia.

– Ach! – rzucił nagle Pendergast.

Podniósł się, trzymając pęsetą coś, co przypominało niewielką kość. Obejrzał ją, przykładając lupę do oka. Następnie opadł na kolana przed kamieniami, które usunął ze ściany, przyjrzał im się z uwagą przez szkło powiększające w świetle latarki ołówkowej.

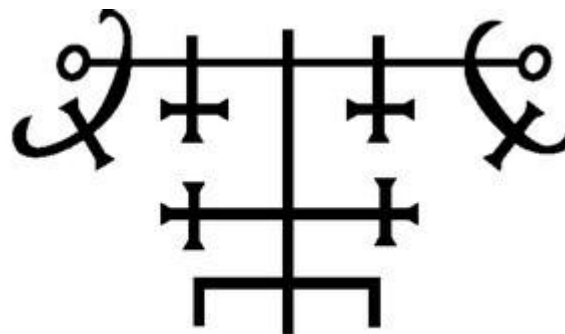
A potem uniósł wzrok i spojrzał srebrzystymi oczami na Constance.

– O co chodzi? – spytała.

– Koniec wakacji.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To coś więcej niż zwyczajna kradzież wina. Sprawa jest o wiele poważniejsza i bardziej niebezpieczna, niż mogło się wydawać. Nie możesz tu zostać. Musisz wrócić do rezydencji przy Riverside Drive.



3

Constance spojrzała na pokrytą kurzem twarz Pendergasta. Po chwili odparła:

– Zbyt niebezpieczne? Dla mnie? Aloysiusie, chyba zapomniałeś, z kim rozmawiasz.

– Bynajmniej.

– Wobec tego może zechcesz mi wyjaśnić.

– Zrobię to. – Wrzucił małą kostkę do szklanej probówki, zatkał otwór korkiem i jej podał. – Weź to.

Wzięła od niego probówkę i lupę.

– To dalszy człon ludzkiego lewego palca wskazującego. Na pewno zauważysz, że czubek kości jest ukruszony, porysowany i popękany. Stało się to *perimortem*, w chwili śmierci.

Oddała mu probówkę.

– Widzę.

– Przyjrzyjmy się teraz kamieniom ze ściany. – Wykonał zamaszty ruch latarką ołówkową. – Poukładałem je na swojej marynarce w takiej kolejności, w jakiej były rozmieszczone *in situ*, odwrócone wewnętrzną stroną w naszym kierunku. Zauważ te głębokie żłobienia, rysy i rozbryźnięte ślady ciemnej substancji. – Używał latarki zamiast wskaźnika. – Co ci to mówi?

Constance spodziewała się, że zada jej takie pytanie.

– Że wiele lat temu ktoś został żywcem wtrącony do tej wnęki, zakuty w kajdany i zamurowany, próbował jednak walczyć i utorować sobie drogę na zewnątrz.

Na twarzy Pendergasta pojawił się chłodny uśmiech.

– Doskonale.

– To okropne – odezwał się Lake z wyrazem nieskrywanego szoku.

– Po prostu okropne. Nie miałem pojęcia! Ale... skąd pan wiedział, że tu jest wnęka?

– Złodzieje nie zabrali haut-braquillages. To stanowiło dla mnie pierwszy trop. Każdy, kto zadał sobie tyle trudu, żeby skraść zawartość piwniczki z winem, musiał słyszeć o tym legendarnym roczniku. No i prawdziwy koneser nie byłby tak nierozważny, by stłuc wielką butelkę château latour rocznik sześćdziesiąty pierwszy – Pendergast wskazał rozbite szkło na podłodze – która jest warta co najmniej piętnaście tysięcy dolarów. Dlatego od początku wiedziałem, że chociaż mamy do czynienia ze złodziejami, to prawie na pewno nie byli to złodzieje wina. O nie, oni przyszli tu, żeby zabrać coś, co miało – przynajmniej dla nich – znacznie większą wartość. Rzecz jasna skłoniło mnie to do tego, by zajrzeć za stojaki na wino, gdzie dostrzegłem ślady niedawnej aktywności, co doprowadziło mnie do odnalezienia tej wnęki.

Lake z przejęciem zajrzał do odkrytej niszy.

– I naprawdę uważa pan, że był tu zamurowany człowiek?

– Tak.

– A kradzież została zaaranżowana w celu... usunięcia szkieletu?

– Bez wątplenia. – Pendergast postukał w trzymaną przez

Constance próbówkę z fragmentem kości paliczka.

– Dobry Boże.

– Z całą pewnością zamurowano tu kogoś w odległej przeszłości.

A jednak ludzie, którzy zabrali stąd szkielet, musieli wiedzieć o tej zbrodni i albo pragnęli ją zatuszować, albo zabrać coś, co znajdowało się w niszy, albo jedno i drugie. Zadali sobie wiele trudu, żeby ukryć ślady swoich poczynań. Jaka szkoda, że przeoczyli tę kość. Może pozwoli nam na uzyskanie niezbędnych odpowiedzi.

– A dlaczego mówiłeś o niebezpieczeństwie? – spytała Constance.

– Moja droga! Ta zbrodnia jest dziełem miejscowej ludności lub w najgorszym razie kogoś, kto jest związany z tym miasteczkiem. Jestem pewien, że ci ludzie wiedzieli także o czymś, co zostało tu zamurowane wraz ze szkieletem. Przepuszczalnie było to coś naprawdę wielkiej

wartości. Ponieważ musieli przesunąć stojaki z winem i nie byli w stanie zatuszować swojej obecności, zainscenizowali kradzież, żeby zamaskować te poczynania.

– Oni? – spytał Lake. – Było ich kilku?

– To tylko przypuszczenia. Te działania wymagały sporego wysiłku.

– Wciąż nie odniosłeś się do wspomnianego zagrożenia – wtrąciła Constance.

– Zagrożenie wynika z faktu, że zamierzam przeprowadzić śledztwo w tej sprawie. Ktokolwiek to zrobił, na pewno nie będzie zadowolony. I poczyni niezbędne kroki, żeby się obronić.

– A twoim zdaniem ja nie potrafię się obronić?

Cisza przedłużała się, dopóki Constance zrozumiała, że Pendergast nie zamierza odpowiedzieć na pytanie.

– Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo – rzekła półgłosem – może grozić przestępcom, jeżeli popełnią błąd i spróbują się z tobą zmierzyć. A wtedy spotkają się także ze mną.

Pendergast pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, tego obawiam się najbardziej. – Przerwał i zamyślił się przez chwilę. – Jeżeli pozwolę, żebyś tu została, będziesz musiała trzymać się w ryzach.

Constance zignorowała jego słowa.

– Jestem pewna, że posłużę ci pomocą, zwłaszcza gdy chodzi o aspekty historyczne, ponieważ ewidentnie mamy tu do czynienia ze zdarzeniami o charakterze historycznym.

– Owszem, twoja pomoc może się okazać nieodzowna. Proszę jednak, nie podejmuj żadnych działań na własną rękę. Miałem już tego dość z Corrie.

– Na szczęście nie jestem Corrie Swanson.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– No cóż – powiedział w końcu Lake. – Opuśćmy tę wilgotną piwnicę, napijmy się, obejrzyjmy zachód słońca i porozmawiajmy o tym, co się teraz wydarzy. Muszę przyznać, że jestem kompletnie zaskoczony i porażony tym odkryciem. To dość makabryczne, chociaż na swój sposób fascynujące odkrycie.

– Fascynujące, tak – zwrócił się do niego Pendergast. – Ale przez to niebezpieczne. Niech pan o tym nie zapomina, panie Lake.

Usiedli na ganku, skąd rozciągał się widok na ocean, a zachodzące za nimi słońce barwiło chmury na wschodnim horyzoncie odcieniami fioletu, pomarańcza i szkarłatu.

Lake otworzył butelkę veuve clicquot.

Pendergast przyjął kieliszek.

– Panie Lake, chciałbym zadać jeszcze kilka pytań, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu.

– Przeciw temu nie, ale przeciwko zwracaniu się do mnie per „panie Lake” owszem. Proszę mi mówić Perce.

– Pochodzę z Południa. Byłbym zobowiązany, gdyby uczynił pan mi tę grzeczność i pozwolił, żebyśmy odnosili się do siebie nawzajem w sposób formalny.

Lake wywrócił oczami.

– No dobrze, skoro pan tak chce.

– Dziękuję. Kilkakrotnie wspomniał pan, że tutejsza policja nie jest skora do pomocy. Co udało im się ustalić do tej pory w związku z tą sprawą?

– Kompletnie nic! Mamy w miasteczku zaledwie dwóch gliniarzy. Komendanta policji i młodego sierżanta. Przyjechali, pokręcili się tu i tam przez piętnaście minut, zrobili kilka zdjęć i to wszystko. Żadnego zdejmowania odcisków palców, zupełnie nic.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Komendant Mourdock to mięśniak, głupszy, niż ustawa przewiduje, i twardy jak tutejszy granit. Praktycznie jest stale na wakacjach, odkąd przybył tu z komendy w Bostonie. Leniwa łajza, zwłaszcza teraz, gdy do przejścia na emeryturę zostało mu zaledwie pół roku.

– A co z jego zastępcą? Tym sierżantem?

– Gavinem? Nie jest tak durny jak jego szef. Wydaje się porządnym facetem, ale komendant trzyma go na krótkiej smyczy. – Lake zawahał się.

Constance zwróciła na to uwagę.

– Komendant wie, że tu jesteśmy, prawda?

– Cóż, któregoś dnia puściły mi nerwy. Mourdock mnie zirytował. Powiedziałem mu, że zamierzam wynająć prywatnego detektywa.

– Jaka była jego reakcja? – spytał Pendergast.

– Bardzo gwałtowna. Posunął się nawet do pogrózek.

– Jakiego rodzaju?

– Powiedział, że jeśli jakiś prywatny łaps postawi nogę w jego mieście, z miejsca go aresztuje. Oczywiście wątpię, żeby coś takiego zrobił. Ale może piętzyć problemy. Przepraszam, powinienem był trzymać język za zębami.

– I właśnie tak będzie, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzisiejsze odkrycie.

– Będę milczał jak grób, obiecuję.

Pendergast upił łyk szampana.

– Zmieniając temat, co pan wie o historii tego domu i jego mieszkańców?

– Niewiele. Do lat trzydziestych dwudziestego wieku był to dom latarnika, później latarnię zautomatyzowano. Dom zaczął popadać w ruinę. Kiedy go kupiłem, praktycznie cały się sypał.

– A latarnia? Czy nadal działa?

– O tak. Włącza się o zmierzchu. Oczywiście nie jest już potrzebna, ale wszystkie latarnie morskie wzdłuż wybrzeża Nowej Anglii nadal działają, myślę, że z powodów sentymentalnych. Nie jestem właścicielem latarni, stanowi ona własność Amerykańskiej Straży Przybrzeżnej i Fundacji American Lighthouse, która zajmuje się jej utrzymaniem. Latarnia ma soczewki Fresnela czwartego rzędu błyskające białym światłem w odstępach dziewięciosekundowych. Towarzystwo Historyczne powinno mieć listę wszystkich latarników.

Pendergast spojrział na Constance.

– To twoje pierwsze zadanie: dowiedz się, kto był latarnikiem, kiedy w piwnicy tego domu doszło do tej strasznej tragedii. Ja zajmę się analizą kości paliczka i podam ci datę.

Constance pokiwała głową.

Pendergast znów przeniósł wzrok na Lake'a.

– A historia miasteczka? Czy jest coś, co mogłoby chociaż trochę przybliżyć nas do tajemnicy krypty w podziemiach?

Lake pokręcił głową, przeczesując białe włosy wielką, poprzecinaną żyłami dłonią. Constance zauważyła, że ma masywne ramiona – zapewne dlatego, że zajmował się rzeźbieniem w kamieniu.

– Exmouth to bardzo stara rybacka i wielorybnicza osada, założona na początku osiemnastego wieku. Nie jestem pewien, co za geniusz postanowił usytuować ją na słonych moczarach, ale to nie był najlepszy pomysł. Cały ten obszar jest wylęgarnią gzów. Chociaż od dziesięcioleci to miejsce słynie ze wspaniałych łowisk, nigdy nie zyskało miana popularnego letniego kurortu, jak Rockport czy Marblehead.

– Gzy? – spytał Pendergast. – To rodzaj gryzącej muchy, nie myślę się?

– Najgorszego gatunku. *Tabanus nigrovittatus*. Samice tego gatunku kłują i piją krew.

– No jasne – wtrąciła Constance. – Samice są najgorsze.

Lake zaśmiał się.

– Otóż to!

– Czy miasteczko ma jakąś mroczną historię? Plotki, pogłoski, morderstwa, spiski?

Lake machnął ręką.

– Pogłoski.

– Jakże konkretnie?

– Takie, jakich można by się spodziewać, biorąc pod uwagę, że na południe stąd leży Salem. Opowieść, że niedaleko stąd osiadła grupa czarownic usiłujących zbiec przed prześladowaniami i procesami w ostatniej dekadzie siedemnastego wieku. Oczywiście to bzdury. W gruncie rzeczy stanowimy pozostałość dawnej nowoangielskiej osady rybackiej. Aczkolwiek zachodnia część miasteczka, zwana Dill Town, Osadą Dilla, którą włączono do Exmouth w latach czterdziestych dwudziestego wieku, jest znana z szerzącej się tam drobnej przestępczości. Można by rzec, że leży po drugiej stronie torów.

Lake upił spory łyk szampana.

– Muszę przyznać, że odkrycie izby tortur w mojej piwnicy było dla mnie wielkim szokiem. Aż nie mogę w to uwierzyć. To jak scena wyjęta z upiornego opowiadania Edgara Allana Poego *Beczka amontillado*. – Przerwał i spojrzał na Pendergasta. – Twierdzi pan, że

w środku było coś cennego? Może skarb piratów? Szkielet strzegący skrzyni ze złotem?

– Za wcześnie, żeby o tym spekulować.

Lake odwrócił się do Constance.

– A co pani o tym myśli? Jakies podejrzenia? – spytał z błyskiem w oku.

Constance przeniosła na niego wzrok.

– Nie. Ale przychodzi mi na myśl pewien cytat.

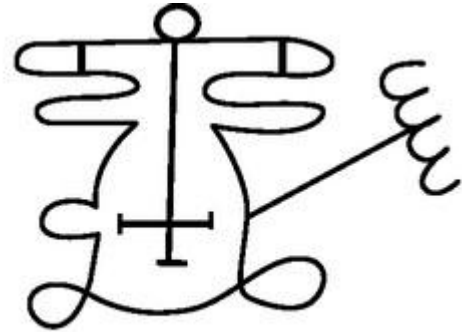
– Jaki?

– Na miłość boską, Montresorze!

Pendergast spojrział gniewnie na nią, a potem na Lake'a, którego przepełniona zdumieniem twarz wyraźnie pobladła.

– Musi pan wybaczyć mojej współpracownicy – rzekł. – Ma dość ostre poczucie humoru.

Constance dokładnie wygładziła przód swojej sukni.



4

Pendergast wjechał porsche roadsterem – z opuszczonym dachem, aby nacieszyć się porannym słońcem – na parking przy Main Street.

– Samochody wciąż stanowią dla mnie pewną nowość – powiedziała Constance, wysiadając. – Ale nawet ja potrafię stwierdzić, że zaparkowałeś w niewłaściwy sposób. Znowu przekroczyłeś linię.

Pendergast tylko się uśmiechnął.

– Chodźmy na zakupy.

– Nie mówisz poważnie.

– Constance, jedną z podstawowych zasad, jakie musisz sobie przyswoić, kiedy uczestniczysz ze mną w dochodzeniu, jest niekwestionowanie żadnej, nawet najmniejszej błahostki. A teraz... Zauważyłem na wystawie tamtego sklepiku śliczne hawajskie koszule, co więcej, są na wyprzedazy!

Weszła z nim do sklepu i udawała, że ogląda śnieżnobiałe stroje tenisowe, podczas gdy on zajął się oglądaniem hawajskich koszul i wybrał kilka na chybił trafił. Usłyszała, jak gawędzi ze sprzedawczynią, pytając, czy kiedykolwiek miała problemy ze złodziejami sklepowymi i czy kamera monitoringu, wyraźnie widoczna na witrynie, naprawdę jest niezbędna. Zmarszczyła brwi, gdy usłyszała, jak sprzedawczyni nabija na kasę zakupione przez niego rzeczy. Uznała, że próbował zrobić rozpoznanie w miasteczku, ale wydawało się to przypadkowe, bardzo niezorganizowane, biorąc pod uwagę, że mieli dużo pilniejszych spraw do gruntownego zbadania. Jak choćby lista latarników oczekująca na nią w archiwach Towarzystwa Historycznego

i datowanie kości paliczka izotopem węgla C-14.

Gdy ponownie wyszli na ulicę, Pendergast trzymał w dłoni torbę z zakupami. Przystanął w drzwiach sklepu i spojrzął na zegarek.

– Ile sztuk tego pożał się Boże przyodziewku nabyłeś? – spytała Constance, spoglądając na pękatą torbę.

– Nie liczyłem. Zatrzymajmy się tu na chwilę.

Popatrzyła na niego. Może tylko jej się zdawało, niemniej odniosła wrażenie, że dostrzegła na jego twarzy wyraz wyczekiwania.

I wtedy zobaczyła dwukolorowy radiowóz sunący powoli wzdłuż Main Street.

Pendergast ponownie spojrzął na zegarek.

– Mieszkańcy Nowej Anglii są cudownie punktualni.

Radiowóz zwolnił i podjechał do krawężnika. Wysiadł z niego policjant – komendant, którego widzieli wczoraj. Constance nie była specjalistką od dwudziestowiecznych typów mężczyzn, ale jej zdaniem ten wyglądał jak przebrzmiała uczelniana gwiazda futbolu – ostrzyżony na zapalkę osiłek o grubym karku i kanciastej szczęce, z masywnym, choć nieco już sflaczałym cielskiem. Podciągnąwszy pobrzękujący pas służbowy, wyjął gruby plik blankietów i zaczął wypisywać mandat.

Pendergast podszedł do niego.

– Mogę spytać, o co chodzi?

Policjant odwrócił się, a mięsiste usta wykrzywiły się w uśmiechu.

– Ciężko przyswajamy, prawda?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Znów zaparkował pan nieprzepisowo. Przekroczył pan linię.

Wygląda na to, że jeden mandat nie wystarczył.

Pendergast wyjął poprzedni mandat.

– Ma pan na myśli to?

– Zgadza się.

Pendergast pieczołowicie rozerwał mandat na pół i wsadził obie części z powrotem do kieszeni.

Komendant zmarszczył brwi.

– No pięknie.

Constance skrzywiła się, słysząc ciężki południowobostoński akcent. Pendergast znów zachowywał się prowokacyjnie i zaczęła

rozumieć, dlaczego wydawał się taki podekscytowany. To mogła być miła zabawa. We właściwym momencie wyjmie swoją legitymację agenta FBI i pokaże temu paskudnemu gliniarzowi, gdzie jest jego miejsce.

Policjant skończył wypisywać mandat i wsunął go pod pióro wycieraczki.

– Proszę bardzo – uśmiechnął się. – Jeszcze jeden do podarcia.

– Nie omieszkam. – Pendergast sięgnął po karteczkę, rozdarł na dwie części, po czym wsunął do kieszeni, którą delikatnie poklepał.

– Może pan je drzeć cały dzień, ale to nie sprawi, że znikną. – Komendant wychylił się do przodu. – Dam panu drobną darmową radę. Nie lubimy, gdy jakiś przemądrzały prywatny łaps zjeżdża do naszego miasteczka i wtyka nos w nasze dochodzenia. Proszę więc mieć się na baczności.

– Owszem, działam jako prywatny śledczy – odparł Pendergast. – Wypraszam sobie jednak, żeby używał pan wobec mnie określenia „łaps”.

– Bardzo przepraszam, że nazwałem pana łapsem.

– Skradziono kolekcję wina wartą kilkaset tysięcy dolarów – rzekł Pendergast, a jego głos nabrał napuszonego tonu. – To zabór mienia znacznej wartości. Skoro policja nie chce lub nie potrafi doprowadzić do rozwiązania tej sprawy, trudno się dziwić, że zostałem tu wezwany.

Komendant zmarszczył brwi. Dzień nie był upalny, jednak na jego czole zaczęły się pojawiać kropelki potu.

– W porządku. Wie pan co? Zamierzam obserwować wszystkie pańskie poczynania. Wystarczy, że o centymetr, o włos przekroczy pan granicę, a wyekspeduję pana z tego miasta, ani się pan obejrzy. Rozumiemy się?

– Oczywiście. A podczas gdy ja będę się zajmował sprawą zaboru mienia znacznej wartości, pan może dalej chronić miasto przed tymi, którzy łamią prawo, parkując w niedozwolony sposób, bo przekraczając wyznaczoną linię.

– Prawdziwy z pana komik.

– To było spostrzeżenie, a nie żarcik.

– Wobec tego ujmę to tak: gdy następnym razem zaparkuje pan

w niedozwolony sposób, przekraczając wyznaczoną linię, odholuję pański wóz. – Przesunął grubymi paluchami po karoserii porsche. – A teraz proszę zaparkować jak należy.

– Teraz?

Gliniarz oddychał z coraz większym trudem.

– Teraz – wycedził.

Pendergast wszedł, uruchomił samochód i wycofał, ale trochę za szybko się zatrzymał i tylny zderzak znalazł się na linii. Wysiadł.

– I już.

Policjant spojrzał na niego.

– Wciąż przekracza pan wyznaczoną linię.

Pendergast spojrzał na porsche z przesadnym skupieniem, na zderzak, po czym na linię na asfalcie i zmarszczył brwi.

– Znajduje się dokładnie na linii, nie przekracza jej. Poza tym proszę spojrzeć na te wszystkie miejsca parkingowe przy ulicy. Kogo to obchodzi?

Oddech gliniarza stał się przyspieszony i świszczący.

– Ty mały chujku, myślisz, że jesteś zabawny?

– Najpierw nazywa mnie pan łapsem. Teraz małym chujkiem. Nie mogę się nadziwić kwiecistości pańskiej wymowy. Najwyraźniej zapomina pan, że znajduje się w obecności damy. Może matka powinna była częściej smarować panu usta mydłem, wówczas nie używałby pan takich impertynenckich ozdobników w obecności przedstawicielek płci pięknej.

Constance widywała już wcześniej, jak Pendergast celowo prowokował ludzi, nigdy jednak nie robił tego tak bezceremonialnie. Zastanawiała się, dlaczego rozpoczął śledztwo od pójścia na wojnę z tutejszym komendantem policji.

Mężczyzna postąpił krok naprzód.

– No dobrze. Dość tego. Chcę, żeby opuścił pan to miasto. I to natychmiast. Wskakujcie do tego pedalskiego gruchota i żebyś was tu więcej nie widział, ani ciebie, ani tej twojej przyjaciółeczki.

– Albo?

– Albo aresztuję cię za włóczęgostwo i zakłócenie spokoju.

W nietypowy jak na niego sposób Pendergast zaśmiał się w głos.

– Nie, dziękuję. Zamierzam zostać tu tak długo, jak mi się spodoba. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć dziś wieczorem w gospodzie mecz bejsbola, podczas którego bez wątpienia drużyna New York Yankees raz na zawsze wtrąci Red Soxów na powrót do rynsztoka, skąd próbowali wypełznąć podczas rozgrywek o mistrzostwo American League.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza. Wreszcie policjant ze spokojem i niespiesznie sięgnął do pasa i wyjął ze skózanego futerału parę kajdanek.

– Ręce do tyłu i odwróć się.

Pendergast skwapliwie wykonał polecenie. Komendant zakuł go w kajdanki.

– Zapraszam do radiowozu. – Delikatnym szturchnięciem popchnął Pendergasta w stronę samochodu patrolowego.

Constance czekała, aż Pendergast coś powie i wyjmie legitymację. Ale nic takiego się nie stało.

– Chwileczkę – rzekła półgłosem pod adresem oddalającego się policjanta.

Zatrzymał się i odwrócił. Spojrzała mu w oczy.

– Jeżeli pan to zrobi, stanie się pan najżałośniejszym człowiekiem w całym Massachusetts.

Wytrzeszczył oczy w wyrazie udawanego strachu.

– Grozi mi pani?

– Constance? – rzucił Pendergast, a jego głos, choć przyjemny, zawierał ostrzegawczą nutę.

Nie odrywała wzroku od komendanta.

– Nie grozę panu. Przepowiadam jedynie, że czeka pana smutna i upokarzająca przyszłość.

– A niby kto miałby do tego doprowadzić? Pani?

– Constance... – powtórzył Pendergast, tym razem nieco głośniej.

Z olbrzymim trudem pohamowała cisnącą się jej na usta odpowiedź i spróbowała zagłuszyć dudnienie krwi w uszach.

– Suka – wycedził gliniarz.

Odwrócił się i poprowadził Pendergasta do radiowozu. Agent FBI szedł potulnie, po czym komendant otworzył tylne drzwiczki, osłonił

dłonią głowę Pendergasta i wepchnął go do środka.

– Przywieź na posterunek książeczkę czekową – powiedział Pendergast do Constance, nie bez trudu sięgając do kieszeni i rzucając jej kluczyki do samochodu – żebyś mogła wpłacić kaucję.

Constance patrzyła, jak radiowóz rusza od krawężnika i z piskiem opon mknie Main Street, przekraczając dozwoloną prędkość. Przez tych parę chwil gorączkowo starała się spowolnić oddech i czekała, aż rozwieje się czerwona mgła, która przesłoniła jej wzrok. Dopiero gdy wóz patrolowy zniknął jej z oczu, rozplywając się w oddali, przypomniała sobie, że przecież nie umie prowadzić, a nie było nikogo, kto mógłby zasiąść za kierownicą porsche.



Posterunek w Exmouth mieścił się w starym ceglanym budynku na drugim końcu miasta.

– Proszę zaparkować dokładnie w obrębie linii – poleciła Constance młodemu mężczyźnie, którego zwerbowała do poprowadzenia porsche. Zauważyła, że chłopak gapi się na roadstera, kiedy zastanawiała się, co zrobić, więc w końcu zaproponowała mu, żeby poprowadził. Skwapliwie na to przystał. Dopiero gdy zasiadł za kierownicą, poczuła, że cuchnie rybami.

Zaparkował i zaciągnął hamulec ręczny.

– Wow – powiedział. – Nie do wiary. Ale jazda. – Spojrzał na nią. – Skąd masz taką brykę?

– Nie jest moja. Bardzo dziękuję, że zachował się pan jak dżentelmen. Jest pan już wolny.

Zawahał się, a ona wyczuła, że dopiero teraz uważniej się jej przyjrzał. Otaksował ją wzrokiem od stóp do głów. Był krzepkim mężczyzną, prostym i najwyraźniej ciężko pracującym, na lewej dłoni miał obrączkę ślubną.

– Powiedz, gdybyś była później wolna...

– Nie będę i pan też nie jest – odparła, wyłuskując z jego ręki kluczyki.

Wysiadła i ruszyła w stronę posterunku policji, pozostawiając mężczyznę na parkingu odprowadzającego ją wzrokiem.

Weszła do zaskakująco nieskazitelnej poczekalni, gdzie królowały portrety gubernatora i wicegubernatora, w rogu stał ozdobiony złotymi

frędzlami amerykański sztandar, a na ścianach pokrytych drewnianą boazerią wisiały rozmaite dyplomy, tablice pamiątkowe i pochwały. Za biurkiem siedziała drobna kobieta, która odbierała telefony i usiłowała sprawiać wrażenie bardzo zapracowanej. Zza jej pleców przez otwarte drzwi dochodziły dźwięki teleturnieju telewizyjnego.

– W czym mogę pomóc? – spytała kobieta.

– Przychodzę, żeby, jak to się mówi, wpłacić kaucję za pana Pendergasta.

Kobieta spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Jego sprawa jest w toku. Proszę usiąść. Jak pani godność?

– Constance Greene. – Zajęła miejsce i wygładziła długą suknię.

Z jednego z pokoi na tyłach wyszedł młody policjant i zatrzymał się, aby się jej przyjrzeć. Constance odnalazła jego spojrzenie. Czy z tym miasteczkiem było coś nie tak, czy to ona była dziwna?

Mężczyzna był śniady, wyglądał na Włocha i miał zdumiony wyraz twarzy. Gdy na niego popatrzyła, nagle się ożywił, odwrócił wzrok, podał kobiecie w recepcji kartkę papieru, zamienił kilka słów, po czym zwrócił się do niej:

– Pani w sprawie Pendergasta?

– Tak.

Zawahanie.

– To może potrwać kilka godzin.

Czemu, u licha, jeszcze się nie ujawnił?

– Zaczekam.

Policjant odszedł. Constance stwierdziła, że kobieta w recepcji także patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Sprawiała wrażenie, jakby chciała o czymś porozmawiać, a Constance, która normalnie zamknęłaby się w sobie, tak jak zatrząskuje się komuś drzwi przed nosem, przypomniała sobie, że ma prowadzić śledztwo, i oto nadarza się dogodna okazja, aby je rozpocząć. Posłała kobiecie uśmiech, który, miała nadzieję, powinien wydać się jej przyjazny.

– Skąd jesteś? – spytała kobieta.

– Z Nowego Jorku.

– Nie wiedziałam, że w Nowym Jorku mieszkają amisy.

Constance spojrzała na nią.

– Nie jesteśmy amiszami.

– Och, bardzo przepraszam! Tak sobie pomyślałam... Mężczyzna w czarnym garniturze, a ty w długiej sukni... – urwała. – Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

– Ani trochę. – Constance przyjrzała się uważniej kobiecie w recepcji. Miała około pięćdziesięciu lat. Przenikliwe spojrzenie i wyraz twarzy zdawały się świadczyć o znudzeniu i zamyśleniu do plotek. To był ktoś, kto z pewnością wiedział o wszystkim, co działo się w miasteczku. – Po prostu jesteśmy staroświeccy – odparła, siląc się na kolejny uśmiech.

– Przyjechaliście na wakacje?

– Nie. Prowadzimy dochodzenie w sprawie kradzieży kolekcji cennego wina z piwniczki Percivala Lake'a.

Cisza.

– Ten mężczyzna w czarnym garniturze jest prywatnym detektywem?

– W pewnym sensie. Jestem jego asystentką.

Kobieta zaczęła się wyraźnie denerwować.

– Proszę, proszę – powiedziała, przekładając papiery na biurku z miejsca na miejsce i znów sprawiając wrażenie ciężko zapracowanej.

Może nie powinna była tak szybko ujawniać celu ich przybycia do miasteczka. Spróbowała czegoś innego.

– Jak długo pani tu pracuje?

– Dwadzieścia sześć lat.

– I lubi pani tę pracę?

– To miłe miasteczko. Przyjazne.

– Macie tu wiele przestępstw?

– Ależ skąd. Prawie wcale. Do ostatniego morderstwa w tej okolicy doszło w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

– A inne przestępstwa?

– To co zwykle. Głównie chuligańskie wybryki nastolatków.

Wandalizm, kradzieże w sklepach, picie alkoholu przez nieletnich, i to w sumie tyle.

– A zatem to coś niezwykłego? Aresztowanie kogoś za włóczęgostwo i zakłócanie spokoju?

Kobieta nerwowym gestem poprawiła włosy.

– Nie potrafię powiedzieć. Przepraszam, jestem zajęta, muszę wracać do pracy. – Znów skupiła się na papierkowej robocie.

Constance poczuła się rozgoryczona. Jak, u licha, Pendergast to robił? Będzie musiała dokładniej przyjrzeć się jego metodom działania.

Było późne popołudnie, gdy młody policjant wrócił i wręczył kolejny plik papierów kobiecie w recepcji.

– Panna Greene? – odezwała się kobieta.

Constance wstała.

– Ustalono wysokość kaucji. Pięćset dolarów.

Kiedy Constance wypełniała czek, kobieta wyjaśniła zasady zwolnienia i podsunęła w jej stronę dokumenty do podpisania.

– To nie potrwa długo – obiecała kobieta.

I faktycznie: pięć minut później Pendergast pojawił się w drzwiach i wydawał się mieć zaskakująco dobry nastrój. Torba z hawajskimi koszulami zniknęła.

– Doskonale, naprawdę doskonale – powiedział. – Chodźmy.

Constance nie odezwała się ani słowem, gdy szli do samochodu.

– Jak tu przyjechałaś? – spytał Pendergast, widząc stojące przy ulicy porsche.

Wyjaśniła mu.

Pendergast zmarszczył brwi.

– Muszę zapamiętać, że w tej miejscinie są takie niebezpieczne indywidua.

– Uwierz mi, on nie był najgorszy.

Gdy wsiedli do samochodu, Constance poczuła narastające rozdrażnienie. Pendergast wyciągnął rękę po kluczyki, ale mu ich nie podała.

– Aloysiusie?

– Tak?

– Co ty wyprawiasz, na miłość boską?

– O co ci chodzi?

– Celowo sprowokowałeś komendanta i dałeś się aresztować. Kilka godzin temu. Nie powiedziałeś mu, że jesteś agentem FBI?

– Nie.

– Niby jak miałyby to dopomóc w naszym śledztwie?

Pendergast położył dłoń na jej ramieniu.

– Przede wszystkim chciałem ci pogratulować, że zdołałaś się pohamować podczas rozmowy z komendantem. To wyjątkowo antypatyczny człowiek. A teraz odpowiem na twoje pytanie: to bardzo pomoże w naszym śledztwie.

– Czy zechciałbyś mi to wyjaśnić?

– Na razie nie. Uzbrój się w cierpliwość, a wkrótce wszystko zrozumiesz, obiecuję.

– Twoje zamiłowanie do skrytości i tajemnic doprowadza mnie do szału.

– Cierpliwości! Czy moglibyśmy wrócić do gospody? Mam spotkanie z Percivalem Lakiem. Może zechciałabyś przyłączyć się do nas podczas kolacji? Na pewno umierasz z głodu.

– Zjem w swoim pokoju, dziękuję.

– Dobrze. Miejmy nadzieję, że ten posiłek nie będzie równie rozczarowujący jak poranne śniadanie.

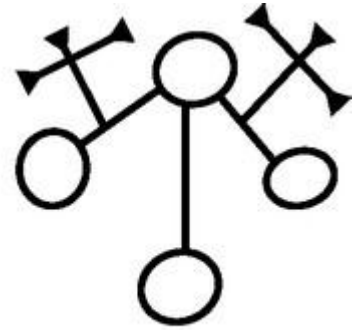
Jechali wąską alejką między kamiennymi murami. Wreszcie szpaler drzew w oddali przed nimi rozstąpił się i ich oczom ukazała się Gospoda pod Kapitanem Hullem, wielki dom kapitana żeglugi, w stylu wiktoriańskim, z szarymi gontami i białymi wykończeniami, stojący pośród rozległej łąki, porośniętej gęsto ciężkimi od kwiatów krzakami dzikiej róży. Dom miał szeroki, ciągnący się dookoła ganek z białymi kolumnami i rzędem bujanych foteli ustawionych w stronę morza; widać stąd było oddaloną o niespełna kilometr latarnię morską w Exmouth. Na parkingu wysypanym tłuczonymi muszlami stało kilka samochodów. Constance stwierdziła, że pokój, w którym się zameldowała i rozgościła ostatniej nocy, był przyjemnie staroświecki.

– Kiedy odbędzie się twój proces? – spytała. – Jak rozumiem, w małych miasteczkach takich jak to hołduje się zasadzie jak najszybszego wymierzania sprawiedliwości.

– Nie będzie żadnego procesu – odparł Pendergast i spojrzał na nią, przejęty jej wyrazem twarzy. – Constance, nie staram się być rozmyślnie perfidny. Po prostu lepiej będzie, dla twojego dobra, jeżeli zapoznając się z moimi metodami działania, pozwolisz, żeby wydarzenia potoczyły

się swoim torem, a ty jedynie będziesz obserwować ich dalszy rozwój.
A teraz chodźmy już, dobrze?

Wysiadł i szarmancko otworzył jej drzwi.



6

Percival Lake zatrzymał się w drzwiach Pokoju Map w restauracji i od razu wypatrzył Pendergasta wśród znajdujących się w sali gości. Ten człowiek pasował do otoczenia jak pięść do nosa, cały w czerni i bieli wśród mieszkańców Nowej Anglii gustujących raczej w kraciastym madrasie i pasiastej bawełnie. Lake wiedział, że ekscentrycy i ludzie niekonwencjonalni starannie dbają o swój image. Mało kto nie przejmował się zdaniem innych. Pendergast należał do tej nielicznej grupy.

Lake'owi to się podobało.

Pendergast patrzył na tablicę – w Pokoju Map Gospody pod Kapitanem Hullem nie było kart dań – a na jego twarzy malowało się przejęcie i głębokie skupienie. Kiedy Lake przechodził między stolikami, uniósł wzrok, po czym wstał.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Uwielbiam tę salę – rzekł Lake, gdy usiedli. – Stare sosnowe deski na podłodze, przyrządy żeglarskie, kamienny kominek. Jest tu bardzo przytulnie, zwłaszcza teraz, jesienią. Kiedy robi się chłodniej, rozpalają w kominku.

– Moim zdaniem jest tu jak w trumnie – skwitował Pendergast.

Lake zaśmiał się i spojrzał na tablicę.

– Tutejsze wino to zwykły sikacz, ale gospoda oferuje przyzwoity wybór markowych piw. Jedno miejscowe polecam szczególnie...

– Nie pijam piwa.

Kelnerka, młoda kobieta o krótko przyciętych włosach, niemal tak

jasnych jak Pendergasta, podeszła, żeby przyjąć zamówienie.

– Co dla panów? – spytała pogodnym tonem.

Nastała cisza, gdy Pendergast lustrował butelki ustawione w rzędzie za barem. W końcu jego blade brwi uniosły się.

– Widzę, że macie absynt.

– To rodzaj eksperymentu.

– Wobec tego zamówię, jeżeli można. Tylko proszę dopilnować, żeby woda była świeżą wodą źródlaną, a nie z kranu, musi być lodowata, ale bez lodu, i do tego kilka kostek cukru. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby udało się pani zdobyć także wygiętą łyżeczkę z otworami i kieliszek absyntówkę.

– Kieliszek absyntówkę. – Kelnerka wszystko zapisała. – Postaram się. Zrobię, co w mojej mocy.

– Zamówimy coś na kolację? – spytał Lake. – Tutejszą specjalnością są smażone małże.

Pendergast raz jeszcze spojrzał na tablicę.

– Może później.

– Poproszę o kufel riptide ipa.

Kelnerka oddaliła się, a Lake zwrócił się do Pendergasta:

– Prawdziwa ślicznotka. Jest nowa.

Zauważył, że Pendergast w ogóle go nie słucha. Odchrząknął.

– Słyszałem, że został pan dziś aresztowany. W całym mieście o tym aż huczy. Narobił pan niezłego rabanu.

– W rzeczy samej.

– Chyba miał pan powody.

– Oczywiście.

Młoda kobieta wróciła z drinkami i rozstawiła przed Pendergastem wszystko: kieliszek, łyżeczkę – choć nie miała specjalnych otworów i nie była wygięta – talerzyk z kostkami cukru, nieduży szklany dzbanek z wodą oraz absynt w wysokim kieliszku.

– Mam nadzieję, że wszystko jest jak trzeba? – spytała.

– Widzę, że się pani postarała – odparł Pendergast. – Dziękuję.

– Wygląda, jakby zamierzał pan przeprowadzić eksperyment chemiczny – powiedział Lake, gdy Pendergast przystąpił do przygotowania swojego trunku.

– W istocie jest to związane z procesami chemicznymi – odparł agent, kładąc kostkę cukru na łyżeczce, umieszczając ją nad kieliszkiem absyntu i delikatnie, kropelka po kropelce, nalewając na nią wodę.

Lake patrzył, jak zielony płyn mętnieje. W powietrzu nad niedużym stolikiem rozszedł się zapach anyżu, a rzeźbiarz się wzdrygnął.

– W absyncie znajdują się pewne ekstrakty ziołowe na bazie olejków, które rozpuszczają się w alkoholu, ale kiepsko rozpuszczają się w wodzie – wyjaśnił Pendergast. – Wytrącają się z roztworu, kiedy doda się do niego wody, tworząc opalescencję albo louche.

– Skosztowałbym, gdyby nie to, że nie cierpię lukrecji. Czy piołun nie powoduje uszkodzeń mózgu?

– Samo życie powoduje uszkodzenia mózgu.

Lake zaśmiał się i uniósł kufel.

– W takim razie za Exmouth i tajemnicę zamurowanego szkieletu.

Stuknęli się szkłem. Pendergast napił się i odstawił kieliszek.

– Zauważyłem u pana dość osobliwe, żeby nie powiedzieć: zuchwałe nastawienie.

– Jak to?

– Dopiero co stracił pan cenną kolekcję wina. Zwykle ludzie, którzy padli ofiarą takich kradzieży, czują się rozbici, przygnębieni, załamani. A pan wydaje się mieć doskonały nastrój.

– Jakżeby inaczej, skoro pan zajmuje się tą sprawą? – Lake napił się piwa. – W ogóle podchodzę do życia z dużą swobodą. Nauczyłem się tego, dorastając.

– A gdzie pan dorastał?

– W Outpost w Minnesocie. Niezła nazwa, prawda? Trochę ponad trzydzieści kilometrów na południe od International Falls. Stu dwudziestu mieszkańców. Zimy jak z powieści Kafki. Żeby to przetrwać, ludzie sięgają po alkohol, tracą zmysły albo uczą się przyjmować życie takim, jakie jest. – Lake zachichotał. – Większość wybrała ostatnią możliwość. – Upił kolejny łyk piwa. – Tuż za mostem był kamieniołom. Tak nauczyłem się pracować w kamieniu. Miałem sporo wolnego czasu od listopada do kwietnia.

– A potem?

– Ja, prosty, wiejski chłopak ze Środkowego Zachodu, wyjechałem do Nowego Jorku, żeby zaistnieć w świecie sztuki. To było na początku lat osiemdziesiątych i moje prace chwyciły. Chyba koniunktura była odpowiednia. Stare pomysły w nowej aranżacji, na tym to polegało. Taka była idea. Cóż za szalone miejsce. Gdy osiągnąłem sukces, woda sodowa uderzyła mi do głowy. Pieniądze, sława, imprezy, cały ten przekłety, pretensjonalny śródmiejski świat galerii sztuki. – Pokręcił głową. – Jak wszyscy zacząłem brać kokainę. Ale w końcu się obudziłem. Zdałem sobie sprawę, że jeśli czegoś z tym nie zrobię, nie wyrwę się z tego otoczenia, na zawsze stracę swoją muzę.

– Jak pan wybrał akurat to miejsce?

– Poznałem wspaniałą dziewczynę, która podobnie jak ja miała serdecznie dość Nowego Jorku. W dzieciństwie spędzała lato w Newburyport. Kupiliśmy latarnię morską, odrestaurowaliśmy ją, a reszta to już historia. Elise i ja przeżyliśmy wiele cudownych lat. Boże, jak ja ją kochałem. Brakuje mi jej. Tęsknię za nią każdego dnia.

– Jak zmarła?

Lake był trochę zaskoczony tym bezpośrednim pytaniem i słowem „zmarła”, gdyż wszyscy inni posłużyliby się raczej eufemizmem w rodzaju „odeszła”.

– Rak trzustki. Trzy miesiące po diagnozie było po wszystkim.

– Nigdy się tu panu nie nudzi?

– Jeżeli myśli się poważnie o tym, żeby być artystą, należy pracować w cichym i spokojnym miejscu. Trzeba wycofać się ze świata, oderwać od całego tego szajsu, kuratorów, krytyków, trendów. Ale też potrzebowałem po prostu sporo przestrzeni. Moje prace są duże. Wspominałem już, że właśnie tu, niedaleko, na wybrzeżu znajduje się wspaniałe źródło surowca – różowego granitu. Mogę pojechać do kamieniołomu i wybrać kamień, a oni go przytną według mojego życzenia i dostarczą mi do domu. Idealna sprawa.

– Jestem po trosze obeznany z pańskimi pracami – rzekł Pendergast. – Nie boi się pan unikać trendów i tego, co ulotne. Co więcej, ma pan wspaniałe wyczucie kamienia.

Lake poczuł, że się czerwieni. Podświadomie wyczuwał, że agent rzadko, o ile w ogóle, chwali kogokolwiek.

– A pańska nowa przyjaciółka, panna Hinterwasser? Jak pan ją poznał?

To stawało się zbyt bezpośrednio.

– Po śmierci Elise wybrałem się w rejs. I właśnie tam ją poznałem. Była tuż po rozwodzie.

– Postanowiła z panem zamieszkać?

– Sam ją zaprosiłem. Nie lubię samotności. Podobnie jak celibatu.

To nie w moim stylu.

– Czy podziela pańskie zamiłowanie do wina?

– Woli raczej daiquiri i margaritę.

– Nikt nie jest doskonały – skwitował Pendergast. – A miasteczko?

Jak by je pan scharakteryzował?

– Ciche. Nikt się tu nie przejmuje tym, że jestem dość sławnym rzeźbiarzem. Mogę spokojnie zajmować się swoją pracą.

– Ale...?

– Ale... przypuszczam, że wszystkie małe miasteczka mają swoje mroczne strony. Romanse, zdrady i właśnie, sfalszowane umowy na sprzedaż nieruchomości, niekompetentni radni, wie pan, nowoangielski odpowiednik ojców miasta, no i rzecz jasna komendant policji, który większość czasu poświęca na wlepianie mandatów przyjezdnym spoza stanu, żeby udowodnić, że pracuje na swoją pensję.

– Opowiedział mi pan już co nieco o historii komendanta.

– Krążyły plotki, że w Bostonie wpakował się w jakieś kłopoty.

Nie były na tyle poważne, żeby go wylać z policji, ale mógł się pożegnać z obiecującą karierą. To nieokrzesany typ, chociaż przez lata nabrał nieco oglądy.

– Jakie to były kłopoty?

– Mówi się, że naciskając lub grożąc, próbował wymusić na podejrzanym przyznanie się do winy, chociaż ten człowiek nie popełnił zbrodni. Podejrzany został później uwolniony od stawianych mu zarzutów dzięki analizie materiału DNA i wyszedł na wolność, a następnie wytoczył miastu głośny proces, który wygrał, i wypłacono mu olbrzymie odszkodowanie.

– A zastępca?

– Gavin? – Lake się zamyślił. – To porządny facet. Cichy,

spokojny. Pochodzi z Exmouth. Jego ojciec był komendantem policji. Po studiach na uniwersytecie bostońskim, jak sądzę. Dobrze sobie radził, zrobił magisterium z kryminalistyki i prawa karnego. Wszyscy spodziewali się, że wysoko zajdzie. A tymczasem wrócił i podjął pracę na posterunku, gdzie komendantem był jego ojciec. Nie muszę chyba mówić, że wszyscy w miasteczku przyjęli to z wielkim entuzjazmem. Oczywiście ma chrapkę na stanowisko Mourdocka. – Przerwał. – Jest pan gotowy, żeby coś przegryźć?

Pendergast znowu rzucił okiem na tablicę.

– Czy w tym miasteczku jest lepsza restauracja?

Lake się zaśmiał.

– Znajduje się pan w lokalnym numero uno. Tyle tylko, że najwyraźniej trudno im się wybić ponad przeciętność typowej oferty klasycznego, nowoangielskiego pubu: wążus z rusztu, hamburgery, smażone małże. Mają jednak nowego kucharza, który pracował podobno w marynarce. Może on zdoła podnieść jakość usług.

– Okaże się.

Lake spojrzał na Pendergasta.

– Muszę przyznać, że wzbudził pan moją ciekawość. Staralem się rozpoznać pański akcent. Wiem, że jest pan z Południa, ale nie potrafię określić skąd dokładnie.

– To akcent z Nowego Orleanu, spotykany w dzielnicy francuskiej.

– Rozumiem. A co sprowadziło pana do Nowego Jorku? O ile, rzecz jasna, wolno mi o to zapytać.

Lake z wyrazu twarzy Pendergasta zorientował się, że było to pytanie, na które ten wolałby nie odpowiadać.

– Przybyłem do Nowego Jorku kilka lat temu w związku z prowadzonym dochodzeniem. Nowojorskie Biuro Terenowe poprosiło mnie, żebym został.

Lake spróbował wrócić na bezpieczniejszy grunt.

– Jest pan żonaty? Ma pan dzieci?

Poniewczasie zdał sobie sprawę, że zadał o jedno pytanie za dużo. Łaskawy wyraz twarzy zniknął z oblicza Pendergasta i zapadła długa cisza, zanim agent znów się odezwał.

– Nie – odparł głosem tak lodowatym, że mógłby zamrozić wodę.

Lake zatuszował zmieszanie, pociągając kolejny łyk piwa.

– Wobec tego porozmawiajmy o sprawie. Jestem ciekaw, czy ma pan jakieś hipotezy, kto mógł tego dokonać.

– Nie mam żadnych hipotez, które wychodziłyby poza poziom czystych spekulacji. – Pendergast rozejrzał się dokoła, a jego twarz przestała wyrażać obojętność. – Może byłoby lepiej, gdyby opowiedział mi pan o osobach znajdujących się w tej sali.

Ta prośba wyraźnie zbiła Lake'a z tropu.

– Chodzi panu o ich nazwiska?

– Nazwiska, pochodzenie, garść szczegółowych informacji, ewentualnie jakieś ciekawostki.

Lake zamówił drugie piwo, tym razem thunderhead ipa. Miał olbrzymi apetyt i niedługo powinien coś zjeść. Wychylił się do przodu.

– Jest jedna potrawa, której w tej restauracji nie mogą zepsuć. Ostrygi na połówkach muszli.

Pendergast momentalnie uniósł wzrok.

– Wyśmienity pomysł. Zamówmy dwa tuziny.

Lake przywołał kelnerkę i złożył zamówienie. Odwrócił się do Pendergasta.

– Zastanówmy się. Ta nowa kelnerka...

– Ona mnie nie interesuje. Następna osoba?

– Hmm... – Lake rozejrzał się po sali. Poza barmanem i mężczyzną przy barze goście siedzieli jeszcze tylko przy dwóch stolikach. – Mężczyzna za barem to Joe Dunwoody. Dunwoody są starą rodziną z Exmouth, ich korzenie sięgają jeszcze czasów kolonialnych. Jego brat Dana jest jednym z radnych miejskich i na dodatek wyjątkowo szczwanym prawnikiem. Nie chciałby pan wejść mu w paradę.

– A gdyby tak się stało?

– Mógłby pan nie dostać pozwolenia na garaż, który miałby pan ochotę zbudować. Albo mógłby pojawić się inspektor i zamknąć pańską restaurację za nieprzestrzeganie odpowiednich warunków higieniczno-sanitarnych. Takie tam drobiazgi, ale bardzo dokuczliwe.

– Następna osoba.

Lake rozejrzał się wokoło.

– Widzi pan tę biuściastą kobietę w rogu sali sączącą seven and

seven? To Dolores Claybrook. Miejscowa intrygantka i plotkara. Straszna kobieta, karmi się niepowodzeniem innych. Jej rodzina była jedną z najzamożniejszych w miasteczku, zbiła fortunę w Gloucester na szkutnictwie. Filia przeniosła się tutaj i zajęła się połowami dorsza. Firma zaczęła podupadać, w miarę jak malała liczba dorszy na łowiskach. Została już tylko ona, jest ostatnia z rodu, pochowała trzech mężów. Gdyby pan puścił do niej oko i uszczypnął w tyłek, pewnie szybko skłoniłby ją pan do mówienia.

– Może kiedy indziej. Następna osoba?

– Ta para przy stoliku pod oknem – Mark i Sarah Lillie. On prowadzi miejscową agencję ubezpieczeniową i zajmuje się też inwestycjami w małych miasteczkach. Kierują na boku firmą finansowo-projektową. Jego rodzina też jest dość stara, podobnie jak prawie wszystkie pozostałe w Exmouth. Pochodzi z Oldham.

– Oldham?

– To nieduże miasteczko na Crow Island, na południe stąd. Zostało zniszczone przez huragan w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Większość mieszkańców osiadła w Dill Town, które wcześniej zostało opuszczone. Rodzina Lillie zintegrowała się z błękitnokrwistymi rodami z Exmouth, a przynajmniej z tymi, które starają się za takie uchodzić.

Pendergast wskazał mężczyznę w tweedzie pałaszującego kolację przy barze.

– A ten dość osobliwy człowiek ze skórzanymi łatami na łokciach marynarki?

– Nie jest stąd. To oczywiste. Jest Anglikiem. Był tu przed kilkoma tygodniami. Prowadził badania historyczne związane z morską tajemnicą, skądinąd dość słynną w tej okolicy. Wygląda na to, że właśnie wrócił. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Morską tajemnicą?

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku zaginął statek S/s Pembroke Castle płynący z Londynu do Bostonu. Zniknął bez śladu nocą, podczas sztormu gdzieś na odcinku wybrzeża pomiędzy Cape Elizabeth a Cape Ann. Jakby rozpląnął się w powietrzu. Nie znaleziono po nim ani fragmentu złamanej rei. Od czasu do czasu ktoś tu

przyjeżdża, żeby ustalić, co się właściwie wydarzyło. To historia przywodząca na myśl losy Latającego Holendra albo Mary Celeste.

– Ciekawe. A jak się nazywa ten dżentelmen?

– Morris McCool.

– Zna go pan?

– Nie. Ale muszę przyznać, że jest w nim coś podejrzanego. Gdyby nie to, że nie pochodzi stąd, byłby pierwszym podejrzany w związku z kradzieżą mojej kolekcji wina. Morris McCool... To brzmi jak wymyślone nazwisko.

– Wręcz przeciwnie, nikt nie wymyśliłby dla siebie takiego pseudonimu.

Kelnerka przyniosła wielki półmisek surowych ostryg na kruszonym lodzie, z dodatkowym naczyniem, na którym znajdował się sos koktajlowy, tarty chrzan oraz plasterki cytryny.

– Z czym pan je lubi? – spytał Lake.

– Tylko z cytryną i z niczym więcej.

– Tak jak ja. – Lake wycisnął cytrynę na lśniąca, tłustą ostrygę i patrzył, jak jej brzegi zaczynają się kurczyć, kiedy spłynął na nią kwas.

– Pan pierwszy.

Pendergast wziął jedną ostrygę i zdecydowanym gestem uniósł skorupę do ust. Bezgłośnie wyssał jej zawartość, po czym z istic kocią delikatnością odłożył muszlę i otarł usta.

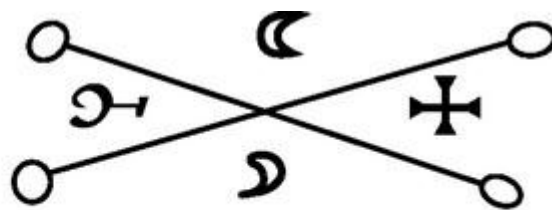
Lake wziął następną i tak w milczeniu, w dość szybkim tempie na zmianę pałaszowali jedną pulchną ostrygę po drugiej, aż na półmisku nie zostało nic oprócz błyszczących pustych skorup.

Pendergast ostatni raz otarł usta, po czym złożył starannie serwetkę i spojrzał na zegarek.

– Muszę już iść. To było nad wyraz smakowite i sycące. Bardzo dziękuję za pańską sugestię.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Lake skonstatował, że w tym mężczyźnie jest coś niezwykłego i zarazem ujmującego: surowe, jak wykute z marmuru oblicze, czarny garnitur, przenikliwy wzrok... No i na dodatek uwielbia ostrygi.



7

Wychodząc z Gospody pod Kapitanem Hullem, Morris McCool czuł się dość odprężony, mimo że placek pasterski ciężko zalegał mu na żołądku. Posiłek był kpiną z potraw, które pod taką samą nazwą podawano w bardziej szanowanych lokalach, tym bardziej zdumiewający okazał się wybór piwa, zarówno jasnego, jak i ciemnego, dostępnego w Ameryce. Podczas ostatniej wizyty dwadzieścia lat temu z trudem udawało się znaleźć coś więcej oprócz coorsa.

McCool był miłośnikiem pieszych wędrówek. W swojej rodzinnej miejscowości Penrith w Cumbrii po kolacji zawsze wybierał się na długi spacer, co miało wspomagać trawienie. Był orędownikiem przebywania na świeżym powietrzu i ćwiczeń fizycznych, a w dodatku podczas wieczornych przechadzek w jego głowie pojawiało się wiele wnikliwych spostrzeżeń i nowych pomysłów.

Ten spacer miał jednak konkretny cel. Wyjąwszy z kieszeni ręcznie narysowaną mapę, McCool przyjrzał się jej, zorientował w terenie i ruszył w stronę posrebrzanych drewnianych schodów wiodących w dół skalnego urwiska aż na plażę poniżej. Spienione fale powracały w regularnych odstępach czasu, z hukiem i sykiem rozbijając się o brzeg. Trzymając się suchego pasa plaży, dokąd nie sięgały cofające się fale, ruszył przed siebie, w kierunku rozległych moczarów, gdzie do zatoki wpływały wody rzeki Exmouth. Niesławne gzy, które królowały tu za dnia, opuściły to miejsce z nadejściem chłodnego październikowego wieczoru.

Z zadowoleniem wziął głęboki oddech, chłonąc powietrze przepełnione wonią soli. Był już blisko... bardzo blisko. Chociaż wciąż pozostawały niewyjaśnione zaskakujące i zastanawiające kwestie, był

przekonany, że udało mu się rozwiązać główną zagadkę.

Plaża była opustoszała, jeżeli nie liczyć niedużej postaci za nim, radującej się, podobnie jak on, wieczornym spacerem. Postać pojawiła się dość niespodziewane od strony moczarów. McCool nie był zadowolony z tego, że ktoś mógł zauważyć, dokąd się wybiera, przyspieszył więc kroku, by pozostawić nieznajomego daleko w tyle. Gdy maszerował, światło latarni na odległym wzgórzu zaczęło migać w ustalonym rytmie; bez wątpienia urządzenie włączyło się automatycznie z nastaniem zmierzchu. Tymczasem pomarańczowa kula słońca osuwała się coraz niżej, pomiędzy rachityczne sosny porastające brzeg zalewiska.

Plaża skręcała w głąb lądu, tam gdzie wstęga Exmouth wylewała się do oceanu, a prąd szerokiego ujścia rzeki odsłaniał w porze odpływu ciemnoszare płycizny i spłachetki mułu. Od moczarów napływała silna, choć nie całkiem nieprzyjemna woń. Kiedy McCool skręcił, obejrzał się za siebie i ze zdziwieniem stwierdził, że postać z tyłu jest teraz znacznie bliżej. Mężczyzna musiał iść szybko, może nawet truchtał, skoro w tak krótkim czasie udało mu się zmniejszyć dzielący ich dystans. Czy próbował go dogonić? Nawet z daleka McCoolowi nie podobał się wygląd mężczyzny.

Wąska dróżka prowadziła przez trawiaste moczary, wzdłuż granicy drzew i McCool zwiększył tempo. Mężczyzna był teraz blisko sto metrów za nim. Miał na sobie dość nijakie ubranie. A przynajmniej tyle McCool zdołał zauważyć, oglądając się pospiesznie za siebie.

Szedł ścieżką, posiłkując się prymitywną mapą. Dziewiętnastowieczna przystań dla statków handlowych, dawno opuszczona, znajdowała się za następnym załomem ujścia. Kiedy pokonał zakole, ukazała się jego oczom: w głąb zatoki wychodził ciąg równoległe wbitych starych drewnianych słupów, ale pomost już nie istniał. Wzdłuż brzegu wciąż stały – i pozostaną tam do końca świata – masywne granitowe mocowania z grubo ciosanych bloków, będące fundamentami doków załadunkowych i przystani, wraz z pozostałością wielkiej przetwórnicy ryb. McCool sporządził szczegółową mapę tego obszaru, z wykorzystaniem historycznych dokumentów i fotografii, by odtworzyć wygląd nabrzeża z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego

wieku. Łowiono tu włokiem, gdy załamała się gospodarka oparta na rybołówstwie, i od czasów świetności wielorybników, czyli od przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku, zaczął się długi okres schyłkowy. Dogorywający port ostatecznie przestał istnieć po niesławnym huraganie Yankee Clipper w 1938 roku. Współczesne nabrzeże odbudowano nieco dalej, w górnej części ujścia, w bardziej bezpiecznym miejscu. Miasteczko jednak nigdy już nie odzyskało splendoru.

Kiedy McCool zobaczył butwiejące pirsy, usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się – mężczyzna zbliżał się ku niemu zdecydowanym krokiem. Dopiero teraz zauważył, jak osobliwa i przerażająca była to postać: z twarzą dziwnie wykrzywioną, jakby zniekształconą, ze sztywnymi niczym strzecha rudymi włosami, z niepokojąco wilgotnymi wargami, z jednej strony grubszymi, z plamami na skórze przypominającymi piegi, lecz mogącymi świadczyć o dziwnej chorobie, z trójkątną brodą, wydatnym czołem i połączonymi jak gruba krecha krzaczastymi brwiami. McCool sądził, że zna tu wszystkich, ale tego mężczyzny nigdy nie widział.

Wyglądał jak postać z najgorszego koszmaru. W jednej ręce trzymał bagnet. Mężczyzna, podchodząc szybkim krokiem i z niepokojącym błyskiem w oku, wy dobył ostrze z pochwy przy wtórce metalicznego zgrzytu. McCool wydał z siebie mimowolny okrzyk strachu i dezorientacji, odwrócił się i pognął w stronę starego pirsu. Prześladowca puścił się za nim w pościg, zachowując stały dystans, nie zbliżając się ani nie pozostając daleko w tyle, jakby nakłaniał go do ucieczki.

McCool zaczął wzywać pomocy, ale znajdował się zbyt daleko od miasteczka i jego głos rozplynał się wśród moczarów, za butwiejącymi słupami pirsów.

Aby uciec, zszedł ze ścieżki i zaczął się wspinać na nasyp nad pierwszym pirssem, przegramolił się ponad kamiennym fundamentem i przecisnął przez gęstwinę malinowych krzewów. Usłyszał za sobą hałas.

– Czego chcesz? – zawołał, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Kolce krzewów rozrywały mu spodnie i koszulę, rozdrapywały skórę na twarzy i dłoniach. Wypadł po drugiej stronie gąszczu i popędził

dalej, wzdłuż krawędzi nasypu, potykając się, gdy mijał zgniłe, zapadnięte ruiny przetwórci ryb i płataninę zardzewiałych łańcuchów oraz kabli.

To jakiś obłąd. Był ścigany przez szaleńca.

Zaszlochał w przyływie paniki, gorączkowo chwytając powietrze. Przerażony potknął się o wystające z ziemi szczątki, stoczył się nieznacznie po nasypie, szybko jednak się podźwignął na nogi i pognał w gąszcz rosnących na moczarach trzciny. Może tam zdoła zgubić swojego prześladowcę. Brnął naprzód, wymachując rękami z całych sił i przedzierając się przez gęste szuwary. Obejrzał się za siebie: rudowłosego wariat wciąż za nim podążał, a jego oczy wyglądały jak gorejące węgle, gdy bez większego wysiłku parł przed siebie z bagnetem w dłoni.

– Na pomoc! – zawołał McCool. – Niech mi ktoś pomoże!

Stado kosów poderwało się w powietrze spomiędzy trzciny z głośnym trzepotem skrzydeł. Nie miał szans, by uciec przed uporczywym prześladowcą. Był jedynie zapędzany coraz dalej w głąb trzęsawiska.

Woda. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do wody. Był świetnym pływakiem. Możliwe, że ten szaleniec nie umie równie dobrze pływać.

Skręcił w lewo, w stronę środka moczarów. Trzciny były tak wysokie, że nie widział drogi przed sobą, ale brnął dalej, rozgarniając sztywne, ostre szuwary. Prawie nie zwracał uwagi na pojawiające się na jego skórze rozcięcia i zadrapania. Sunął niewzruszenie naprzód, cały czas słysząc za sobą mrozący krew w żyłach łoskot i plusk kroków, teraz tuż za plecami. Gdzieś w pobliżu przed nim powinna być zatoka albo kanał zalewiskowy. Coś musi tu być, na miłość boską, musi tu coś być...

Nagle trzciny się skończyły i wypadł na płyciznę, połączyć nadmorskich błot rozciągających się na długości pięćdziesięciu metrów i prowadzących ku kanałowi, przez który przelewała swoje wody płynąca wartka rzeka.

Nie miał wyjścia: dał susa i zapadł się po kolana. Z okrzykiem przerażenia przedzierał się przez wciągające przy każdym kroku ciężkie, lepkie błocko. Odwrócił się i ujrzał rudowłosego dziwoląga stojącego na granicy trzciny z bagnetem w dłoni, a na jego upiornej twarzy malował się groteskowy, krzywy uśmiech.

– Kim jesteś? – zawołał.

Mężczyzna ponownie wszedł między trawy i zniknął.

McCool, wspierając się rękami o kolana, stał przez chwilę w gęstej mazi. Próbował złapać oddech i pokasływał; czuł się, jakby miał wypluć płuca. Co teraz? Rozejrzył się dokoła. Od kanału dzieliło go jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów; błotnisty strumień w porze odpływu był węższy niż zazwyczaj. Po jego drugiej stronie rozciągały się bezkresne, jak się zdawało, moczary.

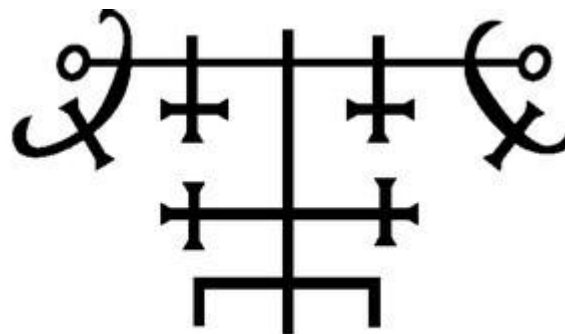
Nie ma mowy, żeby wrócił w te koszmarne trzciny, bo mógł się w nich czaić ten szaleniec. Wykluczone. Tyle że jedyna droga wyjścia z tego piekła wiodła właśnie przez szuwary, albo przez kanał, jeżeli uda mu się tam dotrzeć i popłynąć dalej z prądem.

Stał z mocno bijącym sercem. Robiło się coraz ciemniej, słychać było nieprzerwany szum wody i zawodzenie kołujących wysoko w górze kosów.

Ruszył dalej, w stronę kanału. Przystanął przy jego krawędzi. Błoto okazało się tam nieco rzadsze, ale zimne, więc wiedział, że woda będzie jeszcze zimniejsza. Nie miał jednak wyboru. Wszedł do wody. Była bardzo zimna. Zanurzył się i dał się ponieść prądowi, mimo że tweedowa marynarka, ubłocone spodnie i skórzane buty mocno mu ciążyły. Był jednak doświadczonym pływakiem i utrzymywał się na powierzchni wody, wykonując zdecydowane ruchy rękami i nogami. Płynął takim tempem, że mijane trzciny widoczne z boku rozmywały się w niewyraźną plamę. Kanał się zwężał, prąd stał się szybszy, szuwary z obu stron przybliżały się do niego. Zmierzał w kierunku oceanu. I tylko na tym był w stanie się skupić. Dzięki Bogu już wkrótce zobaczy plażę, na którą będzie mógł wypełznąć, a potem wróci do gwarantującej bezpieczeństwo gospody. Kiedy pokonał kolejny załom kanału, płynąc z dziką zawziętością, dostrzegł, że szuwary przed nim rozchyliły się i w prześwicie między trzcinami pojawiła się znajoma postać: rude włosy, zniekształcone uśmiechnięte oblicze, gorejące oczy, lśniący bagnet.

– Boże, nie. Nie! – krzyknął, próbując rozpaczliwie skierować się do przeciwległego brzegu kanału, lecz prąd zaczął go znosić w kierunku ziemnego wału, na którym stał tamten osobnik.

Prześladowca jak drapieżnik rzucił się do wody wprost na niego i po chwili McCool poczuł pchnięcie zimnej stali jak lodowy sopel zagłębiającej się w jego trzewiach.



8

Indira Ganesh otrzymała niedużą kość późno poprzedniego wieczoru, badała ją całą noc i następny dzień. Dochodziła dwudziesta druga, a ona pracowała prawie trzydzieści godzin bez przerwy, nie czuła się jednak zmęczona. Lubiła przebywać nocami w laboratorium w Muzeum Peabody'ego przy Divinity Avenue w Cambridge, bo wtedy panowała cisza jak w świątyni. W takiej atmosferze praca przypominała medytację albo wręcz modlitwę. W obecności innych nigdy nie była tak produktywna.

Ta kostka była zagadką, jakie lubiła. Nie łączyły się z nią żadne informacje, nie było nawet pewności, że jest ludzka. Indira Ganesh nie miała pojęcia, kto potrzebuje tej analizy ani dlaczego. Wiedziała tylko, że Howard Kreiss, kierownik Wydziału Biologii Ewolucyjnej Człowieka na Harvardzie i jednocześnie jej przełożony, osobiście przyniósł tę kość i tajemniczo stwierdził, że jeśli otrzyma pełną analizę do pojutra, potraktuje to jako wielką przysługę.

Miała do dyspozycji wszystkie niezbędne urządzenia i niezwłocznie zabrała się do pracy. Ustalenie, że kość jest lewym dalszym członem ludzkiego palca wskazującego, okazało się proste. Odpowiedzi na kolejne pytania stawały się coraz trudniejsze. Zawsze odnosiła wrażenie, że badane przez nią kości szepczą do niej, jakby pragnęły opowiedzieć swoją historię. Teraz poznała również historię tej małej kostki – a przynajmniej tyle, ile zdołała z niej wyczytać w ciągu trzydziestu godzin.

Gdy pochyliła się nad komputerem, szykując się do sporządzenia

wstępnego raportu, odniosła wrażenie, że coś za nią stoi, czuła to niemal jak fizyczny napór czyjegoś spojrzenia utkwionego w jej plecach. Odwróciła się i o mało nie krzyknęła – w drzwiach stał wysoki blady mężczyzna o niezwyklej twarzy.

– Doktor Ganesh? Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Pendergast. To ja jestem zainteresowany tą kością paliczka.

Przyłożyła dłoń do piersi.

– Ale mnie pan przestraszył.

– Czy mogę usiąść?

Ponieważ nie odpowiedziała od razu, w przypływie zawahania mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej legitymację agenta specjalnego Federalnego Biura Śledczego.

– Proszę – rzekła, wskazując krzesło. – Jak pan się tu dostał? Muzeum jest zamknięte.

– Ktoś musiał zostawić niedomknięte drzwi. A teraz bardzo bym chciał, żebyśmy porozmawiali o tej kości.

– Właśnie miałam sporządzić raport z wynikami analizy.

Agent machnął ręką.

– Wolalbym usłyszeć to bezpośrednio z pani ust. Trochę mi się spieszy.

– No dobrze. – Przerwała, otrząsając się z zaskoczenia i zastanawiając się, od czego powinna zacząć. – Po pierwsze wielkość i wytrzymałość kości sugerują, że należała do mężczyzny. Kogoś o wielkich, silnych dłoniach. Przyczepy mięśni były tak wydatne, że mogę z pełnym przekonaniem stwierdzić, że człowiek ten wykonywał na co dzień pracę fizyczną, ciężką pracę fizyczną, która polegała między innymi na chwytaniu i trzymaniu.

– To ciekawe.

– Dalszy koniec kości w chwili śmierci uległ poważnej abrazji. Wydaje się, że człowiek ten dosłownie zdarł albo rozdrapał palec aż do kości. Nigdy czegoś takiego nie widziałam i nie potrafię tego wyjaśnić.

Blady mężczyzna siedział przez chwilę w milczeniu. Wreszcie się odezwał:

– Ten dżentelmen został zamurowany żywcem.

Ganesh wychyliła się do przodu.

– Naprawdę?

Agent skinął głową.

– A więc jest to dochodzenie w sprawie morderstwa?

– Z przeszłości, ale tak.

– Rozumiem. – Odchrząknęła. – Kość była dobrze zachowana i zawierała sporo kolagenu. Przeprowadziłam analizę próbki z użyciem izotopu węgla. Jest względnie świeża. Z tego powodu określenie wieku kości było trochę trudne, ale wygląda na to, że ma ona jakieś sto czterdzieści lat, z tolerancją plus minus dwadzieścia lat.

– Jak rozumiem, nie ma sposobu, żeby zawęzić margines błędu.

– Niestety nie. Analizy z wykorzystaniem izotopu węgla są najlepsze wtedy, gdy chodzi o określenie wieku artefaktów liczących od pięciuset do pięćdziesięciu tysięcy lat. Widełki błędów wydłużają się na obu końcach.

– Czy przeprowadziła pani analizę beta albo badanie spektrometryczne?

Ganesh rozbawiło to, co usłyszała. Ten człowiek próbował popisać się swoją wiedzą, a tymczasem pytanie, które zadał, było zwyczajnie głupie.

– W wypadku tak świeżej próbki jedynie badanie spektrometryczne mogłoby dać użyteczny wynik.

– Rozumiem.

Teraz zaczęła uważać, że mężczyzna wcale nie jest głupi, a jedynie chciał ją w ten sposób sprawdzić. Cóż za dziwny i frapujący osobnik.

– Z uwagi na sporą ilość kolagenu i brak kontaminacji udało mi się uzyskać całkiem dobre wyniki analizy DNA. Był to z całą pewnością mężczyzna, w siedemdziesięciu pięciu procentach pochodzenia afrykańskiego, a w pozostałych dwudziestu pięciu procentach pochodzenia zachodnioeuropejskiego.

– Ciekawe.

– To typowa mieszanka dla Afroamerykanów, spośród których niemal wszyscy mają w swoim DNA procentową proporcję wskazującą na europejskich przodków. Jego skóra musiała mieć ciemny odcień, ale nie była całkiem czarna.

– A jego wiek?

– Badanie histologiczne wskazuje na mężczyznę około czterdziestki. Wykazało ono również, że człowiek ten miał doskonałe zdrowie, pomijając kilka krótkich, choć gwałtownych ataków choroby we wczesnej młodości. W trakcie analizy napotkałam oznaki świadczące o tym, że chorobą mógł być skorbut – duży niedobór witaminy C.

– A zatem ten człowiek był marynarzem?

– Przemawiają za tym dowody. Analiza izotopowa wykazała dietę bogatą w ryby, mięczaki, pszenicę i jęczmień.

– Mogłaby pani to wyjaśnić?

– Spożywane pożywienie i wypita woda są rozkładane, a węgiel, tlen i azot są wchłaniane przez kości. Te trzy pierwiastki mają różne współczynniki izotopów trwałych w zależności od spożywanego pożywienia oraz źródła, z którego pozyskiwana jest woda pitna. W zależności od współczynnika tych izotopów możemy określić, co dana osoba jadła i piła w ciągu, dajmy na to, ostatnich dwudziestu lat jej życia.

– Co piła?

– Tak. Im wyższa szerokość geograficzna, na jakiej się znajdujemy, tym bardziej zmienia się współczynnik izotopów tlenu w wodzie pitnej.

– To ciekawe. A z jakiej szerokości geograficznej pochodziła woda, którą pijał ten człowiek?

– Gdzieś pomiędzy czterdziestego a pięćdziesiątego piątego stopnia. W Ameryce Północnej odpowiada to obszarowi sięgającemu mniej więcej od New Jersey po Nową Fundlandię i dalej na zachód. Badanie nie jest zbyt dokładne.

– A dieta tego człowieka?

– Pszenica pochodziła z chleba, który spożywał, a jęczmień najprawdopodobniej z piwa. Gdy dodać do tego ryby i mięczaki, otrzyma się klasyczną dziewiętnastowieczną dietę z okolic wybrzeża. Zbadałam kość na obecność przeciwciała. Uzyskałam wynik pozytywny dla malarii.

– Malaria także sugeruje, że ten człowiek był żeglarzem, prawda?

– Jak najbardziej. Był również pozytywny, jeżeli chodzi o *tuberculosis*.

– Chce pani powiedzieć, że miał gruźlicę?

– Nie. Cieszył się zbyt dobrym zdrowiem. Ale w dziewiętnastym wieku próba tuberkulinowa niemal każdej osoby zamieszkującej w portowym mieście dałaby pozytywny wynik. Wszyscy byli narażeni.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– Reasumując, powiedziała bym, że ma pan tutaj dużego, silnego, zdrowego czterdziestoletniego Afroamerykanina, z zawodu żeglarza, który pracował fizycznie, zapewne był sternikiem albo marynarzem z bocianiego gniazda. Najprawdopodobniej pochodził z względnie zamożnej klasy społeczno-ekonomicznej, biorąc pod uwagę to, że poza śladami szkorbutu nie znalazłam żadnych innych oznak niedożywienia. Urodził się około tysiąc osiemset czterdziestego roku i zmarł około roku osiemdziesiątego. Gdy nie żeglował po oceanach, mieszkał w nadmorskim mieście lub miasteczku. Przynajmniej jakiś czas pływał w rejonie tropików.

Agent FBI pokiwał głową powoli.

– To niezwykle, doktor Ganesh. Naprawdę niezwykle.

– Kości mówią do mnie, panie Pendergast. Opowiadają mi swoje historie.

Błady mężczyzna wstał.

– Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. A teraz, jeżeli można, chciałbym odzyskać próbkę.

Ganesh uśmiechnęła się.

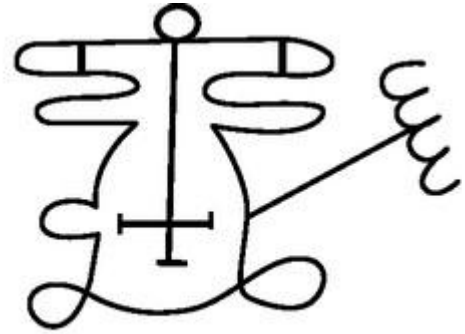
– Chciałabym spełnić pańską prośbę. Ale, widzi pan, każde zadawane przeze mnie pytanie pochłania kawałek kości. W miarę jak kość opowiada mi swoją historię, umiera, fragment po fragmencie. Ta kość przestała istnieć z chwilą, gdy wyjawiała mi swoją tajemnicę.

Rozłożyła ręce.

Mężczyzna ujął jej jedną dłoń, a jego ręka okazała się chłodna i gładka.

– Chylę czoło przed pani umiejętnością rozmawiania z umarłymi, doktor Ganesh – powiedział i wycisnął na jej dłoni pocałunek.

Ganesh zaczerwieniła się i czuła palący żar na policzkach jeszcze długo po tym, gdy mężczyzna wyszedł z laboratorium.



Constance przestąpiła próg, po czym przystanąła i zmarszczyła brwi w wyrazie instynktownej dezaprobaty. To miejsce wyglądało bardziej jak sklepik ze starzyzną niż Towarzystwo Historyczne. Na ścianach było porozwieszanych mnóstwo rzeczy – wyblakłe mapy, stare sieci, boje, harpuny, ości rybackie, rogi narwala, igły do szycia żagli, pancerz olbrzymiego homara na ozdobnej płycie, jeszcze jedna drewniana tablica z odwzorowanymi na niej węzłami żeglarskimi i zdjęciami Exmouth z przeszłości. W samym środku „muzeum” ustawiono starą płaskodeną łódź długości ponad sześciu metrów, z kilkoma parami wiosł między drewnianymi kołkami.

Gdy weszła, uruchomiła dzwonek nad drzwiami i niebawem pojawił się przed nią energiczny siwowłosa mężczyzna z odstającymi uszami i pociągłą kościstą twarzą. Jak przeczytała na plakietce, był wolontariuszem i nazywał się Ken Worley.

– Dzień dobry – rzekł, podchodząc do niej i podając ulotkę. – Witamy w siedzibie Muzeum i Towarzystwa Historycznego Exmouth!

Siląc się na uprzejmość, Constance wzięła ulotkę i powiedziała:

– Dziękuję.

Następnie skupiła uwagę na płaskodennej łodzi w nadziei, że mężczyzna sobie pójdzie.

– Ładna łódka, czyż nie? *Kiedy starość członki me z siły obedrze.* To motto naszego małego muzeum.

Constance mimowolnie poprawiła niedokładnie zacytowany fragment:

– *Kiedy wiek członki me z siły obedrze*¹.

Nastąpiła cisza.

– Jest pani pewna? Będę to musiał sprawdzić.

– Nie ma potrzeby sprawdzać – odparła Constance. – To pan się pomylił.

Chwilowo zbity z tropu mężczyzna wrócił do stosu ulotek i wbił wzrok w dużą księgę – rejestr gości – otwierał ją i wertował we wszystkie strony. Constance, która przyglądała się właśnie starym, oprawionym w ramki mapom Exmouth i okolic, nie miała wątpliwości, że tamten, choć poniósł dotkliwą porażkę, nie zamierza się poddać.

– Zechciałaby pani wpisać swoje nazwisko, żeby otrzymywać powiadomienia o zbliżających się wydarzeniach oraz nasze biuletyny informacyjne?

– Nie, dziękuję. Zastanawiałam się, gdzie przechowujecie archiwa. Mężczyzna zamrugał.

– Nie mamy żadnych archiwów.

– Żadnych starych dokumentów? Map? Rejestru ślubów?

– Obawiam się, że archiwum miejskie przepadło podczas wielkiego huraganu w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Nazwano go Yankee Clipper. Spustoszył stare doki w Exmouth i pół miasta obrócił w perzynę. Ruiny wciąż jeszcze można oglądać w okolicy zatoki Exmouth. Są na swój sposób malownicze.

– A więc tylko tyle? To wszystko, co macie?

– Może jest tego niewiele, ale każdy eksponat ma swoją historię. Na przykład ta płaskodenna łódź z Newport, którą pani podziwiała, była wykorzystywana do połowów płetwali błękitnych. Kiedy w okolicach Crow Island zaobserwowano płetwale, mężczyźni zbiegali na plażę i spuszczały te łódki na wodę, ścigali wieloryby, zabijali je harpunami i przyciągali na brzeg, by od razu je poćwiartować. Proszę sobie wyobrazić, ile odwagi i zuchwałości musiało to wymagać. *Gardząc fortuną z wyjętym orężem, który się dymił krwią nieprzyjaciela.*

– *Z dobytym orężem*².

Cisza.

– Jestem pewien, że w tekście było „z wyjętym” – rzekł niepewnie Worley. – W młodości miałem zapędy artystyczne i przez dwadzieścia

lat byłem dyrektorem starego Exmouth Playhouse.

Czując coraz większe zniecierpliwienie tym męczącym człowiekiem, Constance zignorowała go i dalej myszkowała po muzeum, zerkając na oprawione w ramki zdjęcia statków, artykuły o sztormach, wrakach i legendach o zakopanych pirackich skarbach. Kątem oka dostrzegła, że Worley usiadł w fotelu obok miejsca, gdzie leżała księga gości, i zaczął odręcznie adresować koperty, co było żmudną czynnością. Miała nadzieję, że to go zajmie, przynajmniej do czasu, dopóki ona nie zakończy zwiedzania.

Nagle przyszyły jej do głowy pytania: Jak w tej sytuacji poradziłyby sobie Pendergast? Czy byłby w stanie wyciągnąć coś istotnego z tych artefaktów i starych artykułów prasowych? Czy coś przeoczyła? Zaczęła rozglądać się wokoło, próbując sobie wyobrazić, jak Pendergast obróciłby całą tę sytuację na swoją korzyść. Gdy to zrozumiała, zawstydzila się i poczuła, że jej policzki oblewają się rumieńcem. Popatrzyła na Worleya, który nieprzerwanie adresował koperty.

– Panie Worley?

Uniósł wzrok.

– Tak?

A jednak metoda Pendergasta była trudna. Nie przychodziło jej to tak łatwo jak jemu.

– Chyba faktycznie w tekście jest „z wyjętym”.

Jego twarz wyjaśniała.

– Grałem Makbeta wielokrotnie.

– W Exmouth Playhouse?

– Tak, a także raz w Bostonie, w Market Square Theater. Przy pełnej sali.

– W Bostonie? – Pauza. – Zawsze chciałam stanąć na scenie, ale nigdy nie miałam po temu okazji. Nie mogę się nadziwić, jak zdołał pan zapamiętać tyle wersów.

Motywy tych pochlebnych uwag musiały wydawać się oczywiste. A jednak mężczyzna tylko pokiwał głową.

– Są na to sposoby – odparł. – Różne zawodowe sztuczki. To nie jest aż takie trudne.

Pochlebna postawa wydała jej się odpychająca. Stwierdziła jednak,

że mężczyzna przestał się odnosić wobec niej wyniośle, jakby wciąż czuł się urażony, co dla niej okazało się celem uświęcającym środki.

– Na pewno zna pan wszystkich w tym miasteczku – powiedziała.

– Naturalnie! Nic tak jak teatr nie jednoczy całego miasteczka.

– To wspaniale. Tak się składa, że bardzo interesują mnie latarnie morskie, i zastanawiam się, czy wie pan coś na temat tej tutaj.

– Latarnia morska w Exmouth to jedna z najstarszych latarni w całej Nowej Anglii – wyjaśnił Worley. – Zbudowano ją w roku tysiąc siedemset czwartym na rozkaz królowej Anny. To był niebezpieczny odcinek wybrzeża. Zaginęło tu wiele statków.

– Miałam nadzieję znaleźć listę latarników z datami, kiedy pełnili tu służbę.

– Nie sądzę, by ktokolwiek sporządził tego typu oficjalną listę.

Powróciła myślami do informacji, które Pendergast podał jej przy śniadaniu.

– Kto był tu latarnikiem około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego?

Cisza.

– Dlaczego pyta pani akurat o tę datę?

Posunęła się za daleko. To naprawdę było trudne.

– Bez żadnego konkretnego powodu – odparła, siląc się na delikatny uśmiech.

– Niech no pomyślę. Od czasów wojny secesyjnej latarnikami byli członkowie rodziny Slocumów, myślę, że pełnili tę funkcję aż do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego. To właśnie wtedy Meade Slocum spadł ze schodów latarni i skręcił kark. Później obowiązki latarnika przejęła rodzina McHardiech. A konkretnie Jonathan McHardie. Pełnili je aż do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, kiedy latarnię zautomatyzowano.

– Zatem w miasteczku nie ma potomków Meade'a Slocuma?

– O ile wiem, w ogóle nie ma już żadnego Slocuma. Był bezdzietnym wdowcem. Zaglądał też zbyt często do butelki. To jedno z podstawowych zagrożeń w tym zawodzie, ale trudno się temu dziwić. Siedział tam na górze przez tyle godzin sam, w odludnym miejscu. To musiało być nie do wytrzymania, zwłaszcza zimą. Podobno w ostatnich

latach postradał rozum, twierdził, że latarnia morska jest nawiedzona.

– Nawiedzona? Jak to?

– Podobno nocami słyhać tam było płacz dzieci czy coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. – Przerwała. – Gdzie mogłabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

Worley spojrział na Constance spod krzaczastych brwi.

– Czy aby nie współpracuje pani z tym historykiem?

Oprócz przekazania jej informacji na temat wieku i pochodzenia kości paliczka przy śniadaniu Pendergast wspomniał o Morrisie McCoolu. Musiała nauczyć się zadawać pytania w bardziej nonszalancki sposób.

– Nie. Jestem po prostu ciekawa.

– Ponieważ ten mężczyzna stawiał niemal identyczne pytania. – Worley postąpił krok w jej stronę, na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości. – Z kim pani pracuje?

Constance poczuła zmieszanie połączone z narastającym rozdrażnieniem. Sfuszerowała. Nie odważyła się skłamać, nie w takim małym miasteczku.

– Przyjechałam tu z panem Pendergastem, prywatnym śledczym, i to z nim współpracuję. On prowadzi dochodzenie w sprawie kradzieży cennej kolekcji wina.

– Ach tak! To ten facet w czerwonym samochodzie, który wczoraj dał się aresztować?

– Tak.

– Brawa dla niego. Komendant Mourdock to skończony osioł. – Najwyraźniej Worley uważał, że aresztowanie przez komendanta policji było czymś, co przysparzało Pendergastowi sławy i splendoru. – Gdyby potrafiła pani sprecyzować, czego konkretnie pani szuka, może byłbym w stanie pomóc.

– Bardzo chciałabym to sprecyzować, ale nie bardzo potrafię. Próbuje dowiedzieć się czegoś o historii tego miasteczka.

– To oburzające, że ktoś ukradł wino Lake'a. On jest przemiłym dżentelmenem. Nie wydaje mi się jednak, żeby to zdarzenie mogło mieć jakikolwiek związek z historią Exmouth.

– Staramy się być skrupulatni. Jedną z rzeczy, jaka interesuje mnie szczególnie, jest historia tutejszej populacji Afroamerykanów.

– To bardzo ciekawa historia.

– Proszę, niech pan mówi.

– Niedaleko starego nabrzeża znajdowało się coś, co nazywano Dill Town. To była część miasteczka zamieszkiwana przez czarnych.

– Dlaczego Dill Town?

– Nazwano ją tak na pamiątkę wyzwolenia byłego niewolnika, który pierwotnie się tam osiedlił. Nazywał się John Dill. Stąd Dill Town. Osada Dilla. Większość mieszkańców w owych czasach stanowili żeglarze. Przez pewien czas ta część miasta prosperowała znacznie lepiej niż część zamieszkała przez białych.

– A to czemu?

– Czarni na dłużej wypływali w morze, gdzie pracowali na statkach wielorybnych i okrętach przewożących zboże. Na morzu nikt nie przejmował się kolorem skóry. Ważne było tylko to, czy jest się dobrym w tym, co się robi. Załogi na statkach posługiwały się wieloma językami.

– Ale czy po powrocie na ląd dochodziło tutaj do spięć na tle rasowym?

– Z początku nie, zwłaszcza gdy dla wszystkich była praca. A było jej pod dostatkiem. Później jednak zaczęło dochodzić do spięć. Ludzie mieli za złe tym z Dill Town, że im się powodzi. Widzi pani, białą populację Exmouth stanowili głównie rybacy prowadzący połowy wzdłuż wybrzeża. Nie wypływali na całe lato w morze, tak jak to robili czarni. A za sprawą Krakatau sprawy przybrały gorszy obrót dla wszystkich.

– Krakatau?

– Tak. W końcu tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego doszło do wybuchu wulkanu Krakatau. W następnym roku w Exmouth dosłownie nie było pory letniej. Podobno mróz skuwał ziemię przez wszystkie miesiące. Uprawy zostały zniszczone, przemysł połowowy upadł. Przemysł wielorybny też zaczął się borykać z wieloma problemami i nie przynosił już takich kokosów jak kiedyś. Sytuacja stała się jeszcze gorsza, kiedy czarnego chłopaka oskarżono o zgwałcenie białej kobiety. Doszło do linczu.

– Do linczu? W Massachusetts?

– Tak, proszę pani. Tego czarnego chłopaka powieszono, a potem wrzucono jego ciało do zatoki. Było to w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Dla czarnych to był początek końca Dill Town. Osada niemal całkiem opustoszała, zanim przetoczył się przez te rejony Yankee Clipper, równając z ziemią całe Oldham.

– Oldham?

– Bardzo starą zapuszczoną osadę, która istniała na południe stąd, na Crow Island. Teraz jest tam rezerwat przyrody.

– Wróćmy do linczu. Domyśla się pan, kto mógł być za niego odpowiedzialny?

– Ci sami co zwykle, rozzuchwaleni alkoholem samozwańczy stróże prawa. Ale to wstydliva karta historii tego miasteczka i nie zdoła pani nikogo nakłonić do rozmowy na ten temat.

– A jednak pan ze mną rozmawia.

– Moja rodzina nie jest stąd, jak tutaj mawiają. Moi rodzice przeprowadzili się do Exmouth z Duxbury. Poza tym widziałem więcej świata niż niejeden z tutejszych. Proszę nie zapominać, że grałem Makbeta w Bostonie.

Wyciągnęła rękę.

– Nie przedstawiłam się. Nazywam się Constance Greene. Dziękuję, że zechciał pan podzielić się ze mną tymi wszystkimi informacjami.

Uściskał jej dłoń.

– Miło mi cię poznać, Constance. Ken Worley, do usług.

– Czy mogłabym tu jeszcze zajrzeć, gdybym miała więcej pytań?

– Będzie mi niezwykle miło. Mam nadzieję, że ty i pan Pendergast spędzicie tu niezapomniane chwile.

Wykonał zamaszysty gest jedną ręką i zakończył swój krótki spontaniczny występ słowami:

Zamek ten w pięknej leży okolicy

Delikatny wietrzyk słodkim swoim tchnieniem

Wdzięcznie przenika zachwycone zmysły

Constance wiedziała, że ten człowiek może im się jeszcze przydać.
Niemniej jej cierpliwość miała swoje granice.

– *Łagodny wietrzyk* – powiedziała.

Worley zamrugął.

– Proszę?

– *Łagodny wietrzyk*, a nie *delikatny wietrzyk*. Raz jeszcze bardzo
dziękuję za pomoc, panie Worley.

I dygnawszy skromnie, czym prędzej opuściła budynek.



Bradley Gavin wyszedł z pomieszczenia na zapleczu, trzymając torbę z lunchem. Znieruchomiał, gdy ujrzał postać stojącą w drzwiach poczekalni posterunku policji. To był ten dziwny śledczy Pendergast. Gavina zaciekał ten człowiek, który tak bardzo rozdrażnił jego przełożonego. Chociaż nie było to trudne – aby zirytować komendanta, wystarczyło tylko dać mu coś do roboty. Przez ostatnie dwa lata Gavin wykonywał praktycznie wszystkie obowiązki stróża prawa, podczas gdy Mourdock zajmował się wypisywaniem mandatów za złe parkowanie. Jeszcze pół roku takiego układu i kapitan zabierze swój leniwy tyłek na emeryturę, a jego stanowisko obejmie Gavin. Taką miał w każdym razie nadzieję; to zależało, rzecz jasna, od trzech radnych miejskich. Był oddanym funkcjonariuszem, wywodził się ze starego rodu z Exmouth, należał do wąskiego grona elity miasteczka, a ponieważ niegdyś szefem policji był jego ojciec, uważał, że ma spore szanse na kontynuowanie tej tradycji.

Odkładając torbę z lunchem na bok, Gavin przeniósł wzrok na Pendergasta. Zastanawiał się, czy tamten nie nadużywa trochę swojego szczęścia, pojawiając się na posterunku tuż po swoim aresztowaniu.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał uprzejmie.

Mężczyzna w drzwiach wyprostował się, postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę.

– Nie mieliśmy okazji się poznać. Nazywam się Pendergast.

Gavin uściśnął mu dłoń.

– Sierżant Gavin.

Do poczekalni weszła jeszcze jedna postać – sekretarka Pendergasta, jego asystentka, czy kim tam była – drobna młoda kobieta imieniem Constance. Spojrzała na niego w milczeniu dziwnymi fiołkowymi oczami. Jej krótko obcięte włosy miały mahoniową barwę i choć miała na sobie suknię o dość surowym kroju, nie była w stanie w pełni ukryć swoich krągłości. Z pewnym wysiłkiem Gavin powrócił wzrokiem do Pendergasta, który zapytał:

– Czy dobrze rozumiem, że pan i komendant stanowicie pełen skład stanu osobowego policji w Exmouth?

Stanu osobowego policji. Gavin zaczynał rozumieć, jak ten facet zdołał zależeć komendantowi za skórę.

– Jesteśmy małym posterunkiem – powiedział.

– Potrzebny mi dostęp do pewnych akt w związku z prowadzonym dochodzeniem. Czy może mi pan pomóc?

– Ee, nie... Na to zgodę musi wydać komendant.

– Doskonale. Czy może go pan poprosić?

Gavin posłał Pendergastowi długie, przenikliwe spojrzenie.

– Naprawdę chce pan tam iść?

– Iść? Ależ nigdzie się nie wybieram.

Gavin nie potrafił stwierdzić, czy ten człowiek jest cwaniakiem, czy skończonym idiotą. Odwrócił się.

– Sally, powiadomisz szefa, że pan... ee... Pendergast jest tutaj i chciałby się z nim widzieć?

Recepcjonistka wyglądała na zdenerwowaną.

– Jesteś pewien...

– Tak, proszę.

Z wahaniem nacisnęła przełącznik i zaczęła mówić do mikrofonu połączonego ze słuchawkami.

Gavin wiedział, że komendant przyjdzie. Wczorajsze aresztowanie Pendergasta nie zadośćuczyniło jego urażonej dumie, cały czas narzekał na irytującego intruza i jego obecność w miasteczku.

To może być naprawdę niezłe widowisko.

Po chwili z gabinetu na zapleczu wyłonił się Mourdock. Poruszał się wolno i z powagą, jakby szykował się do walki. Zatrzymał się przy wejściu do poczekalni, po czym spojrzał na Pendergasta, na Constance

Greene i znów na Pendergasta.

– Co to ma znaczyć?

– Dziękuję, komendancie, że zechciał się pan ze mną spotkać. –

Pendergast postąpił naprzód i wyłuskał z kieszeni kartkę papieru. – Mam tu listę akt, których potrzebuję do mojego dochodzenia w sprawie kradzieży wina. Dotyczą pańskich raportów o włamaniach do domów i wtargnięć z ostatnich dwunastu miesięcy. Chciałbym również wiedzieć, czy w miasteczku mieszkają byli skazańcy. Byłbym również zobowiązany za użyczenie mi obecnego tu sierżanta Gavina do pomocy przy przeglądaniu akt i udzielenia odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie w związku z tym mogą się pojawić.

Przerwał. Zapadła długa nerwowa cisza, podczas której komendant Mourdock patrzył na swojego gościa. A potem wybuchnął długim, pozbawionym rozbawienia, gardłowym śmiechem.

– Nie do wiary. Zjawiasz się tutaj i masz czelność stawiać mi żądania?

– Nie skończyłem dochodzenia.

– Wynocha stąd. Ale już. Nie chcę widzieć twojego chudego tyłka wcześniej niż podczas procesu w sądzie.

– Albo?

– Albo znowu zakuję cię w kajdanki i spędzisz tu noc jako mój gość specjalny.

– Grozi mi pan kolejnym aresztowaniem?

Twarz komendanta nabiegła purpurą, a jego mięsiste łąpska na przemian zaciskały się i rozwierały. Gavin nigdy nie widział swojego przełożonego w takim stanie. Mourdock postąpił krok naprzód.

– Ostatnia pieprzona szansa, popaprańcu.

Pendergast nie poruszył się.

– Proszę tylko o współpracę i umożliwienie mi wglądu do pewnych akt. Wystarczyłoby zwyczajne „nie”.

– Dość tego. Gavin, zakuj go.

Sierżant zaniepokoił się; nie spodziewał się, że zostanie w to wciągnięty.

– Ee... ale z jakiego paragrafu, szefie?

Komendant odwrócił się ku niemu.

– Nie kwestionuj moich decyzji. Wszedł na prywatny teren. Załóż mu kajdanki.

– Wszedł na prywatny teren? – powtórzyła Constance Greene cicho, lecz tonem pełnym nieskrywanej złości. – W miejscu publicznym?

To wszystko przestawało być tak ciekawe, jak się tego spodziewał Gavin. Przeniósł wzrok na komendanta, a ten spojrzał na niego groźnie. Z wahaniem i niechętnie powiedział do Pendergasta:

– Proszę się odwrócić.

Odpiął kajdanki od pasa, a Constance Greene postąpiła naprzód. Pendergast natychmiast wykonał powstrzymujący gest pod jej adresem i odwrócił się, przenosząc ręce do tyłu. Gavin już miał go skuć, gdy Pendergast zapytał:

– Zechciałby pan wyjąć etui z odznaką z mojej tylnej kieszeni, bardzo proszę?

Etui z odznaką? Ton Pendergasta stał się nagle lodowaty, a Gavin miał przeczucie, że za moment wydarzy się coś strasznego. Spełnił prośbę.

– Proszę je przełożyć do kieszeni mojej marynarki.

Komendant wyrwał Gavinowi etui, a wtedy się otworzyło i pojawił się złocisto-niebieski błysk.

Zapadła długa cisza.

– Cóż to ma znaczyć, do cholery? – spytał komendant, patrząc, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział.

Pendergast milczał.

Mourdock przeczytał napis na odznace.

– Jest pan... agentem FBI?

– A więc jednak umie pan czytać – wycedziła Constance Greene.

Twarz komendanta stała się nagle niemal równie blada jak Pendergasta.

– Dlaczego nic pan nie powiedział?

– To nie ma znaczenia. Nie jestem na służbie.

– Ale... Jezu Chryste! Powinien był pan się ujawnić, pokazać swoje dokumenty. Pozwolił mi pan przypuszczać...

– Cóż takiego pozwoliłem przypuszczać?

– Że... że jest pan jakimś... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Że jest jakimś zwyczajnym obywatelem, którego można zastraszać i upokarzać? – odezwała się Constance Greene swoim jedwabistym, staroświeckim głosem. – Ostrzegałam pana.

Gavin patrzył, jak Pendergast podchodzi do komendanta.

– Kapitanie Mourdock, przez wszystkie lata służby jako agent specjalny rzadko miałem okazję zetknąć się z tak poważnym nadużyciem władzy, jakiego doświadczyłem w pańskim miasteczku. Wczoraj przy okazji drobnego incydentu parkingowego obrzucił mnie pan wulgarnymi inwektywami, groził przemocą fizyczną, a następnie aresztował i wtrącił za kratki. Poza tym zwrócił się pan pod moim adresem, używając pejoratywnego określenia, bardzo obraźliwego dla społeczności LGBT.

– LBG... Co?... Niczego takiego nie zrobiłem.

– W dodatku nie odczytał mi pan moich praw.

– Kłamstwo! To wszystko kłamstwo! Odczytałem panu jego prawa. Nie może mi pan niczego udowodnić.

– Na szczęście całe zdarzenie zostało zarejestrowane na taśmie przez kamerę monitoringu sklepu odzieżowego po drugiej stronie ulicy. Tak się składa, że mam kopię tego nagrania dzięki nieocenionej pomocy agenta specjalnego Randolpha Bulto z filii biura terenowego w Bostonie, który był tak uprzejmy, że i dla mnie dziś rano zdobył niezbędny nakaz.

– Ja... ja... – Komendant prawie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Pendergast odwrócił się do Gavina i skinął głową na kajdanki.

– Zechciałby je pan zdjąć?

Sierżant pospiesznie włożył kajdanki do futerału przy pasie.

– Dziękuję. – Pendergast cofnął się o krok. – Komendancie Mourdock, parafrazując słowa pewnego poety, mamy teraz dwie drogi, spośród których wybrać musimy jedną. Chciałby pan wiedzieć, dokąd prowadzą?

– Drogi? – Komendant nie nadązał, był w szoku.

– Tak, drogi. Pierwsza, ta bardziej uczęszczana, wiedzie do miejsca, w którym piszę na pana skargę, oskarżając o nadużycie władzy, i załączam nagranie z kamery monitoringu jako dowód obok mojej dostatecznie długiej listy zarzutów. To położy kres pańskiej karierze i to

tuż przed emeryturą, zdruzgocze pańską reputację, zagrozi pańskiej emeryturze i, co nader prawdopodobne, okryje pana hańbą w tej niewielkiej społeczności, że nie wspomnę o możliwości zasądzenia niewielkiego wyroku pozbawienia wolności. Ale jest jeszcze druga droga. – Czekał, skrzyżowawszy ramiona.

– Jaka druga droga? – wychrypiał w końcu komendant.

– Pan jako mieszkaniec Nowej Anglii powinien to wiedzieć. Rządziej używana, rzecz jasna. Na tej drodze, nie zważając na nic, ochoczo zgadza się pan pomóc mi w śledztwie. Pod każdym względem. Na tej drodze mój kolega po fachu, agent specjalny Bulto, gubi gdzieś wspomniane nagranie i nie wracamy więcej do sprawy. Ach, no i wszystkie zarzuty wobec mnie zostają oddalone. – Przerwał. – No to którą drogę wybierzemy?

– Tę, ma się rozumieć – odparł pospiesznie komendant. – Tę rządziej używaną.

– To wszystko zmienia. Ach, prawie bym zapomniał. Proszę. – Pendergast machnął komendantowi przed nosem kartką, którą trzymał w dłoni.

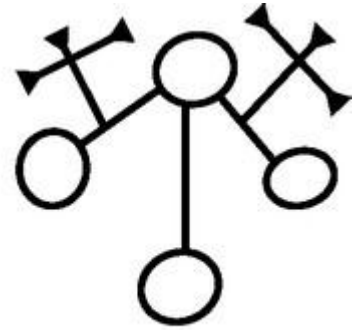
Mourdock z takim zapałem po nią sięgnął, że omal nie wypuścił jej z ręki.

– Przygotuję dla pana te wszystkie akta na jutro rano.

Agent FBI wymienił krótkie spojrzenie ze swoją młodą asystentką. Ta popatrzyła na komendanta z pogardliwą satysfakcją, po czym odwróciła się i bez słowa opuściła posterunek.

– Będę wielce zobowiązany – Pendergast wyciągnął rękę. – Widzę, że jednak się dogadamy.

Kiedy Gavin odprowadził wzrokiem tamtych dwoje, pomyślał: „bez wątplenia niezwykły człowiek, ale ta Constance Greene jest naprawdę przerażająca... choć na swój sposób także dziwnie intrygująca”.



11

Walt Adderly, właściciel Gospody pod Kapitanem Hullem, opuścił swój gabinet i skierował się do wąskiego przejścia prowadzącego do sali Pokój Map. Panował w niej półmrok. Było wpół do drugiej i większość osób, które jadły tu lunch, już wyszła. W Exmouth jadano posiłki dość wcześnie; po przejrzeniu zamówień Adderly wiedział, że dziś panował spory tłok.

Zatrzymał wzrok na postaci siedzącej przy stoliku numer osiem. To był mężczyzna, który zajmował się sprawą kradzieży wina. Lake powiedział Adderly'emu, że jest on agentem FBI, w co rzecz jasna Adderly nie uwierzył, bo Lake lubił żartować. Rzeźbiarz powiedział przy tym, że ten człowiek – Pendergast, jak zapamiętał Adderly z wpisu w księdze meldunkowej – jest ekscentryczną postacią. W to akurat był w stanie uwierzyć: facet był ubrany na czarno, jakby był pogrążony w żałobie, a jego blade oblicze nawet w panującym w restauracji półmroku zwracało uwagę niczym księżyc w pełni. Gdy właściciel gospody patrzył z głębi przejścia, Margie, starsza kelnerka, krzątała się, realizując zamówienie gościa.

– Bardzo proszę – powiedziała. – Smażony zębacz. Smacznego.

– Zobaczymy. – Adderly usłyszał, jak mężczyzna zamruczał w odpowiedzi.

Pendergast przez chwilę wpatrywał się w talerz. Sięgnął po widelec, poszturczał nim rybę tu i tam, po czym skosztował mały kęs. Po chwili odłożył widelec. Rozejrzał się po restauracji – która była całkiem pusta, jeśli nie liczyć starego Willarda Stevensa dopijającego trzecią

i ostatnią filiżankę kawy – po czym przywołał kelnerkę.

– Tak? – rzuciła Margie, podchodząc do stolika.

– Czy mogę spytać, kto to przyrządził?

– Kto? – Margie zamrużyła zaskoczona pytaniem. – Nasz kucharz Reggie.

– To wasz stały kucharz?

– Obecnie tak.

– Rozumiem.

Pendergast wziął swój talerz, wstał i mijając inne stoliki, obszedł bar, by przejść przez podwójne drzwiczki prowadzące do kuchni.

Było to coś tak niezwykłego, że Adderly stał przez chwilę jak wrośnięty w ziemię. Zdarzało się, że ludzie byli tak zadowoleni z posiłku, że prosili kucharza, aby wyszedł z kuchni, bo chcieli mu pogratulować. Zdarzało się też, że posiłki były oddawane z różnych powodów. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by gość tak po prostu wstał i udał się do kuchni, zabierając ze sobą talerz z zamówieniem.

Doszedł do wniosku, że powinien pójść i zorientować się, o co chodzi.

Wyszedł z sali i skierował się do kuchni. Tam, gdzie zwykle panował spory ruch, było teraz cicho i spokojnie. Pomywacz, dwie kelnerki, pomocnik kucharza i Reggie stali w zwartej grupce, obserwując mężczyznę nazwiskiem Pendergast, który kręcił się po kuchni, wysuwając szuflady, wydobywając z nich rozmaite narzędzia, i po przyjrzeniu się im odkładał je na miejsce. Wreszcie gość skupił swoją uwagę na Reggie.

– Zakładam, że to ty jesteś kucharzem? – odezwał się.

Reggie pokiwał głową.

– A jakie są, że tak zapytam, twoje kwalifikacje?

Reggie wydawał się równie zaskoczony jak pozostali.

– Cztery lata byłem kucharzem w marynarce.

– Oczywiście. Cóż, może jeszcze nie wszystko stracone. –

Pendergast uniósł w dłoni talerz z zamówioną potrawą i podał ją Reggie. – Zacznijmy od tego, że tak daleko na północy nie sposób dostać naprawdę dobrego zębacza. Był mrożony, prawda?

Reggie odruchowo przyjął postawę obronną.

– I co z tego?

– Na miłość boską, przecież to miasteczko nadmorskie! Z całą pewnością macie tu dostęp do świeżych ryb! Dorsza, wążusza, flądry, wargacza.

– Mamy ryby, które Wait złowił ubiegłej nocy – odrzekł po dłuższej przerwie kucharz.

Tego było za wiele. Adderly postąpił naprzód, aby zainterweniować. Nie chciał stracić najlepszego kucharza.

– Panie Pendergast – odezwał się – czy jest jakiś problem?

– Zamierzam sam przyrządzić sobie lunch. Reggie może mi pomóc jako mój podkuchenny.

Adderly zastanawiał się, czy Pendergast jest nie tyle ekscentrykiem, ile raczej szaleńcem.

– Bardzo przepraszam – powiedział – ale nie możemy pozwolić na to, żeby nasi klienci wchodzili do kuchni, zakłócając spokój...

– Jedyne spokoj, jaki został zakłócony, to spokój mojego przewodu pokarmowego. Ale być może to pana przekona... – Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej złoto-niebieską odznakę. Widniał na niej napis: „Federalne Biuro Śledcze”.

A więc Lake nie żartował. Adderly cofnął się o krok, a Pendergast mówił dalej:

– Opowiesz mi o rybach złowionych przez Waita?

Reggie wymienił spojrzenie z Adderlym. Właściciel gospody pokiwał głową.

– Rób, co ci każe – wyszeptał błagalnie.

Reggie przytaknął w odpowiedzi, podszedł do wielkiej chłodni, otworzył drzwi i nagle stanął jak wryty.

– O co chodzi? – spytał Pendergast.

– Mógłbym przysiąc, że kupiłem od Waita tuzin całych soli. A jest ich tylko dziesięć.

– Zamierzałem z wami o tym pomówić – rzekł Adderly, wciąż próbując stłumić zdumienie. – Zauważyłem rozbieżności między tym, co zamawiamy, a tym, co jest podawane gościom w ramach realizacji zamówień. Myślę, że mamy do czynienia ze złodziejem żywności. Lepiej rozpuście informacje, że to ani trochę mi się nie podoba.

Podczas gdy Adderly mówił, agent FBI wszedł do chłodni i zniknął im na chwilę z oczu.

– Aha! – Pojawił się po chwili z dużą wypatroszoną solą w rękach.
– Nie jest to, ma się rozumieć, sola z Dover, ale nada się. Czy mogę poprosić o patelnię? Żelazną, często używaną.

Reggie mu podał.

– Doskonale. Reggie, jak masz na nazwisko?

– Sheraton.

– Dziękuję. Panie Sheraton, jak przyrządziłby pan tę rybę?

– Najpierw bym ją wyfiletował.

– Bardzo proszę. – Pendergast położył rybę na desce do krojenia i z aprobatą patrzył, jak Reggie wprawnie filetuje rybę. – Doskonała robota. Zaczynam odzyskiwać nadzieję. Zapytam raz jeszcze: Jak by pan przyrządził tę rybę?

– Podsmażyłbym ją na smalcu oczywiście.

Pendergast wzdygnął się.

– Nie na maśle klarowanym?

– Klarowanym?

Zapadła cisza.

– No dobrze. Ograniczmy się do najprostszych technik. Czy zechciałby pan postawić tę patelnię na dużym ogniu?

Reggie podszedł do przemysłowej kuchenki, zapalił jeden palnik i położył na nim patelnię.

– Teraz proszę dodać trochę masła. Nie za dużo, tyle żeby pokryło całe dno patelni... Dobrze, wystarczy, nie za dużo!

Reggie cofnął się od czegoś, co wyglądało jak mała porcja masła. Pozostałe osoby w kuchni przyglądały się wszystkiemu z milczącym zdumieniem.

Pendergast stał, trzymając rybę.

– A teraz, panie Sheraton, czy zechciałby pan przygotować całą resztę *mise en place* – grzyby, czosnek, białe wino, mąkę, sól, pieprz, pietruszkę, połowę cytryny i śmietanę?

Gdy Reggie krzątał się po kuchni, gromadząc niezbędne składniki z coraz większym oburzeniem, ale w niezmałconej ciszy, Pendergast skupił uwagę na patelni stojącej na gazie. Adderly obserwował tę lekcję

gotowania z narastającym rozbawieniem i zaciekawieniem.

Pendergast posolił rybę z obu stron i odłożył na bok.

– Nóż szefa kuchni?

Stu, pomocnik kucharza, podał mu jeden.

Pendergast obejrzał nóż.

– Nie jest dość ostry! Nie wiecie, że tępy nóż jest bardziej niebezpieczny niż ostry? Gdzie osełka?

Podano mu osełkę, a Pendergast kilkoma wprawnymi ruchami naostrzył o nią nóż. Następnie zajął się grzybami i wprawnie pokroił jeden na kawałki. Oddał nóż Reggie, który pokroił resztę grzybów i pod okiem Pendergasta posiekał ząbek czosnku i pietruszkę.

– Dobrze radzi pan sobie z nożem – powiedział. – To pocieszające. A teraz skupmy się na rybie. Jeżeli mamy przyrządzić solę *à la minute*, patelnia powinna być bardzo rozgrzana, a rybę należy smażyć krótko. Temperatura patelni powinna już być odpowiednia.

Wziął rybę i przy wtórze głośnego skwierczenia włożył ją na rozgrzaną patelnię. Czekał, jakby odliczał sekundy, po czym odezwał się:

– Widzi pan? Można ją odwrócić. Zaczyna się delikatnie podsmażać. – Wsunął szpatułkę do ryb pod solę i ostrożnie ją przewrócił, czemu znów towarzyszyło głośne skwierczenie.

– Ale w marynarce... – zaczął Reggie.

– Nie smaży pan już paluszków rybnych na głębokim tłuszczu dla kilkuset mężczyzn. Obecnie gotuje pan dla jednego wybrednego klienta. No i już... gotowe! – Pendergast wyłożył rybę na czysty talerz. – Proszę zwrócić uwagę na sposób ułożenia ryby, podsmażoną stroną do góry. A teraz niech pan patrzy, panie Sheraton.

Agent FBI wlał na patelnię odrobinę białego wina, a gdy z naczynia wypłynął obłoczek pary, dodał mąki, jeszcze trochę masła i podsmażył to wszystko razem, pospiesznie mieszając.

– Robię proste *beurre manié*, które będzie podstawą sosu – wyjaśnił.

Po minucie dorzucił grzyby, a następnie czosnek. Trzymając rączkę patelni przez ścierkę, Pendergast przez chwilę podsmażał składniki w małej ilości tłuszczu, po czym dodał sporą porcję śmietany

i wymieszał wszystko. Po kolejnej minucie wyłączył gaz, sięgnął po łyżkę, skosztował sosu, doprawił, ponownie zanurzył łyżkę i pokazał Reggieemu.

– Proszę zwrócić uwagę, panie Sheraton, jak sos delikatnie pokrywa łyżkę. We Francji nazywają to *nappe*. W przyszłości będę prosił, żeby dopilnował pan, by sos został zredukowany do takiej właśnie postaci, zanim mi go pan poda.

Hojnie podlał porcję ryby sosem, ozdobił ją pietruszką i skropił odrobiną soku z cytryny.

– *Filets de poisson Bercy aux champignons* – oznajmił kwiecieście.
– Albo raczej powinienem powiedzieć: *filets de sole* Pendergast, gdyż zważywszy na okoliczności, byłem zmuszony do okrojenia przepisu, zarówno jeśli chodzi o składniki, jak i o sposób przyrządzania. A teraz, panie Sheraton, czy uważa pan, że jest w stanie powtórzyć to danie z największą precyzją i dokładnością na kolejne obiady spożywane przeze mnie w tym przybytku?

– Jest dość prosty – odparł krótko Reggie.

– Na tym polega jego piękno.

– Ale... na każdy obiad?

– Na każdy mój obiad. – Pendergast sięgnął do kieszeni, wyjął studolarowy banknot i wręczył kucharzowi. – A to za pański dzisiejszy wysiłek.

Reggie spojrział na banknot, a wyraz oburzenia na jego twarzy zastąpiło zdziwienie.

– Czy zajmuje się pan także przyrządzaniem lunchów? – spytał z nadzieją w głosie Pendergast.

– Tylko dwa razy w tygodniu – odparł kucharz.

– No cóż. Wobec tego zadowolimy się obiadami, przynajmniej w najbliższym czasie. Na najbliższą przyszłość będę pana prosił o przygotowanie dla mnie *filets de sole* Pendergast. Z góry dziękuję.

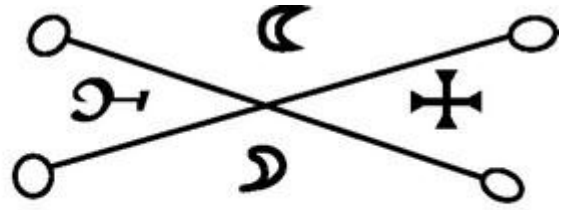
Agent zabrał talerz, odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Adderly spojrział na Reggiego i ze śmiechem poklepał go po plecach.

– No, no, Reggie, wygląda na to, że mamy nowe danie do naszego menu. Co o tym sądzisz?

- Wygląda na to, że tak.
- Dopiszę je na tablicy.

Adderly wyszedł z kuchni, chichocząc pod nosem i pozostawiając Reggiego oraz resztę personelu patrzących na siebie nawzajem z ustami rozdziawionymi w wyrazie bezgranicznego zdumienia jeszcze długo po tym, gdy podwójne drzwi do sali restauracyjnej przestały się kołysać.



12

Benjamin Franklin Boyle zanurzył gracę do wyjmowania małży z błota i obrócił kolejne wielkie, tłuste znalezisko. Mięczak zaprotestował strzyknięciem. Boyle wrzucił go do specjalnego kosza i postąpił kilka kroków naprzód. Gęsty muł wciągał jego sięgające do bioder wodery z głośnym mlaśnięciem, gdy znów zanurzył w nim narzędzie i rozgarnął w brejowatej powierzchni kolejną bruzdę, odsłaniając dwa następne małże. Znów kilka kroków, następny ruch gracą i kilka mięczaków trafiło do drewnianego kosza, aż w końcu mężczyzna zrobił sobie chwilę przerwy, opierając się na gracy i kierując wzrok w stronę błotnistych równin, ujścia rzeki i oceanu w oddali. Trwał odpływ, za nim w oddali zachodziło słońce, barwiąc widoczne na horyzoncie burzowe chmury odcieniami krwistej czerwieni. Był to naprawdę cudowny jesienny wieczór. Boyle wziął głęboki oddech, chłonąc powietrze przesycone zapachem soli i soczystą wonią błotnistych równin – zapachem, który uwielbiał – i zasłuchał się w skrzeczenie mew kołujących w powietrzu nad moczarami Exmouth.

Pięć lat temu, w wieku lat sześćdziesięciu pięciu, Boyle porzucił rybacki fach i sprzedał łódkę. Robota była ciężka, a przegrzebki coraz mniejsze i coraz trudniejsze do znalezienia, w ostatnich latach zaś wyławiał niemal wyłącznie rozgwiazdy, które niszczyły mu sieci. Cieszył się, że pozbył się łodzi, dostał za nią uczciwą cenę i mógł pozwolić sobie na skromną emeryturę. Zbieranie małży dawało mu zajęcie, dzięki czemu się nie nudził, ponadto przynosiło dodatkowy dochód i pozwalało mu pozostawać blisko morza, które kochał.

Odetchnąwszy trochę, powiódł wzrokiem po lśniących równinach. Wszędzie jak okiem sięgnąć widział otwory świadczące o tym, że są tam

małże. To było dobre zalewisko, ale nikt od jakiegoś czasu nie zbierał mięczaków, bo ciężko tu było dotrzeć. Trzeba pokonać najpierw jedne, a potem drugie trzcinowe zarośla gęstych i ostrych nadmorskich traw. Bliższe, łatwiej dostępne tereny zostały już starannie przebrane. Chociaż właściwie dotarcie tu nie było aż tak trudne, to powrót z wazącym dwadzieścia kilogramów koszem pełnym małży okazywał się prawdziwą mordęgą.

Boyle zanurzył graczę w błyszczącej, drgającej powierzchni blocka, po czym je rozgarnął, odsłaniając kolejne małże. Utrzymywał stały rytm, przesuując się kilka kroków do przodu, przegarniając, odwracając, wybierając, wrzucając do kosza i powtarzając cały ten proces od początku. W miarę jak posuwał się naprzód wzdłuż wyznaczonej linii, zbliżał się do skraju porośniętych trawą moczarów, a gdy tam dotarł, przystanął, żeby ustalić dalszą trasę. Tupnął nogą w rozedrgany muł i dostrzegł, że po prawej stronie coś wyraźnie strzyknęło. To będzie dobre miejsce, aby zacząć dalsze poszukiwania. Kiedy jednak się pochylił, w świetle zmierzchu dostrzegł coś dziwnego – wyglądało jak kula od kręgli oblepiona włosami. Była połączona z jakimś pękatym kształtem na wpół zanurzonym w kanale, którego wody przelewały się przez gęste błota.

Odstawił ciężki kosz i podszedł, by to zbadać; przy każdym kroku jego wodery wywoływały okropny hałas. Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że ma przed sobą ciało, które ugrzęzło w błocie; zbliżył się do niego już po kilku krokach. Był to nagi mężczyzna leżący twarzą do dołu, z rękami i nogami rozrzuconymi na boki, a twarz i dolna część ciała zagłębiały się w błocie na dobrych kilkanaście centymetrów. Tył głowy był częściowo łysy, z wielkim błyszczącym plackiem pośrodku wianuszka pokrytych solą włosów. Mały zielony krab, wyczuwszy poruszenie, przepelzł z jednego spłachetka włosów na drugi, ukrywając się pod zaczeską.

Boyle widział wiele ciał topielców wyrzuconych na brzeg przez morze i to wyglądało jak większość z nich, faktu tego nie zmieniały nawet widoczne na skórze otwory – ślady żerowania rozmaitych morskich stworzeń, krabów, ryb i homarów.

Stał jakiś czas, zastanawiając się, czy znał tego mężczyznę, czy

wie, kim on był. Nie potrafił go skojarzyć na podstawie łysinki, bo miało ją wielu mężczyzn, a ponieważ ciało nie miało ubrania, nie nasuwały mu się żadne skojarzenia. Oczywiście będzie musiał wezwać policję, ale ciekawość wzięła górę. Wciąż trzymał w dłoni graczę, pochylił się więc nad ciałem i wsunął narzędzie w błoto, pod brzuch trupa. Drugą ręką, przytrzymując ramię nieboszczyka, pociągnął go mocno do góry. Ciało uwolniło się z unieruchamiającej je mazi i przewróciło na plecy przy wtórze upiornego mlaśnięcia, a zeszywniała ręka ciężko opadła w gęsty muł. Nie sposób było niczego dostrzec, twarz i tors były całkiem oblepione czarnym szlamem. Co teraz? Boyle musiał zmyć szlam z twarzy topielca. Obchodząc ciało, wszedł do kanału, na płyciznę, nabierał w dłonie wody, którą następnie ochlapывał zwłoki. Szlam dał się zmyć względnie łatwo, najpierw drobnymi strużkami, a potem coraz gęstszymi strugami zaczął spływać, odsłaniając sinobiałą skórę.

Boyle zastygł w bezruchu jak skamieniały. Twarz trupa była w znacznym stopniu wyżarta – brakowało oczu, nosa i ust, co nie było niczym niezwykłym w wypadku zwłok spoczywających w słonej wodzie. Jednak Boyle'a sparaliżował nie widok twarzy, lecz torsu mężczyzny. Spojrzał na jego klatkę piersiową, usiłując zrozumieć, co właściwie zobaczył. To, co w pierwszej chwili uznał za prymitywny tatuaż, okazało się czymś zupełnie innym.

Odstawił graczę, sięgnął pod wodery po komórkę. Wybrał numer posterunku policji w Exmouth. Kiedy usłyszał głos dyspozytorki, zapytał:

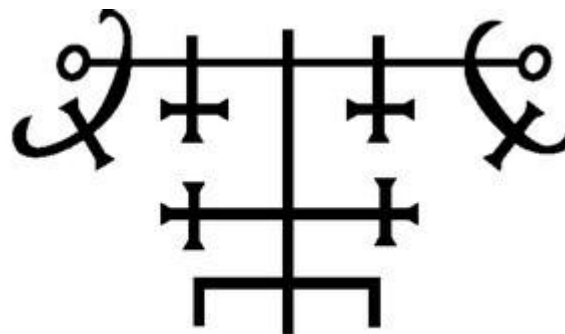
– Doris? Mówi Ben Boyle, dzwonię z błotnego zalewiska. Jest tutaj ciało, nikt miejscowy, wygląda, jakby zniosło go tu od strony moczarów. Mamy do czynienia z dziełem prawdziwego artysty. Nie, nie potrafię tego opisać, musicie przyjechać i zobaczyć to na własne oczy.

Wyjaśnił, gdzie się znajduje, po czym rozłączył się i wsunął komórkę z powrotem do kieszeni.

Zmarszczywszy brwi, zaczął się zastanawiać, co teraz zrobić. Nawet jeśli gliniarze natychmiast zareagują na wezwanie, nie dotrą tu wcześniej niż za dwadzieścia minut. Miał jeszcze czas, aby napęłnić drewniany kosz.

Tupnął nogą w błoto, zobaczył, w którym miejscu było najwięcej

strzyknięć, i zaczął wytyczać linię w tym kierunku, powracając do swojego rytmu – dwa kroki naprzód, zanurzenie gracy, odwrócenie małży, wybranie znaleziska, wrzucenie mięczaka do kosza i powtórzenie całego procesu od początku.



Bradley Gavin, brodząc po łące w błocie, wyregulował stojak ostatniego reflektora i podłączył przewody generatora. Nie bez wysiłku wydobył wodery z mułu i wszedł na prowizoryczny chodnik otaczający stanowisko.

Przez ostatnią godzinę przynosił surowe, nieheblowane deski i rozkładał je wokół miejsca zbrodni, rozstawił generator i lampy oświetleniowe, wytyczył perymetr, rozciągając na obwodzie taśmy, i wykonywał polecenia eksperta od badania miejsc zbrodni, postawnego mężczyzny nazwiskiem Malaga, który przybył tu aż z Lawrence wraz z ekspertem śledczym i fotografem. Ci trzej dżentelmeni czekali teraz na obrzeżu moczarów, aż wszystko zostanie odpowiednio przygotowane, aby mogli wykonać swoją robotę i nie utyłać się przy tym w błocie.

– Sprawdź poziom paliwa w generatorze – powiedział komendant, stojąc na deskach z założonymi rękami, w błyszczących nowych woderach, które nie zaznały jeszcze ani odrobiny błota.

Mourdock był w paskudnym nastroju, odkąd Pendergast odwiedził go w porze lunchu, i jego nastrój tylko się pogorszył z chwilą odnalezienia zwłok. Dla Gavina powód był oczywisty: oto przydarzyło się coś, nad czym trzeba było popracować, co mogło opóźnić przejście na emeryturę i być może podwyższyć niski współczynnik przestępczości, którym Mourdock mógł się pochwalić podczas pełnienia funkcji szefa lokalnej policji. Naturalnie komendant najmniej przejmował się kwestią rozwikłania zbrodni.

Gavin odegnał od siebie te myśli. Przywykł już do zachowania

swojego przełożonego. Jeszcze pół roku i będzie miał go z głowy, a jeśli dopisze mu szczęście, zostanie komendantem policji. Rzucił okiem na wskaźnik poziomu paliwa.

– Wciąż jest prawie pełny.

Próbował nie patrzeć w stronę miejsca, gdzie spoczywało ciało obrócone twarzą do góry, tak jak je zostawił zbieracz małży, który odnalazł zwłoki. Ten sukinsyn w najlepsze kontynuował zbieranie mięczaków wokół trupa, dokumentnie niszcząc wszystkie ślady, jakie mogły tam pozostać. Malaga omal nie dostał ataku apopleksji, gdy to zobaczył.

– W porządku – rzekł Mourdock, wrywając Gavina z zamyślenia – wygląda na to, że jesteśmy gotowi. – Uniósł krótkofalówkę. – Możemy zaprosić tu naszych ekspertów.

Ciężko oddychając, Gavin próbował zdrapać patykiem warstwę błota z woderów.

– Ej, Gavin, tylko uważaj, żeby to błoto nie spadło na chodnik.

Gavin przesunął się na bok i kontynuował usuwanie mułu, zrzucając je końcem patyka w ciemność. Nad moczarami zapadł chłodny wieczór, wilgotna mgła unosiła się nisko, spowijając miejsce białym całunem. Wyglądało to raczej jak plan filmu grozy niż prawdziwe miejsce zbrodni.

Usłyszał głosy i zobaczył światła kołyszące się we mgle. Po chwili podszedł do niego wysoki, posępny mężczyzna: Malaga. Miał gładko ogoloną, lśniącą głowę, osadzoną na byczym karku, gęsto porośniętym czarnymi włosami. Za nim podążał młody Azjata – inspektor śledczy, a następnie sunął, sapiąc i dysząc, otyły mężczyzna obarczony aparatem i sprzętem fotograficznym.

Malaga zatrzymał się na obrzeżach miejsca zbrodni i odezwał się głębokim melodyjnym głosem:

– Dziękuję, komendancie Mourdock.

Ruchem ręki nakazał fotografowi, żeby ruszył naprzód, a ten zachował się, jak przystało na profesjonalistę – wykonał ujęcia pod różnym kątem, to klękając, to nisko się pochylając, to prężąc się na palcach; błyski fleszy pojawiały się co kilka sekund, gdy mężczyzna wypełniał swoje obowiązki z zaskakującą sprawnością. Gavin próbował

nie okazywać zaskoczenia i zachować na twarzy wyraz zawodowej obojętności. Nigdy dotąd nie był na miejscu zbrodni. Ponownie spojrzął na ciało spoczywające na plecach, z symbolami brutalnie wyciętymi na klatce piersiowej i poczuł kolejną falę zdumienia i grozy. Zastanawiał się, kto i dlaczego mógł zrobić coś takiego. To nie miało dla niego najmniejszego sensu. Co mogło być motywem takiego czynu? Przepęłniły go również gniew i wściekłość, że jego rodzinne miasto zostało zbrukane taką zbrodnią.

Malaga zajął się oględzinami miejsca zdarzenia i od czasu do czasu szeptał coś do fotografa, który robił kolejne zdjęcia, a w którymś momencie zamocował aparat na długiej tyczce i trzymając go nad ciałem, zrobił kilka ujęć niemal pionowo w dół.

– W porządku – rzekł w końcu fotograf, schodząc z podestu.

Teraz do akcji wkroczył ekspert z CSI, w lateksowych rękawiczkach, ochroniaczach na buty i białym kombinezonie. Odłożył torbę i wyjął kilka zrolowanych filcowych futerałów zawierających najróżniejsze przedmioty – próbówki, szalki, szczypczyki, małe foliowe zamykane torebki, szpilki, oznaczniki, nieduże chorągiewki na drucie, waciki i patyczki kosmetyczne oraz kilka pojemników z substancjami chemicznymi w spreju. Pochylił się nad ciałem, zdjął z niego włosy i włókna, od czasu do czasu spryskał to i owo albo pobrał wymazy. Wziął próbki spod paznokci denata i taśmą zalepił foliowe torebki nałożone na jego dłonie, po czym w świetle latarki ołówkowej zbadał wycięte na ciele ofiary symbole, odsłaniając je, pobrał kolejne próbki i zamknął je w szalkach i próbkach.

Dokoła panowała kompletna cisza. Nawet Malaga nic nie mówił; w ogóle się nie odzywał. Na koniec ekspert z CSI pobrał odciski palców denata za pomocą elektronicznego skanera. Na tym zakończył swoje zadanie – spakował wszystko do torby i wycofał się miękko jak kot w głąb drewnianego chodnika.

Malaga odwrócił się do komendanta Mourdocka.

– Przekazuję go panu.

Serdecznie uściśnął dłoń kapitana – najwyraźniej bardzo mu zależało na tym, aby jak najszybciej opuścić te miazmatyczne moczary – i trzech mężczyzn odwrócili się z zamiarem zejścia z prowizorycznego

podestu.

Gavin dostrzegł wyraz paniki na twarzy komendanta: Co teraz? Nagle zdał sobie sprawę, że komendant nigdy nie prowadził w miasteczku sprawy o morderstwo. Wcześniej Gavin sądził, że jego przełożony zetknął się z podobnymi przypadkami w Bostonie, ale tam na pewno mieli ekipę z wydziału zabójstw.

Sierżant zmarszczył brwi. Czy nie powinien zwrócić się w tej sprawie do Pendergasta? Komendanta to wyraźnie przerastało, a Pendergast, choć dziwny, wydawał się odpowiednią osobą, która mogła z tym sobie poradzić.

– Ee... – zaczął – szefie, może powinniśmy powiedzieć o tym temu agentowi FBI? On na pewno chciałby to wiedzieć i może byłby w stanie pomóc...

Komendant spojrzał na niego groźnie.

– Chyba nie powinniśmy zawracać mu głowy. Przecież pracuje nad swoją bardzo ważną sprawą. – Jego słowa wręcz ociekały sarkazmem.

Z mroków nocy dobiegł aksamitny głos:

– Mój drogi kapitanie, dziękuję, że troszczy się pan o moje inne sprawy, ale zaręczam, że to nie będzie dla mnie zbyt wielkim obciążeniem. Naprawdę.

Kiedy ubrany na czarno agent FBI wyłonił się z ciemności, jego blada twarz wśród moczarów przypominała ducha. Przez moment komendant wyglądał na kompletnie zbitego z tropu. W końcu głośno i z trudem przełknął ślinę.

– Agencie... ee... Pendergast, będziemy zadowoleni, mogąc liczyć na pańską wnikliwą opinię w tej sprawie. – Zawahał się. – Czy to będzie... oficjalne?

Pendergast machnął ręką.

– Bynajmniej. Potraktujmy to jako przyjacielską pomoc. Wszystkie zaszczyty przypadną panu i oczywiście nieocenionemu sierżantowi Gavinowi.

Komendant odchrząknął, najwyraźniej nie wiedząc, co ma robić dalej.

– Mogę? – spytał Pendergast, podchodząc bliżej.

Z ciemności wyłoniła się druga postać – Constance Greene. Gavin

nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała na sobie staroświecki drelichowy kombinezon roboczy i wysokie buty, a włosy przewiązała chustką. Była bezsprzecznie piękna w dawny sposób, ale w sztucznym oświetleniu miejsca zbrodni wyglądała jeszcze bardziej egzotycznie niż za dnia. Nic nie mówiła, tylko wodziła wzrokiem na prawo i lewo, przypatrując się wszystkiemu.

– Kim jest ta dama? – spytał Malaga. Gdy pojawił się Pendergast, ekspert najwyraźniej postanowił opóźnić swoje odejście. – Nie chcemy tu żadnych gapiów.

– To moja asystentka – odrzekł oschłym tonem Pendergast. – Proszę okazać jej taki sam szacunek, jaki okazuje pan mnie.

– Oczywiście – odparł Malaga i wymuszenie uklonił się Constance. Następnie odwrócił się, zszedł z chodnika i znikł w ciemnościach.

Pendergast przeszedł pod rozpiętą policyjną taśmą i zbliżył się do ciała, podczas gdy Constance została z tyłu. Gavin zastanawiał się, o czym mogła teraz myśleć. Ciało wyglądało odrażająco: brakowało większej części twarzy, nie było języka ani warg, widać było jedynie wielkie żółte zęby i rozwarte szeroko usta. A mimo to kobieta wydawała się spokojna, jakby ten widok ani trochę jej nie poruszył.

Pendergast ukląkł.

– Widzę, że to ten historyk. Morris McCool.

Słyszając to, Gavin znowu doznał szoku. Historyk?

– Skąd pan wie? – spytał komendant. – Twarzy praktycznie nie ma, a jak dotąd nie zidentyfikowaliśmy ciała.

– Małżowiny uszne. Widzi pan, jak odstają? To niezwykła cecha. Jeżeli chodzi o identyfikację, małżowiny uszne są niemal równie dobre jak odciski palców. Poza tym zgadza się wzrost i waga denata.

– Znał go pan? – spytał Mourdock.

– Miałem okazję widzieć go w gospodzie.

Pendergast wyregulował ustawienie lamp, po czym ukląkł tak jak wcześniej ekspert z CSI. Wychylając swoje szczupłe ciało nad nieboszczykiem, zaczął pęsetą pobierać próbki, wkładając kolejne ich drobinki do próbek i foliowych torebek, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się w jego dłoni, a następnie znikwały w niezliczonych ukrytych kieszonkach marynarki czarnego garnituru.

Ekspert z CSI był dobry, ale obserwowanie Pendergasta przywodziło na myśl oglądanie występu tancerza baletowego – każdy ruch był idealny, gdy białe pająkowate palce śmigały to tu, to tam. Agent poświęcił sporo czasu na sondowanie i dotykanie nacięć na klatce piersiowej, badając je z iście fanatyczną uwagą, a w pewnej chwili oglądając nawet przez jubilerską lupę. Naciskał, podważał i sondował szczątki twarzy mężczyzny. Wreszcie podniósł się i cofnął na chodnik.

Gavin znów spojrzął na Constance Greene i zdumiał go wyraz nieskrywanego zainteresowania, niemal fascynacji przywodzącej na myśl gościa w muzeum, który napawa się widokiem pięknego obrazu. Była mniej wstrząśnięta niż on. Czy należała do osób, które podniecało miejsce brutalnej zbrodni? Nie, nie wyglądała na taką. Dla niej to wszystko stanowiło zagadkę natury intelektualnej i z całą pewnością to przemawiało na jej korzyść.

– To ciekawe – mruknął Pendergast. – Oprócz wyciętych symboli część nacięć wydają się stanowić litery. – Poświecił niewielką latarką na znaki na klatce piersiowej denata, przesuwając promień to w jedną, to w drugą stronę. – Wydaje mi się, że układają się w napis T-Y-B-A-N-E.

Zaległa cisza. Gavin spojrzął w dół jeszcze bardziej zdumiony i wstrząśnięty. To prawda: pod pewnym kątem można było dostrzec topornie wyrżnięte litery. Tybane. Popatrzył na komendanta, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona. Zauważył, że Pendergast przygląda mu się dziwnie.

– Sierzancie, czy coś się stało?

– Nie, nie – wykrztusił Gavin. – Tyle tylko, że... to słowo z czymś mi się kojarzy.

– To ciekawe. – Pendergast powrócił do oględzin zwłok. – Bardzo ciekawe, gdyż uwagę zwraca zwłaszcza fakt, że nacięcia zostały wykonane krzemiennym nożem.

– Krzemiennym nożem? Takim jak stare indiańskie artefakty?

– Tak, ale nóż został wyciosany niedawno i dlatego jest bardzo ostry. Dokonano tego z olbrzymią wprawą. *Premortem*, bo rany krwawiły i krew zaczęła krzepnąć. Jednak precyzja działania świadczy o tym, że ofiara była nieprzytomna, w przeciwnym razie na pewno próbowałaby stawiać opór, uniemożliwiając całą procedurę. Jeżeli

chodzi o wstępną śmiertelną ranę, zadano ją, jak sędzę, długim ciężkim nożem, który przebił trzewia na wylot. Narzędziem tym mógł być bagnet. – Przerwał, rozglądając się dokoła. – Do samego zabójstwa doszło nieco dalej stąd, na słonych moczarach, a ciało spłynęło tutaj z prądem rzeki. Być może zbadanie kierunku prądów pływowych pomogłoby w ustaleniu dokładnego miejsca i czasu zgonu. Ciało musiało przebywać jakiś czas w wodzie, dzięki czemu ryby mogły pożreć oczy, wargi, nos i język denata.

Pendergast przeniósł wzrok na Gavina.

– Czy zbieracz małży, który znalazł ciało, słynie ze skąpstwa?

– Boyle? – spytał Gavin. – O tak. Jest z tego znany. To prawdziwy kutwa i dusigrosz. Skąd pan to wie?

– Kontynuował poszukiwanie małży wokół zwłok. Gdzie sprzedaje zebrane przez siebie mięczaki?

– W gospodzie. Specjalnością zakładu są właśnie smażone małże.

Pendergast lekko się wzdrygnął.

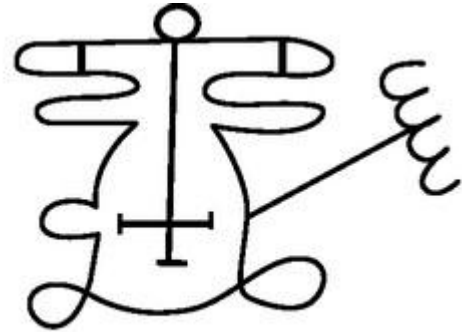
– Biorąc pod uwagę, że małże odżywiają się, filtrując otoczenie i praktycznie pochłaniając, co się da, spożywanie w najbliższych dniach małży w gospodzie niewiele różniłoby się od kanibalizmu. Na szczęście nie zachodzi ryzyko, abym kiedykolwiek miał się skusić na smażone małże, niezależnie, czy jest to specjalność tego zakładu, czy też nie.

Dokonał ostatnich oględzin ciała, wyjął niewielki aparat cyfrowy i zrobił serię zdjęć przedstawiających nacięcia na torsie ofiary.

– Wygląda na to, że mamy tu do czynienia z prawdziwym psycholem – odezwał się Mourdock.

Pendergast wstał i zdjął rękawiczki.

– Pomijając nacięcia, to najbardziej nieodgadnione miejsce zbrodni, zważywszy na fakt, że ciało zostało rozebrane, przeniesione tu drogą wodną i starannie obmyte przez przyływ. Te nacięcia zostały jednak wykonane sprawnie i pieczołowicie przez kogoś, kto ma doświadczenie w krojeniu ciał. Zarówno te symbole, jak i słowo „tybane” zdają się mieć istotne znaczenie. Komendancie Mourdock, obawiam się, że nie mogę się zgodzić z pańską konkluzją, iż mamy do czynienia z dziełem psychopaty. Osoba, która tego dokonała, była zorganizowana, działała rozmyślnie i co więcej, w konkretnym celu.



14

Constance Greene zlustrowała wzrokiem pokój, który Pendergast wynajął na parterze gospody. Kazał przesunąć łóżko i wstawić duży sosnowy stół, na którym umieścił toporny, niemal archaiczny magnetofon szpulowy z nieporęcznym mikrofonem oraz starą maszynę do pisania IBM Selectric i urządzenie o nazwie Dictaphone.

Constance była zaskoczona tym, jak bardzo skłonny do współpracy okazał się komendant – przynajmniej odkąd został o to otwarcie poproszony. Tego ranka pozwolił Pendergastowi przejrzeć składzik z przestarzałym sprzętem na posterunku policji w Exmouth, aby agent mógł zabrać, co tylko chciał.

– Ach, Constance. Widzę, że podziwiasz mój pokój przesłuchań. – Pendergast stanął w drzwiach ze starym pecetem IBM w rękach.

– To ma być pokój przesłuchań?

Odstawił komputer.

– Jak najbardziej. Co o tym sądzisz?

– Wygląda raczej jak muzeum archaicznej technologii.

Pendergast podłączył komputer osobisty, podpiął do niego klawiaturę i uruchomił sprzęt. Obok komputera położył stary, choć wciąż fabrycznie zafoliowany pakiet dyskietek.

– Czy to w ogóle działa?

– Nie.

– Czy zatem mogę spytać, co jest nie tak z twoim macbookiem?

– Jest za mały, żeby wzbudzał strach.

Znów rozejrzała się wokoło.

– A więc to wszystko jest tylko na pokaz?

– Moja droga Constance, przekonasz się, że ta ściana sprzętu, choćby starego, może wywrzeć pożądany efekt na potencjalnym świadku. Magnetofon działa, ale dla wygody podłączyłem mikrofon do cyfrowego rejestratora ukrytego wewnątrz.

Zaczął starannie rozstawiać wszystko na stole. Constance musiała przyznać, że zgromadzony przez niego zestaw tworzył imponującą fasadę mającą na celu oddzielenie osoby przesłuchiwanej od przesłuchującej.

– Proszę, zamknij drzwi i zajmij miejsce.

Constance spełniła polecenie.

– Kogo zamierzasz przesłuchać?

Wyjął listę. Przejrzała ją i odłożyła.

– Jest na niej sporo nazwisk.

– Możliwe, że nie będziemy musieli rozmawiać z tymi wszystkimi osobami. Próbuję, jak to się mówi w tych stronach, zarzucić przynętę, może coś się złapie.

– Tak więc uważasz, że zabójstwo historyka jest powiązane z zamurowanym szkieletem.

– Zazwyczaj nie zwracam uwagi na to, co podpowiada mi instynkt czy intuicja. Jednak w tej sytuacji podszepty zarówno instynktu, jak i intuicji są tak zdecydowane i konkretne, że postanowiłem uczynić wyjątek: tak, te dwie sprawy są ze sobą ściśle powiązane.

– Jak?

Złączył palce i usiadł wygodnie.

– Bardzo chciałbym poznać twoje zdanie w tej kwestii. Domagałaś się, bym dał ci swobodę prowadzenia śledztwa w sposób, jaki uważasz za stosowny, i nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć wstępną analizę tego, czego zdołałaś dowiedzieć się do tej pory.

Constance wychyliła się lekko do przodu, nieco zdeprymowana siłą przenikliwego, niewzruszonego spojrzenia Pendergasta.

– Zwraca uwagę zwłaszcza kilka rzeczy – zaczęła. – Wiemy, że historyk badał sprawę zniknięcia statku w obrębie tego wybrzeża w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym. W tym samym roku w wyniku erupcji wulkanu Krakatau cały ten obszar, łącznie z Exmouth,

dotknęła klęska nieurodzaju. Analiza przeprowadzona z wykorzystaniem izotopu węgla C-14 wykazuje, że między rokiem tysiąc osiemset siedemdziesiątym a dziewięćdziesiątym mężczyzna, Afroamerykanin i z zawodu żeglarz, był torturowany, a jego ciało zostało zamurowane żywcem w piwnicznej wnęcie pod domem latarnika. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym latarnik spadł ze schodów, rzekomo w pijackim otępieniu, i skrzył kark.

Pendergast skinął głową.

– Jeżeli złożyć to wszystko w całość, odnoszę wrażenie, że mężczyzna został zamurowany żywcem w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym i ma to związek z zaginięciem statku. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że śmierć latarnika dwa lata później, niby wskutek nieszczęśliwego wypadku, również jest powiązana z tą sprawą. Bądź co bądź, mężczyznę zamurowano w piwnicy domu latarnika. To miasteczko ma jakąś mroczną tajemnicę – mniej więcej w tym okresie musiało się coś wydarzyć. Historyk poznał jakiś kluczowy fakt, który mógłby ujawnić tę tajemnicę, i zamordowano go, żeby zamknąć mu usta.

– A znaki na jego ciele?

– Na to nie potrafię na razie odpowiedzieć.

– Co z kradzieżą wina?

– Jak wspomniałeś, była to zasłona dymna, żeby usunąć szkielet marynarza. To jeszcze jeden dowód na to, że Exmouth wciąż ma mroczny sekret.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Rzecz jasna biorąc pod uwagę nasze priorytety.

Constance zamyśliła się.

– Po pierwsze, należy się dowiedzieć, jakie odkrycie historyka doprowadziło do jego śmierci. Po drugie, należy się dowiedzieć czegoś więcej o zaginionym statku Pembroke Castle. Po trzecie, o ile to możliwe, dobrze byłoby również dowiedzieć się więcej o latarniku, który zginął. No i po czwarte, należałoby zidentyfikować symbole na zwłokach.

– W twoim toku rozumowania jest wiele luk i jeszcze więcej spekulacji, jednak ogólnie rzecz biorąc, nie rozczarowałam mnie.

Zmarszczyła brwi.

– Nie toleruję niezasłużonych pochwał ani takich, które w istocie wcale nimi nie są. O jakich konkretnie lukach w moim rozumowaniu mówisz?

– Daruj mi ten niewinny żarcik. Twoja analiza i sugestie są jak najbardziej trafne. Prawdę mówiąc, w związku z tym zamierzam powierzyć ci istotne zadanie.

Poruszyła się na krześle, usiłując ukryć zadowolenie, jakie sprawiły jej słowa, które właśnie usłyszała.

– A co ty o tym wszystkim sądzisz? – spytała.

– Przychyłam się do twojego wyводу, dopóki nie uzyskamy więcej dowodów. Muszę jednak dodać, że dwiema kwestiami, które moim zdaniem mogą być tu najistotniejsze, są słowo „tybane” wycięte na ciele historyka wraz z osobliwymi symbolami... i opowieść o duchach.

– Opowieść o duchach?

– Ta, którą mi zrelacjonowałaś: jakoby latarnia była nawiedzona i słyszano w niej płacz dziecka.

– Naprawdę uważasz, że to ważne?

– Jak najbardziej.

Pendergast odwrócił się, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– O, jest już pierwsza z osób, które mamy dziś przesłuchać!

Otworzył drzwi, żeby ukazać stojącego za nimi mężczyznę. Był po czterdziestce, drobnej budowy, z rzadziejącymi brązowymi włosami i wydatnym jabłkiem Adama. Constance przypomniała sobie, że widziała go w miasteczku dwukrotnie – raz na ulicy, jak z daleka przyglądał się aresztowaniu Pendergasta, i ponownie wczoraj rano, podczas śniadania w gospodzie. W obu okolicznościach mężczyzna był ubrany konserwatywnie, w skromny staroświecki garnitur, który dość zabawnie kontrastował – i właśnie dlatego go zapamiętała – z wełnianymi swetrami z dekoltami w szpic, w krzykliwych kolorach. Dziś też miał taki na sobie, brzoskwiniowy i puszysty. *Chacun a son goût*, pomyślała z niesmakiem, lub, jak w tym wypadku, nie ma gustu.

– Ach, szanowny Dana Dunwoody – powitał go Pendergast. – Jak zwykle nienaganny i szykowny.

– Do twarzy mi w tych kolorach – odparł mężczyzna, uściskawszy dłoń agenta na przywitanie. – Pan, jak miemam, jest przeciwnego zdania.

– Doskonale pan to ujął. Proszę usiąść. – Pendergast zaczekał, aż jego gość zajmie miejsce. – To moja asystentka, panna Greene, która będzie obecna przy przesłuchaniu. Constance, poznaj Danę Dunwoody’ego, przedstawiciela tutejszej palestry.

Skinęła głową na powitanie.

– W czym mogę służyć, agencie Pendergast? – spytał Dunwoody.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Dunwoody machnął przyzwalająco ręką. Constance zauważyła, że prawnik ma po wewnętrznej stronie przegubu wyblakły, prosty tatuaż w kształcie kotwicy.

Pendergast zajął do swojego notesu.

– Mieszka pan w domu z widokiem na słone moczary, jak mi się zdaje.

Dunwoody pokiwał głową.

– Czy był pan w domu przedwczoraj w nocy?

Prawnik znów skinął głową.

– Czy tego wieczoru słyszał pan, lub może widział, coś niezwykłego?

– Niczego takiego sobie nie przypominam.

Pendergast coś zapisał.

– Jak idzie wykonywanie zawodu prawnika w Exmouth?

– Całkiem nieźle.

– Czym właściwie pan się zajmuje?

– Sprzedażą nieruchomości. Od czasu do czasu przygotowuję pozew do sądu. Rutynowe sprawy natury prawnej, typowe dla małych miasteczek.

– Jakiego rodzaju są to pozwy?

– Najróżniejsze. O prawo własności do działek. O rozstrzygnięcie tego czy innego sporu. O regulację rozbieżności w kwestii gruntów.

– Rozumiem. A pan, będąc radnym, może być w tych sprawach szczególnie przydatny.

Dunwoody zdjął luźną nitkę ze swetra.

– Agencie Pendergast, nigdy nie pozwalałam sobie na to, żeby moje obowiązki, zarówno te cywilne, jak i zawodowe, nakładały się na siebie.
– Oczywiście.

Dunwoody uśmiechnął się słabo. Constance zauważyła, że ten człowiek wydawał się bystry, niełatwo było go zastraszyć.

– Czy jest pan żonaty, panie Dunwoody?
– Już nie.

Constance zmrużyła nieznacznie oczy. Dunwoody miał typowy dla prawników zwyczaj odpowiadać na pytania w taki sposób, by nie udzielić istotniejszych informacji.

– Rozumiem. Ale ma pan rodzinę w mieście.

Dunwoody pokiwał głową.

– Pochodzę ze starego rodu.
– Jak starego?

– Nie potrafię powiedzieć. Wygląda na to, że Dunwoody mieszkali tu od zawsze.

– Wróćmy do pańskiej obecnej rodziny. Pana brat Joe jest barmanem tu, w gospodzie, prawda?

Wyraz dumy, jaki pojawił się na twarzy prawnika, gdy mówił on o historii swojej rodziny, na ułamek sekundy zastąpiła zatroskana mina, a po chwili już tylko obojętność.

– Owszem, tak.

– Miał pan styczność z prawem karnym? – spytał Pendergast.

– Tu, w Exmouth, rzadko musimy z niego korzystać.

– Ale miasteczko ma swoje problemy. Jak choćby włamanie do domu Percivala Lake'a. O ile dobrze rozumiem, ze spiżarni w gospodzie także regularnie giną produkty spożywcze. Wspomniał o tym jeden z tutejszych kucharzy.

– Trudno to określić mianem poważnego przestępstwa.

– Czytał pan *Psa Baskerville'ów*?

Dunwoody zawahał się przez chwilę, wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

– Nie widzę związku.

– Mimo to proszę odpowiedzieć. Czytał pan?

– Tak.

– Wobec tego może przypomina pan sobie podobne okoliczności. Mam na myśli znikającą żywność. Z Baskerville Hall.

Constance cały czas patrzyła na twarz Dunwoody’ego, która stała się jeszcze bardziej pusta i nieodgadniona. Rozmyślnie beznamiętna. Mężczyzna nie odpowiedział.

Pendergast energicznie zamknął notes i odłożył obok maszyny do pisania.

– Nie mam więcej pytań. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Prawnik wstał, pożegnał się z nimi skinieniem głowy, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Constance odwróciła się do Pendergasta.

– *Pies Baskerville’ów?* Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie wystraszyć, Aloysiusie?

– Wręcz przeciwnie. Czy zwróciłaś uwagę na jego reakcję – lub raczej na jej brak? To wielce wymowne.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, ale z całą pewnością ten człowiek sprawia wrażenie winnego, jakby miał coś na sumieniu.

– W rzeczy samej, Constance. Wszyscy prawnicy mają coś na sumieniu. Ale ten, jak mniemam, ma na sumieniu o wiele więcej niż inni. – Pendergast spojrział na zegarek. – Chodź, myślę, że zanim zjawi się następny gość, zdążymy wypić filiżankę herbaty.



Po powrocie z przerwy na herbatę ujrzeni mężczyznę stojącego przed zamkniętymi drzwiami i trzymającego w dłoni czapkę bejsbolową. Pendergast wpuścił go, a mężczyzna rozejrzał się dokoła kaprawymi oczami, najwyraźniej onieśmielony wyglądem pomieszczenia. Constance nigdy nie widziała tego człowieka. Kiedy ją mijiał, poczuła słaby zapach burbona i dymu tytoniowego.

– Proszę się rozgościć, panie LaRue – powiedział Pendergast.
Mężczyzna zajął miejsce na krześle.

Precyzyjnie i w sposób bardzo oficjalny Pendergast nawinął taśmę na magnetofon szpulowy, przez chwilę manipulował przy pokrętkach, po czym, dokonawszy ostatnich poprawek, wcisnął klawisz. Szpula zaczęła się obracać. Constance skonstatowała, że podczas wizyty prawnika agent nie poczynił takich kroków.

– Proszę mówić do mikrofonu – polecił mężczyźnie Pendergast.
Kiwnięcie głową.

– Dobrze, proszę pana.

– Proszę podać swoje nazwisko i adres, dla potrzeb nagrania.

Gordon LaRue mieszkał w Dill Town, jak stwierdził, całe życie, i zarabiał koszeniem trawy.

– Od jak dawna kosi pan trawę u pana Lake’a?

– Od dwunastu lat.

– Czy w ten weekend, kiedy pan Lake wyjechał i doszło do włamania w jego domu, także kosił pan u niego trawę?

– Owszem, tak. Lubił, jak przychodziłem, kiedy nie było go

w domu, bo przeszkadzał mu hałas.

– O której przyszedł pan do niego w tamten weekend?

– W sobotę, około jedenastej.

– Czy zwrócił pan uwagę na coś niezwykłego?

– Nie. Trawa nie wymagała poważniejszego skoszenia, no bo już nadchodziła jesień. Ale pan Lake lubi, żeby trawnik był zadbany z powodu rzeźb.

– Czy dostrzegł pan jakieś oznaki świadczące o tym, że oprócz pana Lake'a był tam ktoś jeszcze?

– Niczego nie zauważyłem. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś włamał się do domu. Żadnych podejrzanych aut, zupełnie nic.

– O której pan opuścił to miejsce?

– O wpół do pierwszej.

– To wszystko, panie LaRue.

Gdy mężczyzna wstał, szykując się do wyjścia, Pendergast jakby mimochodem rzucił:

– Dill Town to leżąca niedaleko stąd osada, która pierwotnie była zamieszkaana przez czarnych wielorybników?

– Tak.

– To ciekawe. Dziękuję.

Pendergast odprowadził LaRue do drzwi, zamknął je za nim i odwrócił się do Constance, posyłając jej krótki uśmiech.

– Wciąż próbujesz coś złowić? – spytała, zastanawiając się, dlaczego marnują czas.

– W rzeczy samej. Zarzucimy znowu wędkę. Wprowadź następną osobę, bardzo proszę.

Constance wyszła i zastała następnego kandydata do przesłuchania siedzącego na krześle w korytarzu; twarz miał poczerwieniałą, drobne białe włoski na szyi sterczały na wszystkie strony jakby rozdrażnione. Wstał.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. – Otaksował ją od stóp do głów przyblakłymi, ale wciąż czujnymi niebieskimi oczami. Miał mniej więcej siedemdziesiąt lat, nosił flanelową koszulę, szelki i niebieskie spodnie robocze. Otaczała go słaba woń bagien.

– Proszę tędy – powiedziała.

Przeszedł agresywnie przez drzwi i odmówił zajęcia miejsca na wskazanym krześle. Pendergast znów zaczął manipulować pokrętlami.

– I co? – rzucił zniecierpliwiony mężczyzna. – Nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania, jeżeli o to chodzi.

– Chwileczkę, przepraszam, ale staram się zrobić porządek ze sprzętem. Pan George Washington Boyle?

– Benjamin Franklin Boyle – poprawił mężczyzna. – Niezły początek, panie detektywie.

– Stokrotnie przepraszam. – Pendergast znów manipulował przy pokrętlach. – Przyszedł pan tu z własnej woli, panie Boyle. A więc odmawia pan odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania?

– Zgadza się. A co, załatwisz pan nakaz i zmusisz mnie, żebym tu wrócił?

– Nie. Prowadzę prywatne śledztwo. Nie mogę ubiegać się o wystawienie oficjalnego nakazu sądowego. Może pan odejść. Jest pan wolny. Bez urazy.

Stęknęcie.

– Cóż, skoro już tu jestem...

Boyle usiadł.

Constance zwróciła uwagę, że był bystrzejszy, niż mógł na to wskazywać jego wygląd, a Pendergast, udając niekompetencję, dał mu poczucie wyższości i w ten sposób zdołał go nakłonić do udzielenia odpowiedzi na kilka pytań. To było sprytne posunięcie, stanowiące uderzający kontrast dla jej mizernych umiejętności radzenia sobie z ludźmi. Przypomniała sobie długą listę potencjalnych kandydatów do przesłuchania i zastanowiła się, czy nie byłoby lepiej, gdyby jednak została w domu przy Riverside Drive.

– Panie Boyle, w weekend, gdy doszło do kradzieży wina, był pan, jak przypuszczam, na przybrzeżnych równinach błotnych Exmouth i zbierał małże?

– Wybrałem się w sobotę po południu i spędziłem tam kilka godzin.

– Gdzie konkretnie?

– Na terenach nad kanałem, znanych jako Channel Flats.

– Może pan wskazać to na mapie? – Pendergast rozłożył mapę

okolicy i podsunął w stronę Boyle'a.

– Tutaj. – Brudnym palcem dotknął konkretnego miejsca.

– Dobrze. Jak rozumiem, nie mógł pan stąd widzieć latarni morskiej.

– Nie. To ponad trzy kilometry od latarni, w dodatku za urwiskiem Exmouth. Zresztą szuwały i trawy są tam tak wysokie, że i tak nie dałoby się niczego zobaczyć, miejscami ich wysokość sięga półtora metra, a nawet metra osiemdziesiąt.

– Miałem nadzieję, że może pan coś zobaczył, choćby w drodze tam albo z powrotem.

– Nic oprócz błota i małży.

Pendergast zaczął zwijać mapę.

– Musi pan dobrze znać te moczary.

– Lepiej niż ktokolwiek.

– Wyobrażam sobie, że to miejsce ma specyficzny urok.

– O tak – rzekł z niezłomnym przekonaniem Boyle. Ale ton jego głosu świadczył wyraźnie o tym, że nie zamierza rozwijać tego tematu.

– Ma też swoją historię?

– O tak.

– Nie przypuszczam jednak, żeby pan jako zbieracz małży był zainteresowany historią.

Mężczyzna się zjeżył.

– Byłem kapitanem kutra rybackiego, panie Pendergast, i to przez czterdzieści lat. Jestem człowiekiem morza, a ludzie morza zawsze interesowali się historią.

Pendergast uniósł brwi.

– Rozumiem. Jaką jednak historię mogą mieć niezamieszkane moczary?

– Bogatszą, niż mogłoby się panu wydawać. – Boyle zaśmiał się. Dobrze się bawił, mając widownię, zwłaszcza gdy widzem tym był taki półgłówek jak Pendergast. – Najgroźniejszą historię. I liczne opowieści. O czarownicach. I o Szarym Żniwiarzu.

– O Szarym Żniwiarzu?

– Niekiedy nocami na moczarach widać światło kołyszące się w powietrzu i poruszające w różnych kierunkach. To Szary Żniwiarz.

Mówi się, że dwieście lat temu żył mężczyzna imieniem Jack, najpodlejszy łotr od Casco Bay aż po Gloucester. Kiedy umarł, pojawił się diabeł i zabrał go do siebie. Ale Jack był tak plugawy, że po pewnym czasie nawet diabeł miał go dość. Rzucił Jackowi gorejący węgielek i powiedział: „Jesteś zbyt obmierzły, żebyś mógł pozostać w moim piekle, weź ten węgielek i załóż własne!”. – Wybuchnął śmiechem. – On tam jest, na moczarach. Cały oblepiony czarnoszarym szlamem. Dlatego ma taki przydomek. Wtapia się w otoczenie, żebyś go nie mógł dostrzec. Z wyjątkiem tego węgielka, rzecz jasna. Kiedy widzisz unoszące się w powietrzu kołyszące się światło, to znak, że Szary Żniwiarz krąży po okolicy z węgielkiem w dłoni, poszukując dusz, które mógłby zdobyć i zapoczątkować własne piekło.

Pendergast wydawał się rozdrażniony zmianą tematu.

– A czarownice?

Boyle machnął ręką.

– Jest historia, która sięga jeszcze czasów Salem. Kiedy zrobiło się tam naprawdę gorąco i zaczęło się polowanie na czarownice, grupka wiedźm w środku nocy cichcem wymknęła się z miasta i udała na północ, gdzie osiedliła się na jednej z wysepek na słonych moczarach, z dala od cywilizacji. Wie pan, kobiety i mężczyźni.

– Chce pan powiedzieć, że to były prawdziwe czarownice i czarownicy?

– Nic takiego nie mówię. Legenda głosi, że purytanie powiesili mnóstwo niewinnych ludzi, podczas gdy prawdziwe czarownice i czarownicy uciekli.

– A gdzie na moczarach mogli się osiedlić?

– Nikt nie wie. Gdzieś w głębi łądu, jak głoszą legendy. Ale los im nie sprzyjał. Ciężka zima, głód i ataki Indian wybiły ich do nogi. Podobno później zdarzało się, że jakiś zbłąkany wędrowiec, który zgubił drogę na trzęsawiskach, natknął się na ruiny osady wiedźm, drewniane chaty, całkiem już zbutwiałe i zapadnięte. Pośrodku tej zagubionej osady miał znajdować się krąg z płaskich kamieni ozdobionych wyrytymi symbolami, a między nimi mniejsza kamienna płyta z jednym tylko słowem.

– Jak ono brzmiało?

– Tybane.

Pendergast i Constance wymienili spojrzenia.

– Co to słowo oznacza?

– Nikt tego nie wie. – Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. –
Może aż do teraz.

– A więc słyszał pan, że ten, kto zabił historyka McCoola, wyrył to
słowo na jego ciele.

Boyle wzruszył ramionami.

– W mieście takiej jak Exmouth nie da się zachować niczego
w tajemnicy.

– Domyśla się pan, dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

– Pewnie jakieś dzieciaki, przypuszczalnie z Dill Town, chciały się
wyżyć i zabawiały się w przywoływanie diabła. Obrabowały tego
człowieka, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki, ale były głupie, bo
wydawało im się, że przekonają gliniarzy, że za to wszystko
odpowiadają czarownice i czarownicy.

– Czemu akurat z Dill Town?

– Dill Town zawsze było wylęgarnią najgorszych mętów. Kwitła
tam przestępczość, pito alkohol. Tego typu rzeczy.

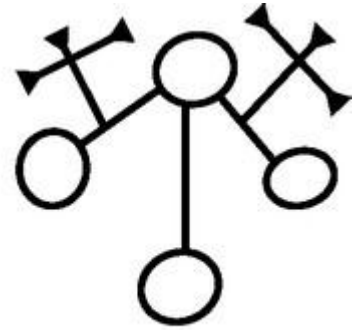
– Widywał pan jakichś ludzi na tych słonych moczarach?

– Tak, widywałem. Myślę, że koczuje tam jakiś bezdomny.
Znajdowałem ślady stóp odcisnięte w błocie, wydeptane wśród traw.
Nigdy nie widziałem go na własne oczy, ale parę razy czułem zapach
palonego ogniska. – Zaśmiał się. – Może to ten typ zwędził kolekcję
wina Lake’a. To marzenie każdego menela. Może to nawet Szary
Żniwiarz we własnej osobie. Wydaje mi się, że powinien pan się temu
przyjrzeć, panie detektywie.

– Tak zrobię – zapewnił Pendergast, wstając. – Dziękuję za
poświęcony czas, panie Boyle. – Spojrzał na Constance. – Myślę, że
możemy, przynajmniej na razie, zrezygnować z dalszych przesłuchań.

Boyle wstał. A potem wychylił się do przodu i konspiracyjnym
szepem spytał:

– Ile pan wyciąga w tej robocie?



16

To mogło być naprawdę ciekawe. Bardzo ciekawe. Bradley Gavin przeszedł pod żółtą taśmą policyjną rozpiętą na jednym końcu korytarza na parterze gospody. Odwrócił się i uniósł taśmę nad Constance Greene. Podążała za nim aż do zamkniętych drzwi pokoju Morrisa McCoola. Silnym pchnięciem sierżant otworzył je na oścież.

Agent Pendergast dał jasno do zrozumienia, że Constance należy się taki sam szacunek jak jemu, co tłumaczyło, dlaczego znów pozwolono jej znaleźć się na miejscu powiązonym ze zbrodnią. Constance intrygowała Gavina bardziej niż to, co mogli znaleźć w tym pokoju, a nie spodziewał się, by było tego dużo. Zresztą słowo „intrygowała” nie oddawało całej prawdy o jego reakcji na tę dziwną i piękną kobietę. Po raz pierwszy miał okazję być z nią sam na sam. Odwrócił się i wyciągnął rękę.

– Proszę przodem, pani Greene – powiedział.

– Panno Greene, jeśli łaska. Uważam słówko „pani” za niestosowne wobec mnie.

– Ups. Przepraszam.

Gavin obserwował ją kątem oka – eteryczna postać w długiej sukni. Ta kobieta była zimna jak lodowiec i może właśnie to go w niej pociągało, jej zagadkowe opanowanie i pewność siebie. Spodobało mu się to, że poprosiła, aby zwracał się do niej w staroświecki sposób, per panno Greene. Zaczął ją postrzegać jako wyzwanie. Wiedział, że kobiety uważają go za atrakcyjnego, a gdyby panna Greene poznała go lepiej, może okazałoby się, że jest on w jej typie.

Wszedł za nią do pokoju historyka. Urządzono go z wykorzystaniem mebli z epoki, tak jak resztę gospody. Policjant otaksował wzrokiem urokliwe, niemniej tandetne przedmioty: wielkie ciężkie łóżko z ciemnego drewna, koronkowe firanki, plecione dywaniki, dość mocno wyświechtane, a przez uchylone drzwi dostrzegł łazienkę, remontowaną tak dawno temu, że kafelki, którymi wyłożono ściany, zdążyły wrócić do łask i ponownie wyjść z mody.

– Zgodnie z umową może się pani tylko przyglądać, panno Greene – rzekł – ale gdyby chciała pani coś wziąć do ręki lub czegoś dotknąć, nie widzę przeciwwskazań, o ile wcześniej mi pani o tym powie.

– Dziękuję.

Ekipa od badania miejsc zbrodni już przeszukała gruntownie pokój, a ich oznaczniki i chorągiewki widać było niemal wszędzie. Szukano materiałów dowodowych, odcisków palców, włosów, włókien, śladów krwi i DNA. On i Constance mieli szukać papierów, tego, nad czym mógł pracować historyk przed śmiercią. Zdaniem Gavina nie mogło ich to do niczego doprowadzić, w głębi duszy pogodził się z myślą, że morderstwo było wynikiem napaści o charakterze rabunkowym, choć przejawiającym pewne dość niepokojące aspekty. Dokonał w myślach szybkiej inwentaryzacji. Niewielki stosik książek i dokumentów na biurku z wysuwany blat. Ani śladu komputera. Pokojówka posprzątała tutaj, kiedy historyk zszedł na dół na obiad kilka godzin przed zabójstwem. To niedobrze, że tak się stało. Wszystko wyglądało bardzo schludnie, ale trudno powiedzieć, czy było to efektem ciężkiej pracy pokojówki, czy odzwierciedleniem osobowości i charakteru historyka.

Obejrzał książki: *Sztormy i wraki Nowej Anglii* Edwarda Rowe'a Snowa, fotokopia dokumentu *Rejestr zaginionych statków 1850–1900* z archiwum Lloydsa. W każdej publikacji widniało po kilka zakładek. Gdy Gavin spisywał tytuły, usłyszał obok cichy szelest i zmaterializowała się za nim panna Greene.

– Sierżancie, czy mogę rzucić okiem na rejestr?

– Oczywiście, bardzo proszę.

Otworzyła rejestr w miejscu, gdzie tkwiła zakładka, i odwróciła się, stając tyłem do sierżanta. Gavin zaczął się rozglądać po pokoju,

szukając portfela, zegarka albo pieniędzy. Przy ciele niczego takiego nie znaleziono. Następnie przyjrzał się uważniej książce Snowa i otworzył ją na zaznaczonym zakładką rozdziale zatytułowanym „Tajemnicze zaginięcie S/s Pembroke Castle”.

– Czy mogę zwrócić pana uwagę na to? – Constance podała mu rejestr.

W nim także oznaczono stronę dotyczącą Pembroke Castle. Gavin trochę znał tę historię, ale i tak z zainteresowaniem przeczytał cały fragment.

S/S PEMBROKE CASTLE, 1884. W LUTYM 1884 ZAGINAŁ W TRAKCIE REJSU Z LONDYNU DO BOSTONU PODCZAS SZTORMU U WYBRZEŻY NOWEJ ANGLII MIĘDZY CAPE ELIZABETH (W MAINE) I CAPE ANN (W MASSACHUSETTS).

S/s Pembroke Castle był mierzącym 300 stóp (100 m) parowcem o dębowym kadłubie, zbudowanym przez Barclay Curle & Co w Whiteinch w Glasgow w Szkocji jako statek handlowy i pasażerski. Zwodowano go 12 września 1876. 16 stycznia 1884 roku wypłynął w ostatni rejs z Londynu w Anglii ze 140 pasażerami, wycarterowany przez Lady Elizabeth Hurwell z Hurwell Ossary w Warwickshire. 18 stycznia statek został zauważony przez przepływający obok liniowiec Wessex, co odnotowano w dzienniku kapitańskim. 2 lutego 1884 o zmierzchu Pembroke Castle został dostrzeżony przez frachtowiec Monckton z Portland w Maine, przedzierający się przez wzburzone wody w okolicy Halfway Rock, po zewnętrznej stronie Casco Bay. Wymieniono sygnały przy użyciu lampy. To ostatnie zarejestrowane doniesienie związane z tą jednostką. Wzdłuż wybrzeża rozszalał się północno-wschodni sztorm trwający aż trzy dni. Kiedy statek nie zawinął do Bostonu w ustalonym terminie, 5 lutego, straż przybrzeżna wysłała kilka jednostek, do których później dołączyły dwa okręty marynarki wojennej, prowadzono wspólnie bezskuteczne poszukiwania rozbitków lub szczątków. Uznano, że statek zaginał podczas sztormu gdzieś wzdłuż wybrzeża między Cape Elizabeth a Cape Ann; gdyby statek opłynął ten drugi przylądek, musiałby zostać dostrzeżony przez latarnika z latarni morskiej Eastern Point i zdołałby schronić się w zatoce Gloucester. Nigdy nie natrafiono na żaden ślad statku ani jego załogi, nie

potwierdzono też, aby jakiegokolwiek odnalezione szczątki zostały zidentyfikowane jako pochodzące z tej jednostki. Ubezpieczenie w ustalonej przez Lloyda wysokości 16500 funtów zostało wypłacone 23 marca 1885 spółce London and Bristol Steamship Company, właścicielowi Pembroke Castle, wraz z dodatkową kwotą w wysokości 9500 funtów, wypłaconą 6 kwietnia 1886 Lady Hurwell za stracony ładunek.

– Właśnie tym zajmował się nasz historyk – powiedział, zamykając dokument i odkładając go z powrotem na biurko.

– Tak – przyznała panna Greene. Stała blisko niego, czytając mu przez ramię. Było coś podniecającego w jej bliskości. Cofnęła się. – Czy nie uważa pan za dziwne, że najwyraźniej nie wypłacono żadnych pieniędzy w związku z zaginięciem pasażerów?

– Nie pomyślałem o tym.

– No i jeszcze ta „strata ładunku”. Zastanawiam się, co to mogło być, dlaczego był cenny i czemu aż dwa lata trwało pozyskanie zwrotu ubezpieczenia z tego tytułu.

Gavin wzruszył ramionami.

– I w ogóle dlaczego angielska szlachcianka miałaby wyczarterować statek? Czemu jej samej nie było na pokładzie?

Gavin spojrzał na pannę Greene. Była naprawdę bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. W jej fiołkowych oczach kryła się jednak niezwykła głębia. Poczuł bardzo nieprofesjonalny pociąg fizyczny.

– No cóż – powiedział – to ciekawe kwestie, ale wątpię, żeby miały dla nas znaczenie.

– A to czemu?

Przełknął ślinę urażony jej ostrym tonem.

– Bo jestem pewien, że to jakiś ćpun z Dill Town zabił naszego historyka dla forsy i dla zabawy.

– Ćpun? Czyli kto?

Zdawała się pochodzić z innego świata, a przynajmniej ze świata bardzo odległego od Exmouth. To też go w niej pociągało.

– Narkoman. Uzależniony od metamfetaminy. No wie pani, jak w serialu *Breaking Bad*.

Cisza.

– W Dill Town jest wielu narkomanów?

– Kilka lat temu zrobiliśmy nalot na tamtejszą wytwórnię amfy, ale uważamy, że może być tam jeszcze jedna, możliwe, że gdzieś na moczarach.

– Czemu macie problemy z narkomanami?

– „Problemy” to chyba zbyt mocne słowo. Ale panuje tam bieda, no i do tego należy dodać brak perspektyw i marne szkolnictwo... Od dziesięcioleci rybołówstwo podupada. A rybacy, cóż, to porywczy faceci. – Przerwał. – Tak tylko mówię.

– Rozumiem. Dziękuję za to spostrzeżenie, sierżancie. Co znaleziono przy ciele?

Zmiana tematu była tak nieoczekiwana, że Gavin potrzebował chwili, aby dojść do siebie.

– Ee, w sumie nic. Zegarek na rękę. Poza tym ciało było pozbawione ubrania. – Przecież tam była, dlaczego zadała mu to pytanie?

– Jeżeli motywem działania tego ćpuna był rabunek, dlaczego nie zabrał zegarka?

Gavin wzruszył ramionami.

– To był tandetny model. – Zawahał się. – A co o tym sądzi Pendergast?

– O czym?

– O tych symbolach. To podpucha, zwykła zmyłka czy może coś innego?

– Nie powiedział.

– A pani?

– Nie wiem.

Zapadła cisza, podczas której wymienili spojrzenia. Wreszcie Gavin znów się odezwał:

– Od dawna robię w policyjnym fachu i mam jedno, ale za to kardynalne spostrzeżenie dotyczące zbrodni jako takiej.

– Mianowicie?

– Większość przestępstw jest banalna. Idiotyczna. Oczywiście wyjaśnienie jest zwykle tym właściwym. W tym wypadku najprostszym

wytłumaczeniem jest napaść o charakterze rabunkowym, a te okropne znaki to dzieło narkomanów.

– Jeżeli większość zbrodni wydaje się banalna i idiotyczna, to dlatego, że większość ludzi jest taka.

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

– Taki jest pani pogląd na naturę ludzką? Że ludzie z natury są głupi?

– Tak. Chociaż zdarzają się wyjątki od tej reguły. Niektórzy ludzie zwyczajnie wymykają się prostym wyjaśnieniom. Podobnie bywa ze zbrodniami. To właśnie jedna z takich zbrodni.

– Niektórzy ludzie zwyczajnie wymykają się prostym wyjaśnieniom – powtórzył Gavin. – Co pani ma na myśli?

– To, że pewne wyjątkowe osoby wynoszą się ponad przeciętność. Dla nich reguły są inne. Inne są także ich zbrodnie. W tym morderstwie nie było nic banalnego ani głupiego, podobnie jak w przestępcy, który je popełnił.

Gavin nigdy nie spotkał takiej kobiety. Przyjrzał się jej z zaciekawieniem, a następnie, co było dla niego dość nietypowe, spróbował zrobić krok w nieznaną.

– Jestem pewien, że pani, panno Greene, jest jedną z takich wyjątkowych osób. – Oczekiwał zaprzeczenia, wybuchu złości i gniewu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zachęcony, poszedł za ciosem, nieznacznie zniżając głos. – I właśnie dlatego pragnąłbym lepiej panią poznać.

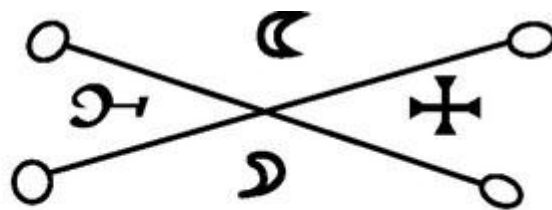
Wciąż na niego patrzyła z nieodgadnionym wyrazem twarzy. A potem spytała:

– Czy już tu skończyliśmy?

– Tak, skończyliśmy.

Patrzył, jak jej zmysłowe usta rozchylają się w delikatnym uśmiechu, w wyrazie rozbawienia, którego powodu nie był jednak w stanie odgadnąć.

– No to chodźmy, pan przodem, sierżancie.



Miękkie światło późnego popołudnia przesączało się przez firanki do wnętrza prowizorycznego pokoju przesłuchań. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu. Constance patrzyła, jak agent FBI spaceruje niespiesznie w tę i z powrotem, a jego ubrana na ciemno sylwetka to przesłaniała, to odsłaniała smugę światła. Poruszał się tak miękko i płynnie, że wyglądał bardziej jak duch niż człowiek. Zachowywał się tak, odkąd zjawiała się tu po wizycie w pokoju McCoola i przedstawiła mu swój raport. Był nieodgadniony niczym sfinks. Jego nieprzewidywalność czyniła go... intrygującym.

– To nie ma sensu – wymamrotał.

Czekała, wiedząc, że nie mówi do niej. Wciąż krążył po pokoju.

– Statek – kontynuował – walczył ze wzburzonym morzem podczas sztormu w pobliżu Half Way Rock w Casco Bay o zmierzchu, który drugiego lutego tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku zapadał około szesnastej pięćdziesiąt. Statek płynął z prędkością dziesięciu węzłów, jak odnotowano w dzienniku pokładowym frachtowca Monckton. Musiał opłynąć Cape Elizabeth około siedemnastej trzydzieści, a z uwagi na sztorm północno-wschodni można było się spodziewać silniejszego niż zwykle przyływu. Gdyby statek zatonął przed dwudziestą trzecią dwadzieścia pięć, fale przyływu z pewnością wyrzuciłyby na brzeg wrak i ciała, a szczątki zostałyby odnalezione. Statek zatonął więc już po zmianie pływów, wskutek czego wrak i ofiary zostały wyniesione przez fale na morze. Przyjmując stałą prędkość statku rzędu dziesięciu węzłów – bo pamiętajmy, że mamy tu do czynienia z parowcem i prawdopodobnie w celu zachowania stabilności starano się utrzymać stałą prędkość – Pembroke Castle

powinien opłynąć Cape Ann o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć i wkrótce potem dotrzeć do zatoki Gloucester, gdzie mógłby znaleźć schronienie przed sztormem.

Kilka kroków w jedną stronę, obrót, kilka kroków w drugą, obrót.

– A jednak nie zauważono, żeby statek opłynął przylądek, i nie dotarł on do zatoki. Musiał więc zatonać w ciągu dwudziestu minut, między dwudziestą trzecią dwadzieścia pięć a dwudziestą trzecią czterdzieści pięć – z czego wynika, że do katastrofy doszło u wybrzeży Exmouth. – Pokręcił głową. – To bez sensu.

– Dla mnie to ma sens.

Pendergast spojrział na Constance.

– Mogłabyś mi to wyjaśnić?

– Wierzysz, że statek zatonął u brzegów Exmouth. To tłumaczy, dlaczego zjawiał się tu historyk, bo doszedł do tych samych wniosków co ty. Podążaliście tą samą drogą dedukcji. *Quod erat demonstrandum*.

– *Cum hoc, ergo propter hoc*. – Pendergast pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. – To może tłumaczyć, dlaczego historyk skupił się na tym obszarze. Nie uwzględnia to jednak zjawiska pływu martwego.

– A czym jest pływ martwy?

– Znany również jako woda martwa, to okres trwający zwykle około pół godziny po osiągnięciu apogeum przyływu, kiedy ruch pływów ulega zahamowaniu. Pływ martwy oznacza, że wrak statku, który rozbił się u brzegów Exmouth, zostałby wyrzucony wprost na skały i plażę.

– Dlaczego?

– Z powodu wiatru. To był sztorm północno-wschodni, czyli wiatr wiał wówczas z północnego wschodu. Linia brzegowa Exmouth układa się w kształt haka, który wysuwa się w stronę Cape Ann. Ten hak jest niczym sieć, wszelkie szczątki z tego wraku pchane przez wiatr na południowy zachód nie mogłyby jej umknąć. Ciała i szczątki usłałyby całe wybrzeże.

– Ale jeśli statek ominął Cape Ann niezauważony? Jeśli był już w tak fatalnym stanie, że nie zdołał wejść do zatoki Gloucester i w końcu został wyniesiony na morze przez nadciągający odpływ?

Pendergast zastanowił się nad tym przez dłuższą chwilę.

– To mogło być brane pod uwagę jako jedna z ewentualności i, jak sądzę, uwzględniono ją również podczas akcji ratunkowej, gdyż skoncentrowano się na obszarach, do których mógłby dotrzeć poważnie uszkodzony, pozbawiony sterowności statek. Twój rejestr wspominał, że był to statek o dębowym kadłubie. Nawet gdyby zatonął, musiałyby pozostać po nim mnóstwo szczątków, że nie wspomnę o ciałach. Ale szeroko zakrojone poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów.

– Wobec tego może statek uległ uszkodzeniu na długo przed dotarciem do brzegów Exmouth, miotając się na falach, dopóki nie nastąpiła zmiana pływów i nie wyniosła go dalej w głąb morza.

Pendergast znów zaczął spacerować po pokoju.

– Pływy zmieniają się co sześć godzin. Statek unoszący się bezwładnie na falach nie dopłynąłby daleko. W końcu jakieś szczątki zostałyby wyrzucone na brzeg. – Machnął ręką. – Ale, ale, krążymy w kółko. Pamiętaj, że nie mamy tu do czynienia tylko z jedną zagadką. Jest jeszcze druga – związana z czarami.

– Nie mów mi, że uwierzyłeś w historyjkę Boyle’a o uciekinierach z Salem!

– Moja droga Constance, ja w nic nie wierzę. I mam nadzieję, że ty też oprzesz się temu impulsowi. Podążajmy tam, dokąd nas doprowadzą fakty. A fakty kierują mnie na słone moczary Exmouth i do tej od dawna już niezamieszkannej kolonii. Zamierzam wybrać się tam tej nocy.

– Nocą?

– Oczywiście, że nocą. To ma być potajemny rekonesans.

– Idę z tobą.

– Wykluczone. W pojedynkę potrafię lepiej poruszać się w ciemnościach. Możliwe, że napotkam kanały, a ty niestety nigdy nie miałaś sposobności nauczyć się pływać. No i przypomnij sobie nieprzyjemności, jakie cię spotkały podczas naszej ostatniej... wycieczki.

– Masz na myśli wycieczkę do ogrodu botanicznego? O ile sobie przypominam, właśnie ta wycieczka ocaliła ci życie. Jak by to ujął nasz przyjaciel, sierżant Gavin: „Tak tylko mówię”.

Usta Pendergasta wykrzywiły się w wyrazie rozbawienia lub może przyznania jej racji.

– Chciałbym natomiast, moja droga Constance, żebyś wybrała się jutro rano do Salem. Jak rozumiem, mają tam wiele atrakcji w rodzaju domu wiedźm, muzeum i lochów czarownic oraz słynnego pomnika upamiętniającego procesy o czary, że nie wspomnę o ofercie zwiedzania miasta na segwayach, rzecz jasna z przewodnikiem.

– Wycieczka na segwayach? Chyba żartujesz.

– Wracając do sedna, w Salem znajduje się także siedziba Zjednoczonego Sojuszu Wiccańskiego. – Podał jej wizytówkę. – Niejaka Tiffani Brooks, znana również jako Shadow Raven, jest przywódczynią zgromadzenia całego tamtejszego kowenu.

Constance wzięła wizytówkę.

– Wicca? Biała magia? I czego niby miałabym się tam dowiedzieć?

Pendergast szybko wręczył jej świstek papieru z jakimiś gryzmołami. Spojrzawszy na kartkę, Constance stwierdziła, że były to symbole wycięte na ciele historyka oraz napisane wielkimi koślawymi literami słowo „tybane”.

– Skierowały nas tam intensywne poszukiwania w internecie – wyjaśnił Pendergast. – Pamiętasz, co mówił Boyle? O inskrypcji, która wedle legendy miała zostać znaleziona w samym środku kolonii wiedźm istniejącej niegdyś w głębi lądu? – Ruchem głowy wskazał na kartkę. – To jest właśnie ten napis, a to są te symbole, przynajmniej zdaniem pewnego od dawna już nieżyjącego archeologa o dość wątpliwej reputacji.

Constance spojrzała na świstek.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś, kto zabił historyka i wyciął na jego ciele te znaki, był...

– Nic nie myślę. Chcę jedynie, żebyś spróbowała się dowiedzieć, czy te symbole rzeczywiście mają związek z czarami, a jeżeli tak, jakie jest ich znaczenie. Owo tajemnicze słowo jest również jednym z głównych celów mojej nocnej wyprawy. Moja droga Constance, nie możemy pójść dalej, dopóki nie ustalimy, czy są prawdziwe, czy zostały jedynie użyte przez zabójcę, żeby sprowadzić nasze śledztwo na fałszywe tory.

Wyprostował się.

– A teraz *adieu*. Muszę zamienić kilka słów z sierżantem Gavinem.

O ile dobrze pamiętam, dorastał w Exmouth.

– Na jaki temat?

– Mam do niego kilka pytań związanych z osobą naszego szacownego prawnika, pana Dunwoody’ego. Później zaś spotykam się z panem Lakiem, którego poprosiłem, żeby oprowadził mnie po swoim ogrodzie kamiennych rzeźb.

Constance starannie złożyła kartkę.

– Wydawało mi się, że wybierasz się na rekonesans.

– Owszem. Ale muszę zaczekać do zmierzchu.

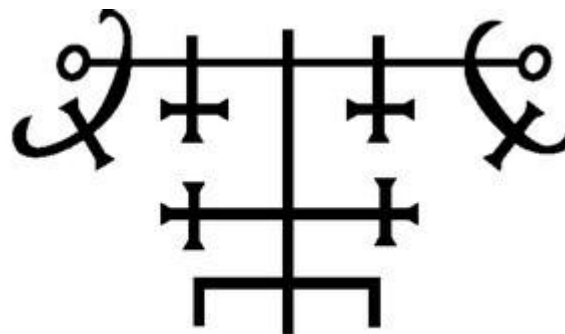
– Rozumiem. A co ze mną?

– Chciałbym zaproponować, żebyś dziś wieczór wybrała się do baru w gospodzie. Wdała się w pogawędkę z miejscowymi, wypła jedno czy dwa piwa i zebrała garść plotek.

Spojrzała na niego.

– Nie mam w zwyczaju przesiadywać w barach.

– Niestety z uwagi na dobro śledztwa będziesz musiała czasami nagiąć reguły swoich zachowań, tak jak mnie się to zdarza. Zawsze możesz napić się absyntu, który jakimś cudem tu mają. – Nachylił się w jej stronę i konspiracyjnym tonem dodał: – Ale niezależnie od wszystkiego unikaj małży.



18

– To było pierwsze dzieło, jakie stworzyłem, kiedy przeprowadziłem się tu z żoną trzydzieści lat temu – rzekł Percival Lake z nutą nostalgii w głosie. Czule poklepał polerowaną rzeźbę z szarego granitu, po czym znowu objął ręką w talii Carole Hinterwasser. Rzeźba przedstawiała na wpół abstrakcyjną postać harpunnika wyłaniającego się z kamienia i unoszącego harpun do rzutu. – Zachowałem ją z pobudek sentymentalnych. Mogłem ją sprzedać już ze sto razy. Nazwałem ją *Queequeg*.

Od morza powiał silniejszy wiatr, powodując falowanie traw w ogrodzie rzeźb nad urwiskiem. Nisko wiszące chmury w kolorze cynku napierały od strony morza, przynosząc ze sobą zapach zimy. Lake rozmieścił swoje dzieła tak, by były zwrócone ku morzu niejako w hołdzie dla moai z Wyspy Wielkanocnej, które miał okazję widzieć wiele lat temu podczas wyprawy ze swoją żoną.

Ubrany jak zwykle na czarno Pendergast otulił się szczelnie płaszczem i postawił kołnierz. Wieczór był dość chłodny, a agent FBI najwyraźniej nie należał do osób przepadających za surowym klimatem. Lake szedł z Carole pod rękę i opowiadał o swoim każdym kolejnym dziele, podczas gdy Pendergast podążał za nimi w milczeniu. Gdy dotarli do końca ciągu rzeźb, Lake przystanął i odwrócił się.

- Jestem ciekaw, jak przebiega dochodzenie – powiedział.
- Nie najlepiej – przyznał Pendergast.
- Rozumiem. Z braku dowodów?
- Wręcz przeciwnie.

– Cóż, wywołał pan w miasteczku sporo zamieszania. Mówi się teraz niemal wyłącznie o panu i o zabójstwie tego historyka. – Lake przerwał, szukając odpowiednich słów. – Muszę przyznać, że czuję się trochę zlekceważony.

– Dlaczego?

– Jest pan tu od trzech dni. Spodziewałem się regularnych raportów o postępach w śledztwie. Dowiedziałem się, że pomaga pan policji przy śledztwie w sprawie tego morderstwa. Miło byłoby, gdybym usłyszał o tym bezpośrednio od pana.

– Bardzo przepraszam.

Lake uważał, że Pendergast jest irytująco nieodgadniony.

– Czy to znaczy, że pana zdaniem zabójstwo historyka i ta sprawa są ze sobą powiązane? – zainteresowała się Carole.

– Tak właśnie jest.

Cisza. Lake czekał, aż agent powie coś więcej, a gdy tak się nie stało, spytał:

– Czy zechciałby pan wyjaśnić dlaczego?

– Nie.

Lake poczuł narastające rozdrażnienie.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale czy nie pracuje pan dla mnie? Czy nie powinienem otrzymywać regularnych raportów?

– Nie mam zwyczaju dyskutować na temat bieżących spraw z nikim, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

– A więc... Skoro nie zjawił się pan tu, żeby poinformować mnie o wynikach swojego śledztwa, to co pana tu sprowadza? Na pewno nie zjawił się pan po to, żeby obejrzeć moje rzeźby.

Pendergast odwrócił się plecami do wiatru.

– Miałem kilka pytań.

Lake wzruszył ramionami.

– Jasne. Śmiało. Proszę pytać. Choć śmiem twierdzić, że powiedziałem panu wszystko, co wiem.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie opowiedział mi pan o historii panny Hinterwasser?

Lake i Carole wymienili spojrzenia.

– O jej historii?

– O jej przestępczej historii. Została przyłapana na kradzieży ze sklepu z antykami w Cambridge.

Ciszę, jaka wówczas zapanowała, przerywał jedynie szum wiatru.

– Nie rozumiem, do czego miałyby to zmierzać, Pendergast – powiedział w końcu Lake – ale nie podoba mi się to.

– Dlaczego miałyby panu o tym wspominać? – spytała Carole. – To było piętnaście lat temu. Oddałam, co ukradłam, zapłaciłam grzywnę. To był tylko paskudny, mały, wyrzeźbiony bożek. Sama nie wiem, co w nim widziałam. Nie wiem, co mnie podkusiło. To stara historia. Nie ma nic wspólnego z włamaniem i kradzieżą w naszym domu... a raczej w domu Perce'a.

– Może i nie. – Pendergast przeniósł wzrok na Lake'a. – Był pan w żegludze handlowej, prawda?

– Cztery lata w marynarce – odparł po krótkiej chwili Lake – i potem jeszcze trzy jako pierwszy oficer na supertankowcach.

– Zakładam, że wtedy zrobił pan ten tatuaż?

– Tatuaż? – zdziwił się Lake. – Ma pan na myśli wieloryba na moim prawym ramieniu? Skąd pan o tym wie?

– Słyszałem, że jest w miasteczku bardzo podziwiany, a wiadomo o nim, bo choć rzadko, to pojawia się pan czasami na plaży.

– Oczywiście. Zawsze kochałem morze, a *Moby Dick* jest moją ulubioną książką, czytałem ją niemal każdego roku, odkąd skończyłem szesnaście lat. *Imię moje: Izmael* to jedno z najlepszych pierwszych zdań powieści, jakie kiedykolwiek napisano.

– Ja natomiast nie przepadam za opowieściami o zwierzętach.

Lake wywrócił oczami. Pendergast był naprawdę dziwny.

– Po raz pierwszy słyszę, że ktoś uznaje *Moby Dicka* za mało istotną opowieść o zwierzętach.

– Wracając do tematu, panie Lake. Dowiedzenie się czegoś więcej o pańskiej karierze w marynarce handlowej nie było dla mnie rzeczą prostą. To dziwne, że w nadmorskiej osadzie takiej jak Exmouth mało kto w ogóle o tym słyszał.

– Cenię sobie prywatność.

– Nie poruszył pan tego tematu także wcześniej, kiedy mieliśmy okazję rozmawiać o pańskiej przeszłości. Przypomnę tylko, że było to

podczas naszego spotkania w restauracji w gospodzie.

Lake wzruszył ramionami.

– Przywykłem do tego, że o tym nie wspominam. Nie wiedzieć czemu, ale nie pasuje mi to do wizerunku artysty.

– Rozumiem. Odkryłem, że Dana Dunwoody, zanim poszedł na studia prawnicze, również pracował w marynarce handlowej na supertankowcach.

– Nie wiedziałem o tym.

– Czy zdarzyło się wam pracować na tym samym statku?

– Nie.

– Jak dobrze zna pan Dunwoody’ego?

– Niezbyt dobrze. Nie przepadam za ludźmi takimi jak on.

Małomiasteczkowymi, małostkowymi prawnikami o wygórowanych ambicjach i przerośniętym ego.

– Czy wiedział pan, że on także ma tatuaż? Kotwicę, na przegubie, po wewnętrznej stronie?

– To dość pospolity tatuaż wśród marynarzy z marynarki handlowej. Uważa pan, że z powodu tych tatuaży Dunwoody i ja należymy do jakiegoś spisku?

– Kolejną kwestią, do której bardzo trudno było mi dotrzeć i o której również nie raczył mi pan powiedzieć, są pańskie korzenie, które, tak się składa, sięgają bardzo głęboko w przeszłość Exmouth. Pański prapradziadek przybył z Bostonu do Exmouth, żeby poślubić miejscową pannę. Zginął na morzu w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku, pozostawiając żonę i dziecko. Kobieta wróciła do Bostonu i na tym zakończyły się związki pańskiej rodziny z tym miasteczkiem, dopóki nie przeniósł się pan tutaj przed trzydziestoma laty.

Lake spojrział na Pendergasta.

– Jaki to ma związek z całą sprawą?

– Czy wie pan, jak brzmiało panińskie nazwisko pańskiej praprababki?

– Nie.

– Dunwoody.

– Jezu. Naprawdę? Boże, nie miałem pojęcia. Ale w tej okolicy żyje wielu Dunwoodych. Jak na mój gust nawet zbyt wielu.

– Pański ostatni wernisaż w Bostonie, w Gleason Fine Art przy Newbury Street, nie spotkał się ze zbyt przychylnym przyjęciem.

– Czasy są ciężkie. Gdy nastaje kryzys, pierwszą dziedziną, która ponosi tego konsekwencje, jest sztuka.

– Czy prawdą jest, że w obecnej chwili żadna z pańskich prac nie jest wystawiona na sprzedaż?

– Do czego pan zmierza?

Ale Lake dobrze wiedział, do czego zmierza Pendergast. I poczuł, że traci panowanie nad sobą.

– Tylko do tego, by sformułować pytanie: Czy ma pan problemy finansowe, panie Lake?

– Nie mam najmniejszych problemów finansowych! Nie prowadzę wystawnego życia i z łatwością jestem w stanie przetrwać gorszy okres na rynku.

– Czy pańska kolekcja wina była ubezpieczona?

– Stanowiła jeden z punktów na liście moich dóbr objętych ubezpieczeniem.

– Czy otrzymał pan pieniądze z tytułu wypłaty ubezpieczenia za utracone mienie?

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że nie sugeruje pan, iż mogłem dopuścić się próby wyłudzenia ubezpieczenia.

– Ale przysługują panu pieniądze z tytułu ubezpieczenia pańskiej kolekcji. I wystąpił pan o ich wypłatę.

– Jak najbardziej.

– O jakiej kwocie mówimy?

– O stu dziewięćdziesięciu tysiącach dolarów. Wszystko jest udokumentowane. Chociaż naprawdę wolałbym odzyskać swoją kolekcję wina. Nawiasem mówiąc, to pańskie zadanie zamiast zasypywania mnie oburzającymi i nieistotnymi dla całej sprawy pytaniami. I jeszcze to wywlekanie brudów z przeszłości mojej dziewczyny. Boże święty. Oskarża mnie pan, że jestem w zмовie z jakimś cwaniakiem prawnikiem, który, tak się składa, jest moim dalekim kuzynem, choć to w istocie piąta woda po kisielu, i że dogadałem się z nim, aby zaaranżować kradzież mojego wina? A potem jeszcze na pokaz zaangażowałem pana w tę sprawę? Chryste, naprawdę

nie chciałbym pożałować, że pana wynająłem!

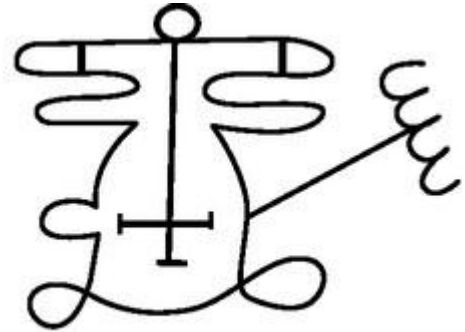
– Kochanie, proszę. – Carole ścisnęła go za rękę.

Lake za późno zdał sobie sprawę, że krzyczy.

Pendergast wciąż na nich patrzył z tą swoją twarzą barwy lodu i oczami, w których odbijał się blask dogasającego dnia.

– W każdym śledztwie dziewięćdziesiąt dziewięć procent zgromadzonych informacji nie ma znaczenia. Aby natrafić na ten rozstrzygający jeden procent, konieczne jest zadanie mnóstwa oburzających pytań i wytrącenie wielu osób z równowagi. To nic osobistego. Życzę miłego dnia, panie Lake i pani Hinterwasser.

Lake, kompletnie zdruzgotany, stał u boku Carole i patrzył, jak ciemna postać Pendergasta schodzi w dół zbocza, zmierzając w stronę samochodu.



19

Miazmatyczny opar unosił się nad moczarami, gdy agent Pendergast przemykał wśród słonych traw – czarny kształt pojawiający się i znikający między gęstymi kołyszącymi się źdźbłami. O pierwszej w nocy, w porze największego odpływu, błotne płycizny były odsłonięte i lśniły w blasku księżyca, który raz po raz wyłaniał się zza chmur płynących szybko po niebie. Znad płycizn unosił się siarczany rybi odór, który łączył się ze smużkami mgieł, tworząc smród zdający się przywierać do włosów i skóry. Pendergast trzymał zrolowaną mapę, którą odręcznie narysował wcześniej tego dnia na podstawie map morskich, topograficznych i meteorologicznych przedstawiających kierunki wiatrów i prądów oraz na podstawie własnych obserwacji.

Moczary Exmouth zajmowały obszar o powierzchni około pięciu tysięcy hektarów poza barierą Crow Island. To właśnie tam rzeki Exmouth i Metacomet łączyły się, zmiierzając w stronę morza i tworząc fantastyczny labirynt bagien, kanałów, wysepek i słonawych sadzawek, zanim wpłynęły do płytkiej zatoki, która dochodziła do morza przy północnym krańcu Crow Island. Mniej więcej połowa podmokłych terenów była obszarami chronionymi z uwagi na żyjące tam gatunki ptaków i zwierząt. Pozostała część była w dużej mierze niedostępna i uznawana za pustkowia, niezamieszkane i nienadające się do zasiedlenia z powodu niekorzystnych warunków środowiskowych; latem nękała ją plaga gzów i much końskich, a z perspektywy zwierząt była tak mało istotna, że nie zaliczono jej do obszaru okolicznego rezerwatu przyrody. Wartość tych terenów kryła się wyłącznie w ilastych

błotnistych równinach, odsłoniętych w porze odpływu, lecz nawet te obszary były w większości niedostępne, niezależnie, czy ktoś próbowałby poruszać się tutaj łodzią, czy na piechotę.

Pendergast przemykał z istic kocią zwinnością, posiłkując się jedynie księżycem jako źródłem światła. Od czasu do czasu przystawał, by sprawdzić kierunek wiatru albo zapach obecny w powietrzu. Przez moment wychwytał słabą woń opalanego drewnem ogniska; trudno powiedzieć, czy napłynęła od strony domostw Dill Town oddalonych osiem kilometrów na północ, czy od koczowiska bezdomnego, który zdaniem Boyle'a zamieszkiwał moczary, w każdym razie agent przystanął i odnalazłszy swoją pozycję na mapie i ustaliwszy kierunek wiatru, narysował linię biegnącą pod wiatr.

Pendergast wybrał punkt na moczarach znajdujący się mniej więcej półtora kilometra w górę rzeki od miejsca, gdzie znaleziono ciało historyka. Biorąc pod uwagę pływy i kierunek wiatru, uznał, że mężczyzna musiał zostać zamordowany gdzieś nad kanałem i tam porzucono jego zwłoki. Jego przypuszczenia nie były poparte żadnymi dowodami, gdyż dysponował skąpą ilością informacji. Ponieważ nie natrafił jednak na nic ciekawego, skoncentrował się na zasadniczym celu tej wyprawy – odizolowanych podmokłych wysepkach, leżących na odległych zachodnich krańcach moczarów, poza granicami rezerwatu.

Prześlizgując się wśród traw, nie myślał. Uciszając wewnętrzny głos, był jak zwierzę, istniejące tu i teraz jako zbiór precyzyjnie zestrojonych ze sobą organów czuciowych. Na myślenie przyjdzie czas.

Słone trawy miały około półtora metra wysokości, a on przemierzał je w linii prostej, rozchylając żdźbła dłońmi w rękawiczkach. Grunt pod stopami był gąbczasty, tu i ówdzie pojawiały się kałuże, otwory będące dziełem piżmoszczurów i jamy powstałe podczas silniejszych przyływów. Trawa była ostra, ale on miał na sobie sięgające aż do piersi wodery i czarną filsonowską kurtkę.

Po przejściu prawie kilometra Pendergast natknął się na dwie ścieżki biegnące wśród traw. Obie były zbyt wąskie, by mógł je pozostawić człowiek, a szybkie badanie gruntu pozwoliło mu odkryć ślady jelenia na jednej z nich i odciski łap piżmoszczura na drugiej.

Niebawem trawy ustąpiły miejsca błotnym równinom o szerokości

blisko czterystu metrów, przez które meandrycznie ciągnął się niewielki kanał rzeczny, teraz jednak – w porze odpływu – było w nim niewiele wody.

Pendergast wszedł na zalewisko, z każdym krokiem pogrążając się w grząskim błocku. W osiem minut udało mu się przejść na ukos przez błotnistą połąć i dotrzeć na drugą stronę, gdzie znajdowała się bagienna wysepka. Na wpół zapomniana tabliczka, mocno naruszona przez ząb czasu, wskazywała, że opuszczał teren rezerwatu przyrody.

Szedł dalej przez trawy i płycizny. Zaczął się półgodzinny okres martwej wody, apogeum odpływu; niedługo zacznie się przypływ. Tu przypływy były naprawdę spore, sięgały nawet trzech metrów, a więc mniej więcej za dwie godziny Pendergast zostanie odcięty przez zalewające te tereny wody oceanu, kanały zaś staną się zbyt głębokie, a prądy zbyt silne, by udało mu się je pokonać.

Daleko, bardzo daleko w głębi moczarów, pośrodku odległej wysepki, natknął się na tunel biegnący wśród traw, który nie był ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Ukląkł tam i trzymając latarkę ołówkową nisko nad ziemią, włączył ją, a następnie zbadał powierzchnię gruntu. Niemal natychmiast dostrzegł ślad ludzkiej stopy w, jak się wydawało, dość topornym podkutym bucie, choć ćwieki w podeszwie były w większości pościerane, a kilku z nich w ogóle brakowało. Ślad był świeży, mógł mieć nie więcej niż dwa, trzy dni.

Pendergast rozłożył mapę i oznaczył położenie ścieżki, po czym ruszył dalej tym przypominającym tunel przejściem. Droga była kręta i półtora kilometra dalej kończyła się na błotnistej równinie, na skraju moczarowej wysepki, gdzie wszelkie tropy zostały wymazane przez prądy pływów. Dostrzegł jednak, że ciągną się po drugiej stronie płycizny.

Zawrócił w stronę środka wysepki. Mapa topograficzna, którą się posługiwał, wskazywała, że na drugim końcu wyspy znajduje się wyżej położony teren – chodziło o obszar leżący zaledwie metr wyżej, jednak nawet metr w potencjalnej strefie zalewowej znaczył bardzo dużo.

Pendergast ponownie ruszył w linii prostej przez gąszcz słonych traw, które osiągały tu nawet metr osiemdziesiąt i mieszały się z nieco rzadszymi trzcinami. Na końcu szuwarów teren prawie niedostrzegalnie

się wznosił. Agent zaczął zataczać krąg wokół wyżej położonego terenu, po czym przeciął go na ukos, najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, jakby prowadził przed sobą kosiarkę do trawy. Co kilka minut zatrzymywał się, klękał w gęstej trawie i badał miękki grunt. W którymś momencie znów poczuł zapach opalanego drewnem ogniska i oznaczył to miejsce na mapie, rysując kolejną linię wskazującą kierunek wiatru. Te dwie wytyczone przez niego linie przecięły się w punkcie oddalonym o trzy, może trzy i pół kilometra.

Kontynuował poszukiwania, wędrując w ciszy jeszcze przez prawie godzinę. Wreszcie, niemal pośrodku wysepki na bagnach, Pendergast natknął się na wystający z błota płaski kamień. Wyciągnął go i obejrzał – był to mocno podniszczony fragment łupku. Na błotnistych płyciznach nie ma występujących w formie naturalnej kamieni. Odkładając go na miejsce, oznakował je w ręcznym GPS-ie. Następnie, poczuwszy od tego miejsca, zaczął zataczać coraz węższe kręgi, natrafiając tu i ówdzie na kolejne kamienie. Każdy z nich skrupulatnie odznaczał w GPS-ie. Pracował tak, dopóki starczyło mu odwagi, w końcu jednak, wiedząc, że zbliża się przypływ, schował GPS oraz mapę i zawrócił w stronę miejsca, z którego przybył.

Przeszedł nie więcej niż trzy metry, gdy usłyszał jakiś hałas – bluźnierczy, upiorny, przeciągły, dobiegający z oddali skowyt, którego echo poniosło się nad rozległymi moczarami. Pendergast słyszał już wcześniej tego rodzaju krzyk. Wyraźny, jedyny w swoim rodzaju ludzki krzyk, zrazu pełen zdumienia i niedowierzania, a następnie bólu, aż w końcu egzystencjalnej grozy.

Był to krzyk mordowanego człowieka.



Krzyk przeszedł w zawodzące skomlenie, które rozpląnęło się pośród szumu nocnego wiatru. Pendergast znieruchomiał na chwilę. Znow sprawdził kierunek wiatru, ukląkł, wyjął mapę, szybko ją rozwinął i nakreślił na niej wąski stożek obejmujący przybliżony kierunek, z którego rozległ się dźwięk. To nie mogła być duża odległość, nawet biorąc pod uwagę fakt, że dźwięk niósł się z wiatrem – najwyżej kilometr, może nawet mniej. Co oznaczało, że do morderstwa – bo Pendergast nie wątpił, że ktoś został zabity – doszło w najbardziej niedostępnym rejonie bagien Exmouth: w plątaninie kanałów i mielizn, cuchnących i porośniętych trzcinami.

Stamtąd dochodziła też woń dymu.

Agent sunął szybko jak wąż, rozgarniając gęstwinę rękami, aby utorować sobie drogę, jednocześnie zachowując ciszę i dbając o zasady bezpieczeństwa. Dotarł do kolejnej ścieżki, tunelu wśród traw, węższego, lecz będącego raczej dziełem człowieka, i wkrótce znalazł się na skraju następnego pasma błot. Tymczasem poziom wód zaczął się podnosić. Czarna woda wpływała w głąb łądu i wąska strużka, którą jeszcze do niedawna był śródlądowy kanał, zamieniła się w rwącą rzekę o szerokości pięciu metrów, rozlewającą się coraz dalej, unoszącą ze swoim nurtem brudną pianę, liście i rozmaite odpadki. Przesuwające się po niebie chmury raz po raz przesłaniały księżyc.

Pendergast przystanął, żeby zorientować się w sytuacji. Poziom wód błyskawicznie się podnosił, a od przypuszczalnego miejsca zbrodni wciąż oddzielało go wiele kanałów i strumieni. Dotarcie tam zajęłoby

mu około godziny, a wówczas zostałby uwięziony, nie mógłby powrócić aż do nadejścia kolejnego odpływu za sześć godzin. Brakowało mu informacji dotyczących ofiary, zabójcy, ukształtowania terenu i okoliczności. Wszystko działało na jego niekorzyść; byłoby nieroztropnością graniczącą z brawurą, gdyby rzucił się na oślep w stronę, z której dobiegł krzyk.

Zawrócił więc w gąszcz traw i sprawdził komórkę, chociaż nie liczył na to, że w tym odludnym miejscu mógłby złapać zasięg. Nic z tego. Spojrzał na mapę. Musiał wydostać się stąd i jak najszybciej zgłosić morderstwo. Znajdował się mniej więcej w środku bagien. Najszybciej mógł wrócić nie drogą, którą tu przybył, lecz kierując się w przeciwną stronę, w głąb kanału i lasu o nazwie King's Mark State. Jak wynikało z mapy, przez las biegła nitka szosy prowadzącej z Dill Town do Newburyport.

To będzie najszybsza droga wyjścia – i możliwości na odzyskanie zasięgu w komórce.

Pendergast schował mapę i zebrał się w sobie; z szybkiego kroku przeszedł w równy trucht. Po czterystu metrach dotarł do kolejnego pasa błot, wypełnionego już wodami nadchodzącego przyptywu, brnął więc przez lodowaty nurt mający ponad metr głębokości – wkrótce będzie wynosić ponad dwa i pół metra – i walcząc z coraz silniejszymi prądami, podążał za światłem księżyca, aż na drugim końcu jaśniejszych bagien ujrzał czarną linię drzew. Doszedł do ostatniego kanału zalewowego, przez który wartko płynęła teraz woda. Wkroczył do niej i szybko się przekonał, że kanał jest zbyt głęboki, aby mógł go przebyć, idąc; będzie musiał popłynąć.

Wycofał się, odpiął wodery, bo stałyby się śmiertelną pułapką, gdyby wypełniły się wodą. Zrolował mapę i wraz z innymi rzeczami owinął ją w ceratę, uniósł pakunek nad głowę i wszedł do kanału. Miał on dziesięć metrów szerokości i gdy tylko Pendergast wyrwał stopy z mułu, prąd zaczął go unosić. Przeciwny brzeg przesuwiał się bardzo szybko, podczas gdy agent płynął, poruszając energicznie nogami i jedną ręką. Po minucie uporczywej walki udało mu się odnaleźć oparcie dla stóp i ostatni odcinek pokonał, idąc, aż w końcu dotarł na półkolisty brzeg, nad którym zwieszały się gałęzie ciemnych sosen i odsłonięte

korzenie. Wspiął się na skarpę i postanowił odpocząć przez chwilę na skraju lasu, wycierając nogi z błota. Według wskazań mapy droga omijała moczary i prowadziła do Dill Town, oddalonego o jakieś sześć kilometrów, którą to odległość Pendergast mógł pokonać w godzinę szybkim marszem. Z Dill Town do właściwego Exmouth było jeszcze pół kilometra.

Wstał i ruszył w las. Droga powinna znajdować się kilkaset metrów stąd i raczej nie sposób było ją przegapić. Las był jednak ciemny i stanowił istną płataninę korzeni i pnączy, nie licząc dzikiej róży porastającej drzewa aż do połowy wysokości, dławiąc je i zabijając, pozostawiając zaschnięte szkielety konarów odcinające się surowo na tle nocnego nieba. Las rozbrzmiewał echem rechotu żab i odgłosów nocnych owadów oraz rozlegającym się od czasu do czasu mrozącym krew w żyłach pohukiwaniem sów. Pendergast omijał kolczaste zarośla dzikiej róży, aż wreszcie dotarł na skąpaną w blasku księżyca polanę.

Zastygł w bezruchu. Nocne odgłosy lasu nagle ucichły. Może sprawiło to jego pojawienie się albo obecność kogoś, kto się tu ukrywał. Po chwili Pendergast pomaszerował na ukos przez polanę, jakby nic się nie stało. Na drugim końcu przecinki wszedł w gęsty zagajnik drzew iglastych i znów się zatrzymał. Wziął do ręki trzy nieduże kamyki, cisnął nimi, rzucając najpierw jeden trzy metry przed siebie, po chwili drugi sześć metrów naprzód, aż w końcu trzeci na odległość dziesięciu metrów, wydając przy tym ciche odgłosy, jakby wciąż szedł przez las.

Czekał przykucnięty w ciemnościach. Wkrótce usłyszał ciche dźwięki swojego prześladowcy. Ten ktoś poruszał się niemal bezszelestnie, co było rzadką umiejętnością w lesie tak gęstym jak ten. Po chwili przez spowitą cieniem polanę prześlizgnęła się olbrzymia postać z bronią w ręce. Gdy mężczyzna się zbliżył, Pendergast sprężył się; poczekał, aż tamten wejdzie w mrok zagajnika, po czym poderwał się, podbił lufę strzelby ku górze i równocześnie barkiem uderzył swojego prześladowcę w bok. Rozległ się rozdzierający huk wystrzału z dwururki. Kiedy mężczyzna wylądował na ziemi, agent unieruchomił go wprawnie i przyłożył mu do ucha lufę les baera kalibru .45. Wokół posypały się płatki kwiatów oraz jeżyny.

– FBI – rzekł półgłosem Pendergast. – Nie próbuj się wyrywać.

Mężczyzna rozluźnił się, Pendergast wstał, ujął strzelbę za lufę i odłożył na bok, po czym odsunął się.

Tamten odtoczył się na bok i usiadł, spoglądając na Pendergasta.

– O w mordę – powiedział. – FBI? Pokaż odznakę.

Agent wyjął legitymację z odznaką i spytał:

– Co pan tu robi?

– Pracuję. A pan właśnie zniweczył cały mój nocny wysiłek. –

Mężczyzna wskazał na kwiaty i jeżyny, które wysypywały się z rozdartej reklamówki. – Mam prawo tutaj być. Moja rodzina mieszka tu od dwustu lat.

Legitymacja zniknęła na powrót w kieszeni Pendergasta.

– Czemu mnie pan śledził?

– Usłyszałem krzyk, a potem zobaczyłem jakiegoś utyłanego w błocie świra przedzierającego się przez mój las, w dodatku niespełna dwa dni po tym, gdy ktoś został zamordowany i pocięty jakieś osiem kilometrów stąd. Nie powinien pan dziwić się, że pana śledziłem, żeby zapytać, czego pan tu szuka.

Pendergast pokiwał głową i schował les baera.

– Przepraszam, że rozsypałem pańskie kwiaty. *Atropa belladonna*, jak widzę. Wilcza jagoda. Zamierza pan użyć tego, żeby, jak żona Klaudiusza, kogoś otruć?

– Nie mam pojęcia, kim, u diabła, jest Klaudiusz ani jego cholerna żona. Zaopatruję w te rzeczy miejscową zielarnię, gdzie robi się z nich nalewki, wywary i proszki. Wciąż używa się tego przy zaburzeniach gastrycznych, gdyby pan nie wiedział. W lasach jest tego pełno.

– A więc jest pan botanikiem?

– Jestem facetem, który próbuje zarobić na życie. Czy mogę już wstać?

– Proszę. I przepraszam za to, co się stało.

Mężczyzna podniósł się i otrzepał z igliwia, liści i drobnych gałązek. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, ale szczupłą sylwetkę, pociągłą twarz, ciemnobrązową skórę, ostry, haczykowany nos i niepasujące do całej reszty zielone oczy. Po jego zachowaniu Pendergast zorientował się, że jest byłym wojskowym.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Paul Silas.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Muszę znaleźć telefon – rzekł Pendergast.

– Mam telefon w domu. Furgonetka stoi niedaleko stąd, przy drodze, mogę pana podwieźć.

– Chętnie skorzystam.

Pendergast podążył za Silasem przez las, aż dotarli do wąskiej drogi, na której poboczu stał samochód. Agent był niezadowolony, że nie może zająć miejsca w wyłożonej skórzaną tapicerką szoferce; Silas poprosił go, by pojechał na pace jak pies. Kilka minut później furgonetka zajeżdżała na pylisty podjazd prowadzący do niewielkiej drewnianej chatki z bali stojącej w lesie niedaleko skraju moczarów, niespełna kilometr od Dill Town.

Silas wszedł do chatki i zapalił światło.

– Telefon jest tam.

Pendergast wybrał numer alarmowy, zdał krótki raport dyspozytorce i po chwili połączono go z sierżantem Gavinem. Jemu bardziej szczegółowo zrelacjonował całą sytuację, po czym się rozłączył. Spojrzał na zegarek: dochodziła trzecia w nocy.

– Nie zdołają dojść daleko na tych bagnach, nie o tej porze – stwierdził Silas. – W połowie przypływu prędkość prądów wynosi od dziesięciu do dwudziestu węzłów.

– Zaczną w końcowej fazie przypływu, wykorzystując motorówki.

– To ma sens. Zamierza pan przyłączyć się do poszukiwań?

– Oczywiście. Czy mógłbym poprosić pana o odwiezienie do Exmouth?

– Nie ma sprawy. Najpierw jednak, skoro mamy trochę czasu, niech pan choć trochę obeschnie. – Silas otworzył drzwiczki pieca i wrzucił do środka dwa kawałki drewna. Kiedy Pendergast podszedł, żeby usiąść, Silas odwrócił się. – Tylko nie na kanapie, bardzo proszę. Drewniany fotel bujany jest całkiem wygodny.

Pendergast usiadł więc na bujanym fotelu.

– Wygląda pan, jakby przydała się panu szklanka burbona.

Agent się zawahał.

– Jakiego, jeśli wolno spytać?

– Jest pan wybredny, prawda? Dwudziestoletni pappy van winkle.
Nie uznaję żadnych bimbrów ani zajzajerów.

Pendergast uniósł głowę.

– Może być.

Silas zniknął w kuchni i wrócił z butelką burbona i dwiema szklankami. Postawił je z brzękiem na stoliku do kawy, po czym napełnił jedną, a następnie drugą.

– Jestem panu wielce zobowiązany, panie Silas – powiedział Pendergast, sięgając po trunek.

Silas upił mały łyk.

– A więc wybrał się pan tam w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa historyka?

– W rzeczy samej.

– Wrzask, który się tam rozległ, mógłby sprawić, że sam diabeł upadłby na kolana i zaczął odmawiać różaniec.

Pendergast wyjął mapę i rozłożył na stole.

– Chciałbym, żeby wskazał pan, gdzie pan był wtedy, kiedy usłyszał ten krzyk, i z której strony pańskim zdaniem dochodził.

Silas przysunął mapę do siebie i pochylił się nad nią, a jego czoło przecięły głębokie bruzdy.

– Byłem dokładnie tutaj, w tych lasach, a krzyk dobiegł z tej strony. – Powiódł palcem po mapie.

Pendergast sporządził krótką notatkę. Palec Silasa spoczął na fragmencie stożka, który agent narysował wcześniej na mapie.

– To powinno pomóc w poszukiwaniu ciała. – Zwinął mapę. – Czy słyszał pan plotki, jakoby ktoś mieszkał na tych moczarach?

– Nic konkretnego. Ale gdybym próbował uciec przed prawem, właśnie tam bym się zaszył.

Pendergast napił się burbona.

– Panie Silas, wspomniał pan, że pańska rodzina mieszka tu już od dwustu lat. Musi pan sporo wiedzieć o tutejszej historii i na pewno doskonale ją pan zna.

– Cóż, nigdy nie przepadałem specjalnie za genealogią.

W dawnych czasach Dill Town znane było jako osada czarnych, zamieszkiwały ją głównie rodziny wielorybników. Ale nie byli to tylko

Afroamerykanie. Znajdowało się wśród nich sporo osób mających w swoich żyłach krew mieszkańców południowych mórz – Tahitańczyków, Polinezyjczyków, Maorysów. Ja sam jestem prawie na wpół Maorysem. Maorysi byli najlepszymi harpunnikami, jacy kiedykolwiek istnieli. Niektórzy kapitanowie statków mieli żony, a nawet całe rodziny z rejonów południowych mórz. No wie pan, zabierali je ze sobą na pokład podczas długich rejsów. Zostawiali je właśnie tu, w Dill Town, zanim wrócili do Bostonu i do swoich białych rodzin. Kiedy wracali na morze, ponownie je stąd zabierali. – Pokręcił głową.

– Jest pan zatem potomkiem pierwotnych mieszkańców Dill Town?

– Jasne, że tak. Jak powiedziałem, mam w sobie krew Maorysów i Afrykańczyków. Mój pradziadek miał niesamowite plemienne tatuaże, a w każdym razie babcia tak mówiła.

– Jak rozumiem, większość Afroamerykanów opuściła Dill Town po linczu, do którego tam doszło.

Silas pokręcił głową.

– To była straszna sprawa. Okropna. Ten człowiek był rzecz jasna niewinny. Ale dla bandy samozwańczych stróżów prawa, którzy go powiesili, nie miało to najmniejszego znaczenia. Mieszkańcy Dill Town uznali, że nie jest to dobre miejsce dla nich i ich rodzin. Dzięki temu, że interes wielorybniczy jeszcze się kręcił, mieli pieniądze, żeby wyjechać, i większość z nich właśnie tak zrobiła. Niektórzy udali się do New Bedford. Inni szukali szczęścia znacznie dalej, w ubojni bydła w Chicago.

– Ale pańska rodzina została tutaj.

– Mój dziadek stracił rękę, tę, w której trzymał harpun, w wypadku podczas wyprawy wielorybniczej i zaczął się parać zielarstwem. W okolicy jest mnóstwo ziół, zwłaszcza wilczej jagody, która rośnie tu niemal wszędzie. Znajdzie ją pan zwłaszcza w miejscu, gdzie kiedyś było Oldham. Nie mogłby rozwinąć tych umiejętności w wielkim mieście, takim jak New Bedford. Dlatego zostaliśmy. Wynieśliśmy się jednak z miasta i przeprowadziliśmy kawałek dalej i oto, gdzie teraz jesteśmy. – Rozłożył szeroko ręce.

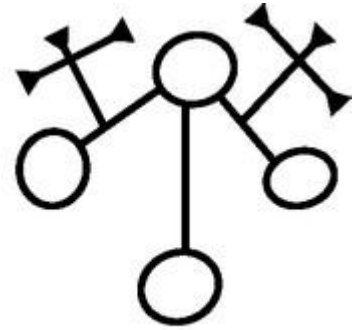
– Mieszka pan sam?

– Miałem żonę, ale mnie zostawiła. Twierdziła, że czuje się tu zbyt osamotniona. Mnie samotność raczej nie doskwiera albo może raczej nie przeszkadza, chociaż zawsze cieszę się, gdy kogoś spotykam. Nie jestem pustelnikiem. Raz w tygodniu wpadam do gospody, żeby się napić, najeść małży i zagrać w domino z kolegami.

Pendergast wstał ze szklanką w dłoni, podszedł do okna i spojrzął w kierunku moczarów, w ciemność na południowym zachodzie.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan odwieźć mnie już teraz do miasta. Mam jednak jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Ci samozwańczy stróże prawa, o których pan wspominał. Kim oni byli?

– Nikt tego nie wie. Ale to miejscowi, nosili maski. Powiem panu jedno: mój dziadek twierdził, że w Exmouth żyje naprawdę najgorszy element. I nie miał na myśli zwykłych mętów, ale ludzi naprawdę złych, przesiąkniętych złem do szpiku kości. Mawiał, że byli jak Szary Żniwiarz z legendy i tylko szukali okazji, żeby stworzyć własne piekło.



– Jest pan pewien, że to nie był lelek? – spytał komendant Mourdock. – One wydają dźwięki przypominające ludzkie głosy.

Sierżant Gavin, siedzący na rufie policyjnej łodzi motorowej i jedną ręką obsługujący ster, gdy płynęli przez zatokę Exmouth w stronę moczarów, skrzywił się. Mourdock, nawet teraz, kiedy wskazano mu miejsce w szeregu, wciąż był skończonym osłem. Jednakże Pendergast, siedzący na dziobie niczym dziwaczny czarny galion i trzymający w ręce zwiniętą mapę, w ogóle nie zwrócił uwagi na komendanta.

Z tyłu za nimi podążały jeszcze dwa skify wyposażone w radia. Z powodu dużego zachmurzenia wschód słońca jawił się tylko jako słabo widoczna plama światła na horyzoncie. Mourdockowi zebranie ekipy zajęło więcej czasu, niż spodziewał się tego Gavin – ale sceptycyzm komendanta w związku z tą wyprawą widać było praktycznie na każdym kroku – i dlatego dopiero przed siódmą rano policyjna motorówka wpłynęła do ujścia rzeki Exmouth. Przez noc temperatura znacznie spadła i nie przekraczała teraz dziesięciu stopni Celsjusza, a na moczarach było jeszcze chłodniej niż w głębi łądu. Dwadzieścia minut temu przypływ osiągnął apogeum i nastał okres tak zwanej martwej wody. Mieli niewiele czasu, zanim poziom wód zacznie się obniżać, a prądy znów przybiorą na sile wraz z odpływem. Ponieważ Gavin jako nastolatek dorabiał zbieraniem małży na zalewisku, czuł respekt przed tym odległym od cywilizacji miejscem, przerażającą izolacją i mącącymi umysł prądami pływowymi, które mogły porwać człowieka, jeżeli nie zachowało się należytej ostrożności. Dobrze pamiętał, jak kiedyś został

uwięziony na jednej z bagiennych wysepek na całą noc, bo zapomniał o porze najbliższego przypływu.

– Uwaga! – zawołał z dziobu Pendergast.

Gavin ominął na wpół ukryte pod wodą pale, po czym znów spojrzał przed siebie. Stado czerwonoskrzydłych kosów spłoszonych ich pojawieniem się poderwało się z trzepotem w górę spomiędzy trzciny. Kilkaset metrów dalej dostrzegł początek labiryntu słonych trzęsawisk, gdzie tory wodne i wysepki łączyły się w jedno wielkie kłębowisko kanałów i ich ślepych odnóg. Błotne równiny były teraz całkowicie ukryte pod wodą, ale to nie potrwa długo.

Pendergast usłyszał krzyk, kiedy zbliżał się przypływ, i był w stanie z grubsza określić na mapie obszar, skąd mógł on dobiegać. Gavin spojrzał na swoją mapę i ponownie pomyślał o prądach. Gdyby potencjalny zabójca wrzucił ciało do wody, nadchodzący przypływ zniósłby je dalej, w głąb zalewiska, gdzie być może porwałby je prąd wsteczny i zaniósł do miejsca, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie. Gdyby jednak nie zostało porwane przez prąd, po zmianie pływów mogłoby zostać wyniesione prawie do morza, tak jak prawdopodobnie stało się to ze zwłokami historyka.

Naprawdę, przy tych szalonych prądach ciało mogło być praktycznie wszędzie.

– No dobra – rzekł komendant, podnosząc głos, aby dało się go usłyszeć przez radio pomimo pracującego osiemnastokonnego silnika Evinrude. – Jack, sprawdź prawy kanał, my weźmiemy środkowy, a ty, Ken, zbadaj ten po lewej.

Łodzie się rozdzieliły; Gavin wprowadził skif do środkowego kanału. Niebawem załogi straciły się z oczu wśród połaci traw. Panował straszny ziąb. Wokół rozciągał się szary, monochromatyczny świat. Gavin dostrzegł klucz dzikich gęsi kierujących się na południe.

– Zwolnij i patrz uważnie – polecił komendant.

Gavin zmniejszył prędkość. Kanał zwężał się, ale teraz po obu jego stronach widać było węższe odnogi i rozgałęzienia drogi wodnej.

– W którą stronę? – spytał.

Zanim komendant zdążył się odezwać, Pendergast wyciągnął kościstą rękę, wskazując w stronę kanału i rozkładając mapę. Gavin

zastanawiał się, gdzie jest Constance, wolałby, żeby to ona siedziała na dziobie łodzi, a nie ten dziwak Pendergast. Na samą myśl o nim ciarki przechodziły mu po plecach.

Komendant zamilkł, gdy skręcili we wskazany przez agenta kanał. Był znacznie węższy, tu i ówdzie pnie drzew wystawały z brzegu, a na wpół zatopione w błocie czarne gałęzie wznosiły się nad wodą, jakby chciały ich zatrzymać. Było całe mnóstwo miejsc, gdzie mogło uwięznąć ciało i gdzie następnie mogła przykryć je woda. Zakładając, że ciało znajduje się w wodzie, bo przecież równie dobrze mogło spoczywać na środku wysepki słonych traw, gdzie nie zostanie znalezione, dopóki nie zaczną krążyć nad nim wrony.

Pendergast znów wskazał kierunek, potem zrobił to raz jeszcze, nie mówiąc ani słowa, Gavin zaś sterował, pokonując kolejne odcinki kanału. Być może w tym szaleństwie była jakaś metoda, ale on jej nie dostrzegał. Komendant siedział pośrodku łodzi z zaplecionymi masywnymi łapskami i marsową miną, a na jego twarzy malowała się niechęć do tego przedsięwzięcia. Nawet nie próbował udawać, że się rozgląda.

Minuty mijały w milczeniu. Gavin czuł się kompletnie zagubiony, ale po sposobie, w jaki Pendergast konsultował się z mapą i oznaczał na niej kolejne punkty ołówkiem, nie miał wątpliwości, że agent FBI wie, gdzie się znajdują.

– Ee, agencie Pendergast? – zagaił.

Biała twarz odwróciła się ku niemu.

– Pływy się zmieniły. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć.

Zaczęły się pojawiać silniejsze prądy.

– Dziękuję. Proszę kontynuować.

Proszę kontynuować. Ten akcent – Gavin nigdy takiego nie słyszał. Południowy, rzecz jasna, ale jakiś inny. Zastanawiał się, czy ten facet sypia z Constance.

Płynęli w górę jednym kanałem, drugim w dół. Robiło się coraz chłodniej. Kilka mew towarzyszyło im przez chwilę z głośnym skrzeczeniem, a jedna strzyknęła strugą nieczystości do wody tuż obok burty łodzi. Szczury ze skrzydłami, tak pogardliwie nazywali je poławiacze homarów. Od czasu do czasu komendant rozmawiał przez

radio z pozostałymi. Im najwyraźniej też szczęście nie dopisywało, a jedna z łodzi chyba całkiem się zgubiła. Próbowali określić jej położenie na podstawie GPS-u, ale z uwagi na brak sygnału dla komórek było to niemożliwe.

Pendergast tymczasem nie wydawał się ani trochę zagubiony. A jeżeli nawet, to dobrze to ukrywał.

Prąd rzeczywiście przybrał na sile, zaczął się odpływ i poziom wód opadał. Łódź walczyła z prądem, zwiększając obroty silnika, ale niewiele to dało. Gavin spojrzął na zegarek.

– Agencie Pendergast? – powtórzył.

Błada twarz znów odwróciła się ku niemu.

– Poziom wód opadł prawie pół metra. Lepiej, żebyśmy wynieśli się stąd najpóźniej za pół godziny.

– Zrozumiałem.

Czarno odziane ramię znów wskazało kierunek i skręcili w kolejną odnogę. Gavin zauważył, że komendant zaczął się denerwować.

– Sierżant ma rację – powiedział Mourdock. – Lepiej zawróćmy, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Jego słowa zostały zignorowane. Płynęli dalej.

– Stać! – rzucił ostrym tonem Pendergast, a jego dłoń uniosła się jak ramię semafora. Mijali właśnie kolejne wystające z wody drzewo, które uwięzło w mule przy drugim brzegu. Gavin zmniejszył obroty silnika, ale tylko trochę, żeby prąd nie poniósł ich w przeciwną stronę.

– Proszę podpłynąć do kłody – rzekł Pendergast.

– Tu jest za płytko – powiedział Gavin. – Ugrzęźniemy na mieliźnie.

– To ugrzęźniemy.

– Chwileczkę! – odezwał się zaniepokojony komendant. – Co jest tak cholernie ważnego, że mielibyśmy ryzykować życie?

– Proszę spojrzeć. – Pendergast wskazał ręką.

Tuż pod powierzchnią błotnistej wody można było dostrzec bladą dłoń kołyszącą się w tę i z powrotem, poruszaną prądem, jakby machała na pożegnanie, choć wyglądało to dość groteskowo, żeby nie powiedzieć: upiornie.

– O cholera – wymamrotał Gavin.

– Proszę zarzucić linę na tę wystającą gałąź i zacumować przy niej łódź – rzekł Pendergast.

Gavin zrobił pętlę na końcu cumy i rzucił ją w kierunku wystającego konaru, równocześnie regulując obroty silnika, żeby utrzymać łódź w miejscu. Rzut okazał się celny, wyłączył więc silnik i podniósł go, po czym podciągnął łódź do kłody i zacumował ją jak należy. Czuł opór mułu pod dnem i prąd przetaczający się obok, powodujący drżenie kadłuba.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – powiedział komendant.

Pendergast jednak wychylił się już z łodzi, sięgając ponad burzę.

– Poproszę drugą linę.

Gavin mu ją podał. Agent schwycił ramię i gdy je ciągnął, spod powierzchni wody wyłoniła się głowa. Gavin pospieszył z pomocą i przewyciężając obrzydzenie, schwycił znajdujące się pod wodą drugie ramię, ciężkie, lecz kompletnie bezwładne.

Pendergast przewiązał sznur wokół przegubu trupa. Ciało dość lekko uwięzło wśród gałęzi i mułu, ale nagle uwolnione, unosiło się ku powierzchni i zaczęło być znoszone przez prąd w dół rzeki.

– Proszę ciągnąć! – nakazał Pendergast.

Gavin pociągnął za linę, wykorzystując dulkę w charakterze hamulca, i wraz z Pendergastem wspólnymi siłami podholowali ciało do burty, pokonując opór prądu.

– Na miły Bóg, chyba nie zamierza pan wtaszczyć tego do łodzi! – zawołał komendant.

– Proszę się przesunąć – rzekł krótko Pendergast, ale komendant nie potrzebował dodatkowej zachęty, by usunąć się na bok, gdy dwaj mężczyźni, uchwyciwszy mocniej ciało, zaczęli szykować się do wciągnięcia go do motorówki. – Na trzy.

Z niemalym wysiłkiem przeciągnęli trupa przez burzę, po czym ciało plasnęło o dno łodzi jak wielka martwa ryba. Ubranie, które miał na sobie nieboszczyk, było porozdzierane i postrzępione wskutek działania prądów rzecznych; leżał twarzą do dołu, z odsłoniętymi plecami. Pendergast, wciąż trzymając ramię, delikatnie odwrócił ciało.

Gavin natychmiast rozpoznał tę twarz. Kiedy jednak po chwili spostrzegł nacięcia na ciele, tak nim to wstrząsnęło, że nie był w stanie

wydobyć z siebie głosu.

W przeciwieństwie do komendanta.

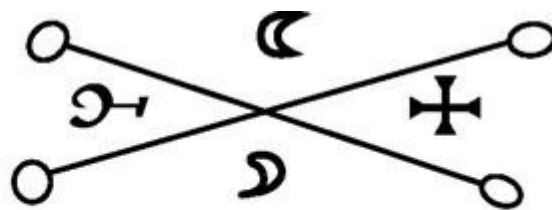
– Toż to Dana Dunwoody! – Mourdock spojrział na Pendergasta. – Brad wspominał mi wczoraj, że miał pan względem niego podejrzenia. Jeżeli takie rzeczy przytrafiają się pańskim podejrzanym, mam nadzieję, że nie zacznie pan podejrzewać mnie.

Gavin ani Pendergast w ogóle go nie słuchali. Byli zbyt zaaferowani oględzinami ciała.

– Pocięty jak ten historyk – wykrztusił w końcu Gavin.

– W rzeczy samej – przyznał Pendergast. – Znów te same symbole, litery układające się w słowo „tybane”. – Nachylił się, tak bardzo zbliżając twarz do szarej, błyszczącej, gumowatej skóry, że wyglądało to naprawdę odrażająco. – To ciekawe. Nacięcia na ciele pana McCoola zostały wykonane zdecydowanie i z wigorem. Te, przynajmniej po części, wydają się inne.

– Dobrze, dobrze, niech o tym zdecyduje koroner – stwierdził Mourdock. – A teraz dajmy znać pozostałym i wynośmy się stąd w cholerę.



– Wejź, siostró!

Constance zawahała się, stając w progu sklepu zaniedbanego centrum handlowego na obrzeżach Salem. Kobieta w wiktoriańskiej sukni, podobnej do tej, jaką ona miała na sobie, podniosła się energicznie i przyjaznym gestem zaprosiła ją do środka.

– Witaj w kowenie Salem! Skąd przybywasz?

Constance weszła do przestronnego pomieszczenia, które niegdyś było magazynem, a teraz urządzono tu recepcję i miejsce spotkań. Nie zauważyła tu nic dziwnego ani złowróżbnego, było to dość słoneczne, przyjemne pomieszczenie z grubymi dywanami i pomalowanymi na żółto ścianami. Od zaplecza oddzielała je ciemnozielona kotara; Constance odniosła wrażenie, że to miejsce jest nie tylko kowenem, ale i mieszkaniem kobiety.

Postąpiła krok naprzód, by wejść do środka.

– Zdejmij buty! – nakazała ostro kobieta.

– Och, przepraszam. – Constance zdjęła czółenka.

– Wejź i usiądź, proszę.

Constance odstawiła torebkę i zajęła miejsce na krześle. Było niewygodne i trochę brudne, więc znów pożałowała, że nie wróciła do domu przy Riverside Drive 891, gdzie mogłaby teraz grać na klawesynie albo czytać książkę, zamiast zrywać się bladym świtem, by na życzenie Pendergasta wynajętym samochodem jechać z Exmouth do Salem. Agent wrócił do gospody o czwartej nad ranem, lecz gdy tylko się przebrał, znów wyszedł na spotkanie z policją. Zajrzał do niej na chwilę, by wspomnieć o jakimś zdarzeniu na bagnach, i obiecał, że opowie jej wszystko przy kolacji, po czym nakłonił ją do tego, by jak najszybciej

udała się do Salem. *Twoja analiza i twoje zalecenia są naprawdę niezbędne.* Nieraz te słowa uznania, wypowiedziane przez agenta w środku nocy, rozbrzmiały głośnym echem w jej głowie. Powierzył jej to zadanie, uważał za ważne i dlatego, niezależnie, co o tym myślała, zamierzała uczynić wszystko, co w jej mocy, aby pomyślnie je wykonać.

Kobieta usiadła naprzeciw niej. Była masywną, dobrze zbudowaną matroną po czterdziestce, z obfitym biustem i zuchwałym, wysuniętym do przodu podbródkiem. Przyglądała się Constance z niejaką podejrzliwością i formalnym tonem oświadczyła:

– Jestem Shadow Raven z kowenu Salem, największego zboru w Nowej Anglii.

Wykonała dziwny staroświecki gest dłonią, przywodzący na myśl kurtuazyjne średniowieczne pozdrowienie.

– Nazywam się Constance Greene.

– Miło mi. – Kobieta otaksowała ją wzrokiem od stóp do głów. – Cóż za piękna suknia. Jaka prosta linia z podwyższoną talią i bufiastymi rękawami. Skąd ją masz?

– Mam ją już od jakiegoś czasu.

– Z jakiego jesteś kowenu, siostrze? Sądziłam, że znam wszystkich wyznawców wicca w Nowej Anglii, ale ciebie nigdy nie widziałam.

– Nie jestem z żadnego kowenu. W ogóle nie jestem wiccanką. Shadow Raven zdziwiła się, zaraz jednak się rozluźniła.

– Rozumiem. Ale interesujesz się wicczką? Może szukasz nauczycielki?

Constance zamyśliła się przez chwilę.

– Owszem, jestem zainteresowana, ale nie tak, jak pani myśli.

Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

– A co – zaczęła Raven, a ton jej głosu stał się ostrożny i podejrzliwy – kowen z Salem mógłby mieć wspólnego z morderstwem?

– Źle mnie pani zrozumiała. Nie przychodzę tu, żeby oskarżać, ale żeby prosić o pomoc.

Kobieta znowu się rozluźniła.

– Rozumiem. Wobec tego chętnie pomogę. Musisz mnie zrozumieć, czarownice i czarownicy od stuleci byli prześladowani.

A wicca stawia przede wszystkim na pokój, harmonię i jedność z boską

istotą. Bycie białą wiedźmą oznacza bycie uzdrowicielką, nauczycielką, poszukiwaczką! Należy zauważyć, że nasza religia jest dwadzieścia tysięcy lat starsza niż chrześcijaństwo. – Jej ton stał się protekcyjny. – Owszem, uprawiamy magię, ale nasze zaklęcia mają na celu uzdrawianie, poszukiwanie wiedzy i odkrywanie miłości. Nie angażujemy się w kult szatana ani nie zadajemy się z demonami. Szatan jest tworem chrześcijańskim i możecie go sobie zatrzymać, wielkie dzięki!

Złączyła ręce.

– Nie interesuje mnie ani szatan, ani żaden inny demon – powiedziała Constance, próbując zahamować słowotok Raven i zmienić temat rozmowy. – Przychodzę, bo chciałabym zasięgnąć pani opinii w sprawie pewnych znaków i inskrypcji.

– Inskrypcji, mówisz? Przyjrzyjmy się im.

Constance wyjęła kartkę, którą otrzymała od Pendergasta, i podała Raven. Gdy tylko ta wzięła ją do ręki i spojrzała na nią, w pomieszczeniu zapanowała lodowata cisza.

– Czemu się tym interesujesz? – spytała oschle kobieta.

– Jak już pani mówiłam, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

Raven pospiesznie oddała jej kartkę.

– Wicca nie ma nic wspólnego z Inskrypcjami Tybane. Nie mogę ci pomóc.

– Czym właściwie są Inskrypcje Tybane?

– Nie mają żadnego związku z naszym kowenem ani z nami. Nasze credo brzmi: Nie czynić nikomu krzywdy. Każdy, kto zamierza skrzywdzić kogokolwiek za pomocą magiji, nie jest wiccaninem ani wiedźmą. Sam fakt, że przynosisz te znaki tutaj, brukając to miejsce kultu, jest nie do przyjęcia. A teraz przepraszam, mam dużo zajęć. Muszę cię prosić, żebyś niezwłocznie stąd wyszła i zabrała ze sobą te znaki.

– Chce pani powiedzieć – odezwała się Constance – że wie pani coś na temat tych symboli? A jednak odmawia pani udzielenia mi wyjaśnień?

Kobieta wstała przy wtórze nagłego szelestu materiału.

– Tam są drzwi, panno Greene.

Constance nie ruszyła się z krzesła. Nie odrywała wzroku od Raven, która patrzyła na nią gniewnie. Zwisające fałdy luźnej skóry pod podbródkiem wiccanki zatrzęsły się, gdy wskazała drzwi grubym paluchem.

– Ogłuchłaś, kobieto? Wynoś się!

Słyszając gniewny ton skierowany pod jej adresem, Constance poczuła przyływ przerażającej wściekłości, której doświadczyła w przeszłości. Przełknęła ślinę i poczuła, że blednie ze złości. Podniosła się na nogi, odnajdując spojrzenie kobiety. Raven spiorunowała ją wzrokiem, na jej twarzy malowały się władcza zuchwałość i buta.

Constance postąpiła krok naprzód. Teraz stała tak blisko tamtej, że właściwie mogłaby jej dotknąć. Poczula zapach paczuli i kadzidełek. Kobieta nagle straciła rezon, na moment spuściła wzrok.

– Ja... – zaczęła, ale nie dokończyła.

Constance odnosiła wrażenie, jakby z bardzo daleka patrzyła na swoją prawą rękę, która uniosła się powoli i zacisnęła palce na obwisłej skórze poniżej podbródka kobiety.

Raven znów na nią spojrzała, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słowa; wytrzeszczyła oczy.

Constance zaczęła zaciskać palce najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Raven zachwiała się, z jej gardła dobiegło dziwne charczenie.

W kompletnej ciszy Constance kontynuowała ściskanie, wpijając w skórę paznokcie i zatapiając palce coraz głębiej w mięsistą, wiotką szyję.

Nagle kobieta wydobyła z siebie głos. Cofnęła się gwałtownie, łapczywie chwytając powietrze, gdy Constance rozluźniła uścisk.

– Ty! – powiedziała, patrząc ze zgrozą. – Proszę... proszę...

Constance opuściła rękę.

– Pomogę. Tylko już tak na mnie nie patrz. Błagam.

Sięgając do tyłu i nie odrywając wzroku od Constance, Raven odnalazła podłokietniki fotela i osunęła się ciężko na siedzenie, jakby powaliła ją jakaś niemoc. Na skórze jej szyi pojawiły się wyraźne czerwone ślady.

Constance wciąż stała.

– To, o czym powiem... Nikt nie może wiedzieć, skąd masz te informacje.

Constance potrzebowała dłuższej chwili, by gniew w jej wnętrzu wygasł i by znów mogła się odezwać. Wreszcie odparła:

– To zostanie wyłącznie między nami.

– No dobrze... dobrze... – Kobieta sięgnęła drżącą ręką po szklankę wody stojącą na stoliku nieopodal, napiła się i nie bez trudu odstawiła szklankę. – Nikt nie wie dokładnie, co właściwie znaczą Inskrypcje Tybane – powiedziała ochryłym głosem. – Odnaleziono je wycięte na kamiennej tablicy ponad sto lat temu na moczarach Exmouth. W miejscu, gdzie, jak wierzymy, dawno opuszczony kowen urządził sabaty.

– Sabaty?

– To ceremonie odprawiane rytualnie przez czarowników i czarownice w ściśle określonych, z reguły sekretnych miejscach. Ale to nie byli wiccanie parający się białą magią. Tamci praktykowali czarną magię.

– Proszę to wyjaśnić.

– Podczas gdy my, wiccanie, wykorzystujemy zaklęcia i rytuały, żeby czynić dobro, istnieją zbory, które używają magii w przeciwnym celu. Życie obfituje w różne pokusy, czy chodzi o władzę, czy o chęć zemsty, powodów może być mnóstwo: utrata pracy, rywalizacja o czyjeś względy...

– A co znaczy słowo „tybane”?

– *Bane* wywodzi się od staroangielskiego *bana* oznaczającego plagę, uporczywą dolegliwość albo przekleństwo. Kojarzy się również z trucizną. *Wolfsbane*, czyli tojad, inaczej wilcza jagoda, swoją nazwę zawdzięcza temu, że używano go do zabijania wilków.

– A przedrostek *ty*?

– Oznacza tajemnicę.

– Do czego obecnie wykorzystuje się Inskrypcje Tybane?

– Krążą pogłoski, ale to jedynie pogłoski, że niektórzy mogą ich używać do przywoływania ciemnych mocy lub podczas odprawiania rytuałów czarnej magii. Inskrypcje mają potężną i niszczycielską moc i tylko najbardziej lekkomyślna i zdesperowana wiedźma mogłaby się

zdecydować, żeby z nich skorzystać, ponieważ ich dokładny cel i znaczenie nie są do końca jasne. To jak igranie z ogniem.

– Czy pani kiedykolwiek z nich korzystała?

Kobieta spuściła głowę.

– Gdzie jest teraz ten kamień z inskrypcjami? – ciągnęła

Constance.

– Został zniszczony dawno temu. Ale jego odkrywca pozostawił po sobie notatki.

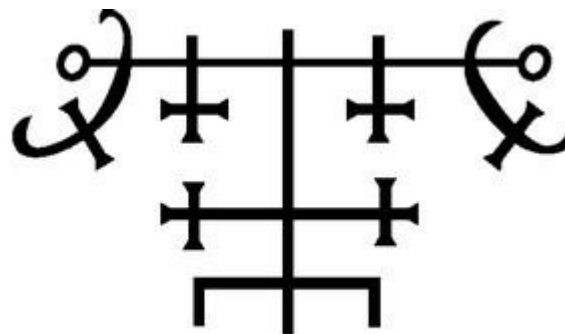
– O jakich notatkach pani mówi?

– O zapiskach archeologa amatora nazwiskiem Sutter. Są tutaj, w Towarzystwie Historycznym Starego Salem. – Po chwili dodała: – Niektórzy nie mogą oprzeć się pokusie, żeby odbyć feralną pielgrzymkę i zajrzeć do tych dokumentów.

– I?

Raven nie uniosła wzroku.

– Wszyscy tego pożałowali.



Constance Greene szła przez malownicze centrum miasta do siedziby Towarzystwa Historycznego Starego Salem, które znajdowało się ponad półtora kilometra od kowenu. Zdziwiła się, że Towarzystwo mieści się w rzucającym się w oczy, dobrze zachowanym budynku z końca dziewiętnastego wieku. Znalazła się w przestronnym holu wyposażonym w najnowocześniejsze katalogi komputerowe i sprzęt elektroniczny oraz chronionym przez bramkę wykrywacza metalu, obsługiwaną przez korpulentnego strażnika.

Po kilku chwilach, podczas których, ku jej irytacji, sprawdzono ją w punkcie kontroli bezpieczeństwa, została wpuszczona do środka. Uśmiechnięta kobieta za biurkiem, jak się okazało, знаła zapiski Suttera i skierowała Constance na drugie piętro.

Szybka winda zawiozła ją na górę, drzwi otworzyły się z sykiem i Constance ujrzała przed sobą skromnie urządzoną salę. Przy pobliskim biurku siedziała starsza kobieta o stalowoszarych włosach zaczesanych w ciasny kok i rozmawiała przez telefon. Gdy Constance podeszła do niej, kobieta odłożyła słuchawkę.

– Constance Greene? – spytała z kurtuazją. – Przychodzi pani, żeby przejrzeć zapiski Suttera?

Constance w odpowiedzi skinęła głową.

– Nazywam się Jobe i jestem bibliotekarką. Zajmuję się archiwizacją bibliotecznych. Proszę za mną.

Kobieta wstała i wzięła do ręki kartę, którą miała zawieszoną na szyi. Spojrzała na Constance z zaciśniętymi ustami i wyrazem niesmaku

malującym się na twarzy.

Constance poszła za nią w głąb korytarza. Kolejne drzwi otworzyły się z sykiem, gdy bibliotekarka machnęła swoją kartą, po czym weszły do niedużego pokoju ze stołem nakrytym sukniem.

– Proszę je włożyć – rzekła Jobe, podając Constance parę białych bawełnianych rękawiczek, a ta wykonała polecenie. – Żadnego dotykania dokumentów gołymi rękami. Wyłącznie ołówek albo komputer, żadnych piór ani długopisów. Proszę usiąść, a ja przyniosę notatki Suttera. Są ostatnio bardzo popularne.

Jobe przeszła przez kolejne drzwi. Po niespełna minucie wróciła, niosąc plastikowe pudełko z plastikowymi teczkami w środku. Postawiła je na stole.

– Wolno wyjmować tylko jedną teczkę naraz. Jakies pytania, panno Greene?

Constance wyczuła, że znów wzięto ją za wiccankę. Zastanawiała się, czy gdyby na jej miejscu był Pendergast, zdołałby wykorzystać tę pomyłkę na swoją korzyść. Pendergast zdawał się mieć wszystkie posunięcia gruntownie przemyślane, od początku do końca, aby osiągnąć jak najlepsze wyniki. A gdy chodziło o zdobycie przewagi, nie miewał żadnych skrupułów.

Ona też powinna tak zrobić.

– Zakładam, że jeszcze inne osoby zjawily się tu, żeby zobaczyć te papiery? – spytała.

– To jedne z najchętniej oglądanych dokumentów w naszych zbiorach.

– Doprawdy? A kto się nimi interesuje?

– Salem stanowi centrum religii wiccańskiej, o czym zapewne pani wie. – Jobe przyjrzała się sukni Constance. – Mamy tu wielu jej adeptów, którzy przychodzą obejrzeć dokumenty i skopiować lub sfotografować ee... inskrypcje.

– Ma pani na myśli Inskrypcje Tybane?

– Tak. – Kobieta się odwróciła.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można.

Gdy bibliotekarka spojrzała na Constance, na jej twarzy malowało się zniecierpliwienie.

– Czy wie pani coś więcej na temat tego archeologa Suttera?
– Sutter nie był archeologiem. Był zaledwie amatorem w czasach, gdy archeologię ledwie zaliczano w poczet zawodów. Mówiąc wprost, był oszustem i hochsztaplerem.
– Czemu pani tak twierdzi?
– Sama pani zrozumie, kiedy zajrzy pani do jego papierów.
– Przeglądała je pani?
– Do moich obowiązków należy między innymi zapoznanie się z zawartością tych teczek. Nie chcę nikogo oczerniać, ale przekona się pani, że Sutter był w najlepszym razie fantastą i mitomanem. – Jobe machnęła ręką. – Gdyby to zależało ode mnie, te papiery już dawno trafiłyby do kosza. Mogą zainteresować jedynie tych, którzy studiują psychologię zaburzeń umysłowych. Albo... – przerwała znacząco, znów spoglądając na Constance – osoby o przekonaniach wiccańskich.

– Rozumiem – Constance odnalazła jej spojrzenie – że omyłkowo wzięła mnie pani za wiccankę.

– To, kim pani jest lub nie, ani trochę mnie nie obchodzi.

– Zdaję sobie sprawę, że moja suknia ma staroświecki krój, a moje zachowania mogą wydawać się dziwne, ale to dlatego, że... – przypomniała sobie, co usłyszała na posterunku policji w Exmouth – jestem amiszka.

Bibliotekarka wydawała się zaskoczona i nieco skrępowana.

– Ach tak. Rozumiem. Nie chciałam... w żaden sposób sugerować, że może pani być kimś innym niż osobą poszukującą informacji. Przychodzi tu wielu wiccan, żeby zajrzeć do tych dokumentów. Nietrudno o wyciągnięcie błędnych wniosków.

– Czary i zaklęcia są według mojej religii absolutnie zakazane. Przychodzę tu, ponieważ... – Constance przerwała na chwilę, jakby z emocji nie mogła wydobyć z siebie głosu – ponieważ moja siostra została wiccanką. Pragnę ją ocalić.

Zaskoczenie Jobe ustąpiło miejsca zakłopotaniu.

– Tak mi przykro... Ale jak te dokumenty miałyby pani pomóc? Rozumiem, że wiccanie zaglądają do nich z ciekawości, jednak, o ile wiem, wiccanie praktykują białą, a nie czarną magię. A biała magia nie ma nic wspólnego z tym, co zawarł w swoich zapiskach Sutter.

– Staram się odnaleźć moją siostrę. Wiem, że tu była. Czy ma pani rejestr osób, które tu przyszły, żeby zajrzeć do tych dokumentów?

– Oczywiście, że mamy taki rejestr, ale... jest utajniony.

Constance pochyliła głowę, a z jej ust wydobył się ledwie słyszalny jęk zawodu.

– Rozumiem. Zasad należy przestrzegać. Tyle tylko, że... nie chciałabym stracić siostry na rzecz tej... wiccańskiej religii.

Nastąpiła długa cisza.

– Cóż, myślę, że możemy zrobić wyjątek. Zajrzę do akt w moim gabinecie.

Jobe wyszła, a Constance jeszcze przez chwilę nie unosiła głowy, żeby z jej ust zdążył zniknąć delikatny uśmieszek. Niezadowolenie, jakie poczuła, udając emocje, których normalnie nigdy by nie ujawniła, zostało zastąpione przez satysfakcję, że udało jej się oszukać tę pełną uprzedzeń, nieprzychylną kobietę. Gdy jej twarz ponownie przepełniło opanowanie, uniosła głowę, przysunęła do siebie plastikowe pudełko i wyjęła z niego pierwszą teczkę opisaną jako „Nowe Salem”.

Wewnątrz znajdowało się kilka pożółkłych papierowych dokumentów. Położyła pierwszy z nich na suknie i ostrożnie otworzyła. Zawierał nie więcej niż tuzin stron pokrytych wykwinnym, dość drobnym odręcznym pismem.

Zapiski dotyczące ponownego odkrycia starej osady Nowe Salem, z dawna zaginionej kolonii czarownic na moczarach Exmouth.

Autor szanowny Jeduthan Sutter

**Członek Towarzystwa Naukowego Antykwarystów z Bostonu,
odkrywca Ostrakonu z Sinuhe**

Autor Fasciculus Chemicus oraz Kluczy miłosierdzia i Tajemnic mądrości.

Trzeciego dnia lipca roku 1871 ja, szanowny Jeduthan Sutter, po wielu tygodniach poszukiwań na terenach podmokłych moczarów

Exmouth odkryłem Nowe Salem, osadę czarowników i wiedźm, w miejscu oddalonym wielce od innych siedzib ludzkich. Ustaliłem rozmieszczenie Quincunx, które wskazało położenie Rytualnego Ołtarza w wiosce, gdzie odbywały się bluźniercze ceremonie i gdzie odprawiano złowrogie praktyki czarnej magii. Stamtąd też, po zlokalizowaniu Centralnego Ołtarza, wykopałem i odzyskałem kamień, który stanowił obiekt bluźnierczego kultu, a który zawierał osobliwe diabelskie objawienia i plugawości. Uczyniłem to wszystko w zbożnym celu, zgodnym z nakazami Głosu Bożego, który wie wszystko, i jako ostrzeżenie dla wszystkich. Teraz zaś ja, Jeduthan Sutter, zanim zniszczę ów bluźnierczy kamień z Nowego Salem, aby zło, które skrywa się w jego wnętrzu i które przeniosło się z tego miejsca do innego, nie mogło dłużej nękać tego świata, postanowiłem sobie, że odwzoruję wszelkie inskrypcje odkryte na rzeczonym kamieniu, by zarejestrowane zostały dla potomności tak dokładnie, jakem miał okazję je ujrzeć, i przedstawię je zgodnie z wiedzą i wolą Pana Naszego i Boga, który raczył otoczyć mnie swą opieką i chronić przed złem, jakie się w nim skrywało.

Quincunx. Układ pięciu przedmiotów: cztery w rogach i jeden w środku czworoboku jak w piątce na kości do gry. O kwinkunksie Constance przeczytała w swoich licznych lekturach i wiedziała, że miał znaczenie w wielu religiach.

Skupiła uwagę na kolejnym dokumencie: kartce papieru znacznie większego formatu niż poprzedni. Delikatnie ją rozłożyła i ujrzała szkic czegoś, co nie mogło być niczym innym jak Kamieniem Tybane, najwyraźniej odwzorowanym w naturalnej wielkości wraz z inskrypcjami – takimi samymi pięcioma symbolami, które widziała wycięte na ciele historyka McCoola.

Wyjęła komórkę i zaczęła robić zdjęcia, z bliska i z dalszej odległości, z lampą błyskową i bez; pracowała szybko i sprawnie. Kiedy skończyła, przejrzała pozostałe dokumenty, nie napotkała w nich jednak nic ciekawego. Żadnych wzmianek, gdzie konkretnie znaleziono tę osadę ani czy Sutter od początku właśnie jej poszukiwał. W zapiskach znajdowało się natomiast sporo cytatów z Pisma Świętego i innych tekstów religijnych. Sutter, jak słusznie zauważyła archiwistka,

faktycznie był hochsztaplerem. Ale nawet hochsztaplerzy dokonują niekiedy zdumiewających odkryć.

Jobe wróciła z kartką papieru.

– To lista gości, o którą pani prosiła. Obejmuje ostatnie sześć miesięcy. Mamy także kamerę monitoringu ukrytą przy tabliczce z napisem „Wyjście”. Oczywiście to poufna informacja, odwiedzający archiwum tego nie wiedzą.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Constance, biorąc listę. – Przejrzę ją później. Najpierw muszę rozszyfrować inskrypcje.

– Może panią pocieszy to – rzekła Jobe – że nie zdziwiłabym się, gdyby te inskrypcje okazały się bezsensownymi bazgrołami, wyssanymi z palca bzdurami. Jak już wspominałam, Sutter był fantastą.

– Ma pani inne akta dotyczące czarów i magii, które pomogłyby mi zrozumieć te symbole lub przynajmniej ustalić, że są nic niewartą mistyfikacją?

– Mamy transkrypcje wszystkich procesów czarownic z Salem – na mikrofilmach, bo oryginały są zbyt delikatne – jak również, w tak zwanej Klatce, kolekcję rzadkich dzieł o czarach i demonologii. Nie rozumiem jednak, jak miałyby to dopomóc w odnalezieniu pani siostry.

Constance spojrzała ze zboląłą miną.

– Muszę je zrozumieć, jeśli mam się dowiedzieć, dlaczego moją siostrę zaczęło pociągać całe to... plugastwo. Widzi pani, pani Jobe, niezależnie, czy te inskrypcje są prawdziwe, czy wyssane z palca, prawdziwe zło tego świata zawiera się w intencji jego czynienia. Jeśli są to jednak tylko wymysły, z pewnością pomoże mi to w odzyskaniu siostry... kiedy już ją odnajdę.

Dwie godziny później Constance ciągle jeszcze siedziała na krześle i mrugała powiekami. Przeglądarka mikrofilmów była cudem okropnej technologii lat osiemdziesiątych i najwyraźniej jej podstawowym celem było wywołanie ślepoty u osób korzystających z niej dłuższy czas. Dlaczego nie zainstalowano tu komputerów? Przecież najwyraźniej Towarzystwo nie narzekało na brak funduszy. To było niepojętą zagadką. A może nie chciano ułatwiać osobom z zewnątrz dostępu do zapisów z przebiegu tych strasznych procesów.

W każdym razie transkrypcje procesów czarownic z Salem okazały

się ślełą uliczką. Wynikało z nich bardzo jasno, że „czarownice”, które postawiono przed sądem, były niewinne. Pojawiło się jednak kilka akapitów, z których, czytając między wierszami, Constance odniosła nieodparte wrażenie, że wiemy jako takie naprawdę istniały, czarownice i czarownicy, mężczyźni i kobiety, co więcej, brały udział w tych procesach, lecz nie jako oskarżone, ale jako oskarżyciele, sędziowie i łowcy czarownic. Wydawało się to zresztą sensowne: czyż istniał lepszy sposób, aby zasiać strach i nienawiść w społeczności, a jednocześnie starannie ukryć swoje konszachty ze złem?

Nadeszła pora na Klatkę.

Constance poprosiła panią Jobe, żeby zaprowadziła ją na miejsce.

Klatka mieściła się w podziemiach budynku: było to niewielkie pomieszczenie, którego podłogę, ściany i sklepienie wykonano ze stalowych prętów i do którego wchodziło się przez pojedyncze, zamykane na klucz drzwi. Wewnątrz w dwóch rzędach na półkach stały stare księgi, każdą ścianę zasłaniał jeden regał, pośrodku zaś znajdował się nieduży stolik z lampką do czytania. Powietrze było chłodne i suche; Constance usłyszała szum sztucznej wentylacji. Przy sąsiedniej ścianie stały urządzenia i monitory odpowiadające za utrzymanie odpowiedniej temperatury i wilgotności. To było mroczne i złowieszcze pomieszczenie, którego funkcjonowanie paradoksalnie zapewniały najnowocześniejsze urządzenia i aparatura cyfrowa.

Archiwistka zamknęła Constance w środku, po raz kolejny upominając ją, aby cały czas miała na rękach rękawiczki.

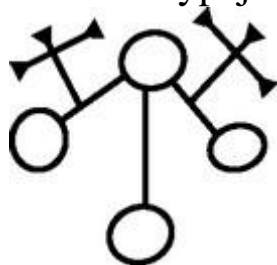
Na półce oznaczonej tabliczką „Okultyzm i inne różności” stało nie więcej niż trzydzieści kilka książek. Większość z nich Constance знаła z biblioteki Enocha Lenga w domu przy Riverside Drive 891, gdzie znajdował się spory wybór dzieł o czarach i truciznach. Zaczęła przeglądać tytuły, sporządzając w myślach ich listę. Był tam słynny *Malleus Maleficarum* (Młot na czarownice), *Formicarius* Nidera, *Odkrywanie czarów* Reginalda Scota, francuska klasyka *De la démonomanie des sorciars*, niewiarygodnie tajemniczy i niejasny *Lemegeton Clavicula Salomonis* oraz budzący grozę nawiedzony przez mroczne cienie *Necronomicon*, oprawiony (choć zapewne pani Jobe nie zdawała sobie z tego sprawy) w ludzką skórę. Treść tych książek

Constance dobrze znała i wiedziała, że nie zawierały niczego, co pomogłoby jej rozwikłać zagadkę Inskrypcji Tybane – o ile rzeczywiście te symbole i zapisy można było rozszyfrować.

Na samym końcu półki stał rząd ek wyjątkowo starych, zagadkowych, brudnych woluminów. Przyjrzała się im i stwierdziła, że większość z nich jest mało istotna. Ostatni jednak wolumin, nieco odsunięty od pozostałych i niemający widocznego tytułu, jak gdyby celowo ukryty, okazał się nie tyle książką, ile manuskrytem. Napisano go po łacinie, zatytułowano *Pseudomonarchia Daemonum* (Falszywa monarchia demonów), datowano na rok 1563.

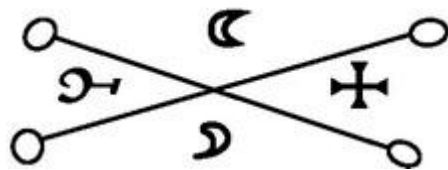
Położyła manuskrypt na niewielkim stoliku i ostrożnie zaczęła przewracać strony, zaskoczona sporą liczbą szczegółowych ilustracji. Wyglądało na to, że ma do czynienia z rodzajem grymuaru albo listy wszystkich rzekomo istniejących demonów: sześćdziesięciu dziewięciu, z ich imionami, tytułami, atrybutami, symbolami oraz informacjami o tym, czego każdy z nich mógł nauczyć osobę, która przywołałaby je w trakcie bluźnierczego rytuału. Papier skrzypiał pod dotykiem jej przyobleczonych w rękawiczki dłoni i Constance odniosła wrażenie, że od dłuższego czasu nikt nie miał tego manuskryptu w rękach.

Przewertowała cały tom, szukając zbieżności z symbolami Tybane. Większość symboli odnosiła się do samych demonów, niemniej kilka znaków było związanych z ruchem, podróżowaniem, kierunkami i miejscami. Gdy wertowała kolejne strony, jej wzrok przykuł symbol, który, jak się okazało, pasował do Inskrypcji Tybane:



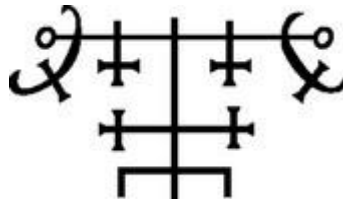
Został opisany jako *Obscura Peregrinatione ad Littus* („mroczna pielgrzymka ku południowemu brzegowi”).

Uważna lektura pozwoliła Constance na odnalezienie drugiego symbolu Tybane:



Opisano go jako *Indevitatus*, czyli coś „nieuniknionego”, „nieuchronnego”, „nadchodzącego”.

Z coraz większym zainteresowaniem Constance wnikliwie wertowała księgę strona po stronie.



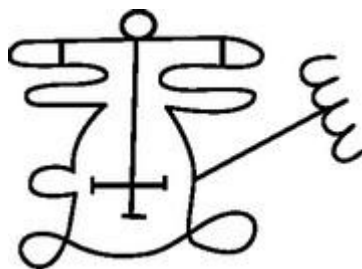
Ten znak był przypisywany demonowi Forrasowi. Constance przeczytała zamieszczony pod nim tekst łaciński, przekładając go w myślach:

Trzydziestym Pierwszym Duchem jest Forras. Pojawia się w postaci silnego mężczyzny o całkowicie ludzkim kształcie. Potrafi dać ludziom zdolność pojmowania, jak mogą rozpoznać zalety i trucizny wszystkich ziół. On naucza Sztuki Praw we wszystkich jego odmianach. Jeżeli tego zapragnie, sprawia, że ludzie żyją długo i unikają odkrycia czynionego przez nich zła. Oto jest jego Pieczęć.

Pieczęć była identyczna z symbolem w Inskrypcjach Tybane.

Inny interesujący symbol był związany z kolejnym demonem, o imieniu Morax, a towarzyszący mu tekst brzmiał następująco:

Morax jest wielkim i potężnym Księciem Ciemności, a gdy przyjmuje postać ludzką, ma zębiska jak pies i wielki łeb niczym zdeformowana małpa, wlecze się zaś za nim diabelski ogon; cechuje się ogromnym sprytem, przebiegłością, wzbudza pożądliwość i zlegnie z każdą kobietą, której zapragnie; łaknie gorąco krwi człowieczej i nurza się w trzewiach tych, których zabije. Oto jego Pieczęć:



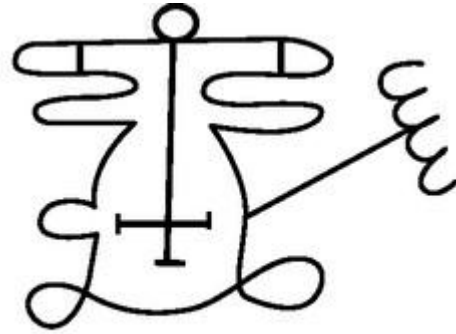
Zarówno nacięcia na ciele McCoola, jaki i Inskrypcje Tybane składały się z pięciu symboli. Cztery z nich miały odniesienie do treści tego manuskryptu i dotyczyły, jak się okazało, awatarów czterech demonów.

Pod koniec manuskryptu Constance napotkała ostatni symbol z Inskrypcji Tybane:



Łaciński napis mówił o *Errantem Locus*, czyli „miejscu wędrowki”.

Constance przerwała lekturę i uniosła wzrok. Wciąż jeszcze pozostało sporo do rozszyfrowania. Ale już wiedziała: Inskrypcje Tybane są prawdziwe. Nie były wytworem szalonego fantasty i hochsztaplera. Stworzył je ktoś, kto był prawdziwym wyznawcą szatana i praktykował złowrogą czarną magię.



Sierżant Gavin znów obsługiwał ster, gdy nadciągający przypływ pchał łódź naprzód, coraz dalej w głąb słonych moczarów. Pendergast ponownie siedział na dziobie, posiłkując się mapą i zmieniając pozycję tylko po to, by wskazać kierunek prowadzący ich w, zdawałoby się, niemający końca labirynt kanałów.

Gavin zastanawiał się, czemu, u licha, Pendergast postanowił raz jeszcze wybrać się na bagna. Ale nie powiedział tego na głos. Zdawał sobie sprawę, że Pendergast jest człowiekiem, który zawsze robi to, co chce, bez żadnych wyjaśnień, przeprosin czy usprawiedliwień. Mimo to był przekonany, że to wszystko okaże się tylko pogonią za cieniem. Próżny trud i tyle. Wydawało się oczywiste, że zabójstwa historyka i prawnika miały banalne powody, że były najprawdopodobniej dziełem narkomanów, którzy próbowali zatuszować swoje zbrodnicze napaści symbolami znanymi nielicznym spośród okolicznych mieszkańców, a konkretnie tym, którym nieobca była historia o Inskrypcjach Tybane. Pendergast próbował wcisnąć mu jakąś nędzną opowiastkę o poszukiwaniu Szarego Żniwiarza. Kiedy jednak zatrzymał wzrok na masywnym wykrywaczu metali, ułożonym w poprzek na jednym z siedzeń w łodzi, wystającym z futerału na wpół zapiętego na suwak, zastanowił się, co, do cholery, Pendergast zamierza z tym robić.

Ręka agenta uniosła się i sierżant skierował łódź we wskazaną stronę. Naprawdę wolałby, żeby Pendergast nie zażyczył sobie, by to on sterował łodzią. Było wielu innych, którzy mogliby to zrobić. Jednak Pendergast poprosił właśnie o niego, a ponieważ autopsja

Dunwoody'ego miała zostać przeprowadzona dopiero nazajutrz, komendant wyraził zgodę.

Tym razem zapuścili się naprawdę daleko w głąb moczarów. Byli ze wszystkich stron otoczeni przez podmokłe zalewiska. Wokół nich rozciągały się trawy, trzcinowe zarośla i mętnawa woda, w której odbijało się późnopołudniowe szare niebo.

Pendergast gestem ręki dał Gavinowi znak, by zmniejszył obroty silnika. Gavin wykonał polecenie, redukując do biegu jałowego. Łódź dalej dryfowała z prądem.

– Chyba popłynęliśmy w niewłaściwym kierunku. Musieliśmy gdzieś źle skręcić, sierżancie.

Gavin wzruszył ramionami.

– To pan ma GPS. Ja już jakiś czas temu kompletnie się pogubiłem.

– Chwileczkę. – Pendergast przez kilka minut sprawdzał coś w GPS-ie i porównywał z mapą. – Zawróćmy.

Tłumiąc westchnienie, Gavin wykręcił i na połowie mocy silnika skierował łódź pod prąd. Wpłynęli do szerszego kanału.

– Tędy – rzekł Pendergast.

I kolejny ciąg kanałów – aż wreszcie agent ponownie uniósł dłoń.

– To tutaj.

Gavin spojrzał na błotnisty brzeg i rozciągające się nieco dalej morze traw, które zdawało się wznosić na stoku niewielkiego wzgórza. Nagle ogarnęły go złe przeczucia.

– Proszę zostać w łodzi i poczekać na mnie – polecił Pendergast.

Gavin spojrzał na zegarek.

– Za godzinę zrobi się ciemno. Później nawigacja będzie utrudniona.

– Wrócę na długo przed zmierzchem.

Agent zgarnął torbę ze sprzętem i wysiadł z łodzi. Po chwili znikł pośród traw.

Gavin poruszył się niespokojnie na twardym metalowym siedzeniu. Złe przeczucia zaczęły przybierać na sile. Oczywiście mógł po prostu odpłynąć, pozostawiając tu Pendergasta. Ale gdyby tak postąpił, wpadłby w naprawdę cuchnące bagno. Z ludźmi takimi jak ten agent FBI

lepiej nie zadzierać.

Pendergast prześlizgiwał się pośród traw, odgarniając je na bok jedną ręką, a drugą przytrzymując na ramieniu pasek torby ze sprzętem. Z każdą minutą robiło się coraz zimniej, a niebo coraz bardziej szarzało; chłód z powodu bliskości morza był naprawdę przenikliwy.

Pendergast przystawał kilkakrotnie, by sprawdzić wskazania GPS-u. Mniej więcej po dwudziestu minutach dotarł do miejsca, gdzie poprzedniej nocy znalazł tajemniczy obiekt i to, co najwyraźniej było pozostałością starej osady.

Oczywiście jego celem nie było, wbrew temu, co powiedział sierżantowi Gavinowi, poszukiwanie Szarego Żniwiarza, czymkolwiek mogła być ta istota, o ile w ogóle istniała.

Rozwinąwszy mapę, najpierw zorientował się w obecnym położeniu, a następnie ruszył naprzód, aż znalazł się w punkcie, skąd mógł rozpocząć eksplorację. Złożył wykrywacz metalu, przymocowując trzon urządzenia do skrzynki kontrolnej i układu odbiorczego, przyłączył przewody cewki nadawczej i włożył do uszu słuchawki. Wyregulował urządzenie kilkoma pokrętłami i odpowiednio je wyskalował, określając rodzaj metalu, którego obecność miało wykryć. Spojrzał na koordynaty GPS-u i zaczął wolno przesuwać się naprzód, przeczesując podmokły grunt cewką nadawczą i nie odrywając wzroku od LED-owego ekranu. Przeszedł w ten sposób jakieś piętnaście metrów, następnie, przesunąwszy się o pół metra, wykonał zwrot do punktu wyjścia, po czym powtórzył tę czynność raz jeszcze.

Po mniej więcej pięciu minutach usłyszał sygnał. Odłożył wykrywacz na bok, ukląkł i rydlem ogrodniczym zaczął kopać w ziemi, zachowując ostrożność. Grunt był sprężysty i miękki, żadnych kamieni czy żwiru, lecz poprzecinany płataniną korzeni traw, które trzeba było usunąć ostrą krawędzią rydla.

Na głębokości niespełna trzydziestu centymetrów przerwał i wyjął niewielką sondę, którą delikatnie włożył do ziemi. Coś jednak uniemożliwiało mu zanurzenie sondy w grunt.

Zaczął sprawdzać teren dookoła, aby ustalić pobieżnie zarys spoczywającego tam obiektu, wyjął sondę, ponownie użył rydla i odsłonił przedmiot przypominający dysk, dużą monetę lub medalion,

odlany dość topornie z metalu do wyrobu garnków. Był na nim wytłoczony symbol, jeden z tych, które należały do Inskrypcji Tybane, jak natychmiast zorientował się Pendergast. Według Constance, która po południu przesłała mu mejlem szczegółowy raport wraz ze zdjęciami, symbol ten miał przedstawiać demona Forrasa.

Oznakował to miejsce na mapie. W połączeniu z wcześniejszym odkryciem miał już dwa zewnętrzne punkty kwinkunksu. Ostrożnie odmierzając kroki, podszedł do miejsca, gdzie, jak oszacował, powinien znajdować się trzeci punkt; użył wykrywacza metali i odkrył trzecią monetę z metalu do wyrobu garnków. Wkrótce odnalazł czwarty punkt i kolejny symbol innego demona. Chociaż mogło się to wydawać dziwne, żaden z nich nie przedstawiał Moraxa.

Cztery zewnętrzne punkty zdradzały umiejscowienie centralnego punktu kwinkunksu: tak zwanego ołtarza, o którym wzmianka pojawiała się w dokumentach Suttera badanych przez Constance. Pendergast podszedł do tego miejsca, ukląkł i zaczął odgarniać i wyrywać trawę. Właśnie z tego miejsca Sutter miał wydobyć Kamień Tybane, ale nie pozostał nawet najmniejszy ślad jego poczynań sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Pendergast znów skorzystał z wykrywacza metali i ponownie usłyszał popiskiwanie. Oczyszczył obszar o rozmiarach ponad pół metra kwadratowego wokół punktu, gdzie rozległ się sygnał, i zaczął kopać. Minęło dwadzieścia minut, odkąd zostawił Gavina na łodzi, miał więc jeszcze sporo czasu. Powoli wykopał otwór głębokości około czterdziestu pięciu centymetrów. Wykrywaczem zawęził umiejscowienie wciąż pogrzebanego metalowego obiektu i z wielką ostrożnością użył sondy.

Przedmiot znajdował się jeszcze jakieś trzydzieści centymetrów głębiej w ziemi. Pendergast odłożył na bok rydel i zaczął kopać gołymi rękami, aż jego palce zacisnęły się na czymś twardym. Delikatnie usunął korzenie i grudki gleby i odsłonił spoczywające w gruncie znalezisko, oczyścił je najlepiej, jak mógł, sfotografował *in situ*, po czym wy dobył.

Był to dość osobliwy przedmiot. Jego środkową część również wykonano z metalu do wyrobu garnków, będącego, jak przypuszczał Pendergast, połączeniem ołowiu i cyny. Miał dziwny, groźny kształt,

przedstawiał na wpół abstrakcyjną rozdziawioną paszczę, wypełnioną powykrzywianymi zębiskami i uchwyconą w trakcie przeraźliwej czynności, jaką było przeżuwanie fragmentów wyrwanych jelit.

Oglądając go, Pendergast zdał sobie sprawę, że przedmiot ten w wyniku wlewania do wody roztopionego metalu, który zastygł w upiornym kształcie, przybierając – przypadkiem, choć niekoniecznie – demoniczną postać. Tę masę zdeformowanego metalu oprawiono w srebro z pozostałością czegoś, co było prawdopodobnie pękiem końskiego włosa i fragmentem przegniłej kości, która zachowała się jedynie dzięki beztlenowym właściwościom gleby. W srebrze był odcisnięty symbol Moraxa, demona o małpiej głowie, psich kłach i z diabelskim ogonem.

Pendergast wyjął z torby płytki, hermetycznie zamykany pojemnik z tworzywa sztucznego i włożył przedmiot do środka, owinąwszy go wcześniej folią bąbelkową, którą w tym celu przyniósł ze sobą. Następnie schował pojemnik do torby razem z mapą i resztą sprzętu, wyprostował się, spojrzął na zegarek, wytarł ręce i ruszył w stronę powrotną do łodzi.

Sierżant Gavin sprawiał wrażenie wystraszonego i zniecierpliwionego.

– Znalazł pan coś? – spytał.

Pendergast zajął miejsce na dziobie.

– Owszem, znalazłem.

– Co?

Pendergast wyjął z torby pojemnik ze sztucznego tworzywa, otworzył i pokazał sierżantowi rezultat swoich poszukiwań, owinięty szczelnie kilkoma warstwami folii bąbelkowej.

Gavin spojrzął na znalezisko, a jego twarz nagle zbieleła.

– Co to jest, u diabła?

– No właśnie, co to jest, u diabła? – rozległa się lakoniczna odpowiedź.



Constance kazała kierowcy wynajętego samochodu, aby zatrzymał się na głównej ulicy Exmouth, blisko gospody, bo potrzebowała chwili do namysłu. Zamierzała posiedzieć w barze, tak jak ją o to poprosił Pendergast, i posłuchać co ciekawszych plotek. Poprzedniego wieczoru nie miała nastroju do tego. Teraz, po wyprawie do Salem, czuła się wycieńczona. Może krótki rekonesans w Pokoju Map okaże się mniej wyczerpujący.

Rozległo się pukanie w szybę. Opuściła ją, by ujrzeć Carole Hinterwasser.

– Constance! – powiedziała kobieta. – Tak mi się wydawało, że to ty. Mój sklepik jest niedaleko stąd. Może wejdiesz na popołudniową herbatkę?

Constance zawahała się.

– Zamierzałam wrócić do gospody.

– To tylko szybka herbatka. Chodź, miło będzie pogawędzić.

Poproszę w gospodzie, żeby przysłali po ciebie samochód.

– No dobrze.

Zapłaciwszy kierowcy, wysiadła i znalazła się w objęciach lodowatego wiatru, który przetoczył się przez główną ulicę, niosąc ze sobą zapach soli morskiej i wodorostów. W powietrzu pojawiło się też kilka strzępów gazet, podczas gdy wysoko w górze krążyła, głośno skrzecząc, para mew. Constance weszła za Carole do sklepu, zastanawiając się, o czym tamta chce z nią porozmawiać.

– Usiądź, proszę.

Sklepek o nazwie Smaki Exmouth oferował głównie bibeloty i pamiątki dla turystów: miejscowe wyroby, pocztówki, rozmaite mapy, także stylizowane na stare mapy morskie, podkoszulki, świece, muszle i potpourri, a przy trzech maleńkich stolikach w głębi można było wypić herbatę lub kawę. Constance zajęła miejsce, podczas gdy Hinterwasser poprosiła asystentkę, młodą, krótko ostrzyżoną kobietę o bystrych oczach, aby zaparzyła dla nich dzbanek herbaty. Kilka minut później asystentka przyniosła herbatę na pięknej srebrnej starej tacy wraz z porcelanowymi filiżankami, chlebem, masłem i marmoladą. Postawiła tacę przy ich stoliku i zaczęła rozkładać porcelanę oraz srebra stołowe.

– Pomaga pani temu agentowi FBI przy sprawie kradzieży wina, zgadza się? – spytała ze źle skrywanym zaciekawieniem.

Constance pokiwała głową nieco zaskoczona taką bezpośredniością.

– Owszem, tak.

– Dziękuję, Flavio – powiedziała Carole, uprzejmie odprawiając asystentkę, która uśmiechnęła się do obu kobiet po kolei, po czym się oddaliła.

– Ona jest także kelnerką w gospodzie – stwierdziła Constance.

– Flavia Strayhorn – wyjaśniła Hinterwasser. – Nowa w mieście. Pochodzi z Nowej Anglii, ale w ostatnich miesiącach wędrowała pieszo przez południowo-wschodnią Azję. Próbuje zarobić pieniądze i odłożyć na studia. I najwyraźniej udzieliło się jej nasze małomiasteczkowe zamiłowanie do plotek. – Zaśmiała się.

– Chyba wzbudzamy zaciekawienie wśród ludzi.

– Cóż, poza tym, że twój towarzysz jest agentem FBI, uwagę zwraca twój staroświecki sposób ubierania się. Czy jest po temu jakiś szczególny powód?

– Nie, zawsze tak się ubierałam. – Constance zdała sobie sprawę, że na okoliczność przyszłych wypraw, takich jak ta, powinna zadać sobie trud, aby współcześnieść zawartość swojej garderoby.

– No cóż, ale torebkę masz nową – zauważyła Carole, wskazując zawieszoną na oparciu krzesła torebkę z krokodylej skóry. – Hermès, model Birkin, prawda?

Constance skinęła głową.

– Przepiękna. Pewnie jest więcej warta niż ten budynek.

Constance nie odpowiedziała. Może jednak popełniła błąd, zabierając ze sobą torebkę, prezent od Pendergasta na ostatnie urodziny. Najwyraźniej, jeżeli chodziło o interakcję z osobami z zewnątrz we współczesnym świecie, niczego nie potrafiła zrobić jak należy.

– Herbata jest już prawie dobra. – Carole wskazała na czajniczek. – To moja specjalna mieszanka. Exmouth Chai. Proszę się też poczęstować chlebem i dżemem.

– Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony.

– Ależ to nic takiego, lubię, gdy nadarza się okazja trochę pogawędzić.

Constance wzięła kromkę chleba, był świeży i domowego wypieku, po czym posmarowała ją odrobiną masła i marmoladą. Nic nie jadła cały dzień.

Hinterwasser naląła dla nich herbatę, dodając kropelkę mleka i odrobinę cukru.

– Cieszę się, że na ciebie wpadłam. Słyszałaś o wczorajszej trudnej rozmowie między panem Pendergastem a Perce'em?

Constance upiła łyk.

– Owszem, tak.

– Chcę, żebyś wiedziała, że Perce bardzo źle się z tym czuje. To prawda, że ostatnio miał problemy ze sprzedażą swoich prac, wiesz, jak zmieniają się gusty ludzi, i jest na tym punkcie bardzo przewrażliwiony. Nie chciał tak ostro zareagować. Puściły mu nerwy. Po namyśle stwierdził, że śledczy ma prawo zadawać najróżniejsze pytania, badać sprawę z każdej możliwej perspektywy i interesować się przeszłością wszystkich. Nawet moją przeszłością, która nie jest nieskazitelna, co przyznaję ze smutkiem, bo w moich papierach widnieje niestety paskudna plama. Wyobraź sobie tylko: kradzież w sklepie. –
Hinterwasser zaśmiała się.

Constance odniosła wrażenie, że kobieta spodziewa się pytania o tę kradzież. Odczekała, aż minęła chwila, gdy powinna to zrobić.

– Gdybym była agentem Pendergastem – kontynuowała Hinterwasser – też próbowałabym zgłębić sprawę z każdej możliwej perspektywy. Rzecz w tym, że Perce jest dumnym mężczyzną. Dlatego

postanowiłam zapytać, czy zechciałabyś wyjaśnić agentowi Pendergastowi, jak skrepowany i zawstydzony czuje się teraz Perce. Że pragnąłby nakłonić agenta Pendergasta, aby w dalszym ciągu badał sprawę kradzieży wina, i ma nadzieję, że te morderstwa, bez wątpienia okropne, nie oderwą go od tego.

– Mogę zapewnić, że on usilnie pracuje nad waszą sprawą – odparła Constance.

Nie powiedziała nic więcej. Jej opiekun dawno temu nauczył ją, że nie należy rozmawiać o prowadzonej sprawie z nikim, a co dopiero z zainteresowanymi stronami, a jeżeli chodzi o szczegóły, sam wszystko wyjaśni, gdy uzna to za stosowne.

– Bardzo się cieszę. To drugie morderstwo wywołało spore zamieszanie w miasteczku. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Komendanta to przerosło. Na szczęście sierżant Gavin robi, co może. Jak rozumiem, Pendergast słyszał, w którym momencie doszło do zabójstwa, kiedy przebywał na moczarach.

– Skąd to wiesz?

– Plotki szybko się tu rozchodzą. Im bardziej posępne albo sprośne, tym prędzej są rozpowszechniane.

– No tak.

– Jakie to okropne. – Hinterwasser wzdrygnęła się. – Perce i ja byliśmy wtedy na koncercie gitarowym w Little Red Church. Perce uwielbia dźwięki gitary klasycznej i sprowadził muzyka z Bostonu w ramach cyklu Jesienne Koncerty w Exmouth. Jest w zarządzie.

Constance, wykorzystując okazję, że tamta mówiła, sięgnęła po drugą kromkę chleba i posmarowała ją masłem.

– Zastanawiam się, jak udaje ci się zachować tak szczupłą figurę – powiedziała ze śmiechem Hinterwasser.

Constance upiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę.

– Mam hiperaktywny metabolizm.

– Ach, być znowu młodą! – powiedziała Hinterwasser, napełniając ponownie filiżankę Constance.

Rozległ się brzęk dzwonka i ktoś wszedł do sklepiku.

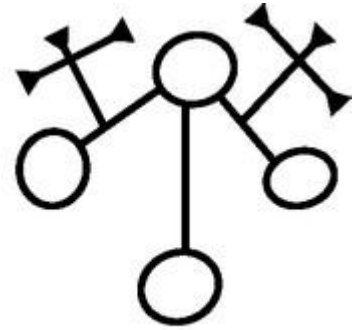
– Klient. – Hinterwasser wstała. – Cóż za rzadkość, może powinnam go wypchać i umieścić na wystawie!

Odeszła, tymczasem Constance kończyła herbatę. Klient został obsłużony bardzo szybko. Jak na zawołanie przed sklepem pojawił się należący do gospody buick special 8, rocznik 1936, którym przywożono i odwożono gości w miasteczku.

– Jest już samochód – oznajmiła Hinterwasser, zdejmując coś z półki i wciskając Constance do ręki. Była to herbata w torebkach. – A to mały prezent, żebyś miała co zabrać do domu, moja specjalna mieszanka herbat Exmouth Chai.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. To ja dziękuję, że zechciałaś mnie odwiedzić. – Hinterwasser znów uścisnęła jej dłoń. – Mam nadzieję, że nie zapomnisz, o co cię prosiłam. Chodzi mi o to, żebyś pomówiła z agentem Pendergastem.



O godzinie dwudziestej drugiej Pokój Map świecił pustkami. Constance siedziała przy stoliku w rogu sali, naprzeciwko Pendergasta, a na blacie przed nimi znajdowały się resztki dwóch porcji *filets de sole* przygotowanych przez Reginalda Sheratona oraz pusta butelka wina. To była gwałtowna noc, podmuchy wiatru łomotały w okna i trzęsły ścianami. Odległy grzmot fal poniżej skalnego urwiska przydawał mrocznego *ostinato* zawodzeniu wiatru wokół gospody. Constance skinęła głową w stronę tablicy, na której widniało wieczorne menu.

– Twoja sola najwyraźniej stała się ulubionym daniem tej restauracji. Zauważyłam, że podano ją niemal połowie gości.

– Zawsze uważałem Massachusetts za bastion dobrego smaku. – Pendergast wstał. – Czy udamy się teraz na górę? Mamy do przedyskutowania pewne ważne i poufne sprawy.

Constance podniosła się i przeszła za Pendergastem obok baru, agent zaś przystanął na chwilę i poprosił barmana, żeby przysłał do jego pokoju butelkę calvadosu, którą wypatrzył na stojaku przy jednej ze ścian, oraz dwa kieliszki.

Weszła za nim po stromych, skrzypiących schodach. Pokój agenta, którego jeszcze nie miała okazji widzieć, był zdominowany przez wielkie wiktoriańskie łóżce ze słupkami, na drugim jego końcu zaś znajdowały się mały ceglany kominek, stolik do pisania, krzesło i lampa. W kominku było wszystko przygotowane do rozpalenia.

– Proszę, skorzystaj z krzesła, ja usiądę na łóżku – rzekł Pendergast, podchodząc do kominka.

Rozpalka zajęła się bardzo szybko i wkrótce wewnątrz pokoju wypełnił blask falującego żółtego światła.

Constance wyjęła z torebki saszetki z herbatą od Carole.

– Może to będzie bardziej odpowiednie – zaproponowała. – Wiesz, że ja raczej nie piję. Moglibyśmy poprosić o wrzątek.

Pendergast wziął od niej saszetkę i spojrzał na nią.

– Chai? – spytał, a na jego ustach pojawił się wyraz niesmaku.

Wrzucił torebki do kosza na śmieci. – Wybacz, moja droga Constance, to się nie nadaje do picia. Nie, pozostaniemy przy calvadosie. Poza tym nie wątpię, że już wkrótce powrócimy na Riverside Drive, aby uraczyć się tam filiżanką king's czterysta trzy oolong.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i młoda kelnerka Flavia wniosła tacę z dwoma kieliszkami i butelką calvadosu. Pendergast wcisnął jej do ręki banknot, podziękował, po czym zamknął drzwi i przekręcił zasuwkę. Nalał do każdego z kieliszków alkoholu na jeden palec, a następnie podał jeden z nich Constance i usiadł na łóżku.

– Przepraszam za wielkość pokoju – powiedział. – Nadrabia te niedostatki urokiem. Obawiam się, że to, o czym teraz musimy porozmawiać, nie może wyjść poza te ściany. Nie mogliśmy podjąć tych tematów w jadalni.

Upiła łyk calvadosu. Spłynął jej do gardła ciepłą strużką.

– Mam nadzieję, że ci odpowiada – spytał.

Skinęła głową. Już czuła przyjemny efekt wypitego trunku, jakim zazwyczaj się nie raczyła, musiała więc zachować ostrożność.

– Constance, po pierwsze chciałbym ci powiedzieć, że jestem bardzo zadowolony z twojej pracy. Okazałaś się solidna i wiarygodna.

Poczuła, że się czerwieni zaskoczona tym niespodziewanym komplementem, chociaż nacisk, z jakim wypowiedział słowo „solidna”, wydał się jej nieco wymuszony.

– Dziękuję.

– Okazałaś się zarazem na tyle ostrożna, by wziąć pod uwagę moje ostrzeżenia i nie podejmować działań na własną rękę ani nie opuszczać gospody po zmroku. Doceniam to. – Przerwał. – To było szczególne śledztwo. Zamotaliśmy się w gąszczu dowodów i dotarliśmy do punktu, w którym musimy się zatrzymać i rozplątać ten motek. Dlatego

chciałbym, żebyśmy powtórzyli wszystko, co zdołaliśmy ustalić do tej pory, innymi słowy, pozbierajmy fakty. Ja zaś pozwolę sobie zrelacjonować ci moje ostatnie odkrycia.

– Bardzo proszę.

– Mamy tu do czynienia z dwoma motkami nici: szkielet w piwnicy jest, jak mi się zdaje, powiązany ze zniknięciem parowca S/s Pembroke Castle i zaginioną kolonią zbiegłych czarownic. Zacznijmy od szkieletu. Zdrowy czterdziestoletni mężczyzna pochodzenia afrykańsko-europejskiego był torturowany, a następnie został zamurowany w piwnicy domu latarnika. Dlaczego? Powód może być tylko jeden: coś wiedział. Ale co?

Przerwał.

– Lady Hurwell – odezwała się Constance – otrzymała dziewięć i pół tysiąca funtów odszkodowania od ubezpieczyciela za stracony ładunek. Może to ma z tym jakiś związek.

Pendergast uniósł kościsty palec.

– Otóż to! W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym była to ogromna kwota, równowartość dzisiejszych milionów dolarów. Archiwa Lloydsa są bezpieczne jak Fort Knox, można jednak domniemywać, że ładunek stanowiły pieniądze, złoto w sztabkach lub inne precjoza. Zapewne właśnie dlatego ten nieszczęśnik był torturowany, moja droga Constance. Ktoś chciał wyciągnąć od niego informacje na temat umiejscowienia tych skarbów na pokładzie statku.

– To dość śmiała hipoteza.

– Nie, jeżeli się wie, kim był ten człowiek, niejaki Warriner A. Libby.

– Poznałeś nazwisko tego człowieka?

– Owszem, tak. – Pendergast wydawał się wyjątkowo pewny siebie. – Warriner A. Libby był kapitanem Pembroke Castle. Miał czterdzieści lat, urodził się na Barbadosie, a dorastał w Londynie i Nowym Jorku, jego ojciec był Afrykaninem, a matka, używając niefortunnego określenia, popularnego w tamtych czasach, Mulatką. Był szanowanym i dobrze opłacanym kapitanem żeglugi morskiej.

Constance patrzyła przed siebie.

– To niesamowite.

– Ten człowiek z całą pewnością znał umiejscowienie wszystkich cennych przedmiotów, jakie znajdowały się na statku, którym dowodził. Łatwo go było zidentyfikować. Znałem wiek tego mężczyzny i cechy dotyczące jego pochodzenia. Ustaliłem zbieżność. Łatwizna. – Pendergast upił łyk calvadosu. – Tak czy owak, Libby był torturowany, żeby zdradził miejsce przechowywania precjozów, i to mówi nam o czymś nader istotnym: statek nie zaginął na morzu. W przeciwnym razie cenne rzeczy przepadłyby wraz z nim.

– A więc statek zdołał znaleźć schronienie w zatoce Exmouth?

– Nie. Zatoka jest za płytka. To był stumetrowy parowiec o sześciometrowym zanurzeniu.

– Co zatem się z nim stało?

– Uważam, że został rozbity gdzieś u wybrzeży Exmouth, gdzie jest wiele zdradliwych piaszczystych mielizn i skał.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że został rozbity... celowo?

Pendergast pokiwał głową.

– Tak. Rozmyślnie.

– Przez kogo?

– Przez pewnych mieszkańców tego miasteczka.

– Ale jak mieszkańcy tego miasteczka mogliby zmówić się, żeby doprowadzić do rozbicia statku?

– Zawierając pakt z latarnikiem. To dobrze znana sztuczka.

Wygasa się latarnię i rozpala ognisko na plaży w miejscu, które ściągnie statek na skały. Potem miejscowi łupili statek i odzyskiwali wszelki ładunek, jaki morze wyrzuciło na brzeg. Gdyby statek ugrzązł na mieliznie, zanim zdążył się przełamać, spiskowcy mieliby dość czasu nie tylko na złupienie większości ładunku, ale także pieniędzy, gdyby tylko wiedzieli, gdzie są ukryte. W owych czasach statki przewożące złoto w sztabkach albo monetach były wyposażone w sekretne schowki.

– A co się stało z rozbitkami?

– To pytanie skrywa w sobie prawdziwie mroczną sugestię.

Constance odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Wierzysz, że statek rozbito celowo, bo w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku Exmouth dotknęła klęska nieurodzaju, zbiory przepadły i ludzie byli zdesperowani. Przepływający statek,

prawdopodobnie przewożący cenny ładunek, mógł się okazać dla głodującego miasteczka pokusą nie do odparcia. Łupieżcy torturowali kapitana, żeby wydobyć od niego informacje o miejscu ukrycia skarbu na pokładzie, zamurując go żywcem.

– Brawo, Constance.

– Czemu jednak wrócili sto trzydzieści lat później, żeby wykraść szkielet kapitana? Czy pewne osoby starały się zatuszować starą zbrodnię, usuwając po niej wszelkie ślady?

– To mało prawdopodobne. Nie istniało zagrożenie, że szkielet może zostać odnaleziony.

– Po co więc mieliby ryzykować i zadawać sobie tyle trudu?

– No właśnie, po co?

W pokoju na chwilę zapanowała cisza, którą przerwał Pendergast:

– McCool dwukrotnie odwiedził Exmouth. Zjawia się tu po raz pierwszy i dochodzi do kradzieży szkieletu, wraca i sam zostaje zamordowany. Podczas pierwszej wizyty musiał rozmawiać o czymś, o czym dowiedzieli się pewni mieszkańcy tego miasteczka znający prawdę o tym, co się stało z parowcem. Stąd pojawił się pomysł wykradzenia szkieletu. Kiedy McCool powrócił, został zamordowany, żeby nie ujawnił tego, co zdołał odkryć. Morderca lub mordercy chcieli w ten sposób raz na zawsze zamknąć mu usta. Kiedy wywnioskujemy, czego dowiedział się McCool, będziemy wiedzieć, dlaczego szkielet został skradziony.

Pendergast zamilkł. Słysząc było buzowanie ognia w kominku. Constance nie mogła stłumić w sobie poczucia satysfakcji, że pomogła Pendergastowi w jego procesach dedukcyjnych. Upiła kolejny łyk calvadosu.

Agent mówił dalej.

– Przejdźmy do drugiego motka splątanych nici – Inskrypcji Tybane. Lista osób, które miały wgląd do dokumentów w Towarzystwie Historycznym, okazała się bardzo interesująca.

– Jak to?

– Zawierała dwadzieścia cztery nazwiska. Dwadzieścia trzy z nich zweryfikowałem jako należące do prawdziwych osób, bez wyjątku wiccan. Ale było tam nazwisko, które nie pojawia się na liście

członkowskiej wiccan. Brzmiało fałszywie.

– Naprawdę?

– Pan William Johnson. Zbyt pospolite, żeby mogło być prawdziwe, nie uważasz?

– Ale to jeszcze żaden dowód.

– Tyle tylko, że gdy skontaktowałem się z twoją przyjaciółką, panią Jobe, i rozszerzyłem twoją zabawną opowiastkę o amiszce szukającej siostry, przekonałem się, że nasz William Johnson został uchwycony przez kamerę. Przy odrobinie łagodnej perswazji zechciała przesłać mi mejlem zdjęcie tego mężczyzny.

– I?

– To był Dana Dunwoody, nasz nieżyjący prawnik.

– Wielkie nieba. Byłeś naprawdę dociekliwy. – Pauza. – Kiedy odwiedził bibliotekę?

– Trzy tygodnie temu.

– Nie mógł wiedzieć o ukrytej kamerze. – Constance powiedziała tyleż do siebie co do Pendergasta. W końcu spojrzała na niego. – Ale co łączy jego, historyka i zaginioną kolonię zbiegłych czarownic?

– Tego nie mogę powiedzieć. Pozwól jednak, że na razie pokażę ci to. – Wyjął ze swojego kufra podróznego plik fotografii i mapę. – Podejdź tu, proszę.

Constance wstała z krzesła i usiadła obok niego na łóżku, spojrzała mu przez ramię. W pokoju zrobiło się cieplej i poczuła słabe pulsowanie krwi na szyi. Wychwyciła delikatną nutę floris no. 89, męskiego balsamu po goleniu. Przeniosła wzrok na zdjęcie.

– Boże drogi. – Patrzyła oszołomiona. – Co to takiego?

– Przedmiot, który wydobyłem z głębokości ponad sześćdziesięciu centymetrów w ziemi, dokładnie pośrodku kwinkunksu na terenie starej osady czarownic, tej, o której Sutter pisał jako o Nowym Salem.

– To niewiarygodne. I nosi znak Moraxa. Czy jest... prawdziwe?

– Wygląda na to, że tak. Z całą pewnością zostało zakopane wiele stuleci temu. Tu możesz zobaczyć je na zdjęciu *in situ*, a tu już po wydobyciu z ziemi. – Przerzucił kilka zdjęć. – To mapa kolonii czarownic przedstawiająca umiejscowienie przedmiotu. Odkryłem także trzy medaliony zakopane w narożnych punktach kwinkunksu.

Tymczasowo umieściłem je wszystkie w skrytce depozytowej tu w miasteczku, ot tak, z czystej ostrożności. Czwartego nie udało mi się znaleźć, najwyraźniej został zmyty przez wodę podczas budowy kanału.

Constance patrzyła, jak Pendergast przekłada zdjęcia. Wyjął jedno z nich, ukazujące zniekształcony, topornie odlany medalion z wytłoczonym na nim symbolem.

– Znak Forrasa – powiedziała.

Kolejne zdjęcie.

– Znak Andrealphusa.

I jeszcze jedno.

– Znak Scoxa. Wszystkie symbole pochodzą z Inskrypcji Tybane. Nawiasem mówiąc, wiccanka, o której wspominałam, nadmieniła, że „bane” może oznaczać między innymi „truciznę”.

– To ciekawe, zważywszy że te tereny obfitują w wilczą jagodę. – Zamyślił się przez chwilę. – Tak czy inaczej, z części przetłumaczonych przez ciebie inskrypcji, zwłaszcza tej o „mrocznej pielgrzymce” i „miejscu wędrowki”, może wynikać, że kolonia czarowników i czarownic, wbrew temu, co mówią legendy, nie wymarła w krótkim okresie.

– Doszłam do tego samego wniosku. Co mogło się z nimi stać?

– Przenieśli się.

– Dokąd?

– Kolejne doskonałe pytanie. Wygląda na to, że na południe. – Westchnął. – W końcu znajdziemy nić łączącą to wszystko, choć jestem przekonany, że aspekt czarów okaże się kluczowy dla tej sprawy. Raz jeszcze dziękuję, Constance. Twoja pomoc okazała się bezcenna. Bardzo się cieszę, że zechciałaś mi towarzyszyć.

Zapadła cisza. Pendergast zaczął chować zdjęcia. Constance pozostała na łóżku, a jej serce z jakichś powodów biło coraz szybciej. Czowała ciepło bijące z ciała Pendergasta, czowała jego udo delikatnie dotykające jej nogi.

Schowwał ostatnie fotografie i odwrócił się do niej. Przez chwilę patrzyli na siebie, siedząc twarzą w twarz; w ciszy panującej w pokoju słychać było tylko trzask ognia w kominku, dobiegający z oddali szum fal i stłumione zawrozczenie wiatru. Wreszcie płynnym ruchem

Pendergast wstał z łóżka, zabrał ze stolika butelkę calvadosu, sięgnął po kieliszek Constance i odwrócił się do niej.

– Jeszcze kropelkę, zanim pójdziesz do siebie?

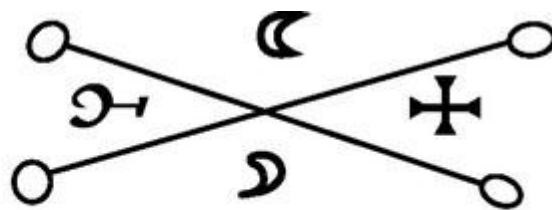
Podniosła się pospiesznie.

– Nie, dziękuję, Aloysiusie. Jest już po północy.

– Wobec tego zobaczymy się przy śniadaniu, moja droga

Constance.

Otworzył drzwi, a ona prześlizgnęła się miękko obok niego, wyszła na tonący w półmroku korytarz i nie oglądając się za siebie, wróciła do swojego pokoju.



Kwadrans po drugiej w nocy Constance obudziła się. Nie mogąc ponownie zasnąć i, co było dla niej nietypowe, błędząc gdzieś myślami, leżała w łóżku i wsłuchiwała się w zawodzenie wiatru i odległy łoskot fal. Po chwili wstała i ubrała się po cichu. Skoro sen nie chciał nadejść, mogła przynajmniej zaspokoić swoją ciekawość w pewnej kwestii.

Zabrawszy małą, lecz silną latarkę, którą dał jej Pendergast, podeszła do drzwi pokoju i otworzyła je ostrożnie. Korytarz na pierwszym piętrze był pusty i panowała w nim niezmacona cisza. Zamknęła za sobą drzwi i pokonując kolejne załomy korytarza, dotarła do pokoju historyka McCoola. W którymś momencie, gdy przemykała cichcem przez całą długość piętra, obejrzała się przez ramię. Nie miała wybujałej wyobraźni, lecz w ostatnich dniach odnosiła niepokojące wrażenie, że jest śledzona.

Koniec korytarza ciągle był zabezpieczony żółtą taśmą policyjną, pokój zamknięty i niedostępny dla nowych gości. Słyszała, jak Walt Adderly, właściciel gospody, uskarżał się na to w Pokoju Map. Wiedziała od czasu poprzedniej wizyty tutaj wraz z sierżantem Gavinem, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Ponownie rozejrzawszy się dokoła, prześlizgnęła się pod taśmą i weszła do środka.

Zamykając za sobą drzwi, zapaliła latarkę i omiotła powoli jej promieniem znajdujące się wewnątrz stylowe meble. Obejrzała kolejno każdy z nich, wiszące kilimy, łóżko z olbrzymim wezgłowiem, nieduży regał z mocno szczytanymi powieściami w broszurowych wydaniach, komódkę i stolik z wysuwającym blatem. Constance pod wieloma względami nie przywykła do współczesnego świata, do zastąpienia sztuczną poufałością podstawowych zasad kurtuazji, do szaleńczej

obsesji na punkcie technologii i gorączkowego chwytania się tego, co doczesne i efemeryczne. Rozumiała natomiast konieczność dochowywania i ukrywania tajemnic – umiejętność, która współcześnie była niemal w zaniku.

Wszystkie instynkty podpowiadały jej, że ten pokój skrywa jakiś sekret.

Podeszła do komódki i przyjrzała się jej, ale niczego nie dotykała. Następnie zbliżyła się do stolika z wysuwającym blatem. Popatrzyła na leżące tam książki i dokumenty, ale również ich nie dotknęła.

Tego jednego razu, kiedy miała okazję ujrzeć historyka osobiście, siedział on przy stole we frontowym saloniku gospody. Miał przed sobą otwarty notes w podniszczonej skórzanej okładce, w którym zawzięcie coś notował, zerkając raz po raz na jakąś prymitywną mapę lub może schemat. Ogarnęła ją fala przerażenia, że tego człowieka spotkał tak brutalny koniec.

Przypomniała sobie, że w pokoju nie znaleziono żadnego notesu. A jednak historyk prowadził dziennik – nie miała co do tego wątpliwości. I mógł on znajdować się tylko tutaj – nie było innego miejsca.

Cofnęła się i raz jeszcze omiotła wnętrze pokoju światłem latarki. Równocześnie w jej głowie rozbrzmiało echo słów Pendergasta: *Kiedy wywnioskujemy, czego dowiedział się McCool, będziemy wiedzieć, dlaczego szkielet został skradziony.*

Stary budynek zaskrzypiał pod wpływem kolejnego podmuchu wiatru.

McCool był tu tymczasowym lokatorem. Co za tym idzie, nie mógł stworzyć żadnych wymyślnych skrytek. Zbudowanie takich, z jakimi miała okazję się zetknąć podczas swoich wędrówek po piwnicach i podpiwniczeniach rezydencji przy Riverside Drive, zajęłoby mu wiele czasu. Nie mógł na przykład zdjąć kafelków w łazience ani wyciąć tapety w poszukiwaniu odpowiedniego wgłębienia w ścianie. Mimo że na pewno traktował swój projekt z przesadną ostrożnością, nie miał powodu uważać, iż ktoś mógłby chcieć ukraść wyniki jego badań. Jeżeli ukrył jakieś dokumenty, musiały znajdować się w miejscu, gdzie nie natknęłaby się na nie sprzątająca tu pokojówka, ale do którego stale

miałby względnie łatwy dostęp.

Podeszła do niedużego regału, uklękła przed nim i odsunęła na bok książki, jedną po drugiej. Niczego za nimi nie ukryto. Nie było też na widoku dziennika, jak w *Skradzionym liście*, wśród innych tytułów. Wyprostowała się i ponownie zaczęła omiatać wnętrze pokoju promieniem latarki, poszukując wad konstrukcyjnych, oznak starości lub zwietrzenia, które McCool mógł wykorzystać.

Pośrodku pokoju zwróciła uwagę na wyjątkowo dużą szczelinę między dwiema deskami. Znów uklękła i wyjęła starodawny włoski sztylet Maniago, który ostatnio zaczęła nosić przy sobie. Naciśnięcie przycisku na rękojeści *stiletto* wyłożonej macicą perłową uwolniło niewielkie, wąskie ostrze.

Kilka chwil dłubania wystarczyło, by upewniła się, że deski zamocowano solidnie.

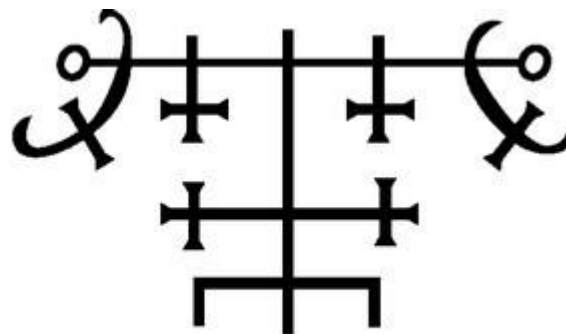
Narzuta na łóżku była obszerna i jej brzegi sięgały niemal do podłogi. Jednak dolna krawędź narzuty była zakurzona i najwyraźniej nikt pod nią ostatnio nie zaglądał. Nic nie wskazywało na to, aby dziennik ukryto pod łóżkiem.

Constance znowu się podniosła i podeszła do stolika z wysuwającym blatem. Miał cztery małe szuflady w górnej części, po dwie z każdej strony, oraz cztery większe poniżej. Jedną po drugiej wysunęła mniejsze szuflady, w których znajdowały się wyblakłe pocztówki z Exmouth i papier listowy ozdobiony szkicami gospody, po czym zajrzała z tyłu za nie. Nie było tam nic oprócz kurzu, trocin i niewielkich pajęczyn. Następnie zaczęła wysuwać większe szuflady w dolnej części stolika; odstawiała je kolejno na podłogę, przeglądała ich zawartość w świetle latarki, a następnie zajrzała do odsłoniętego otworu pod stolikiem i pomacała dłonią, czy niczego tam nie ukryto. Gdy wysunęła prawą dolną szufladę, gdzieś z tyłu dobiegło ciche stuknięcie. Szybko poświeciła tam latarką. Znalazła dwa przedmioty – cienki, oprawiony w skórę notes i jakiś periodyk. Wyjęła je, włożyła szufladę na miejsce, po czym usiadła na łóżku, żeby przejrzeć swoje znalezisko.

To, co w pierwszej chwili uznała za periodyk, okazało się katalogiem aukcyjnym londyńskiego Christie's. Nosił datę z sierpnia sprzed dwóch lat i był zatytułowany *Najwspanialsze klejnoty*

szlacheckich rezydencji. Choć niektóre fragmenty tekstu oznaczono zakładkami, nie było tam żadnych notatek ani zapisków.

Zamyśliła się przez chwilę, spoglądając na okładkę, i zmarszczyła brwi. A potem odłożyła katalog na bok, otworzyła podniszczony dziennik w skórzanej okładce i zaczęła przerzucać strony pokryte drobnym, zwartym odręcznym pismem. W końcu na jednej z nich zatrzymała się i z przejęciem pogrążyła się w lekturze.



5 marca

Spędziłem ranek i większość popołudnia w Warwickshire w Hurwell Ossory. Cóż to była za wizyta: Hurwellowie są starą angielską rodziną, która, obawiam się, nazbyt podupadła, zbliżając się do pospólstwa: zubożała, żyją jak nędzarze w swoim olbrzymim domu, linia rodowa osłabiona przez chów wsobny, ot bezużyteczny czyrak na zdrowym ciele społeczeństwa. Jedyne, czego nie utracili, to duma: są niemal fanatycznie oddani pamięci lady Elizabeth Hurwell i jej szlacheckich dzieł. To właśnie w głównej mierze mnie zablokowało, przynajmniej w pierwszej fazie prac, ponieważ rodzina zazdrośnie strzeże swojej reputacji (Bóg raczy wiedzieć, jak w ich mniemaniu ma się owa reputacja przedstawiać). Kiedy powiedziałem im, że zamierzam napisać biografię lady Hurwell, z miejsca zaczęli odnosić się wobec mnie z podejrzliwością. Ciekawość niewątpliwie nakłoniła ich, by wyrazili zgodę, żebym ich odwiedził. Kiedy jednak ujawniłem w pełni swoje intencje, nabrali wody w usta i przestali przejawiać chęć do dalszej współpracy. Stopniowo ich niechęć malała, kiedy wyjaśniłem, w jak dobrym świetle postrzegam lady Hurwell i jak pochlebny jej obraz pragnąłem przedstawić. Obiecałem im także dochowanie tajemnicy, co w moim mniemaniu było mistrzowskim posunięciem (którego mogę sobie jedynie pogratulować), utwierdziło ich to bowiem w przekonaniu, że historia ich rodziny interesuje mnie o wiele bardziej, niż to było w rzeczywistości.

Zostało ich już tylko troje – niezameżna ciotka; sir Bartleby

Hurwell, prawnuk lady Hurwell, wyjątkowo rozpuszczony osobnik; i jego niezamężna córka, stara panna. Całymi godzinami opowiadali stare rodzinne historie, pokazując mi albumy ze zdjęciami i z niemal nabożną czcią prawiąc o lady Hurwell. Pomimo ich podziwu wobec tej kobiety nie byli w stanie dostarczyć mi wielu użytecznych informacji; większości z tego, co mi powiedzieli, dowiedziałem się już wcześniej, w trakcie prowadzonych przeze mnie poszukiwań. Uraczyli mnie lunchem, na który podali kanapki z ogórkiem i słabiutką herbatę.

Poczułem, że ogarnia mnie coraz większe zniechęcenie. Postanowiłem ograniczyć kontakty z potomkami lady Hurwell, dopóki nie posunę się dalej w swoich poszukiwaniach, przekonany, że wykazując się głębszą wiedzą, jeżeli chodzi o osobę ich antenatki, przełamie lody i zyskam przychylność z ich strony. Teraz, kiedy lody zostały przełamane, okazało się, że moje wysiłki przyniosły mizerne rezultaty.

Jednak podczas lunchu zapytałem o dokumenty lady Hurwell. Okazało się, że troje pozostałych przy życiu Hurwellów nic nie wie o żadnych papierach, odparli, iż jeśli jakiegokolwiek istnieją, powinny znajdować się na poddaszu. Naturalnie zażądałem wglądu do nich. Po krótkiej chwili wahania wyrazili zgodę. I tak po skończonym lunchu sir B. poprowadził mnie przez rozbrzmiewające echem galerie i rozchwierutane schody na poddasze, wciśnięte pod sam okap dachu rezydencji. Nie było tu światła elektrycznego, lecz na szczęście byłem na tyle przezorny, że zabrałem ze sobą latarkę i zapasowe baterie. Poddasze zdawało się nie mieć końca. Zebranych było na nim całe mnóstwo różnych przedmiotów: stare kufry podróżne, stosy skrzyń ładunkowych, manekiny krawieckie, z których wyłaziła wyściółka, niezliczone sterty starych numerów "Timesa" i "Puncha" sprzed wielu dekad, powiązane kawałkami szpagatu. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, co więcej, jego dławiące obłoczki wzbijały się w górę przy każdym kroku. Z początku sir B. podążał za mną jak cień, może obawiał się, że wypcham sobie kieszenie jakimiś starociami, wkrótce jednak kurz i popiskiwanie szcurów sprawiły, że zrejterował i zostawił mnie samego.

Spędziłem godzinę z grzbietem bolącym od schylania się pod

niskim sklepieniem, mając w nosie, oczach i na rękach wszechobecny kurz, nie znalazłem jednak niczego wartościowego. Już miałem się poddać i powrócić do krainy żywych, gdy promień mojej latarki padł na starodawną szafkę na akta. Było w niej coś, co wzbudziło moje zaciekawienie: nawet pokryte patyną kurzu wydawało się bardziej wartościowe niż wszystko inne wokół. Kilka zdecydowanych przetarć rękawem marynarki ujawniło, że szafkę wykonano z wysokiej jakości różanego drewna z mosiężnymi mocowaniami. Na szczęście nie była zamknięta na kluczyk. Otworzyłem ją – i znalazłem prawdziwą skarbnicę, na którą miałem nadzieję trafić.

Wewnątrz dwóch szuflad znajdowały się dziesiątki osobistych dokumentów lady Hurwell: papiery związane z posiadłością, rozmaite akty notarialne, wyroki prawne z procesów, jakie toczyła z jednym ze swoich sąsiadów, oraz wczesna wersja jej testamentu. Najbardziej mnie zainteresował dziennik, który prowadziła jako nasto- i jeszcze dwudziestolatka, oraz przewiązany wstążeczką plik listów, jakie pisali do siebie z sir Hubertem Hurwellem na etapie załotów. Było to istotnie rzadkie znalezisko – bądź co bądź lady Hurwell wydawała się wolnomyślicielką i profeministką, a plotki głosiły, że jej małżeństwo obfitowało w liczne burze, zanim przerwała je przedwczesna śmierć małżonka – i to, co odkryłem, mogło niechybnie okazać się fascynujące. Natychmiast zacząłem się zastanawiać, jak przekonać pozostałych Hurwellów, by pozwolili mi skopiować zarówno dziennik, jak i listy.

W szafce był jeszcze jeden zestaw intrygujących dokumentów, zawierających kontrakt morski, dokument ubezpieczeniowy i listę – starannie ponumerowaną – serii cennych klejnotów.

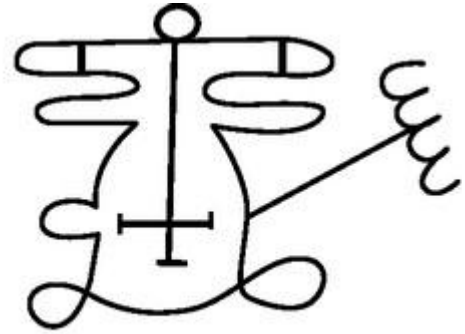
Najpierw skupiłem uwagę na liście klejnotów. Było ich dwadzieścia jeden, same rubiny, szlifowane kaboszony w odmianach pojedynczej i podwójnej gwiazdy, o wysoko cenionej barwie świńskiej krwi. Waga kamieni oscyłowała od trzech do pięciu koma sześć karata. Bez wątplenia był to katalog słynnej kolekcji Duma Afryki, klejnotów rodzinnych, które Elizabeth otrzymała od męża w prezencie ślubnym. Ponieważ klejnoty te uznawane były od dawna za zaginione, wiedziałem, że ten szczegółowy katalog okaże się nad wyraz interesujący.

Jeszcze ciekawszy okazał się dołączony do tego dokument ubezpieczeniowy. Pochodził z londyńskiego Lloydsa i zawierał weryfikację wykazu i oszacowania kamieni, przeprowadzoną na życzenie Lloydsa oraz opatrzoną adnotacją: Ten ładunek został niniejszym poświadczony i objęty ubezpieczeniem.

Następnie zbadałem kontrakt morski. Był datowany na listopad roku 1883 i sporządzony między lady Hurwell i niejakim Warrinerem A. Libbym, licencjonowanym kapitanem żeglugi morskiej. Zgodnie z treścią kontraktu Libby miał przejąć dowodzenie nad parowcem S/s Pembroke Castle płynącym z Londynu do Bristolu i w imieniu lady Hurwell możliwie jak najszybciej dostarczyć "nadzwyczaj cenny i niezwykle ładunek" do Bostonu. Kontrakt składał się z kilku bardzo konkretnych punktów odnoszących się do przetransportowania "dwudziestu jeden kamieni wymienionych w załączonym dokumencie ubezpieczeniowym". Libby miał nosić kamienie w skórzanej sakiewce, która miała być zaszyta i przymocowana na stałe do jego pasa. Pas ów miał mieć na sobie stale, nawet w nocy. Nie wolno mu było rozcinać sakiewki, oddzielać od pasa ani w żaden sposób ingerować w jej zawartość czy z kimkolwiek o niej rozmawiać. Po zawinięciu do portu w Bostonie miał niezwłocznie dostarczyć pas i przymocowaną do niej sakiewkę szanownemu Oliverowi Westlake'owi z kancelarii prawnej Westlake & Harvey przy Bacon Street.

"Nadzwyczaj cenny i niezwykle ładunek". Jeżeli to jest to, o czym myślę, dokument może rzucić światło na coś, co odkryłem, a co wydawało się mało znanym epizodem w życiu lady Hurwell, epizodem, który zakończony został wypłaceniem jej przez Lloydsa ogromnego odszkodowania zgodnie z wcześniej ustaloną kwotą. Może to również rzucić nowe światło na wciąż nierozwiązaną morską tajemnicę związaną z Elizabeth i zaginięciem klejnotów Duma Afryki. Wiedziałem, że moim pierwszym zadaniem było przekonanie pozostałych członków rodziny, aby dali mi więcej czasu na przestudiowanie tych papierów... choć przedsięwziąłem pewne kroki i użyłem aparatu w moim telefonie, by sfotografować je w świetle latarki, ot tak na wszelki wypadek. Moje następne zadanie będzie zakrojone na szerszą skalę i może zaowocować koniecznością udania się w podróż – wyprawę wiodącą stąd, z tego

mrocznego zakurzonego poddasza, aż na wybrzeże Ameryki Północnej w poszukiwaniu ostatecznego miejsca spoczynku parowca S/s Pembroke Castle.



Lake wspiał się po wąskich krętych schodach, sapiąc z wysiłku, po czym przesunął się na bok, żeby mogli do niego dołączyć pozostali. Szczyt latarni morskiej był jego ulubionym miejscem: widok z olbrzymich okien, obejmujący pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, był niezwykle, przydawał uroku samotności. Dziś jednak widok psuły ciężkie, zasnuwające niebo chmury. A ponieważ w ciasnym pomieszczeniu zebrały się już cztery osoby, trudno było mówić o samotności.

Spojrzał na swoich towarzyszy rozstawionych po obwodzie latarni: Carole, Constance – jak zwykle nieodgadniona i elegancka – i Pendergast. Agent FBI miał na sobie czarny kaszmirowy płaszcz, który sprawiał, że jego alabastrowa skóra wydawała się jeszcze bielsza.

Lake poruszył się niespokojnie. Mimo wszystko wciąż był oburzony po wczorajszym spotkaniu z Pendergastem.

– Zakładam – powiedział – że nie poprosił nas pan o wejście tutaj, żeby podziwiać widoki.

– Pańskie przypuszczenie jest słuszne – odparł przepelnionym słodczą głosem Pendergast. – Chciałbym zdać relację z postępów prowadzonego przez nas śledztwa.

– A zatem namyślił się pan i postanowił informować mnie na bieżąco. To miłe.

– Otóż dotarliśmy do takiego punktu w tej sprawie, że należałoby się podzielić naszymi odkryciami.

Coś w głosie Pendergasta uciszyło odpowiedź, jaką Lake

przygotował sobie w głowie.

– Sto trzydzieści lat temu, w nocy trzeciego lutego, zdesperowana grupka mieszkańców Exmouth, nie wiem, jak duża, ale wyobrażam sobie, że niezbyt liczna, przyprowadziła tu latarnika Meade’a Slocuma i zmusiła do wygaszenia latarni morskiej. Rzecz jasna, możliwe, że Slocum z własnej woli przyłączył się do spisku, jednak los, jaki ostatecznie go spotkał – skręcenie karku i ewidentne poczucie winy, jakie go dręczyło, w połączeniu z pijackimi opowieściami, jakoby latarnia była nawiedzona i że słychać było w niej płacz dzieci – sugeruje co innego.

– Do wygaszenia latarni? – spytał wbrew sobie Lake. – Ale po co?

– Ponieważ w tym samym czasie rozpalono inne światło. O tam. – Pendergast wskazał na brzeg, półtora kilometra dalej, gdzie w głąb oceanu sięgał pas groźnych, postrzępionych skał, znanych jako Zgniatacze Czerepów. – Ognisko.

– Nie rozumiem – rzekła Carole.

– Było to zaraz po ciężkiej zimie w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim, kiedy doszło do erupcji wulkanu Krakatau. Następnego lata na całym świecie zapanowała klęska nieurodzaju. Nowa Anglia też ucierpiała z powodu wyjątkowo marnych zbiorów. Exmouth przymierało głodem. Zamiarem tej grupy było zwabienie statku na skały, a następnie splądrowanie go. Pod jednym względem im się udało: brytyjski parowiec Pembroke Castle dał się, jak sądzę, zwieść fałszywemu światłu i wpadł na skały. Jednak grupa poniosła porażkę. Pembroke Castle przewoził bowiem dużą liczbę pasażerów, tak zwane kobiety upadłe, ze slumsów londyńskich, jedne w ciąży, inne z małymi dziećmi, liczące na nowy początek w Bostonie, w niezbudowanym tam jeszcze, lecz planowanym domu dla niezamężnych matek.

– Ten historyk McCool – wszedł mu w słowo Lake. – On się tym zajmował.

– Nie wiem, co się stało z pasażerami – mówił dalej Pendergast – choć w głębi serca obawiam się najgorszego. Wiem jedynie, że kapitana tego statku żywcem zamurowano w piwnicy pańskiego domu, co bez wątplenia było próbą wymuszenia na nim, żeby zdradził, gdzie zostały ukryte przewożone na pokładzie drogocenne przedmioty.

– Boże – szepnęła Carole.

– Nie rozumiem – rzekł Lake. – Po co ktoś po tylu latach wdarł się tu i wykradł szkielet?

– Ponieważ kapitan nigdy nie wyjawiał miejsca ukrycia klejnotów. – Pendergast przerwał, spoglądając ponad Lakiem w stronę złowrogich skał i nieustannie rozbijających się o nie fal. – Łupieżcy nie wiedzieli, że statek i jego misję sfinansowała angielska arystokratka lady Elizabeth Hurwell. Opłaciła całą wyprawę. A żeby były środki na dom dla kobiet, który zamierzała ufundować w Bostonie, posłała tam Dumę Afryki, bajecznie drogą kolekcję rubinów, które osiągnęłyby dziś wartość kilku milionów dolarów. Powierzyła je pieczy kapitana. Gdy po rozbiciu się statku kapitan ujrzał zebraną na plaży tłuszcę i zrozumiał, że statek został celowo zwabiony na skały, zrobił jedyną rzecz, jaka była jeszcze możliwa. Nie miał czasu na zakopanie klejnotów. Dlatego też ukrył je w najbezpieczniejszym miejscu, jakie mu przyszło do głowy.

Chwila ciszy.

– Czyli co z nimi zrobił? – spytał Lake.

– Połknął – odparł Pendergast.

– Co takiego? – wykrzyknął Lake.

– Nawet na torturach kapitan nie wyjawiał tajemnicy – ciągnął Pendergast. – Jego oprawcy podejrzewali, że na statku był przewożony cenny ładunek, nie dowiedzieli się jednak, że składały się na niego rubiny, kamienie niewiele większe od zwykłej pigułki. Szczątki kapitana i ukrytej fortuny spoczywały w pańskiej piwnicy przez ponad sto lat. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się ciało mężczyzny, wiedzieli o tym jedynie potomkowie uczestników owych strasznych wydarzeń. Wreszcie pewnego dnia do Exmouth przybył historyk poszukujący informacji na temat Pembroke Castle. Podczas zbierania materiału do biografii lady Hurwell dowiedział się, że kolekcja cennych kamieni o nazwie Duma Afryki znajdowała się na pokładzie tego parowca. I musiał o tym wspomnieć... niewłaściwym ludziom, którzy skojarzyli fakty.

– Skojarzyli fakty... – rzekł powoli Lake. – Wielkie nieba... chyba... rozumiem już, do czego to wszystko zmierza.

– Dlatego splądrowano pańską piwniczkę z winem. Potomkowie spiskowców, którzy doprowadzili do katastrofy Pembroke Castle,

dowiedzieli się o klejnotach od McCoola i wydedukowali, że kapitan musiał połknąć kamienie. A skoro tak, to powinny nadal znajdować się w zamurowanej wnęce wraz ze szkieletem, gotowe do zabrania. I ludzie ci wzięli nie tylko kamienie, ale także szkielet, by nie pozostawić żadnych dowodów, które mogłyby powiązać ich z przestępstwami, zarówno tymi z przeszłości, jak i obecnymi. Na ich nieszczęście przegapili jedną małą kość.

Lake wziął nerwowy, urywany oddech. Był wstrząśnięty i przerażony, a jednak w pewien osobliwy sposób także podekscytowany. Przez lata w piwnicy jego domu spoczywała istna fortuna w drogich kamieniach... Kiedy jednak zastanowił się nad tą historią, wydała mu się mocno naciągana.

– To tylko czyste spekulacje, panie Pendergast. Żaden ze mnie detektyw, ale wydaje mi się, że powinien pan mieć jakiś fizyczny dowód popierający pańską teorię, jakoby statek został celowo zwabiony i rozbity na tych skałach albo że kapitan połknął kolekcję cennych kamieni?

– Niestety nie mam.

– Po co więc ten teatr? Dlaczego ściągnął nas pan tutaj, żeby pokazać nam wybrzeże – a śmiem twierdzić, że mamy dość długą linię brzegową – skoro nie dysponuje pan niczym więcej oprócz czystych spekulacji?

Nastąpiła krótka chwila, po czym Pendergast odparł:

– Aby, jak to pan określił, był pan na bieżąco.

Lake westchnął.

– No cóż, racja. Sam tego chciałem. Dziękuję.

Nastąpiła dłuższa chwila, podczas której Lake zastanawiał się, czy nie zachował się zbyt zuchwale, dlatego złagodził ton.

– I uważa pan, że ci sami ludzie, którzy splądrowali moją piwniczkę, zabili historyka?

– Tak.

– A co z drugim morderstwem? Dany Dunwoody'ego?

– Ta sprawa jest bardziej niejasna. Pozostaje jeszcze wiele do zrobienia w związku z nią. Najpierw, jak pan raczył wnikliwie stwierdzić, musimy znaleźć twarde dowody potwierdzające ostateczne

losy parowca Pembroke Castle. Następnie musimy ustalić, dlaczego zabójcy wycięli na ciałach ofiar tak zwane Inskrypcje Tybane.

Lake pokiwał głową.

– W miasteczku aż wrze. Połowa mieszkańców uważa, że morderstwa są dziełem bandy idiotów bawiących się w czary. Reszta upiera się, że te symbole i napisy to zwyczajna zmyłka, mająca na celu wyprowadzenie policji w pole.

– To właśnie kwestia, którą musimy jak najszybciej wyjaśnić.

– Czy jednak nie uważa pan, że mogą istnieć ludzie, którzy na poważnie praktykują magię? – spytała Carole.

– To otwarte pytanie.

– Posłuchajcie – rzekł ze śmiechem Lake. – Przecież legendy o czarownikach i czarownicach to nic innego jak zwykłe opowiadki! Legendy właśnie!

Tym razem odezwała się Constance:

– Obawiam się, że nie. Dowiedziałam się, że w końcu siedemnastego wieku, po ucieczce z Salem, na tych podmokłych terenach rzeczywiście założył swoją osadę kowen czarownic. A kolonia wcale nie wymarła. Przeniosła się tylko gdzieś na południe.

Lake spojrzał na Carole. Jej twarz była blada i przerażona. Doskonale to rozumiał, świadomość, że ludzie, którzy splądrowali piwnicę ich domu, byli nie tylko złodziejami, lecz również mordercami, była bardzo niepokojąca. Ale czarownicy i czarownice? Nie, to już czysty absurd.

– Teraz, panie Lake, jest pan na bieżąco, jeżeli chodzi o stan naszego śledztwa. Raczy pan wybaczyć, ale chcielibyśmy niezwłocznie wrócić do naszych spraw. Nie muszę chyba mówić, że czas nagli.

Pendergast zaczął w milczeniu schodzić jako pierwszy po krętych schodach prowadzących z wieży latarni morskiej. Lake zaś szedł na samym końcu bardzo wolno, pogrążony w głębokiej zadumie.



Była godzina czternasta trzydzieści, kiedy Pendergast zaparkował porsche spydera na końcu Dune Road. Wsiadł z samochodu i Constance zrobiła to samo, patrząc, jak agent otwiera bagażnik i wyjmuje ze środka wykrywacz metali oraz płócienną torbę ze sprzętem. Przygotował się na trudne warunki pogodowe, miał na sobie zydwestkę i gruby sztormiak. Dzień zrobił się jeszcze bardziej szary, powietrze zaś było tak wilgotne, że wydawało się stworzone z maleńkich kropel słonej wody. Nie było jednak mgły i widoczność okazała się całkiem dobra: Constance mogła widzieć latarnię morską w Exmouth, półtora kilometra na północ, gdzie spędzili większą część poranka, rozmawiając z Lakiem.

Podążyła za Pendergastem wąską, piaszczystą ścieżką w kierunku wody. Tam, gdzie ścieżka zaczynała się piąć pod górę z uwagi na ukształtowanie terenu, agent przystanął. Spojrzał na wschód, a jego głowa poruszyła się prawie niedostrzegalnie, gdy przepatrywał linię brzegową. Popołudnie było nie tylko szare, ale i chłodne, a w związku z tym Constance przebrała się w sweter Fair Isle i sięgającą do połowy łydek tweedową spódnice.

Nie było jej obce milczenie Pendergasta i nie miała nic przeciwko temu, żeby spędzać czas z własnymi myślami, lecz po piętnastu minutach zniecierpliwienie wzięło górę.

– Wiem, że nie lubisz takich pytań, ale co my tu właściwie robimy?

Przez chwilę Pendergast nie odpowiadał. W końcu przerwał obserwację i odwrócił się do niej.

– Obawiam się, że nasz przyjaciel rzeźbiarz ma rację. Moja teoria

o wraku rozbitego statku pozostaje wytworem mojego umysłu. Jesteśmy tu, żeby zdobyć dowód.

– Ale przecież Pembroke Castle zaginał sto trzydzieści lat temu. Jakiego rodzaju dowód możemy znaleźć po tylu latach?

– Przypomnij sobie, co mówiłem wcześniej. – Wskazał na południe, ku odległej części wybrzeża, która pod ostrym kątem sięgała w głąb morza. – Hak linii brzegowej musiałby zadziałać jak sieć. Jeżeli statek został tu zatopiony, na pewno pozostały jakieś szczątki.

Constance spojrzała za ruchem jego ręki.

– Jak możesz tak wnioskować na podstawie współczesnej topografii? Trzydzieści dekad sztormów z pewnością zmieniło kształt linii brzegowej.

– Gdybyśmy byli na Cape Cod, przyznałbym ci rację. Ale tu brzeg jest piaszczysty, poprzecinany kamiennymi odcinkami, które pełnią funkcję naturalnych falochronów, zachowując jego kształt.

Znów zamilkł, raz jeszcze przepatrując omiatany wiatrem pejzaż. Wreszcie zarzucił torbę na ramię.

– Idziemy?

Constance zeszła za nim po zboczu w stronę brzegu. Ta część wybrzeża była usiana wielkimi jak samochody, złowieszczo wyglądającymi głazami. Nawet stąd widziała, że ich boki były pokryte ostrymi jak brzytwy pąklami. Wokół nich z łoskotem rozbijały się fale, wzbijając w powietrze pióropusze piany. Pył wodny niósł się z wiatrem od strony groźnych grzywaczy, które nieustannie przetaczały się w kierunku lądu.

Pendergast zatrzymał się w sporej odległości od skał. Położył wykrywacz metali na ziemi, wyjął GPS, lornetkę, kamerę cyfrową i jeszcze jeden zagadkowy przyrząd. Następnie wyciągnął mapę i rozłożył ją, obciążając rogi kamieniami. Constance zauważyła, że była to mapa topograficzna obszaru Exmouth w dużej skali 1 : 24 000, pokryta gęsto odręcznymi notatkami jej opiekuna. Przez kilka minut agent patrzył na mapę, niejednokrotnie unosząc wzrok, by spojrzeć na jakiś punkt na wybrzeżu. Wreszcie złożył mapę i schował z powrotem do torby.

– Dwudziesta trzecia trzydzieści – powiedział bardziej do siebie niż

do Constance. – Wiatr powinien wiać z tego kierunku. – Spojrzał na południowy wschód, ku latarni morskiej. – A światło było wygaszone.

Sięgnął po GPS i dziwaczny przyrząd, po czym zaczął iść na południowy zachód stycznie do linii brzegowej. Constance podążyła za nim i zatrzymywała się, kiedy on przystawał, żeby spojrzeć na GPS. W końcu znaleźli się w punkcie między latarnią morską a groźnie wyglądającą linią strzępiastych skał ciągnących się wzdłuż morza.

– Ognisko musiało zostać rozpalone nieco dalej, na brzegu, na wyżej położonym miejscu, być może na grzbiecie wydmy – wymamrotał. – To nie mogło być większe ognisko, ważne było zachowanie złudzenia odległości, ale musiało palić się silnym, jasnym płomieniem.

Znów zaczął spacerować w tę i z powrotem, spoglądając na GPS. Następnie zdjął z głowy zydwestkę, włożył ją do kieszeni sztormiaka, uniósł tajemniczy przyrząd i zaczął celować nim w różnych kierunkach, spoglądając przez urządzenie, tak jak geometra patrzy przez teodolit.

– Co to takiego? – spytała Constance.

– Dalmierz laserowy.

Pendergast wykonał kilka pomiarów, porównując je z odczytem GPS-u. Po każdym pomiarze przechodził do kolejnego miejsca. Odległości między punktami stawały się coraz mniejsze.

– Tutaj – powiedział w końcu.

– Co tutaj? – Constance spytała bliska irytacji; zaczynała mieć dosyć nieodgadnionej postawy Pendergasta.

– To byłoby idealne miejsce na zrobienie ogniska. – Skinął głową na południe, w stronę wyglądających jak igły strzępiastych skał otoczonych przez spienione fale. – Ta rafa jest znana jako Zgniatacze Czerepów. Zwróć uwagę, że znajdujemy się dokładnie w linii prostej z latarnią morską w Exmouth, ale równocześnie w takim miejscu, że te groźne skały ciągną się między latarnią morską a przepływającym statkiem. Statek płynący kursem na południe i trzymający się blisko brzegu z uwagi na sztorm musiałby skorzystać ze światła latarni Exmouth, żeby opłynąć północny brzeg Cape Ann. Jeżeli przemieściłabyś źródło światła półtora kilometra na północ, statek, orientując się na podstawie tego światła, musiałby wpłynąć prosto na te

skały, które w burzliwą noc na pewno byłyby niewidoczne.

Constance rozejrzała się dookoła. Stali na plaży podmytej drobnymi, gładkimi kamykami. Pas plaży rozciągał się na północ i południe.

– Zważywszy na sztorm – mówił dalej Pendergast – i szczyt przyływu oraz północnowschodni wiatr, szczątki zostały rozsiane po całym wybrzeżu wokół nas.

– Wobec tego gdzie one są? Albo gdzie były? Nie ma wzmianki o odnalezieniu jakichkolwiek szczątków. Stumetrowy statek nie mógł tak po prostu zniknąć.

Pendergast wciąż patrzył w stronę skał, mrużąc oczy, a wiatr zwiewał z jego czoła pasma jasnych, niemal białych włosów. Jeżeli był rozczarowany, to nie dał tego po sobie poznać. W końcu odwrócił się i spojrzał ku północy.

Coś w jego postawie i wyrazie twarzy zastanawiało Constance.

– O co chodzi? – spytała.

– Chciałbym, żebyś obróciła się powoli wokół własnej osi, zrób to zwyczajnie, bez zwracania uwagi na cokolwiek czy przyglądania się czemuś konkretnemu, i popatrz na wzniesienie wydym na północy, w kierunku Exmouth.

Constance przecesała włosy ręką, przeciągnęła się z udawanym rozleniwieniem i wykonała pełen obrót. Ale nic tam nie było, jedynie linia nagich wydym porośniętych z rzadka trawą morską, której źdźbła falowały na wietrze.

– Niczego nie widzę – odparła.

– Była tam postać – rzekł po chwili Pendergast. – Kiedy się odwróciłaś, ciemna postać skryła się za wydymami.

– Zbadamy to?

– Jestem pewien, że zanim dotrzemy na miejsce, już dawno jej tam nie będzie.

– Dlaczego jesteś zaniepokojony? Widywaliśmy innych ludzi spacerujących po plaży.

Pendergast wciąż patrzył ku północy, nie odzywając się ani słowem, a na jego twarzy malował się wyraz głębokiego poruszenia. Wreszcie pokręcił głową, jakby chciał odegnać wszelkie myśli, jakie

w tej chwili mogły mu się w niej kołatać.

– Constance – powiedział półgłosem – chciałbym cię o coś poprosić.

– Dobrze, o ile tylko nie będzie się to wiązało z pływaniem.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy pozostali tu przez pewien czas?

– Nie. Czemu pytasz?

– Zamierzam odbyć sesję Chongg Ran.

– Tutaj?

– Tak, tutaj. Byłbym wdzięczny, gdybyś dopilnowała, żeby mi nie przeszkadzano, chyba że jakaś postać, jakakolwiek, ponownie pojawi się na szczycie tych wydm.

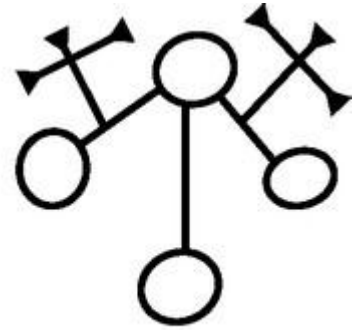
Constance wahała się tylko przez moment.

– Dobrze.

– Dziękuję.

Pendergast jeszcze raz rozejrzał się wokoło, a jego wzrok był bystry i przenikliwy, jakby starał się zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół otoczenia. Ukląkł. Następnie odgarnął drobne kamyki i wyłobił w piasku niewielkie wgłębienie, żeby ułożyć na nim głowę, i położył się na plaży. Zaciągnął mocniej pasek sztormiaka, wyjął z kieszeni zydwestkę i wsunął ją pod głowę zamiast poduszki. Splótł ramiona na piersiach jak nieboszczyk i zamknął oczy.

Constance przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem rozejrzała się dokoła. Zobaczyła spory kawał przyniesionego przez fale drewna, wystający z piasku trzy metry od niej, podeszła i usiadła tam, sztywno wyprostowana i czujna. Plaża była całkiem opustoszała, gdyby jednak w pobliżu był ktoś, kto by się im przyglądał, mógłby skojarzyć zachowanie Constance z postawą lwicy ochraniającej swoje lwiątko. Ona także zamarła jak Pendergast: dwie nieruchome postacie odcinające się na tle ciemnego, nieprzychylnego nieba.



31

Agent specjalny Pendergast leżał na kamienistej plaży. Choć miał zamknięte oczy, był głęboko świadomy otoczenia: słyszał szum fal, czuł zapach słonego powietrza i obłe kamyki pod plecami. Jego pierwszym zadaniem było odcięcie się od świata zewnętrznego i przekierowanie jego intensywności do wewnątrz.

Ze świadomym wysiłkiem, wynikającym z długiej praktyki, spowolnił oddech i rytm serca, leżał w tym stanie blisko dziesięć minut, wykonując serię złożonych ćwiczeń mentalnych, niezbędnych do osiągnięcia medytacyjnego poziomu *th'an shin gha* – Wrót Doskonałej Pustki – i przygotowując się do tego, co go czeka. Wreszcie metodycznie zaczął usuwać elementy tworzące świat wokół niego. Miasteczko Exmouth znikło wraz z jego mieszkańcami. Zniknęło ołowiane niebo. Chłodna bryza nie mierzwiła już jasnych włosów agenta. Ocean, z jego dźwiękami i zapachem, też przestał istnieć. Na samym końcu odeszły Constance i plaża.

Wszystko było czernią. Osiągnął *stong pa nyid* – Stan Czystej Pustki.

Pozwolił sobie pozostać w tym stanie, pływając się samotnie w pustce przez okres, który w stanie podwyższonej świadomości Chongg Ran wydawał się wiecznością, a który w rzeczywistości nie trwał dłużej niż kwadrans. Wreszcie z ogromną rozwagą zaczął w umyśle odtwarzać świat w odwrotnej kolejności, niż go dekonstruował. Najpierw pojawiła się sięgająca we wszystkie strony kamienista plaża. Potem firmament nieba powyżej. Następnie wiatr od morza, lecz nie była to już bryza, lecz

zawodzący nocny wicher, niosący ze sobą krople deszczu, które aż piekły skórę. Później pojawiło się wzburzone morze. Na koniec Pendergast umieścił na plaży w Exmouth siebie.

Niemniej plaża nie wyglądała tak jak obecnie. Dzięki głębokiemu intelektualnemu wysiłkowi Pendergast odtworzył w myślach Exmouth z przeszłości, a dokładnie z nocy 3 lutego 1884 roku. Teraz, gdy pozwolił sobie na odzyskanie wszystkich zmysłów, w pełni uświadamiał sobie, co dzieje się wokół niego. Poza szalejącą burzą zwrócił uwagę na brak czegoś – półtora kilometra na północ stąd panowała ciemność. Latarnia morska nie świeciła, tonęła w gęstym mroku. Ale wciąż tam była – kiedy błyskawica przecięła niebo, w białym świetle pojawił się prosty kamienny kształt, wznoszący się jak palec ku gniewnemu niebu.

Na wprost niego znajdowało się inne źródło światła. Ułożona w kształt tipi piramida z patyków, gałęzi i paproci na wydmie ponad plażą i płonąca silnym ogniem. Wokół niej zebrało się około dwudziestu osób okutanych w grube płaszcze. Mimo że był tam tylko mentalnie, wycofał się od obrzeża blasku rzucanego przez ognisko i stanął wśród cieni. Rysy twarzy mężczyzn, rozjaśnione przez poświatę, były ledwie rozpoznawalne, ale na każdej z nich malowało się to samo: surowość, desperacja i okrutne wyczekiwanie. Dwaj mężczyźni trzymali gruby koc i stali między oceanem a ogniskiem. Trzeci mężczyzna, najwyraźniej przywódca spisku, którego toporne rysy w blasku ognia wyglądały dziwnie znajomo, w jednej ręce trzymał starodawny stoper, a w drugim latarnię. Głośno odliczał sekundy, od jednego do dziewięciu, po czym zaczynał od początku. Przez dwie sekundy z każdych dziewięciu mężczyźni unosili koc, odsłaniając na krótko światło ogniska, po czym znów je zakrywali. Pendergast wiedział, że w ten sposób symulowali dziewięciosekundowe odstępy pomiędzy kolejnymi błyskami latarni Exmouth.

Na południe stąd niewyraźne kształty Zgniataczy Czerepów były widoczne tylko jako rozmyte smugi skrywane wśród spienionych fal.

Zabójcza rafa. Przylądek Walden Point, gdzie znajdowała się latarnia morska Exmouth, był zbyt blisko miasta, wrak zostałby zauważony. Ale gdyby statek rozbił się na skałach Zgniataczy Czerepów, na południe od miasteczka, nikt by go nie zobaczył,

a szczątki zostałyby wyrzucone na ten odludny pas plaży na niewielkim obszarze.

Z wyjątkiem mężczyzny ze stoperem pozostali zebrani przy ognisku prawie się nie odzywali; ich błyszczące, łakome oczy drapieźnie wpatrywały się w morze, sondując ciemność. Wiał zawodzący wiatr z północnego wschodu, a deszcz zacinał niemal poziomo.

Nagle rozległ się głośny okrzyk: ktoś spostrzegł ulotny błysk w ciemnościach na morzu. Tłum ruszył naprzód, wyżejając wzrok. Ktoś wyjął lunetę z kieszeni płaszcza i spojrział ku północnemu wschodowi. Nastąpiła długa, niepokojąca chwila ciszy, gdy mężczyzna wpatrywał się w rozszalały mrok.

A potem zawołanie:

– To parowiec, chłopcy!

Rozległ się kolejny okrzyk, lecz przywódca natychmiast go uciszył i kontynuował odliczanie z użyciem stopera, pilnując, by blask ogniska zachował taki sam rytm pojawiania się, jak świeciła latarnia Exmouth. Teraz światła statku stały się widoczne znacznie wyraźniej, to jawiąc się, to znów znikając, gdy parowiec wznosił się i opadał na wzburzonych falach. Całą grupę przeszedł elektryzujący dreszcz, bo jednostka nawigowała, sugerując się fałszywymi sygnałami świetlnymi, i kierowała się wprost na zdradliwe skały.

Spod płaszczy zaczęto wyjmować strzelby, muszkiety, pistolety, pałki i sierpy.

Wszystko ściemniało i scena na plaży zmieniła się, kiedy czerń się rozmyła, a Pendergast znalazł się na mostku okrętowym parowca S/s Pembroke Castle. Obok niego stał mężczyzna w mundurze kapitana i wpatrywał się z uwagą przez lunetę w światło na brzegu. Na prawo od niego nawigator pochylał się nad rozłożoną mapą, na którą padał blask czerwonej latarni nawigacyjnej. Na mapie leżały przybory: cyrkiel, ołówek, liniał. Postument z obudową kompasu okrętowego był tylko nieznacznie uchylony i płynęła stamtąd delikatna poświata – na mostku panował półmrok, co miało pomóc wszystkim w lepszym przenikaniu wzrokiem panującej dokoła ciemności. Sternik stał obok kapitana, mocując się z kołem, gdy statek szedł po wzburzonym morzu.

Atmosfera na mostku była napięta, lecz kapitan dzięki swoim

oszczędnym ruchom i zwięzłym komendom zachowywał władcą postawę i emanował spokojem. Nic nie zwiastowało nadchodzącej katastrofy.

Oczyrna duszy, ukryty w najdalszym kącie, Pendergast zauważył, że wzburzone fale przelewały się nad rufą statku, czarna woda obmywała dziób, a parowiec kołysał się mocno przy każdym uderzeniu fali. Pojawił się przemoczony do suchej nitki pierwszy oficer.

W odpowiedzi na pytanie kapitana doniósł, że silniki parowe pracują efektywnie i wydajnie, dębowy kadłub trzyma, pojawiły się przecieki, ale nie są na tyle poważne, żeby nie mogły sobie z tym poradzić pompy zęzowe.

Kapitan Libby opuścił na chwilę lunetę, aby wysłuchać raportów pierwszego i drugiego oficera. Pierwszy stwierdził, że zgodnie z zapisem w dzienniku pokładowym prędkość statku wynosi przy relingu rufowym dziewięć węzłów, a parowiec idzie na południe, południowy zachód, stałym kursem stu dziewięćdziesięciu stopni. Drugi oficer oznaczył głębokość wód na podstawie pomiarów za pomocą liny sondy.

– Dwanaście sążni – zawołał, przekrzykując ryk sztormu. – Dno obfitujące w muszle.

Kapitan nic nie powiedział, ale na jego twarzy odmalowało się zaniepokojenie. Znow uniósł lunetę, kierując ją w stronę tego, co wydawało się latarnią Exmouth.

– Kontynuować sondowanie – polecił, po czym zwrócił się do nawigatora: – Utrzymywać zwrot na sterburtę.

Pendergast znał się na żegludze morskiej i nawigacji na tyle, by wiedzieć, że pomiary głębokości za pomocą sondy z uwagi na bliskość statku do brzegu oraz szalejący sztorm miały kluczowe znaczenie.

Kilka minut później drugi oficer wrócił z kolejnym raportem o pomiarze głębokości.

– Dziesięć sążni. Kamieniste dno.

Kapitan opuścił lunetę i zmarszczył brwi.

– Sprawdzić jeszcze raz – nakazał.

Drugi oficer znow zniknął pośród sztormu.

– Dziewięć sążni. Kamieniste dno – powtórzył.

Wszyscy mężczyźni na mostku wiedzieli, że Pembroke Castle ma

zanurzenie rzędu trzech sążni, albo osiemnastu stóp, czyli sześciu metrów poniżej linii wody. Kapitan Libby odwrócił się do nawigatora, żeby uzyskać od niego wyjaśnienia.

– Panie kapitanie, to nie ma sensu! – zawołał tamten, przekrzykując zawieruchę. – Wedle map powinniśmy mieć pod kilem głębokość szesnastu sążni i piaszczyste dno.

– Kamieniste dno oznacza mieliznę – odrzekł oschle kapitan. – Albo mapa się myli, albo zeszedliśmy z kursu.

– Sześć sążni – dobiegł głos drugiego oficera. – Kamieniste dno. Kapitan podszedł do pelorusu i sam zrewidował ustalenia kursu.

– Niech to szlag – wycedził, ponownie unosząc lunetę i z przejściem wpatrując się w rozszalały sztorm, teraz jednak nie było widać już nic, nawet światła.

– Zwrot na lewą burtę – nakazał nagle tubalnym głosem sternikowi. – Obracć nowy kurs, dziewięćdziesiąt stopni.

– Ależ kapitanie – zaprotestował pierwszy oficer. – W ten sposób wystawiamy się na bezpośrednie uderzenia fal, prosto w pokładnicę.

– Niech tak będzie – odparł Libby. – Wykonać!

Sternik już zakręcił kołem, zmieniając kurs; zawracając, statek gwałtownie zadygotał, a gdy wszedł w skręt, rozległ się okrzyk oficera wachtowego na skrzydle mostka:

– Spienione fale na wprost!

Kapitan odwrócił się, patrząc przez lunetę. Pendergast bezszelestnie podkradł się i stanął za nim. W oddali przed nimi spomiędzy ciemnych fal wyłoniła się słaba, rozmazana smuga bieli.

– Ster w prawo! – ryknął Libby. – Silniki! Odwrócić ciąg! Cała wstecz!

Jego rozkaz został przekazany do maszynowni, a sternik rzucił się, żeby wykonać polecenia, ale statek był ciężki, długi i stawiał czoło naporowi fal uderzających w pokładnicę. Biała rozmyta smuga pojaśniała i nagły rozbłysk pioruna ukazał ich oczom, co mieli przed sobą: pasmo groźnie najeżonych, obmywanych spienionymi falami skał zwanych Zgniataczami Czerepów.

– To niemożliwe, żebyśmy aż tak zeszedli z kursu! – zawołał nawigator.

– Cała wstecz! – powtórzył kapitan, podczas gdy pokład przeszła gwałtowna wibracja silników.

Jednak załoga na mostku i Pendergast wiedzieli, że jest już za późno – groźne skały wyłoniły się spomiędzy strug ulewnego deszczu otoczone grzmiącymi falami...

I wtedy rozległ się rozdzierający łoskot, gdyż dziób statku został brutalnie zniesiony na skały. Potężne fale przelały się nad relingiem dziobowym, wdzierając się przez okna mostka i wyrzucając za burtę pierwszego oficera oraz nawigatora.

– Opuścić statek! – zawołał kapitan Libby do drugiego oficera. – Załoga na stanowiska, spuścić szalupy, najpierw kobiety i dzieci!

– Opuścić statek! Załoga na stanowiska! – Rozkazy niosły się gromkim echem zgodnie z łańcuchem dowodzenia, gdy załoga rzuciła się, by wypełnić polecenia kapitana.

I znów scenę spowiła nieprzenikniona czerń, a mentalny punkt widzenia Pendergasta powrócił do grupy zebranej na plaży. Mężczyźni stali w przerażeniu i milczeniu, patrząc, jak zaledwie o sto metrów od nich wielki statek został zniesiony przez fale na strzępiaste skały, po czym rozbił się na nich przy wtórze głośnego huku eksplozji kotłów, gdy przez otwory w burtach do wnętrza wdarła się woda. Brutalność oceanu, odległe krzyki i płacz wydawały się niepojęte. Mężczyźni zastygli w osłupieniu, przejęci grozą zdarzenia, do którego doprowadzili.

Próbowano spuścić na wodę szalupy, jednak parowiec mocno kołysał się na skałach, targany przez fale w tę i z powrotem, i okazało się to prawie niemożliwe – łodzie ratunkowe zostały roztrzaskane w drobny mak o głązy lub ciśnięte na kadłub statku, a pasażerowie, którzy do nich wsiedli, znaleźli się w odmętach wody.

Kilka minut później porywisty wiatr i wzburzone fale zaczęły wyrzucać na brzeg rozmaite szczątki: części omasztowania, deski, beczki, a potem rozbitków. Grupa stojąca na plaży wydała głośny okrzyk zdumienia. Zamiast dobrze ubranych oficerów fale wypluwały młode kobiety, jedne wciąż trzymające w ramionach niemowlęta i nieco starsze dzieci, inne zaś kurczowo chwytające się fragmentów statku. Walczyły z żywiołem i zataczając się, wychodziły na brzeg, błagalnie wzywając pomocy, przemoczone do suchej nitki, krwawiące z licznych skaleczeń

i otarć. Morze wyrzucało też topielców, pozostawiając ich na plaży, zastygłych w groteskowych, rozwiązłych pozycjach. Były wśród nich także ciała mężczyzn w kombinezonach roboczych – załogantów parowca.

Pendergast przeniósł uwagę z wraku na dwóch mężczyzn na brzegu, tak do siebie podobnych, że musieli być braćmi. Jeden trzymał w ręce stoper, a drugi lunetę. Ich twarze wyrażały zdumienie i konsternację. Najwyraźniej nie spodziewali się, że statek będzie przewoził tylu pasażerów, a zwłaszcza kobiety i dzieci. Inni mężczyźni także byli wstrząśnięci. Przez chwilę wszyscy stali jak sparaliżowani, niezdolni do jakiegokolwiek działania. Wreszcie pod wpływem nagłego impulsu jeden z mężczyzn rzucił się do wody, by pomóc kobiecie z dzieckiem wydostać się na brzeg. Gdy mijał mężczyznę ze stoperem, ten pochwycił go gniewnie i powalił na ziemię. A potem zwrócił się do pozostałych:

– To świadkowie! – zawołał do tłumu. – Rozumiecie? Świadkowie! Chcecie za to zawisnąć?

Jedyną odpowiedzią było zawodzenie sztormu, żalosne odgłosy tonących i krzyki zdesperowanych kobiet i dzieci usiłujących walczyć z falami, by dotrzeć do brzegu.

I wtedy pośród wzburzonego morza Pendergast ujrzał zdumiewający widok: dużą płaskodenną łódź wypełnioną przez kobiety i dzieci. Jedna z szalup jednak przetrwała. Kapitan Libby stał na dziobie, trzymając latarnię i wydając rozkazy, dwaj marynarze obsługiwali wiosła. Grupa na brzegu patrzyła, jak Libby wprawnie przeprowadza łódź przez fale przyboju. Gdy kobiety i dzieci zeszły na plażę, kapitan znowu wskoczył do łodzi i rozkazał swoim ludziom, aby wrócili do wraku i w heroicznym wysiłku ocalili więcej istnień. Rozbitkowie podążyli zwartą gromadą w stronę ogniska, przekonani, że są ocaleni.

Przywódca grupy wpadł w złość, widząc taki rozwój wydarzeń.

– To na pewno kapitan! – powiedział, wskazując na niego palcem.
– To o niego nam chodzi! On wie, gdzie są łupy! Brać go, ale już!

Cała zgraja z głośnym rykiem rzuciła się naprzód, wymachując pistoletami, nożami i sierpami. Kiedy szalupa wróciła z kolejną grupą rozbitków, została zaatakowana przez spiskowców. Dwaj członkowie

załogi zginęli, a Libby dobył szabli, musiał jednak ulec, bo tamtych było zbyt wielu; rozbili go, unieruchomili i zawlekli przed oblicze przywódcy.

Kapitan, którego twarz przecinały na czole i policzku głębokie krwawiące rany, spojrział na tamtego z odrazą i wściekłością

– Ty to zrobiłeś! – wycedził. – Zwabiłeś nas na skały! Morderco!

W odpowiedzi przywódca przyłożył mu pistolet do głowy.

– Mów, gdzie są pieniądze.

Kapitan pozostał w bezruchu i nie odezwał się ani słowem.

Przywódca pistoletem uderzył Libby'ego w twarz. Kapitan osunął się na kolana oszołomiony. Na rozkaz przywódcy znów brutalnie podźwignięto go na nogi; krew lała się z jego złamanego nosa. Został przeszukany, lecz nie znaleziono przy nim żadnych kosztowności. Coraz bardziej rozwścieczony przywódca wymierzył mu siarczysty policzek.

– Zabrać go do latarni morskiej – rozkazał, zwracając się do pozostałych mężczyzn.

Dwóch z nich ujęło kapitana pod ramiona i na wpół go pchając, na wpół wlokąc, ruszyło z nim na północ wzdłuż plaży. Otrząsnąwszy się z oszołomienia, kapitan zakrzyknął:

– Co zamierzacie zrobić z kobietami i dziećmi?

W odpowiedzi przywódca splunął na piach, wcześniej jednak obejrzał się przez ramię na wydmy wznoszące się za kamienistą plażą. A potem zwrócił się do swoich ludzi:

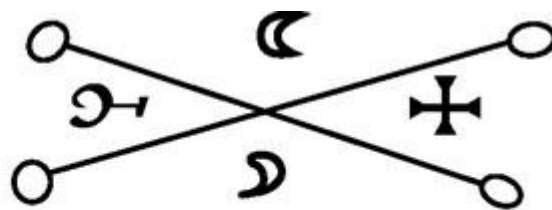
– Popłyńcie szalupą do statku. Przeszukajcie go, poczynając od kajuty kapitańskiej. Znajdźcie łup, zanim statek się przełamie!

Mężczyźni, choć nadal w szoku, byli teraz zjednoczeni. Skrajne barbarzyństwo, jakiego się dopuścili, połączyło ich, musieli doprowadzić to wszystko do końca. Gromada zeszła na plażę, spuściła łódź na wodę, zajęła miejsca przy wiosłach i przeprowadziła szalupę przez spienione fale w stronę uszkodzonej rufy statku uwięzionego na skałach, zdruzgotanego i stopniowo roznoszonego na strzępy przez uderzające w niego bezlitosne fale. Dotarłszy do ziejącej wyrwy pośrodku kadłuba, mężczyźni weszli do środka, a ich pochodnie gasły jedna po drugiej.

Pendergast obserwował ich ze swojego miejsca w głębi plaży. A potem przeniósł uwagę na przemoknięte smętne postacie kobiet,

małych dzieci i niemowląt, kulących się po trzy, cztery osoby, szlochających i błagających o pomoc.

Patrzył też na nie inny mężczyzna: przywódca grupy. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej ciężką pałkę. Wyraz jego twarzy był tak złowrogi, że w mgnieniu oka wędrówka ścieżką wspomnień została przerwana i Pendergast znów znalazł się w teraźniejszości. Leżał na kamienistej plaży, a nieopodal nieruchoma jak posąg Constance Greene trzymała straż nad opustoszałym miejscem.



Carole Hinterwasser podeszła do frontowych drzwi swojego sklepiku Smaki Exmouth i wyjrzała za okno przez szparę między firankami. Była szesnasta trzydzieści, pół godziny przed formalnym końcem pracy, ale tabliczka z napisem „Zamknięte” wisiała na drzwiach wejściowych już od dziewięćdziesięciu minut. Carole spojrzała w lewo, a potem w prawo. Main Street tonęła w ciszy, tylko tu i ówdzie można było dostrzec kilkoro przechodniów.

Z zaplecza dobiegły ciche kroki, a po chwili Carole zdała sobie sprawę, że tuż za nią pojawił się Bradley Gavin. Poczowała, jak przywarł do niej całym ciałem, a jego ciepły oddech omiół jej szyję, gdy on także wyjrzał za okno.

– Widzisz coś? – spytał.

– Nie. – Cofnęła się o krok. – Ostrożnie. Ktoś może cię zobaczyć.

– A może po prostu przyszedłem tu, żeby coś kupić?

– Do zamkniętego sklepu? – Mimo że byli sami, zniżyła głos do szeptu.

– Chciałem zapytać, gdzie przez ten czas była ta dziewczyna, Flavia.

– W piwnicy, przeprowadza remanent. Nic nie słyszała.

Dopilnowałam tego.

– Myślisz, że się czegoś domyślają?

– Nie wiem – odparła. – Zawsze byliśmy dyskretni, ale Exmouth to małe miasteczko. – Podeszła i pogasiła światła.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się ciemno, półmrok rozjaśniała jedynie słaba poświata płynąca z zewnątrz. Po krótkiej chwili Gavin powiedział:

– Masz rację. A wszystkie te niedawne zdarzenia: kradzież wina Lake’a, pojawienie się tego wścibskiego Pendergasta, morderstwa i symbole Tybane... Nigdy jeszcze sytuacja nie była równie poważna. Bywało źle, ale nigdy aż tak. Zupełnie jakbyśmy żyli pod mikroskopem. Mój dziadek zwykł mawiać: Jeżeli zarzucisz dużą sieć, nie wiadomo, co się w nią złapie. Jak powiedziałaś, to małe miasteczko. Te morderstwa nie mają nic wspólnego z nami, ale teraz, kiedy toczy się śledztwo, ktoś może się o nas dowiedzieć... Ma się rozumieć: przypadkiem.

Carole pokiwała głową.

– A więc mamy umowę?

– Tak. Dłużej nie możemy tego ciągnąć. Trzeba to zrobić jak najszybciej. Tak będzie najlepiej.

W słabym świetle Gavin ujął dłoń Carole w swoje dłonie. Cały czas wlepiął wzrok w podłogę, dopiero teraz uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Wiesz, że to nie będzie dla nas łatwe.

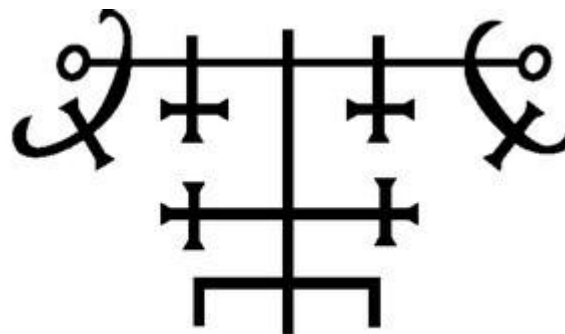
– Wiem.

Stali przez dłuższą chwilę w całkowitym bezruchu. Wreszcie Carole ścisnęła go za rękę.

– Idź pierwszy – powiedziała. – Ja odczekam parę minut i dopiero wtedy stąd wyjdę. Powiedziałam Flavii, żeby tu pozamykała, kiedy skończy inwentaryzację na dole.

Skinął głową, czekał, aż Carole otworzy drzwi, po czym rozejrzawszy się pośpiesznie na prawo i lewo, cichaczem wymknął się ze sklepienia.

Niewidoczna za muślinowymi firankami Carole odprowadziła go wzrokiem, gdy przechodził szybkim krokiem przez Main Street. Odczekała pięć minut, potem dziesięć. Wreszcie także wyszła ze sklepienia, zamknęła za sobą drzwi i skierowała się ku latarni morskiej.



Dla Constance pierwszą wskazówką, że Pendergast powrócił z wyprawy ścieżką wspomnień, było drobne poruszenie jego kończyn. Zaraz potem agent otworzył oczy. Mimo że leżał długo bardziej nieruchomo niż jakikolwiek śpiący, jego oczy zachowały błysk świadczący o głębokim skupieniu.

– Która godzina? – spytał.

– Wpół do piątej.

Wstał, otrzepał płaszcz z piasku, sięgnął po torbę i wykrywacz metali. Przez chwilę rozglądał się wokoło, jakby chciał się zorientować w położeniu. Wreszcie dając Constance znak, żeby poszła za nim, skierował się w głąb lądu, na północny zachód, stycznie do linii skał zwanych Zgniataczami Czerepów, ciągnącej się na prawo od nich. Maszerował szybkim, zdecydowanym krokiem. Constance zauważyła, że nie zawracał już sobie głowy spoglądaniem na mapę ani na GPS.

Dotarli do miejsca, gdzie plaża kończyła się wzniesieniem porośniętym trawą i nielicznymi sosnami karłowatymi. Gdy wspięli się na szczyt, Pendergast przystanął i rozejrzał się dokoła. Dalej rozciągała się połać wydm pokrytych trawami i niskimi krzewami, usłanych szerokimi piaszczystymi nieckami o średnicy około piętnastu metrów. Po chwili zszedł do najbliższej z nich i postawił torbę na ziemi.

– Co tu robimy? – spytała Constance.

– Gdyby ktoś na brzegu chciał coś pogrzebać, to byłoby odpowiednie miejsce do tego celu.

Wyjął z torby wąską, mierzącą metr osiemdziesiąt teleskopową

sondę z elastycznej stali, którą rozłożył na pełną długość. Zaczął sondować piach na dnie niecki, zatapiając stalowy trzpień w różnych punktach i przechodząc stopniowo z jednej strony zagłębienia do drugiej. Po kilku minutach sonda na coś natrafiła. Pendergast ukląkł i zaczął zacieśniać obszar poszukiwań. Wreszcie podniósł się i wyjął z torby małą składaną łopatkę.

– Wnioskuje, że skoro wzięłeś się do pracy, twoja podróż ścieżką wspomnień była udana – rzekła oschle Constance.

– Wkrótce się przekonamy.

Wbijając łopatkę tam, gdzie sondował grunt, zaczął kopać, ostrożnie odgarniając piasek na bok. Utworzył dołek o głębokości sześćdziesięciu centymetrów i średnicy półtora metra. Gdy okrągła jama miała już wyznaczony obwód, zaczął ją pogłębiać. Piasek był wilgotny i miękki, kopanie szło gładko. Po kilku chwilach ostrze łopaty z głuchym brzękiem natrafiło na coś twardego.

Pendergast szybko odłożył łopatkę na bok i ukląkł wewnątrz dołu. Palcami zaczął odgarniać piach, aż odsłonił jakieś zardzewiałe metalowe części.

– Żelazne złącza kadłuba – wyjaśnił.

– Z Pembroke Castle?

– Obawiam się, że tak. – Rozejrzał się dokoła. – Miejsce, jeśli się nad tym zastanowić, wydaje się oczywiste, czyż nie?

– Jak te złącza znalazły się wśród tych wydm? Morze je tu przyniosło?

– Nie. Szczątki wraku zostały tu przeniesione i zakopane.

A przynajmniej te, które zostały wyrzucone przez fale na brzeg. Odpływ musiał zabrać całą resztę do morza.

Kopał dalej, wyjmując z piasku metalowe fragmenty, delikatnie je oczyszczając i odkładając na bok. Niektóre elementy wciąż były przymocowane do zbutwiałych fragmentów drewna, stanowiące kiedyś wręgi kadłuba. Wreszcie, zatapiając łopatkę głębiej w wilgotny grunt, natrafił na coś, co wywołało zupełnie inny, pusty dźwięk.

Pendergast znów ukląkł. Constance dołączyła do niego. Wspólnie ostrożnie zaczęli odgarniać piach. Powoli ich oczom ukazała się czaszka: mała, jasnobrązowa. Na jednej ze skroni widniało wgniecenie.

– Boże święty – wyszeptała Constance.

– Nie więcej niż roczne dziecko – rzekł Pendergast. Jego głos był lodowaty, beznamiętny.

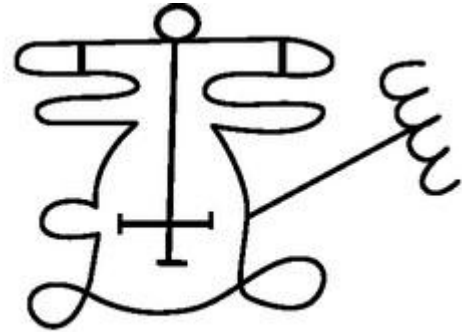
Gołymi rękami odgarniali piach. Odślonili kolejne małe kości, żebra, kości biodrowe, kości długie. Nieopodal odkryli skupisko kolejnych czaszek, jedne były małe, inne większe, należące do osób dorosłych. Wszystkie nosiły ślady silnych uderzeń.

– Musimy pozostawić wszystko w takim stanie – rzekł Pendergast.

– To miejsce zbrodni.

Constance pokiwała głową. Teraz kości było tyle, że tworzyły niemal zwartą warstwę zanurzoną w wilgotnym piachu. Wyglądało na to, że najpierw pozabijano i pogrzebano ludzi, a potem ich ciała przykryto warstwą szczątków statku. Pendergast wyjął z torby małą miotłkę i zaczął odgarniać piach, odsłaniając dalsze kości. Dzieci najwyraźniej wrzucano bez ładu i składu, jedne na drugie, podczas gdy dorosłych ułożono równolegle obok siebie.

Dla Constance było tego już za wiele. Wstała i bez słowa wyszła z dołu. Stanąwszy nad jego krawędzią, odetchnęła głęboko i skierowała wzrok ku wschodowi, ponad falami obcego oceanu.



34

Sierżant Gavin próbował przekonać samego siebie, że to jeszcze jedno miejsce zbrodni, takie jak w wypadku McCoola i Dany Dunwoody'ego. Znajdowały się tam nieodłączne bezlitosne reflektory zmieniające noc w dzień, słychać było szum generatorów, cały perymetr obwiedziono policyjną taśmą, a na terenie dało się dostrzec techników, ludzi z CSI, ekspertów sądowych i fotografów. Był tu również Malaga, specjalista od badania miejsc zbrodni z Lawrence, prawdziwy olbrzym poruszający się jednak z niezwykłą gracją. Panowała tu inna atmosfera niż na poprzednich miejscach zbrodni – wszyscy wykonywali swoje obowiązki powoli, niemal ospale, bez zwyczajowego napięcia i pośpiechu typowego dla morderstw, które należało rozwikłać. Było coś jeszcze – ekipa poważnie wyglądających mężczyzn i kobiet z harwardzkiego wydziału antropologii, która cały teren podzieliła na sektory, rozciągawszy wokół powbijanych w ziemię tyczek długie kawałki szpagatu, przez co miejsce to wyglądało jak wielkie tablice do gry w bingo. Ekipie przewodził doktor Fosswright, drobny, schludny, sprawiający wrażenie surowego dżentelmena, o krótkich siwych włosach i starannie przyciętej brodzie. Ekipa techników kursowała w tę i z powrotem, żeby się z nim skonsultować, zupełnie jakby to on sprawował kontrolę nad tym miejscem. I może faktycznie tak było: to jego ludzie przeprowadzili prace wykopaliskowe na stanowisku, używając małych miotełek, szczoteczek do zębów i niedużych pędzelków, sporządzając przy tym notatki na laptopach i tabletach. Robili też niezliczoną ilość zdjęć.

Z boku stał komendant Mourdock ze zwieszonymi mięsistymi łapskami, bezradny. Sierżant Gavin popatrzył na niego ukradkiem. Komendant wyglądał na zupełnie oszołomionego, jak jeleń w promieniach reflektorów nadjeżdżającego samochodu. To niesamowite, jaką przeszedł przemianę. Tydzień temu był rzutkim, pewnym siebie, zawiadackim gliną, który z wielkiego miasta przeniósł się na prowincję. Teraz wydawał się blady, zagubiony, niemal roztrzęsiony, wygodna posadka i perspektywa rychłej emerytury nagle przestały być oczywiste.

Gavin ujrzał zbliżającego się sprawcę tych wszystkich przemian – agenta specjalnego Pendergasta. Stał nieopodal, rozmawiając z reporterką, która pojawiła się na stanowisku, młodą kobietą z „Boston Globe”. Gavin był zaskoczony, że sprawą nie zajęła się bulwarówka „Herald”. Ale była to bardziej sensacja archeologiczna niż współczesna zbrodnia. Artykuł znajdzie się zapewne na jednej z dalszych stron „Globe’a”, być może temat zostanie podjęty przez „New York Timesa” i „Washington Post”, a wkrótce pójdzie w zapomnienie. Nikt nie będzie o nim pamiętał z wyjątkiem historyków... i miejscowych.

Gavina zdziwiło także to, że Pendergast tak swobodnie rozmawia z dziennikarką. Zwykle jest zamknięty w sobie i nieodgadniony jak sfinks. Gdyby chodziło o kogoś innego, Gavin pomyślałby, że agent próbuje się popisywać albo chce poderwać reporterkę. Jednak to nie było w stylu Pendergasta. Gavin zastanawiał się, o co może chodzić agentowi.

Musiał przyznać, że był zaskoczony tym odkryciem. Nie mógł uwierzyć, że członkowie jego wspólnoty, wspólnoty jego ojca, dziadka i innych przodków, mogli tak bezwzględnie, bez litości zwabić statek na skały, a po stwierdzeniu, że zamiast złota parowiec przewoził kobiety i dzieci, wymordować je wszystkie i pogrzebać w masowym grobie.

Równie wstrząsająca była świadomość, że niektórzy spośród współczesnych mu mieszkańców Exmouth, potomkowie tej morderczej grupy, wiedzieli o tym strasznym zdarzeniu, bo informacje o nim były przekazywane z pokolenia na pokolenie, i wykorzystali tę wiedzę, aby włamać się do domu Percivala Lake’a. Jednak logika Pendergasta i tok rozumowania, który wyjawiał na użytek jego i komendanta podczas wieczornej odprawy, były nie do podważenia. Dowód zaś Gavin miał

przed sobą – w postaci stale pogłębianych dołów między rozciągniętymi odcinkami sznurka tworzącymi odrębne kwadraty i w torbach na materiały dowodowe wypełnionych kośćmi, a także zniszczonymi, nędznymi przedmiotami osobistymi.

Największy jednak wstrząs przeżył, kiedy kopiący odkryli przepiękną malowaną porcelanową lalkę, wokół której spoczywały szczątki czworga małych dzieci.

Gavin był pewien, że żaden z jego antenatów nie dopuścił się tych okropności.

Czuł dziwną mieszaninę emocji: szoku, odrazy, przejęcia, gniewu... i skrępowania. Nie chciał, żeby przybysze z zewnątrz myśleli źle o Exmouth. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zwrócenie uwagi na miasteczko. Teraz Exmouth stanie się zapewne znane głównie z opowieści o masowym mordzie. Jego współmieszkańcy, podobnie jak on, byli zbulwersowani tą potwornością i cieniem, jaki rzuciła ona na miasteczko i jego historię. Pojawiają się plotki o tym, kto mógł być za to odpowiedzialny. Całe miasteczko będzie nękane podejrzeniami, pomówieniami i poczuciem wstydu. Nadchodziły nieprzyjemne i niebezpieczne czasy.

Podszedł do niego Pendergast.

– Przepraszam, sierżancie. Wyobrażam sobie, jakie to musi być bulwersujące.

Gavin pokiwał głową.

– Skąd pan...? – zaczął, lecz nie dokończył.

Zadawał sobie to pytanie, odkąd Pendergast podczas odprawy poinformował go o tej tragedii, i nawet teraz nie mógł zdobyć się na odwagę, żeby poprosić o więcej informacji.

– Jak dokonałem tego odkrycia? Powiem tylko, że historycznego przełomu dokonał McCool. – Agent machnął ręką w stronę przypominającej mrówki, ciężko pracującej grupy osób w niecce przed nimi. – Najistotniejsze jest to, że jedna osoba, lub więcej osób żyjących obecnie potomków tych zabójców, wiedziała o masakrze. Wiedziała również o torturowanym i zamurowanym żywcem kapitanie. Wśród tych osób odnajdziemy naszego współczesnego zabójcę. Pozostaje nam już tylko zidentyfikować jego... lub ją.

Gdy Pendergast mówił, podszedł do nich Malaga, szef ekspertów do spraw badania miejsc zbrodni. Jak zwykle obrzucił Pendergasta badawczym spojrzeniem.

– No cóż, agencie Pendergast, dzięki panu naprawdę mamy pełne ręce roboty.

– Na to wygląda.

Malaga przesunął dłonią po ogolonej czaszce.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno. Kiedy tu dotarłem, ponad dziesięć szkieletów było odsłoniętych i wykopanych z miejsca ich spoczynku. Skoro zdał pan sobie sprawę, że to miejsce zbrodni, dlaczego kontynuował pan odkopywanie szczątków?

– Musiałem potwierdzić swoją teorię, że nie tylko mamy do czynienia z morderstwem, lecz także że doszło tu do masowego mordu. Jeżeli jednak pragnie pan miejsca zbrodni, to wszystko wskazuje na to, że jeszcze wiele dusz czeka tu na odnalezienie. Biedny doktor Fosswright wygląda na zawałonego robotą i podejrzewam, że chętnie przyjmie pomoc pana i pańskich ludzi.

Pendergast skinął głową na pożegnanie kolejno Maladze i Gavinowi, otulił się szczelniej płaszczem i ruszył przez wydmy w stronę świateł miasteczka.



Biuro koronera hrabstwa Essex wydziału północnego mieściło się w osobnym, jednopiętrowym skrzydle centrum medycznego Newburyport. Gdy agent Pendergast wszedł do gabinetu, koroner Henry Kornhill podniósł się zza biurka. Miał około pięćdziesięciu lat, był wysoki, dość korpulentny, z jasnymi kosmykami nad uszami. Nosił biały fartuch laboratoryjny, który, sądząc po wczesnej porze i nieskazitelnej bieli, nie był tego dnia jeszcze wykorzystywany podczas żadnych prac.

– Doktorze Kornhill – rzekł Pendergast. – Cieszę się, że zechciał się pan ze mną spotkać.

– Oczywiście. – Koroner wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka, a Pendergast na nim usiadł.

– Rozumiem, że przychodzi pan w sprawie Dany Dunwoody’ego.

– Tak.

– Czy chciałby pan obejrzyć ciało?

– To nie będzie konieczne, wystarczą zdjęcia z sekcji. Chciałbym jednak usłyszeć pańską opinię w kwestii przyczyny zgonu.

Koroner zmarszczył brwi.

– Zamieściłem ją w moim oficjalnym raporcie.

– Owszem. Nie interesuje mnie jednak pańska oficjalna opinia.

Ciekawi mnie wszystko to, co nieformalnie mógłby pan powiedzieć na ten temat, a co z punktu widzenia pańskiego wieloletniego doświadczenia mogło się panu wydać zastanawiające, ciekawe lub zgoła niezwykle i co może wiązać się ze stanem zwłok bądź też samą przyczyną śmierci.

– Nieformalnie – powtórzył Kornhill. – My, naukowcy, zwykle nie wdajemy się w spekulacje, jednak muszę przyznać, że pewne aspekty tego zabójstwa mnie zaintrygowały.

Pendergast czekał, tymczasem Kornhill otworzył teczkę leżącą na jego biurku, chwilę w niej szperał i kilka sekund zbierał myśli.

– Z braku lepszego określenia nazwałbym to zabójstwo brutalnym. Sądząc po sińcach na kłykciach i przedramionach, Dunwoody próbował się bronić. – Pauza. – A gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ofiara знаła napastnika.

– Dlaczego pan tak twierdzi?

– Bo wszystkie rany zostały zadane uprzednio. Dunwoody znalazł się twarzą w twarz z zabójcą. Pierwszy cios trafił go w prawy policzek, ponad łukiem jarzmowym. Wywiązała się walka. Śmierć nastąpiła w wyniku silnego uderzenia tępym narzędziem, które spowodowało częściowe zapadnięcie i wgniecenie kości czołowej oraz kości ciemieniowej wzdłuż szwu wieńcowego.

– A rany kłute?

– Podobnie. Było ich siedem, wszystkie zostały zadane uprzednio. Nacięcia wykonano później.

– Nie one były przyczyną śmierci?

– Mimo że kilka ran kłutych mogło zostać zadanych przed śmiercią ofiary, o czym świadczy obfite krwawienie, większość z nich wykonano już po śmierci. Poza tym wszystkie były zbyt płytkie, by mogły spowodować śmiertelne wykrwawienie. Cięcia były wykonane niepewnie, niemal z wahaniem. To nie był przypadek krwawego zabójstwa, które wyrwało się spod kontroli.

– Wróćmy, proszę, do drugiego niedawnego morderstwa, mam na myśli śmierć historyka Morrisa McCoola.

Kornhill przysunął do siebie drugą zamkniętą teczkę.

– Dobrze.

– Przyczyna jego śmierci była całkiem inna – użyto długiego ciężkiego ostrza, które przeszło ciało dosłownie z jednej strony na drugą.

– Zgadza się.

– Czy pana zdaniem McCool także znał swojego zabójcę?

Koroner zamyślił się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy nie było to podchwytliwe pytanie.

– Nie.

– A dlaczego nie?

– Bo natura zabójczej rany pozwala mi przypuszczać – i znów mówię to nieformalnie – że został on wciągnięty w zasadzkę.

– Rozumiem. – Pendergast odchylił się na krześle i złączył palce dłoni w piramidkę. – Uważam za wielce interesujące, doktorze, że te dwa zabójstwa mają zarazem wiele cech wspólnych i dużo rozbieżności.

Kornhill potarł dłonią czoło.

– Jak to?

– Jedno morderstwo zostało dokonane z premedytacją, na ofiarę zastawiono pułapkę. Drugie było spontaniczne, niezaplanowane, wynikające ze sprzeczki. Jednego dokonano zdecydowanie, z użyciem ciężkiego noża. W drugim wypadku rany klute były zadane z większym wahaniem. A jednak na skórze obu ciał wycięto pewne symbole.

Kornhill wciąż pocierał czoło.

– Zgadza się.

– W wypadku McCoola nacięcia wykonano przed śmiercią.

W wypadku Dunwoody’ego po śmierci. To ciekawe, nie sądzi pan?

– Przejście od fazy przed śmiercią do po śmierci nie jest wyraźną granicą, ale zgadzam się z pańską konkluzją. Naprawdę, panie Pendergast, nie mnie spekulować, co było powodem popełnienia tych morderstw.

– Ale moim tak, doktorze. Ma pan zdjęcia z autopsji przedstawiające symbole na ciałach McCoola i Dunwoody’ego?

Kornhill pokiwał głową.

– Czy mogę prosić, żeby ułożył je pan na biurku jedno przy drugim dla porównania?

Koroner wstał, otworzył szafkę na akta stojącą pod przeciwległą ścianą gabinetu, wyjął kilka dodatkowych teczek, po czym rozłożył na biurku przed Pendergastem serię zdjęć. Agent specjalny przyjrzał się im z zaciekawieniem.

– Cóż... z artystycznego punktu widzenia mogłoby się wydawać, że te symbole zostały wycięte przez jedną i tę samą osobę, zgadza się?

Koroner wzdrygnął się.

– Chyba tak.

– Czy zgodziłby się pan również, że użyto w tym celu tej samej broni?

– To całkiem możliwe. W obu wypadkach była to dość niezwykła broń, o szerokim ostrzu, postrzępionym, nieregularnym, ale bardzo ostrą.

– Jak dotąd znów mamy coś, co łączy obie zbrodnie. Proszę jednak, doktorze, żeby zrobił pan to dla mnie i uważniej przyjrzał się naturze tych nacięć!

Koroner patrzył przez chwilę na Pendergasta. Następnie odwrócił zdjęcia do siebie i bacznie obejrzał każde z nich. W końcu uniósł głowę i popatrzył pytająco na agenta.

– Czy wydają się podobne? – spytał Pendergast.

– Nie.

– Czy zechciałby pan opisać różnicę?

– Chodzi o kontury. W wypadku McCoola cięcia są nieregularne, miejscami postrzępione. Ale znaki... ee... wycięte na ciele Dunwoody'ego mają o wiele bardziej regularne kontury. Są poza tym płytsze.

– Jeszcze jedno, ostatnie pytanie, doktorze, i będzie pan mógł wrócić do swoich zajęć. Gdyby miał pan pokusić się o przypuszczenia – także tym razem nieformalne – to jak potraktowałby pan różnicę w sposobie wykonania nacięć między tymi na ciele McCoola a tymi na ciele Dunwoody'ego?

Koroner znów zastanowił się chwilę.

– Nacięcia u McCoola były głębsze, zadane w bardziej brutalny sposób. Natomiast te u Dunwoody'ego wykonano niechętnie... niemal z pewnym wahaniem.

– Użył pan słów „niechętnie, niemal z pewnym wahaniem”.

– Zgadza się.

– Doskonale. Dziękuję. Potwierdził pan moje przypuszczenia. – Pendergast wstał, wyciągając rękę.

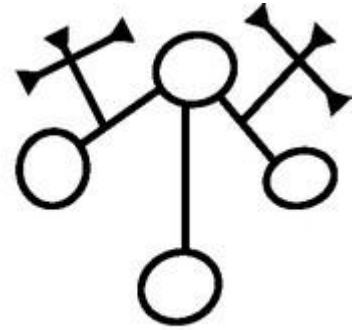
Kornhill także się podniósł i uścisnął mu dłoń.

– Jestem trochę zakłopotany. Te wszystkie podobieństwa i różnice... Co pan sugeruje? Że tych dwóch ludzi zostało zabitych przez

dwóch różnych morderców?

– Wręcz przeciwnie, morderca był ten sam, ale motywy inne. A co najistotniejsze, różne są relacje między ofiarą i zabójcą. Życzę miłego dnia.

Pendergast odwrócił się i opuścił gabinet.



36

W sali Pokój Map jak zwykle panował półmrok, ale sierżant Gavin szybko wypatrzył agenta Pendergasta na drugim końcu baru. Faceta w czarnym garniturze wyglądającego jak przedsiębiorca pogrzebowy i bladego jak nieboszczyk nietrudno było nie zauważyć.

Pendergast też go dostrzegł, skinął lekko głową, więc Gavin podszedł do baru.

Nigdy jeszcze nie czuł się równie wyczerpany. Nie było to jednak zmęczenie natury fizycznej, lecz emocjonalnej. Połowę nocy i większość dnia spędził w miejscu odkrycia masowego grobu. Nie miał tam wiele do roboty, bo do tego typu prac konieczna była ekspertyza, niemniej uczestniczenie przy takiej operacji należało do jego obowiązków. Musiał patrzeć, jak po kolei z dołu wyjmowano kości, małe i większe, a następnie je oczyszczano, znakowano i po wykonaniu serii zdjęć umieszczano w dużych, plastikowych, szczelnie zamykanych pojemnikach na materiały dowodowe.

Pomimo wyczerpania trawiła go ciekawość. Pendergast zostawił wiadomość na posterunku policji, prosząc go, żeby spotkał się z nim w sali Pokój Map o godzinie dziewiętnastej. Nie miał pojęcia, o co może chodzić Pendergastowi, podejrzewał jednak, że będzie to coś niezwykłego, ponieważ wszystko, co robił ten agent, wydawało się nietypowe i nadzwyczajne.

– Proszę usiąść, sierżancie – rzekł Pendergast i wskazał mu sąsiedni stół przy barze.

Gavin zajął wskazane miejsce.

Barman Joe Dunwoody, który mył szklanki, obejrzał się przez ramię.

– Co dla ciebie, Brad?

– Dewar's z lodem. – Patrzył, jak Dunwoody przygotowuje drinka.

Gavin wiedział, że barman wziął dzień wolnego, kiedy zabito jego brata Danę, ale braci nigdy nie łączyły silne więzi. Joe miał ponurą minę – zawsze tak wyglądał.

Słowem „ponura” można było określić także atmosferę panującą w Pokoju Map. Tylko połowa stolików była zajęta, a siedzący przy barze ludzie wyglądali na wstrząśniętych i mówili szeptem albo w ogóle się nie odzywali. Wieści o masowym grobie i celowym zatopieniu parowca przez miejscową ludność w połączeniu z dwoma niedawnymi morderstwami były dla całego Exmouth poważnym ciosem.

Jedynym wyjątkiem był – jak się wydawało – Pendergast. Trudno byłoby określić go mianem radosnego, lecz emanował energią i ożywieniem graniczącymi z ekscytacją. Gavin patrzył, jak agent przygotowuje sobie jakiegoś wyjątkowo skomplikowanego drinka: ułożył w poprzek na kieliszku małą łyżeczkę, na której umieścił kostkę cukru, i teraz skrupulatnie upuszczał na nią krople lodowatej wody. Gdy woda z rozpuszczonym cukrem spłynęła do białego płynu w kieliszku, spowodowała jego natychmiastowe zmętnienie i zmianę barwy na mlecznobiałą.

– Dziękuję, że pan przyszedł. – Pendergast odłożył łyżeczkę i upił mały łyk drinka. – Domyślam się, że większą część dnia spędził pan na plaży?

Gavin pokiwał głową, kosztując swojego drinka.

– To chyba nie było przyjemne.

– Ani trochę.

Pendergast spojrzał na zmętniały płyn w swoim kieliszku.

– Sierzancie, zaprosiłem tu pana, bo okazał się pan bardzo pomocny podczas mojego pobytu w Exmouth. Tolerował pan moją obecność, ciężko pracował, odpowiadał na pytania i z własnej woli przekazywał mi informacje. Zabrał mnie pan na wyprawę w głąb zalewiska, choć z pewnością wolałby pan robić inne rzeczy w tym czasie. Z doświadczenia wiem, że miejscowi stróże prawa nie przepadają

za obecnością funkcjonariuszy federalnych w ich rewirze, a zwłaszcza federalnych prowadzących działania, które można by nazwać „fuchą”. Pańska postawa okazała się życzliwa, a nie wroga, jak innych. Doceniam to. I właśnie dlatego wybrałem pana jako pierwszą osobę, z którą zamierzam podzielić się pewnymi interesującymi nowinami.

Gavin skinął głową, aby agent mówił dalej, a sam próbował się nie zaczerwienić od tej pochwały. Jego ciekawość gwałtownie wzrosła.

– Pamięta pan, jak zeszłej nocy powiedziałem, że pozostało nam tylko jedno: zidentyfikować zabójcę albo zabójców?

– Tak. – Gavin dopił szkocką; drinki podawane w Pokoju Map były nieznośnie małe.

– Dokonałem tej identyfikacji. Mamy do czynienia z jednym zabójcą i wiem, kto nim jest.

– Dokonał pan... – zaczął Gavin i nagle zamilkł. Przez jego głowę błyskawicznie przemknęły dwie myśli. Pierwsza wiązała się z głęboką ulgą. Jest już prawie po wszystkim, powiedział sobie w duchu. Ten koszmar wkrótce się skończy. Drugą było spostrzeżenie, że Pendergast zadał sobie trud, by to z nim najpierw podzielić się swoim odkryciem. Nie powiedział o tym komendantowi Mourdockowi. To było naprawdę ciekawe. Pendergast wiedział, że Mourdock ma wkrótce przejść na emeryturę, w ten sposób pomagał mu spełnić najskrytsze pragnienia. Jeżeli odpowiednio to rozegra, może zyskać sławę i niemal gwarantowany awans na stanowisko komendanta.

Stojący w połowie długości baru Joe Dunwoody wskazał na pustą szklankę Gavina. Ten poprosił o następnego drinka.

– Nie tylko odkryłem tożsamość zabójcy – kontynuował Pendergast, zniżając nieznacznie głos – lecz także ustaliłem dziś miejsce jego kryjówki w głębi moczarów.

– Na co czekamy? – spytał Gavin, energicznie zsuwając się ze stołka. Do diabła z drinkami, pomyślał. Wyczerpanie ustąpiło miejsca ekscytacji. – Ruszajmy.

Pendergast pokiwał głową.

– Wybranie się tam po zmierzchu byłoby nierozsądnym posunięciem. Nasz sprawca zna bagna o wiele lepiej niż ja i zapewne lepiej niż pan. Jeżeli nie zachowamy należytej ostrożności, spłoszymy go

i zmusimy do ucieczki. Nie, wybierzemy się tam o świcie, ostrożnie, po cichu i zaskoczmy go. Rzecz jasna, to pan dokona aresztowania.

Gavin przyjął tę propozycję z wdzięcznością.

– A co z komendantem? – spytał, gdy podano mu kolejnego drinka.
– Mówimy tu o mordercy. Możemy potrzebować wsparcia. – A poza tym nieźle się wkurzy, że nic mu nie powiedzieliśmy, pomyślał. Czy Mourdock przejdzie wkrótce na emeryturę, czy nie, lepiej mu nie podpadać.

– Obawiam się, że komendant Mourdock byłby tylko niepotrzebnym ciężarem. Ma pan jednak rację, że powinien tam się znaleźć, chociażby z przyczyn natury proceduralnej. Może poinformuje go pan o tym telefonicznie już po powrocie do domu?

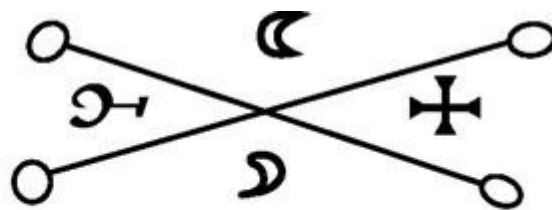
– Tak zrobię.

– Doskonale. A teraz, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, udam się do swojego pokoju, żeby poczynić niezbędne przygotowania do jutrzejszej wyprawy. Czy możemy się spotkać na posterunku o piątej rano?

– Będziemy tam.

– Znakomicie. Wobec tego do zobaczenia rano.

Pendergast opróżnił kieliszek, uścisnął dłoń Gavina i wymknął się z Pokoju Map, zmierzając w stronę schodów prowadzących do pokoi na piętrze.



W tę niemal bezksiężycową noc postać poruszała się pośród wysokich traw bezgłośnie niemal jak cień. Chociaż tereny rezerwatu na zachód od Exmouth były niezmiennie opustoszałe, a mężczyźni bardzo się spieszyło, starał się zachowywać jak najciszej; jedynymi odgłosami był szelest suchych traw i ciche mlaśnięcia, kiedy brodził w jednym z licznych błotnych zalewisk.

Wędrówka była długa – trwała półtorej godziny – ale pokonywał tę drogę wcześniej wielokrotnie i przywykł do tego. Nie przeszkadzała mu ciemność, wręcz przeciwnie, nawet mu odpowiadała.

Na pograniczu rezerwatu przystanął, żeby przełożyć pasek plecaka z jednego ramienia na drugie, i rozejrzał się wokoło. Zmiana pływów postępowała szybko, a jego przyzwyczajony do ciemności wzrok rejestrował odsłonięty przez cofającą się wodę labirynt sadzawek, mielizn, błotnistych wysepek i niżej położonych podmokłych terenów. Cała okolica tonęła w ciszy, chociaż zaczął się już zrywać silniejszy wiatr. Przyspieszył – jeżeli nie chciał zostać uwięziony na tym pustkowiu, będzie musiał ruszyć w drogę powrotną, zanim zacznie się przypływ.

W głębi moczarów gęstwina wysokich traw przypominała raczej dżunglę niż roślinność bagienną, lecz i tutaj doskonale znał drogę. Podążał teraz najwyżej położoną ścieżką, zauważalną jedynie dla najbardziej wytrawnego oka. Nadawał własne nazwy licznym znakom orientacyjnym, które mijał: sadzawka o nieregularnym kształcie była Plamą Oleju, a gęste, poskręcane skupisko zeschniętych i zwiędłych słonych traw – Huraganem. Te znaki pozwalały mu odnaleźć się w terenie. Przy Huraganie skręcił ostro w lewo, wciąż podążając

sekretnym, prawie niewidzialnym szlakiem. Był już prawie u celu. Wiał porywisty wiatr, wypełniając powietrze suchym grzechotem trzciny.

Przed nim w ciemnościach trawy rosły tak gęsto, że prawie nie sposób było przecisnąć się między nimi. W końcu jednak dotarł na niedużą polanę o średnicy niespełna piętnastu metrów. Rozejrzał się dokoła w słabym świetle niewidocznego księżyca. Na polanie panował potworny nieład. Po jednej stronie zalegała wielka sterta śmieci, od której ciągnął się ślad szczątków: kości kurczaka i rybich ości, pustych puszek po konserwach i resztek rzepy. Pośrodku widniały dymiące popioły dogasającego ogniska. Naprzeciwko sterty odpadów wznosił się stary namiot, podarty i pokryty smugami brudu i tłuszczu. Wokół niego wały się różne przedmioty i resztki prowiantu, patelnia, dzbanki z wodą pitną. Za namiotem raczej wyczuł, niż zobaczył, parującą stertę odchodów. Obozowisko było opustoszałe i wszystko wskazywało na to, że od niedawna.

Znów rozejrzał się dokoła, po czym zawołał półgłosem:

– Dunkanie? Dunkanie?

Przez chwilę było kompletnie cicho. Wreszcie spomiędzy gęstych słonych traw po drugiej stronie obozu wyłonił się mężczyzna. Joe przywykł do tego widoku, lecz przeszedł go dreszcz niepokoju. Duncan był ubrany w łachmany; miał na sobie kilkanaście warstw rozmaitego butwiejącego odzienia, których pierwotnego przeznaczenia nie sposób byłoby się domyślić, owiniętych wokół jego ciała jak sarong. Miał sztywne jak strzecha rude włosy i zrosnięte brwi, a jego długa przetłuszczona broda została starannie i w dziwny sposób rozdzielona na trzy oddzielne końce. Był cały włochaty i żylasty, a wzrok, jakim spojrzał na Joego, choć dziki, krył w sobie wyraźny spryt i inteligencję. W jednej ręce trzymał krzemienny nóż, w drugiej długi zardzewiały bagnet. Musiał usłyszeć, że Joe się zbliża, i postanowił ukryć się wśród traw.

– O co chodzi? – spytał mężczyzna zwany Duncanem głosem ochryplym od niezbyt częstego mówienia. – Nie powinieneś tu dzisiaj przychodzić.

Joe zdjął plecak z ramienia i upuścił na ziemię.

– Musisz odejść – powiedział. – Natychmiast.

Na te słowa twarz Dunkana przepełnił wyraz podejrzliwości.

– Tak? Dlaczego?

– Chodzi o tego agenta FBI, o którym ci mówiłem. Wie o tobie, odkrył to obozowisko. Nie wiem, jak do tego doszedł, ale słyszałem, jak mówił o tym w barze dziś wieczorem. Zamierza przybyć tu jutro rano z policją.

– Nie wierzę – odparł Duncan.

– Niech to szlag, Dunkanie. Musisz w to uwierzyć! To twoja wina. Gdybyś nie zabił Dany, w ogóle by do tego nie doszło.

Duncan postąpił krok naprzód. Joe natychmiast się cofnął, wsunął jedną dłoń do kieszeni spodni i zacisnął palce na kolbie pistoletu kalibru .22. Duncan zauważył ten gest i znieruchomiał.

– Nasz brat musiał umrzeć – powiedział, a jego oczy płonęły gniewem. – Próbował mnie oszukać.

– Wcale nie. Ile razy mam ci to tłumaczyć? Umieścił klejnoty w skrytce depozytowej, żeby tam leżały do momentu, kiedy będziemy mogli je sprzedać. Nikt nikogo nie chciał oszukać. Nie było powodu, żeby wpadać w złość i go zabić.

– Oszukiwał mnie całe życie. Ty również. Chciałem dostać swoją działkę, a on nie zamierzał mi jej dać. To ja odwalilem całą robotę. To ja poniosłem ryzyko. To ja zabiłem Anglika.

– Ty odwalileś całą robotę? – spytał Joe. On też był wściekły, ale bardzo ostrożnie obserwował brata. – A może już zapomniałeś, jak Dana i ja przychodziliśmy tu na zmianę, przynosząc ci jedzenie i wodę? Poza tym co, u licha, miałbyś zrobić z garścią drogich kamieni? Musimy je spieniężyć. Wtedy dostaniesz swoją dolę.

– Odwalilem całą robotę – upierał się Duncan. – Chciałem swoją część kamieni od razu i chcę teraz. Wiem, że je masz. – Nie zważając na pistolet, postąpił krok naprzód. – Chcę swoją dolę.

Joe znów poczuł ogarniający go lęk. Widywał już swojego brata w takim stanie, wiedział, że ma wybuchową naturę, i zdawał sobie sprawę, do czego jest zdolny.

– Dobra, posłuchaj. Dostaniesz swoją dolę, obiecuję. Teraz, kiedy Dany już nie ma, podzielimy się pół na pół. Ale te kamienie nic ci nie dadzą. Spoczywają bezpiecznie w skrytce bankowej w Exmouth. Nie

możemy ich jeszcze sprzedać. Najważniejsze jest teraz to, że o świcie zjawi się tu agent FBI. – Nie odrywając wzroku od Dunkana, Joe ukląkł, sięgnął do plecaka i wyjął gruby plik gotówki. – Dwa tysiące dolarów, to wszystko, co mam. Potraktuj to jako zaliczkę do czasu, aż spieniężymy rubiny. W plecaku mam też trochę prowiantu i wody, wystarczy ci na następny tydzień. W przeciwnym razie cię dopadną i wtrącą do więzienia. Mnie też wpakują do więzienia za współudział.

– Zabójstwo Anglika to był pomysł Dany. To on chciał, żeby go zabić i tak naznaczyć. Zrobiłem, co mi kazał. Jestem niewinny.

– Teraz Dana nie żyje, a prawo nie działa w taki sposób. To ty dokonałeś tych zabójstw. Wina spoczywa na tobie i na mnie. Jasne? Siedzimy w tym razem, rozumiesz?

Próbował modulować głos, by brzmieć przekonująco i nie zdenerwować brata jeszcze bardziej.

Udało się. Wrogość znikła z twarzy Dunkana, który wziął plik banknotów i przeliczył je, pomagając sobie zatłuszczonym kciukiem.

– Idź do drugiego miejsca – rzekł Joe. – Wiesz, o którym mówię, o stacji rozrządowej na opuszczonej starej parowozowni. Spotkamy się tam za tydzień. Kiedy zobaczą, że to koczowisko jest puste, pomyślą, że uciekłeś na dobre. Na pewno będą obserwować je przez kilka dni, ale gdy dadzą sobie spokój, będę o tym wiedział. Powiem ci, kiedy będziesz mógł bezpiecznie wrócić. Za jakiś czas na pewno zdołam sprzedać te kamienie. A do tej pory masz te pieniądze i nie wychylaj się.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Duncan pokiwał głową. Odwrócił się w stronę namiotu i zaczął zbierać nieliczne rzeczy osobiste. Zgarnawszy je w postrzępione prześcieradło, zrobił prymitywny tobołek, po czym spojrzał na brata. Nagle jego wzrok przeniósł się poza postać Joego, a na twarzy pojawił się grymas zwierzęcej wściekłości.

– Zdrajca! – zawołał, unosząc kamienny nóż. – Judasz!

Huknął strzał i nad uchem Joego ze świstem przeleciał pocisk. Duncan krzyknął, gdy z ręki został mu wytracony nóż przy wtórze głośnego trzasku rykoszetującej kuli. Z rykiem odwrócił się i popędził w stronę gęstych słonych traw, gdzie w okamgnieniu zniknął.

Kiedy Joe wyciągnął pistolet i odwrócił się, by stawić czoło napastnikowi, dostał silny cios w głowę; wyrwano mu z ręki pistolet,

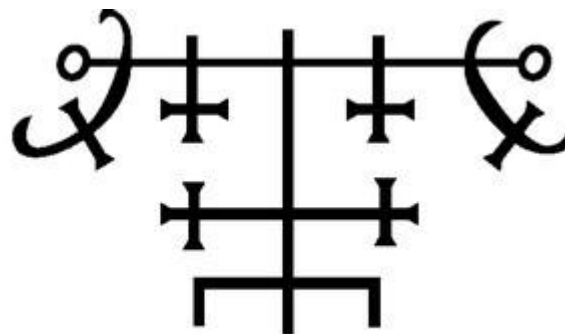
powalono go i unieruchomiono, wbijając w plecy kolano. Gdy został przyszpilony do ziemi, wykręcono mu ręce do tyłu, zamykając je w żelaznym uścisku. Po chwili poczuł zamykające się na jego przegubach obręcze z zimnej stali. Skrępowano mu również nogi w kostkach. Wijąc się na ziemi, zdołał zobaczyć, kim jest napastnik.

– Pendergast!

Agent FBI miał na sobie czarnoszary kombinezon maskujący.

– Miał pan tu przyjść dopiero rano! – zawołał Joe.

– Chciałem, żeby tak właśnie pan myślał – odparł Pendergast, po czym wstał, podniósł pistolet kalibru .22, włożył go do kieszeni i wszedł w gęstwinę traw, kierując się w stronę, w którą pobiegl Duncan.



Pendergast przedzierał się przez trawy. Zdziczyła Dunkana miała sporą przewagę; agent, słysząc dochodzące z oddali odgłosy, mógł się zorientować, że tamten porusza się z szybkością i pewnością wynikającą ze znajomości moczarów. Jednakże Pendergast był wytrawnym tropicielem – polował na lwy i bawoły wodne w Afryce Wschodniej – i także w ten pościg wyruszył ze skupieniem i strategią, jakimi wykazywałyby się podczas podążania śladami dzikiej zwierzyny. Było bardzo ciemno, jak najrzadziej jednak korzystał z latarki, osłaniając ją jedną ręką, aby nie można było zauważyć poświaty.

Biegł śladem wydeptanych traw, pozostawionym przez gnającego tędy na łeb na szyję Dunkana. Nie było to łatwe, ale ponieważ był kilka razy na tych bagnach, wiedział, czego powinien wypatrywać. Rozważał możliwości Dunkana. Wyglądał zbyt dziwnie, nie mógł ryzykować, że za dnia ktoś go zauważy. Nie mógł też się schronić w starej parowozowni. Istniała spora szansa, że na jakiś czas zaszyje się na moczarach. Mógł ukrywać się tu przez chwilę, opracowując plan, dopóki nie zjawią się tropiciele z psami.

Ale gdyby udało mu się zabić Pendergasta, w ogóle nie musiałby uciekać. I to wydawało się najbardziej korzystnym rozwiązaniem dla Dunkana.

Odgłosy przedzierania się przez gąszcz w oddali nagle ucichły zagłuszone przez wiatr. Podążanie tropem Dunkana stawało się coraz trudniejsze, odkąd najwyraźniej zwolnił i poruszał się z większą ostrożnością ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Wiał jednak wiatr

z południowego zachodu i Pendergast mógł poczuć jego smród: mieszaninę potu, brudu i moczu. To oznaczało, że Dunkan znajduje się gdzieś na lewo od Pendergasta i porusza się pod wiatr. Agent FBI skorygował kurs i on także zaczął posuwać się naprzód wolniej i ciszej niż do tej pory.

Polowanie na lwa w tym wypadku stanowiło doskonałe porównanie. Pendergast nie liczył na to, że uda mu się przechytrzyć albo prześcignąć Dunkana, bo tamten zbyt dobrze znał te tereny. Musiał polegać na swoim instynkcie i wyczulonych zmysłach.

Kilka złamanych źdźbeł traw pozwoliło Pendergastowi ustalić, że mężczyzna zszedł ze ścieżki zwierząt. Agent podążał śladem Dunkana, od czasu do czasu przyświecając sobie latarką, aby nie zgubić tropu. Droga wiodła coraz dalej w głąb gęstych trzcinowych zarośli na moczarach. Znajdowali się na średniej wielkości bagiennej wysepce i w końcu powinni dotrzeć do błotnej równiny i kanału pływowego.

Po pięciu minutach ciszy, jeżeli nie liczyć szumu wiatru, na prawo dał się słyszeć dźwięk, ostry trzask. Pendergast natychmiast się zatrzymał i zaczął wachać powietrze. Nie wyczuwał już silnego ludzkiego odoru. To mogło oznaczać tylko jedno: Dunkan nie znajdował się już przed nim, nie przemieszczał się pod wiatr.

To gdzie teraz był? W jednej chwili Pendergast zorientował się, że zdziczały brat, nie mogąc zgubić prześladowcy, postanowił zająć go od tyłu.

Pozwalając sobie jeszcze raz użyć latarki, Pendergast skrzył na południowy zachód i zaczął się przedzierać między wysokimi trawami. Pokonawszy szerokim łukiem sto metrów, zatrzymał się. Przy odrobinie szczęścia był teraz za Dunkanem lub, jeszcze lepiej, równolegle do obranej przez niego trasy. Znieruchomiał z latarką i pistoletem w gotowości, nasłuchując z uwagą każdego dźwięku, szeptu oddechu, trzasku pękającej gałązki – wszystkiego, co mogłoby sygnalizować nadejście Dunkana.

Nic.

Minęło pięć minut, Pendergast cały czas stał w miejscu w kompletnym bezruchu. I wtedy to wychwytał: smród Dunkana ponownie napłynął w jego stronę od południowego zachodu.

Co się stało? Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że Duncan musiał go usłyszeć i zrezygnował ze swoich planów. Woń, którą poczuł, była wyraźnie słabsza, czyli Duncan wykorzystał czas, aby zwiększyć dzielący ich dystans. Może jednak próbował mu uciec.

Opuszczając swoją kryjówkę, Pendergast zaczął iść szybko pod wiatr, w stronę, skąd napływał smród, coraz częściej korzystał z latarki w poszukiwaniu śladów, bo skoncentrował się bardziej na szybkości niż na ciszy. Kilka minut biegu i przedzierania się przez gęste zarośla doprowadziło go na skraj błotnistej równiny. Po jej drugiej stronie ciągnął się szeroki kanał zalewowy. Zbliżał się przypływ, czarna woda wdzierała się wartko w głąb lądu, z niebezpieczną gwałtownością wypełniając labirynt moczarowych wysepek. Światło latarki ukazało nieopodal wyraźne ślady stóp. Prowadziły od strony słonych traw i kierowały się ku wodzie. Pendergast powiódł snopem światła ponad kanałem. I wtedy zobaczył Dunkana, jego głowę podskakującą na wodzie, gdy przedzierał się przez kanał w kierunku błotnego zalewiska.

Pendergast nie zawahał się: włożył latarkę do kieszeni maskującego kombinezonu, podbiegł do krawędzi kanału i wskoczył do wody. Była zimna jak lód, prąd miał prędkość przynajmniej dziesięciu węzłów i był dość podstępny; gdyby agent nie zachował ostrożności, zostałby porwany przez prąd, ściągnięty na dno, a następnie przeniesiony z nurtem w głąb zalewiska. Płynął z całych sił, energicznie przebierał rękami i nogami, walcząc z chłodem oraz próbującymi ściągać go w dół prądami. Gdy wynurzył głowę ponad powierzchnię, zobaczył Dunkana, który wyszedł już z wody w górnym biegu rzeki i przedzierał się przez rozciągającą się tam połąć błota.

To były rozpaczliwe trzy minuty, podczas których prąd poniósł Pendergasta co najmniej sto metrów. Wreszcie agent dotarł do brzegu po drugiej stronie i wygramolił się z wody przemarznięty, po czym, na wpół brnąc, na wpół czołgając się, ruszył przez sięgające mu do kolan blocko pokrywające wysepkę. Księżyc wyłonił się zza gęstych chmur na dostatecznie długo, aby Pendergast zdołał dostrzec Dunkana. Stał na skraju połąci gęstych traw, sto metrów dalej, trzymając w dłoni bagnet. Był utyłany błotem od stóp do głów, widać było jedynie białka jego oczu, które patrzyły na Pendergasta z dziką zajadłością.

A po chwili odwrócił się i rozpląnął wśród traw.

Gdy Pendergast dotarł do miejsca, gdzie zniknął Dunkan, zauważył, że zeschnięte źdźbła traw były połamane, zmiażdżone i tak poplątane, iż nie dałoby się określić, czy ktoś tamtędy przechodził, czy to wynik działania wichrów i burz. Jednakże Dunkan pozostawiał ślady na błotnistym podłożu.

Pendergast podążał coraz dalej w głąb zalewisk, gdzie trawiaste zarośla stały się jeszcze gęstsze. Początkowo dostrzegał na ziemi błotniste ślady, ale wkrótce nawet one znikły i zgubił trop. Księżyc znów skrył się za chmurami i nic nie było widać, w gąszczu traw nawet jego latarka na niewiele się zdawała. Dunkan nie kierował się już pod wiatr, mógł być gdziekolwiek.

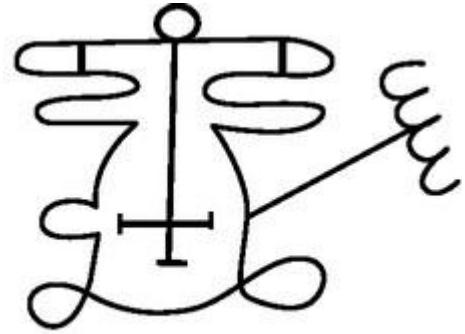
Po kilku kolejnych minutach przedzierania się przez trawy i trzciny Pendergast ponownie przystanął z les baerem kalibru .45 w dłoni i nasłuchiwał. Najwyraźniej Dunkan dysponował nadzwyczajną umiejętnością poruszania się niemal bezgłośnie, bez wygniatania traw, a Pendergast wiedział, że nie będzie w stanie mu pod tym względem dorównać.

Kiedy tak stał w bezruchu wśród gęstych trzciny, zdał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd taktyczny. Oto znalazł się w miejscu, gdzie z każdej strony otaczały go wysokie trzciny i trawy i gdzie jego możliwości działania i czas reakcji były ograniczone. Mimo iż uzbrojony, był zdany na łaskę i niełaskę zdziczałego mężczyzny. Mógł jedynie przypuszczać, że Dunkan zna jego obecne położenie i szykuje się do ataku. Zerwał się wiatr, tłumiąc odgłos kroków Dunkana.

Pendergast był prawie pewien, że tamten wkrótce zaatakuje. I to raczej prędzej niż później.

Myślał intensywnie, obracając się wokół i wyęzając wszystkie zmysły. Mogło się to stać lada moment. Sprężył się, jego mięśnie były w pełnej gotowości.

I wtedy, przy wtórze prawie niedostrzegalnego ruchu traw, z ciemności wyłonił się bagnet trzymany przez umazaną błotem dłoń, a zimna stal przecięła powietrze, zmierzając w stronę serca Pendergasta.



39

W ostatniej chwili Pendergast, dzięki wyostrzonemu przez lata instynktowi, wykonał błyskawiczny skręt całym ciałem, rzucił się w bok i uniknął zabójczego pchnięcia z taką szybkością, że przez mgnienie oka zdawał się płynąć w powietrzu. Gdy wylądował na ziemi, Duncan wyskoczył z zarośli i bagnetem wykonał zamaszyste cięcie, które dosięgło rękawa kombinezonu Pendergasta, a także wytrąciło mu z ręki latarkę. Wykonując przewrót i zrywając się na nogi, agent oddał strzał z les baera. Jednak zdziczały mężczyzna znów zniknął w dzungli słonych traw. Pendergast wystrzelił ponownie raz i drugi w stronę, gdzie zniknął Duncan, po czym nasłuchiwał przez chwilę. Marnował tylko amunicję. Mężczyzna z pewnością znów próbował go obejść, szykując się do kolejnego ataku.

Pendergast ukląkł, by odszukać latarkę; macał po ciemku, okazało się jednak, że latarka pękła. Był teraz kompletnie ślepy i na nieznanym terytorium. Następny atak mógł nadejść w każdej chwili, z każdej strony. Poziom wód wzrósł tak, że Pendergast został uwięziony na trawiastej wyspie wraz z Dunkaniem. Żaden z nich nie mógł stąd uciec. Mimo że Pendergast miał dwa pistolety, to on znajdował się w gorszym położeniu. Dzięki falującym trawom i silnemu wiatrowi Duncan mógł podkraść się niepostrzeżenie na bardzo bliską odległość. Jeżeli Pendergast zostanie tu i będzie czekał na atak, przegra.

Pytanie brzmiało, jak miał odmienić układ sił na swoją korzyść. Istniało pewne rozwiązanie. Dość ekstremalne, ale mogło się udać.

Duncan z pewnością zbliżał się, szykując się do kolejnego ataku,

a tym razem Pendergast mógłby mieć mniej szczęścia, był jednak pewien jednego: tamten nie podejdzie do niego z wiatrem, bo odór zdradziłby jego obecności.

Będzie szedł pod wiatr. I to właśnie była kluczowa strategia.

Pendergast wyrwał pęk suchych traw, zwinął je, wyjął zapalniczkę i podpalił. Płomień szybko zaczął pochłaniać suchą trawę, a silny wiatr tylko go podsycił. Pendergast zaczął przystawiać pęk płonącej trawy do rosnących tu gęsto trzcin; suche źdźbła zajęły się niemal natychmiast, strzelając w górę żółtymi, żarłocznymi jęzorami ognia. Wiatr nadał płomieniom kierunek, a Pendergast zaczął się wycofywać, kierując się pod wiatr i na ukos, oddalając się od rozprzestrzeniającej się pożogi. Po chwili znów przytknął prowizoryczną pochodnię do suchych trzcin i zrobił to jeszcze raz, a każde kolejne zarzewie ognia szybko się rozprzestrzeniało, łącząc się z poprzednimi.

Po niespełna minucie przez wysepkę przesuwiała się ściana ognia, trzaskającego, ryczącego jak szalony i strzelającego w górę kaskadami iskier. Pendergast wciąż szedł pod wiatr, wycofując się przez niespalone szuwary, aż dotarł do miejsca, gdzie zaczynał się pas błotnistych równin okalających wysepkę. Chmury trochę się przerzedziły, a poziom wód stale się podnosił. Cała okolica spowita była upiorną łuną ognia, który odbijał się od błyszczących błotnych równin, przydając im barwy krwi.

Pendergast uważnie obserwował pożar. Tak jak się spodziewał, ogień, kierowany przez przybierający na sile wiatr, poruszał się po łuku jak zawias zamykających się drzwi. Pożoga zmieniła się w ogniste piekło, powietrze wokół stało się przeraźliwie gorące. Z minuty na minutę obszar nietkniętych traw zmniejszał się. Z les baerem w gotowości Pendergast zaczął okrążyć wysepkę, trzymając się obrzeży traw. Poruszał się szybko i bezszelestnie.

W końcu – pośród ryku płomieni – usłyszał krzyk, skowyt wściekłości i desperacji. Przesunął się wzdłuż obrzeży trzcin w jego kierunku. Wkrótce dał się słyszeć głośny tupot: Duncan został wypłoszony z ukrycia i w panice uciekał przed ogniem.

Błyskawicznie jak atakujący wąż Pendergast zanurkował w sitowie. Przerażona postać biegła ścieżką styczną do jego trasy, ramiona oddalającego się Dunkana rozjaśniła czerwona łuna. Pendergast

popędził za nim, wskoczył mu na plecy i powalił ciosem kolby pistoletu, a gdy wylądowali na ziemi, wyrwał Duncanowi bagnet i cisnął go w zbliżające się płomienie. Wykręciwszy Duncanowi ręce do tyłu, zakuł go w kajdanki, po czym wstał i na wpół zawlókł, na wpół przeniósł półprzytomnego mężczyznę na błotnistą równinę, z dala od pożaru. Tam go puścił, pozwalając, by osunął się w błoto.

Czekając, aż Duncan odzyska przytomność, Pendergast starł trochę sadzy i zaschniętego błota z rąk i nóg. Wkrótce zauważył, że powieki tamtego zatrzepotały i oczy, groteskowo białe za sprawą oblepiającego je błota, otworzyły się. Mężczyzna spojrzał na agenta z niemą wściekłością.

– Oszczędzaj siły – rzekł Pendergast. – Trochę tu zabawimy w oczekiwaniu na zmianę pływów. A potem zabiorę cię do twojego brata.



Burza, która szalała nad Exmouth przez ostatnich parę dni, została rozwiana przez wicherę ubiegłej nocy i rano zrobiło się pogodnie i cieplej. Teraz, w południe, słońce świeciło radośnie, zalewając główną ulicę swoimi promieniami, złocąc okna i witryny sklepowe, a także tworząc ostre światłocienie wśród tłumu zgromadzonego przed posterunkiem policji. Percival Lake stał w pewnej odległości od tej grupy, w towarzystwie Carole, u drzwi do jej sklepiku. W jednej ręce trzymał reklamówkę, a drugą ścisnął dłoń Carole.

Było to, jak uznał, zdarzenie aż nazbyt typowe dla małego nowoangielskiego miasteczka. Przed wejściem na posterunek policji ustawiono podium z mikrofonem i przez ostatnią godzinę stawał przed nim praktycznie każdy, kto był kimś w tej osadzie. Zaczęło się od pierwszego radnego, starszego mężczyzny, odludka wywodzącego się ze starego nowoangielskiego rodu, który pomimo swojej pozycji ostatnio rzadko pokazywał się publicznie. Po nim do mikrofonu dorwał się drugi radny. Dana Dunwoody nie mógł wystąpić z wiadomych względów. Następnie przyszła kolej na takich notabli jak dyrektor biblioteki i ten męczący były aktor Worley. Teraz na podium wyszedł komendant Mourdock, który stanął przed mikrofonem nieco pod kątem, żeby fotografowie mogli uchwycić go z profilu. Komendant zdążył już nakreślić swój wkład i decydującą rolę w rozwikłaniu sprawy. Teraz wyrażał ulgę, że ta „haniebna plama na honorze” miasteczka – innymi słowy klan Dunwoodych i ich zbrodnie, zarówno współczesna, jak i ta z przeszłości – została w końcu usunięta. Obok Mourdocka stał Gavin,

jego zastępca, który z pewnym skrępowaniem przyglądał się zebranym. Z drugiej strony komendanta stała zapieczętowana przeszklona szkatułka, zawierająca dwadzieścia jeden krwistoczerwonych rubinów, składających się na roziskrzoną w promieniach słońca kolekcję Duma Afryki. Czuwał nad nimi masywny przedstawiciel londyńskiego Lloydsa, który, o czym wiedział Lake, nie tylko ich pilnował, lecz także wkrótce stanie się ich właścicielem. Bądź co bądź, ponad sto lat temu Lloyds wypłacił odszkodowanie za te kamienie i co za tym idzie, były one teraz własnością ubezpieczyciela.

Lake wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że przez tyle lat klejnoty spoczywały zamurowane w piwnicy jego domu.

Ostatnie dni stanowiły niekończący się ciąg wstrząsających wydarzeń, a każde z nich było dziwniejsze od poprzedniego i Lake był już nimi trochę zmęczony. Bez wątpienia podobnie jak wielu mieszkańców. A jednak zjawili się tu niemal wszyscy. Morze głów – były ich setki – rozciągające się od wejścia na posterunek policji niemal do końca sąsiedniej ulicy, a promienie słońca tylko uwydatniały tę ludzką cizbę. Lake powiódł wzrokiem po ich twarzach, odnajdując te najbardziej znajome. Marka i Sarah Lilliech, ubranych niemal jednakowo, starego Bena Boyle'a, Walta Adderly'ego, właściciela gospody. W jakiś sposób, pomimo pompatycznej przemowy i małomiasteczkowej polityki, to wystąpienie było rytuałem, który miał bez wątpienia zbawienny wpływ na całą osadę. Mourdock na swój irytujący sposób nie pomylił się. Groza, która trawiła Exmouth od ponad stu lat, została zidentyfikowana, nazwana i wykorzeniona. Teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, miasteczko mogło zacząć powracać do zdrowia.

Komendant przeszedł do finału swojego wystąpienia, w którym nadmienił, że to właśnie mieszkańcy miasteczka są solą tej ziemi, Ameryka jest wspianała i niechaj Bóg błogosławi nas wszystkich. Rozległy się oklaski i radosne okrzyki. I było po wszystkim. Przy wtórze trzasku aparatów fotograficznych niezmordowanych reporterów prasowych tłum zaczął się rozchodzić.

Lake spostrzegł agenta Pendergasta stojącego nieco z boku i jak zwykle ubranego na czarno. Towarzyszyła mu Constance Greene, chuda,

cudowna zjawia w staroświeckiej koronkowej sukni. Jedynym współczesnym dodatkiem do ubioru były ray-bany dla ochrony przed słońcem.

– Cóż za piękny małomiasteczkowy spektakl – rzekł Lake.

Carole zaśmiała się.

– I za to właśnie kocham to miejsce.

Ścisnąwszy dłoń Carole, Lake odstąpił od witryny sklepowej i ruszył przez ulicę; przedzierał się przez tłum, aż zbliżył się do Pendergasta. Agent, który popatrywał to w jedną, to w drugą stronę, z wielką uwagą lustrując wzrokiem tłum, otaksował zmierzającego ku niemu rzeźbiarza.

– Nie wydaje mi się, żeby Mourdock wspomniał o panu więcej niż raz – zauważył Lake. – A przecież to pan, a nie on, wybrał się na bagna po zmierzchu ubiegłej nocy.

– Nie przepadam za rozgłosem – odparł Pendergast. – Komendant ma okazję popławić się przez chwilę w pełnym słońcu – i to dosłownie.

– Moim zdaniem to wciąż zakrawa na cud, że Dana i Joe mieli brata, który przez te wszystkie lata ukrywał się na bagnach.

– Bracia Dunwoody pochodzili z dysfunkcyjnej rodziny i to ciągnęło się już od dawna. Najmłodszy brat Dunkan urodził się z zaburzeniami psychicznymi i emocjonalnymi. Nie tylko był niekochany, lecz także rodzice uważali go za wstydlivy owoc swojego związku. Zachowali jego narodziny w tajemnicy, nigdy nie posłali go do szkoły. O ile mi wiadomo, odwzajemnił niechęć rodziców. Kiedy tylko był dostatecznie duży, uciekł. W swoim czasie, można by rzec, wrócił do domu. Żył na moczarach od wielu lat, wspomagany przez braci, którzy w końcu znaleźli mu odpowiednie zajęcie – zabijanie.

– Jak, u licha, zdołał pan odkryć jego tożsamość?

Pendergast wzruszył ramionami.

– W drodze eliminacji. Wykreśliłem wszystkich podejrzanych w miasteczku, w tym także pana.

– Mnie?

– To nic niezwykłego zainscenizować przestępstwo w swoim domu, a następnie udawać zainteresowanie postępowaniem w śledztwie, aby odsunąć od siebie podejrzenie. Jednak pańska relacja podczas

przechadzki po ogrodzie kamiennych rzeźb i, co istotniejsze, nasza późniejsza rozmowa w latarni morskiej przekonały mnie, że naprawdę nie miał pan nic wspólnego z kradzieżą. Poza tym, pomimo pańskiego rodowodu, nie jest pan rdzennym mieszkańcem Exmouth. Tylko ktoś miejscowy mógł wiedzieć o zbrodniach z przeszłości, a co za tym idzie, popełnić nowe przestępstwo. Jednak podczas szczegółowej eliminacji wszyscy moi podejrzani zostali, jeden po drugim, wykreśleni. W tej sytuacji pozostawała nieznana osoba trzecia – ktoś taki jak Duncan. Dunwoodowie już wcześniej wzbudzili moje zainteresowanie. W dniach poprzedzających śmierć Dany zauważyłem niewielki strzęp kolorowego materiału, jak ze swetra, podobny do krzykliwych strojów, jakie zwykle nosił, na jednym z krzaków na moczarach. A kiedy nawiązałem do *Psa Baskerville'ów* i jedzenia znikającego ze spiżarni w gospodzie, jego reakcja była aż nadto wyrazista. Naturalnie jego śmierć na pewien czas opóźniła moje śledztwo. Zwróciłem jednak uwagę na zdenerwowanie i spiętą postawę jego brata Joego, chociaż miał żelazne alibi i w żadnym razie nie mógł zabić brata. Rodzina Dunwoodych miała w mieście głębokie korzenie, a w dziewiętnastym wieku była znacznie liczniejsza. Jednak moje zainteresowanie wzbudziło przede wszystkim to, że z kuchni Pokoju Map regularnie znikało jedzenie. Dlatego zeszłej nocy w barze zastawiłem na Joego pułapkę... a on chwycił przynętę.

– Zdziczały brat. To on musiał stać za miejscowymi legendami o Szarym Żniwiarzu. – Lake pokręcił głową. – Cóż, mogę tylko powiedzieć, że kiedy zjawił się pan, żeby rozpocząć śledztwo w sprawie kradzieży wina, nie spodziewałem się, że tak to się skończy. – Podał Pendergastowi reklamówkę. – Nawiasem mówiąc, tu jest butelka haut-braquillanges. Wspominał pan, że sam chciałby dokonać wyboru, i nadal może pan to zrobić, jeśli pan chce, ale ta wyglądała na najlepiej zachowaną.

Pendergast wziął reklamówkę.

– Na pewno będzie bardziej niż satysfakcjonująca, dziękuję.

Lake zawahał się przez chwilę.

– A kto właściwie dokonał tej kradzieży? Kto okradł moją piwniczkę?

– Joe i Dana.

– Zakładam, że przesłuchał pan Joego?

– Tak. Zaczął śpiewać aż miło.

Lake niemal bał się zadać następne pytanie.

– Czy wie pan, co... co zrobił z winem?

– Obawiam się, że wywiózł je łódką na morze i wyrzucił za burtę.

Lake przyłożył dłoń do ust.

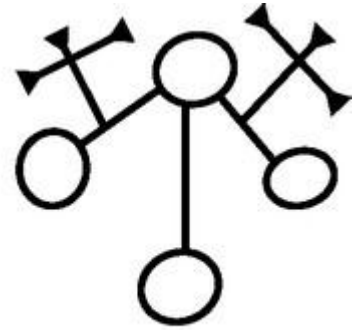
– Musiał odbyć aż trzy kursy późną nocą, żeby pozbyć się tego wszystkiego.

– O Boże – jęknął zduszonym głosem Lake.

– No właśnie – mruknął ponuro Pendergast.

Constance dopiero teraz odezwała się po raz pierwszy, cicho, lecz zdecydowanym tonem:

– Zauważyłam, że są pewne zbrodnie, dla których nawet kara śmierci nie wydaje się dostatecznie surowym wyrokiem.



41

Jak to bywa w Nowej Anglii, dzień, ciepły i słoneczny, szybko zaczął się psuć i kilka godzin po ceremonii niebo zasnuło się chmurami, a potem rozszalała się burza. Wyglądając przez okna pokoju Pendergasta w gospodzie, Constance widziała gałęzie pobliskich drzew kołysane silnym wiatrem. Choć była pełnia księżyca, jego tarcza skryła się za grubą powłoką burzowych chmur, z których spływały strugi bębniącego o szyby deszczu.

– Typowa północno-wschodnia burza – skwitował Pendergast.

Constance odwróciła się ku niemu. Niewielka grupka reporterów, którzy zjawili się, żeby napisać artykuł o upiornych zdarzeniach, już się rozjechała, a miasteczko wyraźnie odetchnęło z ulgą. Po kolacji Pendergast zaprosił Constance do swojego pokoju na degustację haut-braquillanges. Constance miała mieszane uczucia. Pochlebiało jej, że zamierzał podzielić się z nią butelką tak cennego trunku. Przypomniła sobie jednak skutek, jaki wywarł na niej kieliszek calvadosu, gdy ostatni raz gościła w jego pokoju, i nie chciała ponownie stracić nad sobą panowania.

– Jesteś pewien, że chcesz ją wypić teraz? – spytała.

– *Carpe diem*. Kto wie, co może przynieść jutro? A poza tym czyż może być do tego lepsza oprawa: na zewnątrz szaleje burza, w kominku buzuje ogień, a my możemy cieszyć się swoim towarzystwem.

Pendergast, obchodząc się z butelką bardzo ostrożnie, zdjął nakładkę, wyjął korek, odłożył na bok i użył świecy, by obejrzeć butelkę pod światło, i przelał jej zawartość do karafki. Następnie nalał sobie

odrobinę do kieliszka, zakręcił nim i skosztował. Wyraz jego twarzy – przymknięte oczy, głowa odchylona do tyłu – ukazywał coś, czego Constance nigdy wcześniej nie widziała: czystą zmysłową rozkosz.

– A ja? – spytała po chwili.

Otworzył oczy.

– Ach, Constance, musiałem się upewnić, że nie zamieniło się w ocet. Aby oszczędzić ci szoku. Jestem bardzo zadowolony, mogąc powiedzieć, że tak się nie stało.

Odstawił kieliszek, wziął drugi, nalał dla Constance i ponownie napełnił swój.

– Musimy szybko je wypić.

– Żeby nie zwietrzało?

– Wino tak stare i tak złożone szybko się psuje. *Après toi.*

Wziął swój kieliszek. Ona sięgnęła po drugi.

– Nie jestem pewna, co mam robić – rzekła Constance i zaśmiała się nerwowo. – Oczywiście pijałam wcześniej wino, ale nigdy takiego jak to.

– Najpierw stuknijmy się kieliszkami.

Zrobili to. Ich spojżenia spotkały się. Oboje milczeli.

– A teraz wypijmy. Rób to co ja. Picie wina zostało obłożone zbyt wieloma zbędnymi rytuałami. Wystarczy po prostu zakręcić nim w kieliszku, poczuć zapach, a potem upić łyk. O tak.

Pendergast zakręcił winem w kieliszku, pociągnął nosem raz i drugi, znów zakręcił kieliszkiem i napił się. Wziął niewielki wdech, po czym znowu upił mały łyk.

Constance zrobiła to samo. Jej zdaniem smakowało jak... wino, ni mniej, ni więcej. Zaczerwieniła się, gdy zrozumiała, że częstowanie jej tym wyjątkowym rocznikiem było zwykłym marnotrawstwem.

– Nie przejmuj się, moja droga Constance, jeżeli nie od razu poczujesz to co ja ani nie będziesz tak jak ja ekscytować się tym trunkiem. Wino, jak wiele bardziej wyrafinowanych rzeczy w życiu, wymaga czasu i doświadczenia, aby można było w pełni się nim rozkoszować.

Zaczął jej raz jeszcze tłumaczyć, jak ma zakręcić winem w kieliszku. Jak ma je powąchać, a następnie napić się i nabrać

powietrza.

– Słownictwo dotyczące picia wina jest zbyt wyszukane – stwierdził. – To przykład nieadekwatności słów do smaku i zapachu.

– Jak zatem to twoim zdaniem smakuje?

– Powiedziałbym, że to wino spływa na podniebienie jak jedwab otulony aksamitem. To z uwagi na jego wiek, prawie wszystkie nuty owocowe i taniny uległy przemianie. – Znowu się napił. – Wyczuwam smaki przypraw korzennych, pudełka do cygar, trufli, więdnących kwiatów jesiennych, liści, ziemi i skóry.

Constance upiła kolejny łyk, ale nie potrafiła odnaleźć tych smaków.

– To wino jest surowe, strukturalne, z wielką finezją i długim, przeciągniętym finiszem – dodał Pendergast.

– Co właściwie czyni je tak dobrym?

– Wszystko. Każdy łyk wydobywa inny smak, inną cechę charakterystyczną. – Znowu się napił. – Jest cudownie złożone, tak zrównoważone, że każdy smak kolejno wysuwa się naprzód. Co najistotniejsze, ma *goût de terroir*, ten szczególny smak gleby, na której rosną winogrona, zawiera całą duszę tej słynnej i już nieistniejącej winnicy na stoku, zniszczonej przez gaz musztardowy podczas pierwszej wojny światowej.

Pendergast nalał jeszcze po kieliszku, a Constance skosztowała ostrożnie. Wino było delikatniejsze niż większość tych, które miała okazję pić, i ta jego niezwykła, aromatyczna delikatność była naprawdę przyjemna. Może była w stanie nauczyć się cieszyć winem tak jak Pendergast? Gdy upiła kolejny łyk, zwróciła uwagę na bardzo subtelne odrętwienie warg i rozkoszne, mrowiące ciepło, które zdawało się przenikać ją do głębi. Chyba wyczuwała w winie subtelne tony trufli i skóry.

Pendergast wstał ze swojego miejsca na łóżku obok niej i w zamyśleniu zaczął spacerować po pokoju z kieliszkiem w dłoni. Zdobyć i napić się tego wybornego wina wprawilo go w wyjątkowy nastrój, wzbudziło w nim rzadką chęć mówienia.

– Bardziej niż jakiegokolwiek inne dochodzenie kryminalne, Constance, to śledztwo aż ocieka ironią. Mamy historyka McCoola

przybywającego z wiedzą o klejnotach, lecz nieposiadającego informacji o miejscu, w którym doszło do zagłady Pembroke Castle. Równocześnie mamy braci Dunwoodych, którzy wiedzą, gdzie statek wpadł na rafy, ale są nieświadomi istnienia cennych kamieni. Kiedy jedno zostało powiązane z drugim, *voilà!* Tak zrodziła się zbrodnia. Bracia potrzebowali czasu, żeby zainscenizować fikcyjną kradzież wina, co tłumaczy kilkutygodniową lukę po wyjeździe historyka. Bracia wiedzieli, że historyk może wrócić, i chcieli być na to przygotowani, stąd pomysł Dany Dunwoody'ego, żeby rzucić okiem na symbole Tybane. Po zabójstwie barman Joe miał doskonałą okazję, by szerzyć plotki na temat inskrypcji wyciętych na ciele McCoola i sugerować, że mogły być w to zamieszane wiemy, co rodowici mieszkańcy Exmouth, którzy dorastając, słyszeli wiele takich legend, przyjęli z ogromnym entuzjazmem. Idealna zasłona dymna.

– Ale skąd wiedziałeś o trzecim bracie? Wyjaśnienia, jakich udzieliłeś rano Lake'owi, wydały się celowo dość mgliste.

– Bo tak było. Z mojego dochodzenia wynikało niezbitcie, że na moczarach ktoś mieszka. Ginąca żywność, ślady, na jakie się natknąłem, woń ogniska, wrażenie, że podczas wypraw na słone zalewisko byłem śledzony, mogły sugerować tylko jedno. Wskazywały też na Joego Dunwoody'ego jako jednego z podejrzanych. Nitka z ubrania Dany Dunwoody'ego, jaką znalazłem na moczarach, i jego wizyta w bibliotece w Salem, gdzie sprawdził inskrypcje, uczyniły hipotezę o bracie bardziej prawdopodobną. O wszystkim jednak przesądziła wizyta u koronera. Zabójstwo Dany było nagłym, nieoczekiwanym aktem wściekłości, w przeciwieństwie do morderstwa z premedytacją, którego ofiarą był McCool. – Znow usiadł na łóżku obok Constance. – Dunkan, który próbował zatuszować swoje ślady, wycinając symbole na ciele brata, tak jak to wcześniej zrobił z historykiem, nie miał do tego dostatecznej odwagi i bezwzględności, stąd wahanie odzwierciedlające się w naturze cięć.

Constance upiła kolejny łyk wina. Zawodzenie wiatru i bębnienie deszczu wydawało się kojące w tym przytulnym pokoju, gdzie panował półmrok, a w kominku trzaskały płomienie. Zauważyła, że Pendergast się jej przygląda. Czy było to pytające, czy raczej wyczekujące

spojrzenie?

– Tak, Constance? – spytał łagodnym tonem. – Wyczuwam, że masz w związku z tą sprawą pytania.

– Po prostu... – zaczęła po dłuższej chwili, próbując pozbierać myśli. – Po prostu odnoszę wrażenie, że czegoś tu brakuje. – Powiedziała to bardziej po to, by wypełnić coraz groźniej przedłużającą się ciszę.

– Jak to?

– Te fragmenty tekstów, które czytałam w bibliotece Salem. O „miejscu wędrowki” i „mrocznej pielgrzymce ku zachodniemu brzegowi”. Udowodniliśmy, że czarownice i czarownicy nie wyginęli wbrew wszelkim przypuszczeniom, lecz przenieśli się na południe.

– To bez wątpienia ciekawa historia.

Pendergast napił się wina, po czym napełnił oba kieliszki. Ponownie usiadł na łóżku. Karafka była już prawie pusta.

Constance odstawiła kieliszek na stół.

– Wobec tego dokąd się udali i co się z nimi stało? Jedyne miejsce na południe od tej starej opuszczonej osady na moczarach jest Oldham.

– Oldham jednak nie było osadą wiedźm. To była wioska rybacka, którą mieszkańcy porzucili jakieś osiemdziesiąt lat temu, po huraganie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. I to nie wiedźmy wycięły inskrypcje na ciałach McCoola i Dany Dunwoody’ego. Mamy szczegółowe zeznanie prawdziwego „artysty”, któremu można zarzucić wiele, ale nie to, że interesował się czarną magią. Zresztą czy to nie ty, skądinąd całkiem niedawno, drwiłaś z możliwości udziału czarownic w tej sprawie?

Cisza.

– Takich rzeczy nie należy traktować zbyt dosłownie, moja droga Constance. Wiem o twoich zamiłowaniach do wszystkiego, co osobliwe i niezwykle – całe lata spędzone na lekturze mrocznych i zakazanych ksiąg w podpiwnicznych pomieszczeniach rezydencji przy Riverside Drive musiały przynieść nieuchronny skutek – ale nawet jeśli ta historia jest prawdziwa, zwrot „na południe” może oznaczać jakiegokolwiek miejsce. Może oznaczać Gloucester albo nawet Boston. A teraz ci

czarownicy i czarownice – zakładając, że faktycznie nimi byli – na pewno są już tylko odległym wspomnieniem.

Constance zamilkła. Pendergast położył rękę na jej dłoni.

– Zaufaj mi, powinnaś dać sobie spokój. Nie zetknąłem się jak dotąd ze sprawą, w której wszystko absolutnie do siebie pasowało.

Wciąż milczała; prawie nie słuchała tego, co on mówi. Czuła, jak jej serce przyspiesza, a klatkę piersiową opina ciasna niewidzialna obręcz. Całym jej ciałem owładnęło dziwne elektryzujące doznanie. Burza uczuć groziła eksplozją. Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, jakby to ktoś inny kontrolował jej poczynania, wysunęła dłoń spomiędzy palców Pendergasta i położyła na jego dłoni. A potem powoli, z rozmysłem podniosła jego dłoń z łóżka i umieściła na swoim kolanie.

Pendergast zeszywniał. Spojrzał jej w oczy, blask ognia odbijał się w jego lśniących srebrzystych tęczęwkach.

Równie powoli i z rozmysłem zaczęła nakierowywać jego dłoń pod spódnicę, coraz wyżej, w górę jej uda.

Na chwilę wszystko zamarło. I wtedy on odwrócił się do niej tak gwałtownie, że kieliszek z winem spadł na podłogę, roztrzaskując się w drobny mak. Jedną dłoń zaciskał na jej udzie od wewnętrznej strony, a drugą schwycił przód jej sukni z taką siłą, że omal nie pozrywał wszystkich guzików. Jego usta przywarły brutalnie do jej warg... i wtedy niemal równie gwałtownie odsunął się od niej. Zanim zdołał się zorientować, co się stało, płynnym ruchem zerwał się z łóżka. Następnie, nie wiedząc czemu, zaczął zbierać odłamki stłuczonego kieliszka i wrzucać je do kosza na śmieci drżącymi leciutko dłońmi. Constance tylko na niego patrzyła w bezruchu i osłupieniu, nie mogąc pozbierać myśli.

– Tak bardzo mi przykro, Constance – usłyszała. – Chyba zniszczyłem twoją suknię.

Wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Musisz zrozumieć. Jestem mężczyzną, a ty kobietą... Żywię wobec ciebie uczucia głębsze niż wobec jakiegokolwiek innej żyjącej osoby... – mówił Pendergast, nie przerywając zbierania odłamków.

W końcu się odezwała:

– Przestań.

Znieruchomiał między stołem a kominkiem, w którym ogień zaczął dogasać. Miał na policzkach rumieńce.

– Odnoszę wrażenie, że szczególna natura naszych relacji wyklucza możliwość wyrażenia uczuć, jakie możemy... – zaczął.

– Zamknij się.

Zamilkł. Stał w bezruchu, wciąż spoglądając na Constance.

Wstała. Poczowała zmieszanie, zakłopotanie, a w końcu upokorzenie i gniew. Patrzyła na niego, drżąc na całym ciele.

– Constance?

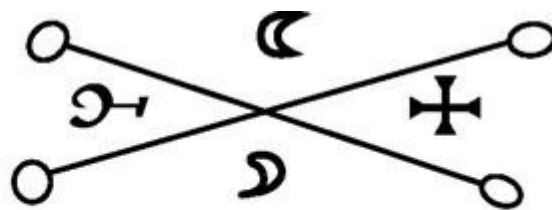
Zamachnęła się i otwartą dłonią strąciła ze stołu drugi kieliszek, aż roztrzaskał się o obramowanie kominka.

– Może ten też pozbierasz?

Odwróciła się, podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Zaczekaj – zawołał za nią Pendergast. – Nie odchodź...

Ale reszta jego słów została zagłuszona, gdy Constance zatrzasnęła za sobą drzwi i zbiegła na dół do swojego pokoju.



Percival Lake odwrócił się od okna, skąd rozciągał się widok na urwisko i rozszalały Atlantyk poniżej. Zanosiło się na niezły sztorm. Przy każdym obrocie reflektor latarni morskiej omiatał snopem światła odległe wydmy i ocean, na którego polaci spienione grzywacze sunęły grzmiąco jeden za drugim w kierunku brzegu. W domu zabrakło prądu, ale latarnia miała generator awaryjny od straży przybrzeżnej, który działał niezależnie od pogody.

Rzeźbiarz odwrócił się od okna i patrzył, jak Carole zapala ostatnie świece; migotały rozstawione na obramowaniu kominka i na stołach w salonie. W połączeniu z ciepłą poświatą ognia buzującego w masywnym kamiennym kominku przydawały pomieszczeniu wspaniałej atmosfery. Przerwy w dostawie prądu były tu na porządku dziennym, bądź co bądź to miejsce znajdowało się na samym końcu linii energetycznej. Lake nawet lubił te momenty, pod warunkiem że nie trwały zbyt długo.

Carole wyprostowała się. W ostatnich dniach wydawała się zdenerwowana i przemęczona, ale już wróciła do siebie i znów była cudowna.

– Uwielbiam blask świec – powiedziała.

Lake podszedł i objął ją ramieniem.

– Mam pomysł. Bardzo szczególny pomysł.

– Wiem, na czym polegają te twoje „szczególne pomysły”. –

Szturchnęła go łokciem.

– Tym razem mam na myśli coś innego. Chodź ze mną. – Wstawił świecę do świecznika i trzymając Carole za ramię, podszedł do drzwi piwnicy. – Chodź.

Sprowadził ją na dół po stromych schodach. Na dole odgłosy burzy były stłumione, natomiast skrzypienie starych belek głośniejsze.

– Co ty kombinujesz? – spytała.

– Zobaczysz.

Poprowadził ją przez piwniczny korytarz, obok swojej pracowni rzeźbiarskiej, aż do następnej części podziemi. Wciąż panował tu bałagan po kradzieży, regały na wino walały się po podłodze pośród odłamków stłuczonego szkła, w powietrzu unosił się zapach wina. Nisza odkryta przez Pendergasta wciąż była otwarta, ziejąca pustką, zardzewiałe łańcuchy zwieszały się ze ściany. I pomyśleć, że wszystkie cenne butelki spoczywały teraz na dnie oceanu! Minał puste regały i podszedł do drewnianej skrzynki z chateau haute-braquilanges.

– Potrzyмай.

Podał jej świecę, a sam schylił się i zdjął wieko. Butelki leżały na drewnianych uchwytych. Jeden był pusty – tę butelkę podarował Pendergastowi. Wyjął drugą butelkę.

– Skoro już otworzyliśmy skrzynkę, napijmy się.

– Naprawdę? Czy ona nie jest warta... z dziesięć tysięcy dolarów?

– Dużo, dużo więcej. Ale nie jesteśmy już najmłodszy, a po co jest wino, jeśli nie do picia?

– Może ty nie jesteś już najmłodszy – odparła, śmiejąc się. – Tak czy owak, kompletnie nie znam się na winie. Zmarnujesz je tylko, częstując mnie.

Objął ją ramieniem.

– I tu się mylisz, moja droga. Odtworzymy tę kolekcję. Udamy się w podróż do Włoch, Francji i Kalifornii, będziemy smakować i kupować wina, a potem wysyłać je tutaj. Musisz nabrać wprawy, nauczyć swoje podniebienie, żeby umiało docenić to, co najwspanialsze. A czyż można to zrobić inaczej, niż zaczynając od degustacji najlepszego wina, jakie kiedykolwiek powstało?

Ścisnął ją delikatnie.

– Brzmi wspaniale. No dobrze, przekonałeś mnie.

– To nie było trudne.

Gdy wracając, mijali odsłoniętą niszę, Lake przystanął.

– I pomyśleć, że fortuna w drogich klejnotach była ukryta niemal

tuż pod naszym nosem. Szkoda, że jej nie znaleźliśmy.

Poczuł, że Carole zadrżała.

– Cieszę się, że tak się nie stało – powiedziała. – Pomyśl o tych wszystkich zamordowanych kobietach i dzieciach. Pomyśl o tych krwawych kamieniach. Na pewno nie przyniosłyby nam szczęścia. Cięży na nich klątwa.

– To prawda.

Trzymając delikatnie butelkę, by nie wstrząsnąć osadu, Lake wszedł po schodach do salonu i bardzo ostrożnie postawił ją na stoliku przed kominkiem. Zdjął ołowianą nasadkę i przetaił szyjkę butelki wilgotną ściereczką. Korek wyglądał dobrze, żadnych oznak przeciekania czy pleśni. Z wielką ostrożnością wbił koniec korkociągu w sam środek korka i zaczął powoli nim obracać, a potem naciskając dźwigienkę do dołu – i wstrzymując oddech – powoli, lecz zdecydowanie wyjął korek.

To była chwila prawdy. Nie wspomniał o tym Carole, ale była spora szansa, że tak stare wino skwaśniało, zamieniając się w ocet, albo stało się, jak to się mówi, korkowe. Kiedy jednak je powąchał, poczuł bogatą głębię aromatów, które wskazywały nie tylko, że wino wciąż było wyborne, lecz także że miało wyjątkową głębię. Powąchał raz jeszcze zdumiony jego wielowarstwową złożonością.

– No, no – wymamrotał.

– I co, dobre?

Pokiwał głową i przyniósł karafkę. Jakby obchodził się z dzieckiem, bardzo ostrożnie przelał wino do karafki, pozostawiając na dole mniej więcej dwa i pół centymetra płynu. Następnie napełnił dwa kieliszki. Napili się. Wiatr atakował dom silnymi podmuchami, łomotał do okien. Promień latarni omiatał morze, powracając w regularnych odstępach czasu.

Raczyli się winem w ciszy, bez typowych komentarzy na temat jego smaku. Lake'owi to odpowiadało. Za dużo się mówiło o picciu wina. Zupełnie jak robili to ludzie, którzy w muzeach bez przerwy coś nawijali; na miłość boską, czy nie mogli przez chwilę pokontemplować dzieł sztuki w milczeniu?

Z przyjemnością stwierdził, że Carole wino smakowało. Tak,

mogła się nauczyć degustacji. Będą podróżować, smakować i kupować. Pozwoli im to scementować więź między nimi, bo prawdę mówiąc, ostatnio w ich relacji zaczynało czegoś brakować. To będzie wspaniałe doświadczenie... i pomoże mu w końcu przeboleć stratę żony. W ten sposób zdołałby się uporać z niezagojoną raną w sercu i wciąż niedającym mu spokoju poczuciem straty.

Sączyli wino w milczeniu.

– Co to było? – spytała Carole.

Nasłuchiwał przez chwilę. Nagle rozległo się głucho uderzenie. Strugi deszczu wciąż siekły w szyby. Wreszcie rozległo się drugie, głośniejsze uderzenie. Zdawało się dochodzić od strony ganku.

– Chyba wiatr przewrócił jeden z bujanych foteli. – Powrócił do picia wina.

Na ganku znów coś stuknęło; zabrzmiało to tak, jakby ktoś tupnął nogą.

– Tam nie ma bujanych foteli – odezwała się Carole.

– Sprawdź.

Wstał, wziął ze stołu latarkę i przeszedł przez salon do sieni. Gdy znalazł się przy drzwiach, usłyszał coś, co zabrzmiało jak niezdarne pukanie. Nagle zaniepokojony zbliżył się do rzędu pionowych świetlików przy drzwiach i poświecił przez nie latarką, aby sprawdzić, czy ktoś jest na ganku.

Dostrzegł niewyraźne ślady stóp w błocie prowadzące przez smagany wiatrem ganek, ale przy drzwiach nie zobaczył nikogo. Kto, na Boga, mógłby wychodzić na zewnątrz w taką pogodę? Jednak ktokolwiek to był, musiał stać zbyt blisko drzwi, żeby dało się go zobaczyć. A w starych drzwiach nie było judasza.

– Kto tam? – spytał głośno Lake, przekrzykując odgłosy burzy.

W odpowiedzi znów dało się słyszeć stłumione pukanie, a potem ktoś poruszył klamką. Dzięki Bogu drzwi były zamknięte na klucz.

– Proszę posłuchać, jeśli masz jakiś kłopot, pomogę ci, ale najpierw musisz się odezwać!

W korytarzu pojawiła się Carole.

– Co się dzieje?

– Jakiś szajbus stoi pod drzwiami. – Odwrócił się. – Kto tam?

W tej samej chwili rozległo się skrzywienie, jakby masywne ciało naparło na drzwi, które pod wpływem nacisku zaczęły się uginać.

– Kto tam, do cholery! – ryknął Lake.

Tym razem ciało uderzyło o drzwi z takim impetem, że framuga aż załomotała. Carole krzyknęła i odskoczyła do tyłu.

– Carole, przynieś mi kij bejsbolowy!

Znikła w ciemnościach kuchni. Po chwili wróciła z brzoźową odmianą louisville sluggera, który trzymali w składziku na szczotki.

Rozległo się jeszcze jedno solidne uderzenie, znacznie silniejsze. Drewno przy framudze zaczęło pękać.

– Ty skurwysynu, spróbuj tu wejść, to cię zabiję! – wrzasnął Lake. Było ciemno i prawie nic nie widział.

– Carole, poświeć tutaj!

Cofnął się dwa kroki, ściskając mocniej kij oburącz, podczas gdy Carole stanęła za nim z latarką w drżących dłoniach.

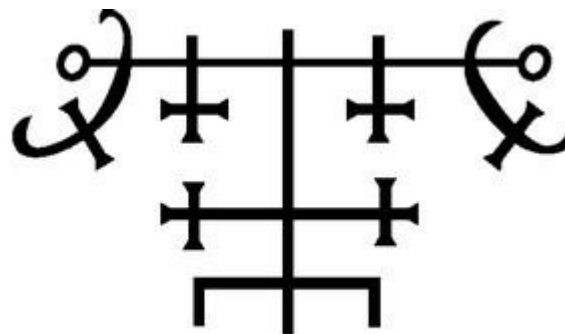
Kolejne silne uderzenie, znów trzask rozłupywanego drewna. Mocowania obluzowanego zamka zagrzechotały.

– Przestań! – krzyknął Lake. – Mam broń! Zastrzelę cię! Jak mi Bóg miły, przysięgam, że cię zastrzelę! – Żałował, że nie ma broni palnej.

Następne łupnięcie i drzwi otworzyły się na oścież, a dokoła posypały się ostre drzazgi.

Do środka wpadła jakaś postać. Lake zamachnął się mocno kijem, jednak postać, która przeskoczyła ponad strzaskanymi drzwiami, poruszała się tak szybko, że zdołał zaledwie musnąć ją lekko w ramię, zanim przemknęła obok niego, a w nozdrza uderzył go przejmujący smród. Odwrócił się i wziął zamach do kolejnego ciosu, lecz w tej samej chwili Carole wydała z siebie mrozący krew w żyłach krzyk, upuszczając latarkę, która spadła na podłogę i sprawiła, że hol pograżył się w półmroku. Równocześnie dał się słyszeć wilgotny dźwięk przywodzący na myśl odgłos przebijanego balonu z wodą. W półmroku Lake zobaczył, jak ciemny kształt opada na kolana i pochyła się nad Carole leżącą bezwładnie na perskim dywanie. Usłyszał odgłosy przeżuwania. Z głośnym rykiem rzucił się naprzód i zamachnął kijem, celując w mroczną postać, ta jednak wykonała szybki obrót

i podźwignęła się. Dwie szorstkie dłonie sięgnęły i wyrwały mu kij z zatrważającą siłą, a zaraz potem poczuł silne szarpnięcie w okolicach przepony brzusznej i usłyszał, jak coś ciężkiego i wilgotnego z plaśnięciem ląduje na podłodze, zanim on sam zatoczył się do tyłu i z krzykiem pogrążył w bezdennej otchłani bólu i przerażenia.



– Mówiłem ci, że nie mamy świec – rzekł Mark Lillie, otwierając i zamykając szuflady, i podnosząc głos, aby przekrzyczeć łomotanie luźnej okiennicy na wietrze. – Dwa tygodnie temu, kiedy ostatni raz nie było prądu, mówiłem ci, że trzeba kupić świece.

– Wydawało ci się, że mi o tym mówisz – odparła Sarah. – A co z okiennicami, o których mówię ci już prawie od roku?

Jakby na potwierdzenie tych słów okiennica znów załomotała. Mark wyjął z szuflady latarkę i zaklął.

– Co znowu? – spytała Sarah.

Mark zapalił latarkę i poświecił nią w twarz żony.

– Latarką pokoju nie oświetlisz – powiedział.

– Nie świeć mi po oczach.

– Chciałem ci tylko coś uświadomić. To już piąta przerwa w dostawie prądu w tym roku. Można by pomyśleć, że kto jak kto, ale ty będziesz mieć zawsze spory zapas świec.

– Nikt ci nie broni kupić kilku świec, kiedy jesteś w mieście, a przecież jesteś tam codziennie.

– Uznałem, że ty się tym zajmiesz. Istnieje coś takiego jak podział prac i obowiązków.

– Nie mówiłeś, że brakuje nam świec.

– Mówiłem. Ale ty po prostu zapomniałaś.

Z niesmakiem i oburzeniem Mark opadł na kanapę. Tak właśnie wyglądało całe ich życie, ciągle kłótnie, przepychanki i sprzeczki o najmniejszy drobiazg. Zastanawiał się, co w ogóle kiedyś widział w tej

kobiecie. Nie mieli dzieci. Nie ma powodu, dla którego nie mieliby zakończyć tego już teraz. Ale nie obejdzie się bez komplikacji, przepychanek finansowych...

Okiennica znów uderzyła w ścianę domu, a silne podmuchy wiatru zatrzęśły szybami w oknach. Okiennica uderzyła ponownie, tym razem mocniej, i szyba pękła przy wtórze brzęku szkła. Rozległo się zawroźnienie wiatru, któremu towarzyszyło bębnienie deszczu. Silniejszy podmuch przewrócił zdjęcie w ramce stojące na obramowaniu kominka.

– No proszę! – zawołała triumfalnie Sarah. – Zobacz, co się stało!

Znów powiał silniejszy wiatr, krople deszczu zrosiły blat stołu, a do pokoju wdarł się głośny zwierzęcy skowyt.

– Co to było? – spytał Mark.

Sarah nie ruszyła się z miejsca, nic nie powiedziała, tylko z przejęciem świdrowała wzrokiem ciemność.

– To było gdzieś bardzo blisko domu.

– Pewnie jakiś kretyńca zostawił psa na deszczu.

– To nie był pies.

– Oczywiście, że pies. Co innego mogłoby to być?

Znów skowyt, tym razem z ciemności tuż za oknem.

– Idź i zobacz – rzuciła Sarah.

Wziął latarkę i wyszedł do holu, świecąc latarką przez szybę we frontowych drzwiach.

– Aach! – krzyknął, uskakując do tyłu, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem.

Do środka wpadła ciemna postać jak z koszmaru, niemająca na sobie niczego, lecz otoczona odrażającym, drażniącym odorem.

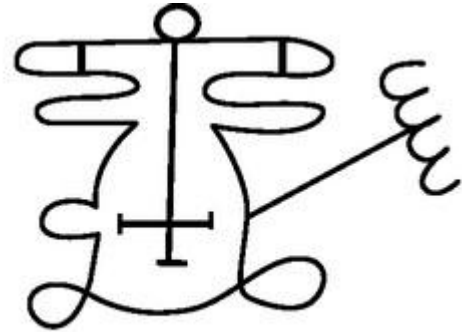
Mark zamachał rękami z niedowierzaniem i przejęty grozą próbował utrzymać bestię na dystans, ona jednak, przeraźliwie i gwałtownie rycząc, oplótła go długimi żyłastymi ramionami i chwyciła szponiastymi łapami za brzuch na wysokości przepony.

– Nie, nie! – wrzasnął, próbując się uwolnić, gdy poczuł, że długie ostre pazury zagłębiły się w jego brzuchu.

– Przestań! Nie! – Jak przez mgłę słyszał rozlegający się w tle krzyk swojej żony.

Nagły rozdierający trzask, przypominający oddzielanie tłuszczu

od mięsa, i silne dłonie otworzyły go, jakby rozsuwały zasłonę. Wszystko spowiała ciemność, latarka gdzieś przepadła. Poczł podmuch lodowatego wiatru hulającego w jamie brzusznej, którą jeszcze przed chwilą przesywał rozdzierający ból. Runął do tyłu z okrzykiem przerażenia i nieopisanego cierpienia, bo coś było brutalnie wywlekane z jego wnętrza, a gdzieś obok, bardzo blisko, rozlegały się wilgotne, mlaszczące odgłosy żarłocznego, nienasyconego przeżuwania.



Constance Greene była przemoczona do suchej nitki: przesiąknięta deszczem suknia ciężko oblepiła jej ciało, dół sukni był utyłany w błocie i piachu. Ona jednak nie czuła chłodu; dzieciństwo, które spędziła jako bezdomna w nowojorskich dokach, uczyniło ją na zawsze nieczułą na zimno. Wiatr hulał wśród traw i sitowia, które kołysały się jak szalone, gdy przez nie przechodziła, a jej krótkie botki mlaskały na podmokłym błotnistym gruncie. Promień latarki przenikał ciemność, ukazując zacinające strugi deszczu. Szła szybko, jej umysł przepełniała złość, skrępowanie i uczucie upokorzenia.

Początkowo chciała po prostu wyjść, zanim uczyni coś brutalnego i nieodwracalnego, coś takiego, czego zawsze będzie żałować. Kiedy jednak wybiegła z gospody, kierując się na południe, ku wydmom i słonym moczarom, w jej głowie zaczął formować się plan.

Gdzieś w głębi umysłu wiedziała, że to, co zrobiła, nie było zwykłym buntem przeciwko Pendergastowi, lecz czymś irracjonalnym i być może nawet niebezpiecznym. Nie dbała o to. Poza tym wiedziała, że tym razem jej opiekun się mylił; w miasteczku Exmouth działo się coś jeszcze, coś mrocznego, dziwnego, niepoddającego się racjonalnemu wytłumaczeniu, co wciąż pozostawało nierozwiązane. Lepiej niż on znała się na pismach takich jak manuskrypt Suttera; wiedziała, że często zawierały coś więcej, niż powszechnie sądzono. *Obscura Peregrinatione ad Littus* (Mroczna pielgrzymka do południowego brzegu) wciąż kryła zagadkę oczekującą na rozwiązanie, którego należało poszukać w południowych ruinach Oldham. Constance była o tym przekonana.

Jaka to była odpowiedź, nawet nie próbowała zgadywać. Udowodni jednak Pendergastowi, że miała rację. Udowodni mu to, a potem znowu zamknie się w podpiwnicznych pomieszczeniach rezydencji przy Riverside Drive i pozostanie tam, dopóki znów nie znajdzie ją ochota, by zobaczyć słońce.

W miarę jak teren coraz bardziej się wznosił, słone trawy ustąpiły miejsca karłowatym dębom i poskręcany sosnom zwyczajnym. Minęła pasmo Zgniataczy Czerepów i wygięte w hak zakole łądu za nimi, przekroczyła pas błotnych roślin i kanał – był odpływ – po czym dotarła do Crow Island na drugim końcu rezerwatu przyrody. Na wschodzie na lewo od niej, poza długą, wąską barierą wyspy, rozciągał się ocean. Przystanęła, nasłuchując, ale wiatr wiał tak głośno, że nie wychwyciła szumu fal. W rozszalałej czerni widać było jedynie migoczące światło latarni Exmouth daleko za nią i promień reflektora omiatający morze co dziewięć sekund. Na podstawie tego światła odnajdywała w ciemnościach kierunek, było ono jak punkt orientacyjny wskazujący jej drogę do Oldham.

Karłowate drzewka zaczęły się przerzedzać i pojawiły się wydmy okolone połącią traw. Dopiero teraz usłyszała łoskot niewidocznego jeszcze oceanu czy też raczej poczuła go pod stopami, ponieważ o brzeg rozbijały się potężne atlantyckie grzywacze. Ruszyła na ukos przez wyspę, ponownie orientując się w przestrzeni dzięki światłu latarni. Opuszczone miasteczko powinno znajdować się nie dalej niż dwa, trzy kilometry stąd. Wkrótce dotrze na miejsce.

Północnowschodnie sztormy nie przerażały Buda Olsena. Przeciwnie, lubił je. Przepelniały go wigorem. Nie przejmował się nimi także Aubrey, jego golden retriever. Po przejściu na emeryturę i skończeniu z rybackim fachem dziesięć lat temu Olsen przeniósł się do miasta i mieszkał teraz w małym domku na końcu Main Street, gdzie wszędzie miał blisko na piechotę, zwłaszcza na wtorkowe obiady klubowe i do biblioteki, której był częstym bywalcem – pochłaniał niezliczone marynistyczne opowieści przygodowe Patricka O'Briana, Johna Masefielda i C.S. Forestera.

O dwudziestej pierwszej, kiedy wiatr zaczął uderzać w skrzydło okienne, Aubrey stanął przy drzwiach, skomląc i machając ogonem.

Olsen odłożył książkę i z głośnym stęknieniem podniósł się z fotela. Zgasił lampę naftową i podszedł do drzwi.

– Chcesz wyjść, psinko?

Aubrey jeszcze energiczniej zamerdał ogonem.

– No dobrze, wybierzemy się na mały spacer.

Bardziej na wycucie, niż posługując się wzrokiem, Bud włożył sztormiak i zydwestkę, wciągnął buty, wyjął latarkę z szuflady w sieni i założył Aubreyowi obrożę. Otworzył drzwi, przytrzymując je od wiatru, po czym zszedł po schodach ganku na ulicę. Miasteczko tonęło niemal w całkowitych ciemnościach z powodu przerwy w dostawie prądu, ale posterunek policji na końcu ulicy był jasno oświetlony, bo działał tam generator awaryjny. Wiatr chłostał wody zatoki, deszcz zacinał niemal horyzontalnie. Bud opuścił głowę, gdyż podmuchy szarpały zydwestkę, mimo że mocno związał ją pod brodą.

Skręcili w lewo i ruszyli Main Street w stronę centrum miasta. Gdy mijali kolejne domy, Bud mógł dostrzec łagodne cienie odcinające się na pomarańczowym tle, ludzi krzątających się w pokojach ze świecami lub lampami w rękach, przydających osadzie wrażenia sielskości i staroświeckości jak z litografii Curriera i Ivesa. Tak właśnie musiało wyglądać Exmouth przed stu laty, pomyślał Bud, zanim je zelektryfikowano. To nie było takie złe. Elektryczność przynosiła same kłopoty: oślepiające światło, zanieczyszczenie środowiska, komputery, iPady i cały ten szajs, który widywał każdego dnia, gdy wszyscy – nie tylko dzieciaki – krążyli po mieście jak zombie z wzrokiem utkwionym w świecące ekraniki, zamiast witać się z innymi, chłonać pełną pierś powietrze przesycone zapachem soli morskiej i napawać się szkarłatnymi klonami w ich jesiennej krasie...

Z zadumy wyrwał Buda gardłowy warkot. Aubrey przystanął, wpatrując się w ciemność na wprost nich, a sierść na jego karku zjeżyła się.

– Co jest, psinko?

Znów cichy warkot.

To było coś niezwykłego. Aubrey był chyba najbardziej przyjaznym psem w całym miasteczku, stanowił dla potencjalnych włamywaczy zagrożenie tylko wtedy, gdyby się o niego przewrócili

w ciemnościach. Nawet Szarego Żniwiarza powitałby, machając ogonem.

Tymczasem Aubrey cofnął się o krok, zeszywniały ze strachu, a jego warkot zmienił się w skomlenie.

– Spokojnie, przecież tam nic nie ma. – Bud poświecił latarką wokoło, ale snop światła nie przeniknął zbyt daleko w gęstą ciemność.

Pies zaczął dygotać i kulić się z przerażenia, jego skomlenie stało się intensywniejsze. Nagle Bud poczuł przerażający smród, odór fekaliiów i krwi, pies szarpnął gwałtownie do tyłu, pod nim zaś pojawiła się rozlewająca się kałuża moczu.

– Co, u diabła? – Bud też się cofnął. – Co to ma być? – zawołał w ciemność.

Skomląc z przerażenia, Aubrey wyszarpnął smycz z ręki Buda i pognął w głąb ulicy, ciągnąc smycz za sobą.

– Ej, psinko. – Bud patrzył, jak pies znika w ciemnościach.

To było jakieś szaleństwo. Usłyszał za sobą hałas, a gdy się odwrócił, ujrzał coś, czego w pierwszej chwili nie był w stanie pojąć: żylastą, nagą, dziwnie wydłużoną postać, która wyłoniła się z mroku.

– Co, u diabła...?

Postać rzuciła się naprzód, a Bud poczuł gorący, bulgoczący oddech tego czegoś, smród bijący jakby z wnętrza rzeźni, i ze stłumionym okrzykiem przerażenia odwrócił się, żeby uciec, wtedy jednak całe jego ciało przeszył nieopisany ból. Spuścił wzrok ze zdziwieniem i z przerażeniem spostrzegł bezwłosą czaszkę zatapiającą się w jego trzewiach, czerwoną od parującej krwi; silnie umięśnione szczęki poruszały się nieprzerwanie, gdy stwór najwyraźniej pożerał go żywcem.

Constance pokonała ostatnią linię wydm, ominęła na wpół przysypany piaskiem parkan i wyszła na plażę. Widok był niesamowity: potężne spienione grzywacze rozbijały się o brzeg i z grzmiącym odgłosem rozlewały się po plaży u podnóża wydm. Constance nie miała nigdy okazji widzieć tak wielkiego oceanu, a ponieważ nie umiała pływać, wzbudził w niej głęboki niepokój. W takich warunkach nietrudno było wyobrazić sobie statek rozbijający się o skały i jego szczątki wyrzucone na brzeg przez fale. Promień latarki sięgał

w półmrok nie dalej niż trzy metry przed nią.

Obejrzała się za siebie: latarnia morska Exmouth była ledwie widoczna i migąła regularnie pomimo przerwy w dostawie prądu. Constance przypomniła sobie stare mapy, które oglądała w siedzibie Towarzystwa Historycznego. Ruiny Oldham nie mogły się znajdować daleko na południe. I rzeczywiście, kiedy szła przed siebie, jej oczom ukazały się pieńki starych pali wystające z piachu, a brzeg szerokim łukiem przechodził w ujście rzeki tworzące kraniec Crow Island i dawnej zatoki Oldham. Kilka minut później dotarła do granitowego falochronu stworzonego z olbrzymich bloków, które niegdyś broniły wejścia do zatoki.

Minęła falochron i weszła w głąb lądu. Wydmy ustępowały tu miejsca twardemu gruntowi, karłowatym sosnom i dębom. Widać też było fundamenty domów: otwory piwniczne w granicie wypełnione liśćmi dębu i naniesionym piaskiem. Nietrudno było rozpoznać, gdzie ciągnęła się jedyna ulica, bo po obu jej stronach widać było otwory piwniczne oraz pozostałości starych, zbutwiałych krokwi i belek.

Mapa Oldham, którą oglądała w siedzibie Towarzystwa, wskazywała, że jedyny kościół stał na drugim końcu osady, tam gdzie ulica się rozgałęziała, co było charakterystyczną zabudową w Nowej Anglii. Idąc dawno opuszczoną drogą, na jej drugim końcu napotkała większe, głębsze fundamenty, będące w lepszym stanie niż reszta ruin; tu niegdyś wznosiły się ręcznie ciosane granitowe bloki, a teraz kamienne schody prowadziły w dół, do tego, co pozostało z piwnic.

Constance stanęła u szczytu schodów i spojrzała w dół. Nie było tam widać nic oprócz piasku i gruzów. Co spodziewała się tu znaleźć? Poraziła ją niedoskonałość jej planu. Mimo że te ruiny znajdowały się na odludziu i były od dawna opuszczone, na pewno musiały zostać splądrowane przez ludzi przeczesujących plaże i innych, którzy dotarli tu w ciągu wielu dekad, jakie upłynęły od porzucenia Oldham. Co właściwie mogłaby tu znaleźć, skoro sama nie wiedziała, czego właściwie szuka?

Znów przepełniły ją uczucie upokorzenia, smutek i gniew. Niemal wbrew sobie zeszła po granitowych stopniach do otwartej piwnicy. Tu, w osłoniętym dole, przynajmniej nie wiało. Poświeciła latarką dokoła.

Piwnica miała mniej więcej dziesięć na trzynaście metrów, centralna kamienna struktura wspierała pozostałości dwóch kominków na parterze. Kominki wciąż były widoczne, wykonane z ociosanego kamienia spojonego zaprawą, ale i tak już się rozsypywały, a nad tym wszystkim wznosił się kikut komina. Drewnianej części kościoła w zasadzie nie było, tylko tu i ówdzie wały się ciężkie belki nadgryzione przez korniki. W kątach i przy kominie zalegały sterty liści dębu. Wzdłuż północnej kamiennej ściany rosły gęsto krzewy wawrzynu, a naprzeciwko nich spoczywała butwiejąca płachta czegoś, co przypominało stare płótno żaglowe.

Constance zakończyła obchód piwnicy. Jeżeli w tym miasteczku był ukryty sekret, prawdopodobnie znajdował się właśnie w tym kościele. Ale co to mogło być? Odgarnęła liście to tu, to tam, odsłaniając tylko potłuczone szkło, zardzewiałe gwoździe i szczątki naczyń. Zerwał się wiatr i schroniła się pod jedną ze ścian. Znowu spojrzała na płótno żaglowe rozciągnięte wśród zeschniętych chwastów. Schwyciła za jeden koniec i pociągnęła. Poczowała nieprzyjemną woń przywodzącą na myśl martwe zwierzęta i instynktownie pozwoliła, żeby płótno opadło na poprzednie miejsce. Zawahała się, znów je ujęła i tym razem odsunęła całkiem od ściany. Woń znów się rozeszła. Świecąc latarką, zobaczyła, że płótno zasłaniało niewielką, mającą mniej więcej metr na metr, żelazną płytę w tylnej ścianie piwnicy. Płyta zdawała się przesłaniać niszę. Smród był okropny, ale Constance nie zauważyła żadnych martwych zwierząt, prawdę mówiąc, odór zdawał się rozchodzić spod płyty.

Uklękła i oddychając przez usta, przyjrzała się uważniej płycie. Była zardzewiała, choć nie tak, jak powinna po upływie tylu lat. Wyglądało to na wejście do małej piwniczki. Płyta miała zawiasy, które były naoliwione i podejrzenie sprawne. Serce znowu zaczęło jej bić szybciej. Za tymi żelaznymi drzwiczkami coś było, nie miała co do tego wątpliwości.

Poświeciła latarką dokoła, upewniła się, że ma przy sobie *stiletto*, mały włoski nóż sprężynowy, który ukryła wśród fałd sukni. A potem cicho i ostrożnie uniosła żelazną płytę, która gładko i bezgłośnie poruszyła się w zawiasach, odsłaniając jednak nie małą piwniczkę, lecz

nisko sklepiony tunel z prowadzącymi w dół kamiennymi schodkami. Z dołu napłynął odrażający fetor, mieszanina woni moczu, fekaliów i gnijącego mięsa. Wślizgnęła się przez otwór i zaczęła schodzić po stopniach w ciemność.

Na samym dole przystanęła. Odgłosy burzy były tu mocno wytłumione, usłyszała natomiast słaby, dochodzący z jakiegoś miejsca na wprost niej niecichnący ani na chwilę dźwięk przypominający płacz dziecka.



Gavin siedział na zapleczu posterunku policji i wpatrywał się ponuro w planszę. Komendant znowu triumfował, a jemu nie dawał spokoju fakt, że przegrywa w warcaby z kimś, kogo pod każdym względem przewyższał intelektualnie. Jak Mourdock tego dokonywał? Pewnie przeczytał podręcznik, nauczył się kilku tanich sztuczek jak ci goście, którzy rozgrywali dziesięciosekundowe partie szachów za pieniądze w Boston Common.

W końcu wykonał ruch.

– Mam damkę – rzekł komendant i pulchnymi paluchami umieścił pionek na polu w ostatnim rzędzie.

Z nieskrywaną irytacją Gavin zbił kolejny pionek, ale wystawił się przez to na bicie. Tę partię też przegra. Co gorsza, komendant, zawsze trudny do zniesienia, zaczął się nadymać jak ropuch od popołudnia, kiedy to przypisał sobie wszystkie zasługi za rozwiązanie sprawy morderstw, choć to przecież Pendergast i Constance Greene odwalili całą robotę. Gavin nie rozumiał, dlaczego Pendergast stoi spokojnie z boku podczas konferencji prasowej, pozwalając, by cały splendor spłynął na komendanta. Nareszcie po sprawie, pomyślał. Już po wszystkim. Nie mógł zapomnieć widoku tych dwóch ciał, tak obscenicznie pokrytych Inskrypcjami Tybane, i naprawdę odetchnął z ulgą, że to tylko ci kretyni, bracia Dunwoody, próbowali w ten sposób odwrócić podejrzenia od swoich zbrodniczych działań. Znaki stanowiły jedynie rodzaj zasłony dymnej. Żadne czarownice, czarownicy ani czary nie były związane z tą sprawą – to była tylko sprytna i pokrętna zmyłka.

– Twój ruch – rzekł Mourdock, przerywając jego rozmyślenia.

Komendant przesunął damkę na przemyślnie wybrane pole, co nieuchronnie miało kosztować Gavina dwa pionki i zakończyć tę fatalną rozgrywkę. Nic nie mógł na to poradzić. Zrobił ruch, a komendant wykonał bicie – szybko i z przesadną emfazą. Pieprzony palant.

– Rezygnuję – powiedział nagle Gavin.

– Daj spokój, nie poddawaj się tak szybko – rzekł komendant, tłumiąc śmiech. – Może wygrasz.

Kiedy Gavin kręcił głową, usłyszał głośny trzask otwieranych gwałtownie drzwi do zewnętrznego biura. Zaraz potem rozległo się wołanie o pomoc.

Gavin i Mourdock zerwali się na nogi, strącając planszę i rozsypując wokoło pionki. W drzwiach stała kobieta, którą Gavin natychmiast rozpoznał. Była to Rose Bufum; przemoczone ubranie przylegało do jej masywnego ciała, długie siwe włosy przywierały do głowy, a przepelnione trwogą oczy niemal wychodziły z orbit.

– Boże, pomocy – wychrypiała przez ściśnięte gardło. – Na pomoc!
– Zataczając się, ruszyła w stronę Gavina.

– Co się stało? – Gavin schwycił ją za jedną, a komendant za drugą rękę. Była cała rozdygotana. – Jest pani ranna?

– Boże, o Boże! – zaszlochała.

Posadzili ją na krześle. Gavin pobiegł po kubek kawy.

– Zadzwoń pod numer alarmowy i wezwij karetkę – rzucił komendant. – Widzę krew.

Bufum osunęła się ciężko na krześle na wpół przytomna, przewracała oczami. Gavin odstawił kawę i sięgnął po radio. Dyspozytorka w Newburyport odebrała szybko i został przełączony na numer alarmowy. Tymczasem komendant ocierał twarz pani Bufum papierowym ręcznikiem.

– Gdzie ta rana? – spytał.

Kobieta wychrypiała.

– To nie moja krew!

– No dobra – rzekł komendant. – Proszę napić się kawy i opowiedzieć, co się stało.

Bufum zignorowała kawę i jęknęła zbolalym tonem:

- Monstrum!
 - Monstrum – powtórzył sceptycznie Mourdock.
 - Ono nie przestanie zabijać. – A potem jakby po namyśle dodała:
 - Wielkie nieba, zamknijcie drzwi na zasuwę!
 - Nie zamykamy drzwi posterunku – rzekł komendant.
 - Wobec tego zamknijcie nas w celi. Ono nadchodzi!
 - Co nadchodzi?
 - Monstrum, demon z piekła rodem, rozrywa ludzi na strzępy!
- Słuchając tego, Gavin poczuł w żołądku lodowatą kulę. Monstrum.

Nie. To niemożliwe.

– Rozrywa ludzi na strzępy i...! – Kobieta nagle zgięła się wpół, czknęła głośno i zwymiotowała całą kolację na podłogę posterunku.

Komendant cofnął się z niesmakiem.

– Karetka już jedzie, Rose. Niech się pani trzyma. – Spojrzał na Gavina. – Co powinniśmy zrobić?

Gavin zaś popatrzył na niego. Nie sposób było wątpić w szczerść słów Rose Bufum. Nie miała za grosz wyobraźni, nie należała do osób, które rzekomo widują różne rzeczy. Komendant też to wiedział.

Sceptycyzm błyskawicznie zniknął z jego twarzy.

– Bierzemy służbową broń i idziemy w miasto – odparł Gavin.

– Nie zostawiajcie mnie! – zawołała kobieta.

– Mamy wyjść na zewnątrz? – spytał niepewnie Mourdock. – We dwóch?

– Musimy się dowiedzieć, o co chodzi. – Gavin musiał przekonać się na własne oczy. To nie mogła być prawda.

– Wobec tego zamknijcie mnie w celi – znowu zawołała Bufum. – Zamknijcie drzwi na klucz!

– Jeżeli dzięki temu poczuje się pani lepiej. – Komendant odprowadził ją do najbliższej celi i zamknąwszy w środku, wręczył jej klucze. A potem się odwrócił. – W porządku. Chodźmy i przekonajmy się, co się dzieje.

Gavin przypiął do pasa kaburę z glockiem.

– Sprawdź swoją latarkę – polecił komendant.

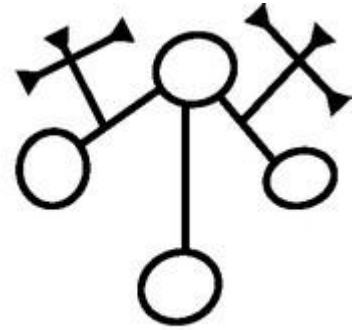
Gavin sprawdził przypiętą do pasa wielką latarkę. A potem wyszedł za komendantem w ciemność i powiódł wzrokiem w głąb Main

Street. W słabym świetle płynącym z domów dostrzegł dwa kształty leżące na ulicy.

Ciała. Więc to jednak prawda. Mdłości podeszły mu do gardła. A teraz pośród ryku burzy usłyszał dochodzący z głębi ulicy słaby krzyk; w oknie domu błysnęło, zasłony zajęły się ogniem, rozległ się brzęk szkła, a dobiegające ze środka wrzaski nagle przybrały na sile, by w jednej chwili zmienić się w głośny gardłowy charkot i rżenie.

– Jezu Chryste – powiedział komendant, nie mogąc oderwać wzroku.

W tej samej chwili z płonącego budynku wyskoczyła postać, widoczna wyraźnie na tle blasku strzelającego coraz wyżej ognia: wysoka, blada, żylasta istota z masywną wystającą żuchwą i ogonem.



Walt Adderly, właściciel Gospody pod Kapitanem Hullem, siedział przy barze w Pokoju Map, słuchając, jak Benjamin Franklin Boyle ponownie raczy gości opowieścią o tym, jak odnalazł ciało historyka. Boyle był w wylewnym nastroju, teatralnie wywracał oczami, gestykulując, unosząc trzymany w dłoni kufel piwa; dawał niezłe widowisko. Wypił więcej niż jeden zwyczajowy kufel, uznawszy, że w ten szczególny dzień może zrezygnować ze swoich rygorystycznych przyzwyczajień. Jak wielu byłych ludzi morza Boyle był zapalonym gawędziarzem i ludziom najwyraźniej wciąż było mało jego historii. Przed godziną nastąpiła przerwa w dostawie prądu, lecz to tylko spotęgowało pogodny nastrój. Przyniesiono świece i rozstawiono je na barze, goście zaś pili i świętowali dziwaczne zakończenie sprawy morderstw. Kiedy drinki i opowieści popłynęły jak woda, można było odnieść wrażenie, że życie w Exmouth wróciło do normy. Oczywiście większość mieszkańców była wstrząśnięta udziałem Dunwoodych w tej sprawie, ale nieliczni twierdzili, że nigdy nie ufali tej rodzinie. Adderly nigdy nie miał żadnych problemów z pracującym u niego od lat jako barman Joem, pomijając kwestię ginącego jedzenia. W pewnym sensie trochę mu współczuł.

Boyle dotarł właśnie do tego momentu swojej opowieści, w którym miał obrócić trupa gracą do zbierania małży, kiedy frontowe drzwi do gospody huknęły – i to naprawdę mocno.

Adderly spojrział w stronę, skąd doszedł hałas, a Boyle zamilkł. Odchylił się do tyłu na stołku, a potem zawołał w głąb ciemnego

korytarza prowadzącego do frontowego salonu:

– Wejdz, przyjacielu, nie stój tam w paskudną pluchę!

Boyle powrócił do opowieści. Miał rumieńce wywołane uwagą gości i piwem.

Ale od strony frontowego salonu nikt nie nadchodził. Adderly uniósł rękę, prosząc o ciszę. Spojrzał w głąb korytarza.

– No dalej, wejdz, nie bądź nieśmiały! – W porywie dobroduszości dodał: – Firma stawia kolejkę!

Te słowa zostały przyjęte przez wszystkich z aprobatą. Boyle odwrócił się do barmana i zakręcił palcem.

– Do pełna!

Przerwał swoją opowieść, podczas gdy Pete, drugi barman, zaczął napełniać kufle i szklanki gości.

Z ciemnego korytarza dobiegł głośny łomot. Adderly odniósł wrażenie, że ktoś się tam przewrócił. Najwyraźniej ich nowy gość, kimkolwiek był, zaczął już wcześniej świętować.

– Hej, Andy, temu facetowi w korytarzu przydałaby się pomoc – rzekł do mężczyzny siedzącego przy drzwiach.

Andy Gorman zsunął się ze stołka i wziął jedną ze świec.

– Nie kontynuuj swojej opowieści, dopóki nie wrócę! – krzyknął do Boyle’a.

– Nie ma sprawy – odparł Boyle, unosząc kufel do ust.

Oslaniając świecę dłonią, Gorman opuścił bar i przeszedł przez korytarz – był jak falujący punkcik światła w ciemnościach. Nastąpiła chwila ciszy i nagle z korytarza dobiegł rozdzierający krzyk. Adderly niemal nie upuścił swojego kufła, tak go to zaskoczyło, i odwrócił się w stronę ciemnego przejścia. Wszyscy zerwali się z miejsc. Świeca Gormana chyba zgasła, bo w korytarzu zrobiło się ciemno. Burza zatrzęsała i załomotała starą gospodą. Goście wymieniali między sobą spojrzenia.

– Co, u diabła? – rzucił ktoś po chwili.

– Andy? Andy...?

W tej samej chwili z korytarza napłynął smród, odór śmierci, zgnilizny i fekaliów, który wdarł się do nozdrzy Adderly’ego. Zapadła kompletna cisza, wszyscy zamarli w bezruchu. A w tej ciszy,

przerywanej odgłosami burzy, Adderly usłyszał przyspieszone, zwierzęce sapanie i ziajanie.

W pokoju na najwyższym piętrze gospody Pendergast usiadł na łóżku. Nasłuchiwał z uwagą, ale krzyki z dołu urwały się jak ucięte nożem i nie słyszał nic więcej poza odgłosami burzy. Odgłosy świętowania dochodzące z baru także ucichły.

Wyślizgnął się z łóżka, szybko się ubrał, sięgnął po latarkę i przypiął kaburę z les baerem. Przebiegł przez korytarz, a gdy znalazł się piętro niżej, po krótkim wahaniu zacisnął dłoń na klamce drzwi pokoju Constance. Były zamknięte na klucz, więc zastukał energicznie.

– Constance – powiedział. – Otwórz, proszę.

Bez odpowiedzi.

– Constance – powtórzył. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, ale nie pora teraz na melodramatyczne gesty. Coś się...

Z dołu dobiegł nagle istny chór krzyków, kakofonia wrzasków mieszająca się z odgłosami szaleńczej panicznej ucieczki, którym towarzyszył trzask przewracanych stołków i krzesel, brzęk tłuczonego szkła i tupot stóp po drewnianej podłodze.

Nie czekając dłużej, odwrócił się bokiem do drzwi i uderzając ramieniem, bez trudu je wyważył.

Pokój był pusty, łóżko nadal posłane. Nigdzie nie zauważył latarki, którą jej podarował.

Na dole rozpętało się istne pandemonium. Zszedł po schodach, wyjmując pistolet z kabury. Światło jego latarki ukazało otwarte na oścież frontowe drzwi, kołysane podmuchami porywistego wiatru. W progu leżało nieruchome ciało.

Odwrócił się i wbiegł do baru, gdzie powitał go wyjątkowo brutalny widok: na podłodze spoczywało drugie ciało z rozprutym brzuchem, a kilka osób kuliło się, przerażonych, ale całych, za kontuarem.

– Co to było? – rzucił Pendergast.

– Boże, pomocy, na pomoc! – zawołał mężczyzna, rozpętuując istny chór okrzyków ze strwożonej grupy, a słowa „potwór”, „demon”, „małpa” i „ogar” mieszały się z nieartykułowanymi wrzaskami przerażonych gości.

– Dokąd poszedł? – spytał Pendergast.

Mężczyzna wskazał w stronę drzwi.

Pendergast odwrócił się i przebiegł przez korytarz, hol i wypadł na zewnątrz w burzę, pozostawiając za sobą wołania gości błagających go o ochronę. Dostrzegł ślady bosych stóp na ganku i piaszczystym przejściu nieco dalej, które zaczął już zmywać deszcz. Zawahał się, spoglądając w strugach deszczu w stronę, dokąd udało się monstrum: na południowy wschód, ku słonym moczarom. Czymkolwiek było to coś, rozpętało piekło, po czym związało.

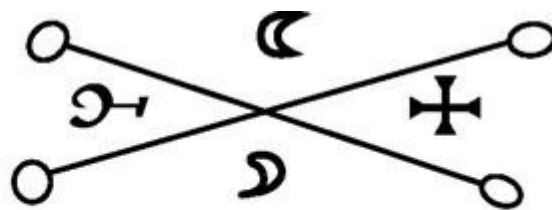
Skupił się na czym innym. Constance zniknęła. Nie położyła się – musiała opuścić gospodę jakiś czas temu, może zaraz po gwałtownym zakończeniu ich rozmowy. Przesunął dłonią po czole.

Wobec tego dokąd się udali? – spytała. – Co się z nimi stało? Jedynym miejscem na południe od tej starej opuszczonej osady na moczarach jest Oldham.

Pendergast był pewien, że właśnie tam się udała – do Oldham, na którym z nieznanym mu powodów skupiła swoją uwagę. Niecałe dwie godziny temu zasugerowała, że sedno zagadki pozostało nierozwiązane. Gdy zaczął się teraz nad tym zastanawiać, stwierdził, że być może przedwcześnie próbował zbyć jej słowa i że może intuicja podpowiedziała jej coś, co przegapił, posługując się jak zwykle chłodną logiką.

Zabójca był boso podczas burzy, kiedy temperatura spadła do kilku kresek powyżej zera. Już sam ten fakt zastanawiał go bardziej niż cokolwiek innego, bo świadczył o tym, że w tej sprawie było coś, co do tej pory przeoczył – coś o kluczowym znaczeniu – a na co Constance próbowała mu zwrócić uwagę. A jednak kiedy zastanowił się nad zagadką śladów bosych stóp, nie był w stanie odnaleźć choćby cienia rozwiązania.

Przepełniony dojmującym smutkiem ruszył w burzową noc, podążając za słabymi i szybko rozmywającymi się śladami na piasku.



Dom płonął w najlepsze, gdy Gavin lustrował wzrokiem Main Street. To nie mogło dziać się naprawdę. Widział w blasku ognia leżące na ulicy ciała ludzi, których znał, przyjaciół i sąsiadów. Drzwi do sąsiedniego pokoju stały otworem... i ogarnęło go niepokojące uczucie, że tam w środku znajdują kolejne ciała.

Ten... demon w kilka minut rozpętał w miasteczku prawdziwe piekło, a potem rozpląnął się w powietrzu, pozostawiając po sobie chaos i pożogę. Jak to się mogło stać?

Usłyszał, jak komendant łączy się przez radio z posterunkiem w Lawrence, domagając się ściągnięcia tutaj całej, uzbrojonej po zęby ekipy SWAT. W jego głosie pobrzmiwała niemal histeryczna nuta.

– Mamy tu grasującego niebezpiecznego szaleńca, jest wiele ofiar śmiertelnych. Z miejsca, w którym stoję, widzę co najmniej dwa ciała... Tak, proszę pani, powiedziałem: dwa ciała, do cholery! Pali się też jeden z domów... Przyślijcie mi wszystko, co macie, wszystko, rozumiemy się? Niech wasi ludzie zabiorą ze sobą cały arsenał!

Gavin próbował wziąć się w garść. Musiał pomyśleć intensywnie. To nie do wiary... nie spodziewał się takiego koszmaru...

– Gavin!

Odwrócił się. Komendant patrzył na niego cały poczerwieniały na twarzy i spocony mimo chłodu.

– Minie godzina, zanim Lawrence poderwie śmigłowce w powietrze. Grupa szybkiego reagowania dotrze tu pojazdami... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Tak, tak, szefie.

– Musimy się rozdzielić. Ja wezmę radiowóz i zaczekam na nich

przy moście, żeby wprowadzić ich do miasta. Chcę, żebyś przeszedł przez Main i sprawdził domy. Zaczynij od tych z otwartymi drzwiami.

– Bez wsparcia?

– Zabójca się ulotnił, na miłość boską! Za dziesięć minut będzie tu straż pożarna i ratownicy medyczni, za dwadzieścia minut ekipa SWAT, a za godzinę śmigłowce. Będziesz miał tyle wsparcia, ile zechcesz. Przeprowadź tylko rekonesans, udziel pierwszej pomocy rannym i zabezpiecz miejsce zbrodni.

Gavin nie był w stanie spierać się z przełożonym. Komendant, ten sukinsyn, ten tchórz, zamierzał zaczekać przy moście zamknięty w radiowozie, gdzie będzie bezpieczny, a sam domagał się, aby jego podwładny ryzykował życie, wchodząc samotnie po omacku do domów przy głównej ulicy.

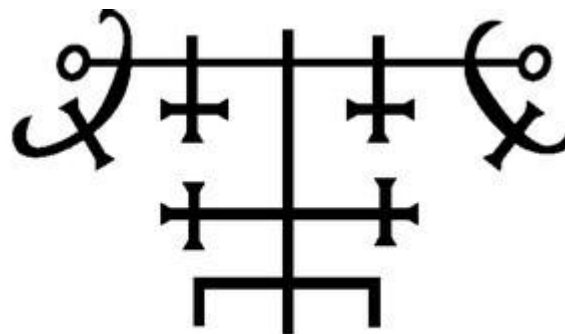
Gdy otworzył usta, żeby zaprotestować, coś mu nagle przyszło do głowy: rozdzielenie się jest właściwie dobrym rozwiązaniem. Miał do zrobienia coś ważniejszego niż liczenie ciał i w tym celu musiał uwolnić się od przełożonego.

– Dobrze, szefie. Zajmę się tym.

– Doskonale.

Komendant odwrócił się i ruszył w stronę posterunku policji, podczas gdy Gavin ostentacyjnie pomaszerował wzdłuż Main Street, rozglądając się dokoła. W tej samej chwili usłyszał syreny ochotniczej straży pożarnej, zwołujące ochotników na akcję. Dotrą tu w ciągu najbliższych kilku minut, a jeśli on wciąż jeszcze tu będzie, straci okazję, żeby ustalić, co się właściwie stało, i opanować sytuację.

Oglądając się przez ramię, zobaczył, że komendant wszedł do budynku posterunku policji. Odwrócił się i wbiegł między dwa domy, żeby znaleźć się wśród zalegającej tam ciemności. Wyciągnął latarkę i zaczął biec. Oldham znajdowało się niecałe dziesięć kilometrów od Exmouth. Taką odległość przebiegał zwykle każdego ranka podczas joggingu. Nawet biorąc poprawkę na paskudny odcinek moczarów i zalewiska na Crow Island – dzięki Bogu, że był odpływ – powinien szybko dotrzeć na miejsce.



Komendant Mourdock usadowił swoje masywne cielsko w radiowozie i wyjechał z garażu przy posterunku z włączonym kogutem i wyjąca syreną. Uważał, że widok radiowozu może stanowić pewną pociechę dla przerażonych ludzi, ukrywających się w swoich domach.

Nie wiedział, co ma myśleć o tym, co zobaczył. Rose Bufum mówiła o potworze, demonie, ale rzeczywiście to było jakieś szaleństwo. To musiał być ktoś w rodzaju Kuby Rozpruwacza, żądny krwi szaleniec, który zjawił się w Exmouth i wpadł w morderczy amok. Takie rzeczy mogły się zdarzyć wszędzie. To był po prostu przypadkowy koszmar.

Te walające się dokoła rozdarte na strzępy ciała...

Poczuł lodowaty, paraliżujący strach, tak dojmujący, że aż jęknął w głos. Pół roku do emerytury i teraz po morderstwach popełnionych przez Dunwoodych jeszcze coś takiego?

Pieprzyć to. Pojedzie na most, zaparkuje tam, zablokuje od środka drzwiczki w radiowozie i będzie czekał, aż z Lawrence przybędą ekipy SWAT i grupy wsparcia. O tej porze w nocy na drogach nie było żadnego ruchu. Dotrą tu szybko.

A jeśli na szosę zwały się drzewa? Jeśli drogi są nieprzejezdne? Jeśli opóźnienia wynikną z przerw w dostawie prądu?

Strach był jak soplel zagłębiający się w jego trzewiach. Upewnił sam siebie, że musi jedynie poczekać na przybycie zespołów SWAT i przejęcie przez nie kontroli nad dalszymi działaniami. To go odciąży, zdejmie z niego odpowiedzialność i uwolni od konieczności

podejmowania jakichkolwiek decyzji. A potem cokolwiek się stanie, nie będzie już zależało od niego.

Most Metacomet majaczył w oddali przed nim, rząd latarni sodowych, które go zwykle oświetlały, był wygaszony. Komendant wjechał na most; strugi deszczu zalewały przednią szybę, wycieraczki przesuwają się w tę i z powrotem. Zatrzymał się w połowie długości mostu i przełączył na tryb parkowania, nie wyłączając silnika. Upewnił się, że drzwiczki są zablokowane. Gdy uznał, że jest bezpieczny, wyjął mikrofon i połączył się z dyspozytorką z Lawrence. Zapewniono go, że do Exmouth zmierza spory oddział szybkiego reagowania z całym uzbrojeniem, jakie zgromadzono w Lawrence po 11 września: wojskowe pojazdy opancerzone i ratownicze pojazdy pancerne oddziałów SWAT z bronią wielkokalibrową, granatami błyskowo-hukowymi, gazem łzawiącym i dwoma karabinami maszynowymi Browning M2 kalibru .50. Konwój powinien dotrzeć w niespełna dziesięć minut.

Do tego czasu mógł nie robić nic.

Zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, posyłając Gavina samego do miasteczka. Nie wyglądałoby to najlepiej, gdyby jego zastępca zginął, podczas gdy on siedział tu i tylko czekał. Ale Gavinowi nic nie będzie, zabójca zniknął. To pewne, że zabójcy już dawno tu nie było.

Matko Boska, nie mógł się doczekać emerytury, spokoju, miękkiej kanapy i zimnego piwa sączonego przed telewizorem podczas rozgrywek futbolowych.

Ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że niezależnie, czy Gavin zginie na służbie, czy nie, to, że on sam siedział tu, w zamkniętym radiowozie, z dala od miasteczka, którego miał bronić, na pewno będzie wyglądać niekorzystnie. Zespół szybkiego reagowania z pewnością tego nie przeoczy...

I nagle coś mu przyszło do głowy. Zawróci Dune Road w stronę oceanu, omijając centrum i panujący tam chaos. Na południe od miasta, niedaleko latarni morskiej, była boczna droga, gdzie mógł zaczekać. Jeśli zgasi reflektory radiowozu, nikt go nie zobaczy, nikt się nie dowie. A kiedy usłyszy syreny i migające światła nadciągającej kawalkady, będzie mógł wrócić do Exmouth, jakby cały czas był na miejscu.

Niewidzialna obręcz strachu zaciskająca się wokół jego piersi

niecو się rozluźniła. Tchórzostwo? Nie, raczej dbanie o własną skórę. Bądź co bądź, był już prawie na emeryturze. Nie mógł zapomnieć o czekającej na niego kanapie i zimnym piwie.

Wrzucił bieg, zjechał z mostu w kierunku Dune Road. W oddali po lewej widać było łunę płonącego domu. Wkrótce pojawiło się migające wśród burzy światło latarni morskiej.

Minąwszy latarnię, dotarł do bocznej drogi i zaparkował radiowóz tak, żeby był gotowy jak najszybciej wrócić do miasteczka; wygasił światła, ale nie wyłączył silnika. Spojrzał na zegarek. Pięć minut do przybycia posiłków. Jeszcze pięć minut i jego udręka dobiegnie końca.

Nagle zatrzęsło radiowozem. Komendant krzyknął zaskoczony, wpatrując się wściekle w ciemność.

Coś uderzyło w tylne drzwiczki od strony kierowcy – może gałąź poruszona wiatrem. Gdy zapalił zewnętrzny reflektor, kolejne silne uderzenie dosięgło drzwiczek, pokrywając szybę rozległą, przypominającą pajęczynę, siateczką pęknięć.

Mourdock, którego oddech stawał się coraz bardziej przyspieszony i urywany, włączył teraz latarkę. Coś uderzało w popękanaą szybę, wgniatając ją do wewnątrz. Do środka wdarła się okrwawiona dłoń z przerażającymi, tępymi, brązowymi i stanowczo zbyt długimi paznokciami. Mourdock krzyknął, upuszczając latarkę i sięgając po broń.

Druga ręka – chuda, żylasta i blada – przecisnęła się przez szybę, wrywając obłuzowany kawałek szkła. Zaraz potem do środka zajrzała odrażająca łysa głowa umazana krwią, a ręka równocześnie zaczęła gmerać dokoła, macając przy drzwiach dziwnie infantylnym gestem.

– Niiieeeee!

Komendant w końcu wydobył z kabury glocka i strzelił na oślep, jednakże drzwiczki radiowozu otworzyły się i szalencie wślizgnął się na tylne siedzenie. O Boże, to naprawdę było monstrum, szkaradne, nagie, wychudzone, o twarzy pitbulla i z wydatnym pyskiem, ze szczękami najeżonymi rzędami tępych zębów, z różowym językiem i brązowymi oczami pałającymi żądzą mordy.

Wciąż strzelając na oślep, Mourdock sięgnął dłonią do dźwigni biegów, próbując przełączyć ją na tryb jazdy. Wtedy jednak z tylnej

części radiowozu wysunęła się ręka, przywarła do jego twarzy, a te twarde, tępo zakończone paznokcie zacisnęły się na jego kościach policzkowych.

– Aaaaauu!

Gdy cuchnąca ręka przywarła do jego nosa i ust, a paznokcie zatopiły się głęboko w ciele, Mourdock próbował krzyknąć i uwolnić się ze szponów napastnika. Poczłł gwałtowne wilgotne szarpnięcie, a jego głos został uwolniony wraz ze strugą krwi, gdy warstwa skóry i tkanek oddzieliła się od jego czaszki. Usłyszał ochryply, sapiący dźwięk, rozlegający się tak blisko, że mimowolnie zaczął się zastanawiać, skąd dochodzi, aż nagle zdał sobie sprawę, że wypływa z jego ust.

Agent Pendergast zgubił ślad zabójcy na południe od miasteczka, ale wyczuł, że zmierza on w kierunku Crow Island. Teraz, gdy przeszedł przez drogę biegnącą przez moczary i prowadzącą na plażę, zobaczył radiowóz komendanta policji. Światła były wygaszone, ale silnik pracował. Pośród strug deszczu dostrzegł poruszenie.

Nagle na maskę wskoczyła jakaś postać i przepelzła błyskawicznie jak krab w dół do przedniej kratownicy, kiedy jaskrawe światło błyskawicy spowiło samochód. Po chwili znów zrobiło się ciemno. Jednakże Pendergast zdążył zobaczyć coś tak wynaturzonego i osobliwego, tak niespotykanego i wykraczającego poza jego dotychczasowe doświadczenia, że uznał to za niewytłumaczalne: wysokiego, kościstego, wychudzonego mężczyznę, kompletnie nagiego, pokrytego rozlicznymi bliznami i nacięciami, o łysej głowie, psim pysku i z długim rozwidlonym ogonem z włochatym chwostem na końcu.

To coś szybko zniknęło.

Pendergast wyjął les baera i pognął w stronę wozu patrolowego. Zauważył, że postać oddalała się z prędkością biegnącego psa, po czym skręciła w stronę rezerwatu przyrody i Crow Island.

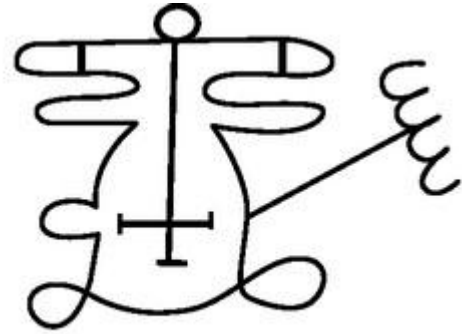
Przeniósł uwagę na radiowóz. Przednia szyba była nieprzezroczysta, pokryta krwią od wewnętrznej strony. Tylne drzwiczki natomiast były otwarte, boczna szyba wybita i wypchnięta z ramy. Przykładając dłoń do drzwiczek, zajrzał do środka. Promień jego latarki odnalazł komendanta Mourdocka. Mężczyzna leżał bezwładnie, rozciągnięty na przednim fotelu. Nie ulegało wątpliwości, że jest

martwy.

Pendergast odsunął się od samochodu policyjnego i podbiegł do miejsca, gdzie nieziemska istota skręciła z drogi. Z pistoletem gotowym do strzału podążył jej tropem aż do płotu wyznaczającego granicę rezerwatu; stwór najwyraźniej przeskoczył ponad ogrodzeniem. Po drugiej stronie widać było kolejne ślady ciągnące się w linii prostej, jakby zgodnie ze wskazaniem kompasu. Pendergast przystanął na chwilę pozwalającą mu zwizualizować w głowie mapę tego obszaru i szybko zdał sobie sprawę, że ta linia musiała się kończyć w Oldham.

Constance była w Oldham.

Zerwał się do biegu, mając niepokojącą świadomość tego, że stwór był dwukrotnie szybszy od niego.



49

Constance przemierzała ostrożnie labirynt tuneli. Chociaż były brudne, cuchnące i pokryte nalotem saletry, najwyraźniej tych przejść nie porzucono. Wręcz przeciwnie, wzmocniono je świeżą zaprawą i w kilku bardziej osłabionych miejscach podparto drewnianymi stemplami. Niektóre z tych podpór były tak świeże, że z drewna wciąż sączyła się żywica. Podczas gdy wejście celowo pozostawiono w takim stanie, by wyglądało na opuszczone i zapomniane, podziemia były często używane.

Czemu służyły? I kim byli ludzie, którzy z nich korzystali? Miała w związku z tym pewne teorie.

Usiłując podążyć za płaczem dziecka, zgubiła te odgłosy pośród krętych przejść. Korytarze i ruchy powietrza w nich zaburzały dźwięki, w jednym miejscu je potęgując, a w innym wytłumiając. Gdy omiatała promieniem latarki ściany po obu stronach, dostrzegała czasem wyryte w warstwie saletry, a kiedy indziej nakreślone kredą albo namalowane farbą symbole nie tylko zaczerpnięte z Inskrypcji Tybane i *Pseudomonarchia Daemonum*, lecz także inne, o bardziej złożonej i wyrafinowanej naturze. Jej wcześniejsze podejrzenia przerodziły się w poczucie pewności, że tunele musiały być wykorzystywane przez sektę, bynajmniej nie przez wiccan, lecz przez prawdziwe wiedźmy – czarowników i czarownice – praktykujące czarną magię.

Zastanawiała się nad okrutną ironią tego wszystkiego. Plotki i legendy, lekceważone niemal przez wszystkich, miały swoje oparcie w prawdzie – czarownicy i czarownice rzeczywiście uciekli z Salem

podczas procesów, założyli kolonię na moczarach, a potem przenieśli się do Oldham, kiedy zagrożone zostało bezpieczeństwo kolonii. Wejście do tych tuneli leżało w podziemiach pod pseudokościołem – czyż mógł istnieć lepszy sposób na zamaskowanie niedzielnych rytuałów i ukrycie się przed wścibskimi spojrzeniami?

Mieszkańcy Oldham, jak wiedziała, przenieśli się do Dill Town siedemdziesiąt pięć lat temu, a wielu z nich przeprowadziło się stamtąd do Exmouth, gdzie bez wątpienia pozostali do dzisiaj, wiedli z pozoru normalne życie, lecz aby odprawiać swoje mroczne rytuały, powracali tutaj. Constance zastanawiała się, kto spośród licznych mieszkańców osady, których miała okazję poznać, potajemnie należał do kowenu.

Przystanąła, żeby skupić się na swoich emocjach. Zamiast strachu czuła raczej dziwną ciekawość. Ciemne tunele, które u przeciętnego człowieka wzbudziłyby ogromny strach, nie różniły się od korytarzy biegnących pod starą rezydencją przy Riverside Drive, jeśli nie liczyć potwornego smrodu i pokrywających ściany niepokojących symboli.

Nasłuchiwała z uwagą. Znów usłyszała płacz, słabe echa dziwnie zniekształcone przez zakola i załamania podziemnych tuneli. Ruszyła powoli w tamtą stronę. Płacz z wolna stawał się coraz wyraźniejszy. Usłyszała też drugi głos, ochrypły, gardłowy, ale w jakiś sposób matczyzny.

Tunel ostro zakręcał i wiódł pod niskim łukowatym sklepieniem. Constance znalazła się w długim, szerokim i wysokim korytarzu, który wydawał się emanować aurą rytuału. Ściany pobielono wapnem i pokryto demonicznymi symbolami, każdy centymetr kwadratowy ozdobiony był podobiznami, jakich nigdy dotąd nie widziała, nawet w *Daemonium* czy innych okultystycznych księgach, do których miała okazję zaglądać. W powietrzu wisiała tu jeszcze bardziej nieprzyjemna woń brudu, odchodów i ropiejącego ciała. Pod ścianami stały nieduże kamienne zbiorniki wypełnione olejem, a w każdym z nich pływał knot. Najwyraźniej rozpoczynano tu jakieś procesje. Ale dokąd one prowadziły? Korytarz kończył się kamienną ścianą.

Usłyszała płacz dziewczyny, dużo głośniejszy i dochodzący z bliższej odległości. Dobiegał zza niskiego łukowatego przejścia wiodącego od strony długiego korytarza. Constance podeszła tam powoli

i poświeciła latarką. Przejście było krótkie, a na jego końcu znajdowała się kamienna cela z drzwiczkami zaopatrzonymi w zardzewiałą żelazną kratę i zamkniętymi na dużą błyszczącą kłódkę. W celi znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało dwie sterty łachmanów zwieńczonych strzechą zmierzwionych brudnych włosów. Gdy podeszła bliżej, przyglądając się z fascynacją, zdała sobie sprawę, że patrzy na istoty ludzkie, starą kobietę i dziewczynę. Matkę i córkę? Zdawał się na to wskazywać sposób, w jaki tuliły się do siebie. Spoglądały na nią i nagle zamilkły, unosząc dłonie, by osłonić oczy przed światłem latarki. Na ich twarzach malował się strach. Były tak umazane, że Constance nie była w stanie dostrzec ich rysów ani nawet rozpoznać koloru ich skóry.

Opuściła latarkę i podeszła bliżej.

– Kim jesteście?

Żadnej odpowiedzi, tylko dwa milczące spojrzenia.

Ujęła kłódkę i potrząsnęła nią.

– Gdzie jest klucz?

To pytanie wywołało u dziewczyny spazmatyczną reakcję w postaci nieartykułowanego szlochu i zawodzenia; rozpaczliwie wyciągnęła rękę przez kraty. Constance podeszła, by schwycić jej dłoń, ale zawahała się, gdy zobaczyła, jaka była brudna. Dziewczyna ścisnęła ją za rękę z tak ogromną siłą, jakby chwyciła się ostatniej deski ratunku, i zaczęła bełkotać. Constance nie zrozumiała, co próbuje jej powiedzieć, i po chwili zdała sobie sprawę, że to, co wzięła omyłkowo za język, było jedynie potokiem dźwięków przypominających ludzką mowę.

Starsza kobieta zachowywała się dziwnie milcząco i pasywnie, jej twarz pozostawała beznamiętna, pozbawiona wyrazu.

– Nie mogę cię uwolnić, dopóki nie puścisz mojej ręki – rzekła Constance.

Kiedy się cofnęła, uwalniając się z uścisku, dziewczyna znów zaczęła rozpaczliwie zawodzić. Przyświecając sobie latarką, Constance szukała klucza, ale nigdzie go nie było. Uważnie rozejrzała się dokoła, przepatrując ściany, sufit i podłogę. Nic. Najwyraźniej strażnicy nosili klucze przy sobie.

Constance odwróciła się w stronę celi, gdzie dziewczyna za kratami wciąż zanosila się szlochem i mamrotała pod nosem.

– Ucisz się – powiedziała. – Sprowadzę pomoc.

Znów rozległy się zawodzące jęki. Ale matka chyba zrozumiała, bo położyła dłoń na ramieniu dziewczyny i ta natychmiast zamilkła.

– Kim jesteście? – Constance zwróciła się do matki. Mówiła powoli, starannie wymawiając poszczególne słowa. – Czemu tu jesteście?

Z ciemności za nią dobiegł męski głos:

– Myślę, że mogę odpowiedzieć na to pytanie.



Bradley Gavin stał w łukowato sklepionym przejściu z sercem mocno dudniącym w piersi. Był głęboko wstrząśnięty i zaskoczony tym, że zastał tu Constance Greene. Miała na sobie długą, ciężką, staroświecką suknię, moką, podobnie jak włosy. Z niemałym wysiłkiem próbował ukryć zdumienie, pozbierać myśli i udawać spokój oraz opanowanie. Kiedy minął szok, poczuł, że ogarnia go... co właściwie? Wrażenie, że los maczał w tym wszystkim palce. Przeświadczenie, że wszechświat dał mu tę szansę, a teraz on musi się postarać, by ją wykorzystać.

Postąpił krok naprzód.

– Panno Greene. Constance. Co pani tu robi?

– Mogłabym zapytać pana o to samo – odparła cicho. – Co to za miejsce? I kim są te kobiety?

W jednej ręce trzymała latarkę, a w drugiej groźnie wyglądający sztylet. Gavin był pod wrażeniem jej spokoju, zaimponowała mu swoją postawą.

– Dobre pytanie. – Wykonał zamaszysty ruch ręką. – Ale to nie jest najprzyjemniejsze miejsce na wyjaśnienia. Czy mogę coś pani pokazać?

Podał jej ramię, ale go nie przyjęła. Niewzruszony odwrócił się i wycofał do długiego centralnego korytarza, kierując się w stronę ślepej uliczki. Żar wypełnił jego wnętrze, gdy zdał sobie sprawę, że Constance podążyła za nim. Przystanął przy przeciwległej ścianie, nacisnął trzy luźno osadzone cegły, otwierając sekretne rozsuwane drzwi i zabezpieczył je w tej pozycji. Z zapalniczką w dłoni pospiesznie

obszedł cały pokój, zapalając świece w każdym z czterech kandelabrow. A potem z uśmiechem odwrócił się do Constance.

Nie uciekła. Nie wybuchnęła gniewem ani nie wpadła w histerię. Po prostu patrzyła.

Mimo że był tu setki razy, wiedział, że to imponujące pomieszczenie. Pośrodku stał ołtarz – prastary blok granitu z jedenastego wieku pod zwiewnym muślinowym całunem; ołtarz ten, wykonany we Francji, został przywieziony do Anglii, a stamtąd drogą morską, ukryty, transportowany był z miejsca na miejsce, aż dotarł tutaj. Po jego bokach widniały romańskie płaskorzeźby przedstawiające diabły, wypolerowane przez blisko tysiąc lat użytkowania. Z jednej strony stał fantastycznie rzeźbiony stół, o połowę krótszy od ołtarza. Na rozłożonym na nim lnianym płótnie znajdował się duży srebrny kielich wraz z lancetami, skaryfikatorami i innymi narzędziami służącymi do upuszczania krwi.

Falujący blask świec rozjaśnił pokryte freskami sklepienia tego pięciokątnego pokoju, przedstawiającymi diabły, gargulce, uroborosa, magoty, mężczyzn i kobiety, wszystkie postacie pływały się w tym grzesznym raju – była to scena jak z dzieł Boscha. Na ścianach wisiały grube gobeliny pochodzące z czasów romańskich, ozdobione motywami leśnymi, kwiatowymi i wizerunkami jednorożców, kolumny zaś podtrzymujące sklepienie były wymyślnie pokryte symbolami alchemicznymi. Sklepienie obwieszono filigranowymi konstrukcjami z zestruganych kości powiązanych szpagatem, szczątków większych i mniejszych zwierząt oraz ptaków. Mimo że nie było tu ruchu powietrza, te upiorne konstrukcje bez przerwy kołysały się i obracały, jakby były żywe, rzucając falujące cienie w słabym świetle świec. Wzdłuż pięciu ścian tego pomieszczenia w zwartych szeregach stały starodawne ławki, wypolerowane od długotrwałego używania, a podłogę wyłożono wieloma warstwami grubych perskich dywanów, z których przynajmniej kilka miało ponad trzysta lat.

Gavin uważnie obserwował Constance. Tak jak na to liczył, ze spokojem lustrowała otoczenie przenikliwym spojrzeniem swoich fiołkowych oczu, bez cienia hysterii czy wzburzenia. Poczł narastające przekonanie, że to, co się tu działo, było gdzieś zapisane. Miało się tak stać. Zrządzenie losu. Constance była naprawdę niezwykłą kobietą.

Uśmiechnął się.

– Witaj.

– Witaj gdzie? – spytała zdecydowanym tonem.

– Zanim do tego przejdę, czy mogę zapytać, jak się tu dostałaś?

Żadnej odpowiedzi.

– Niech zgadnę, jesteś tu, bo domyśliłaś się, że opuszczona kolonia wiedzdm nie zniknęła, lecz przeniosła się w to miejsce. I przybyłaś tu, żeby to sprawdzić. Mam rację?

Znowu nie odpowiedziała. Boże, jak trudno wyczytać cokolwiek z jej twarzy; można było tylko wpatrywać się w jej dziwnie spokojne, lecz przenikliwe oczy.

– A teraz dotarłaś tutaj. – Rozłożył ręce. – To musi być dla ciebie bardzo szokujące.

Wciąż nie odpowiadała.

– Od czego zacząć? – Zaśmiał się nerwowo. Ta dziewczyna sprawiała, że znów czuł się jak nastolatek. – Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale twoje przybycie tutaj to... znak. Bez wątpienia znak.

– Znak czego?

Spojrzał na jej piękną, beznamiętną twarz. Wyczuł, że ta kobieta jest bardziej skomplikowana, niż się spodziewał. Tym lepiej.

– To, Constance, jest nasza komnata kultu.

– Nasza komnata?

– Tak. Nasza komnata. A to nasz ołtarz.

– Mogę zapytać, jaką wyznajecie religię?

– Możesz. Praktykujemy najstarszą religię na ziemi. Pierwotną religię. Jak się z pewnością domyśliłaś, jesteśmy czarownikami i czarownicami. – Uważnie obserwował jej twarz, ale nie był w stanie rozszyfrować wyrazu, jaki przez nią przemknął. – Prawdziwymi czarownikami i czarownicami. Nasz kult liczy prawie dwadzieścia tysięcy lat.

– A te kobiety, które zgwałciliście?

– Nie zgwałciliśmy. Bynajmniej. Daj mi, proszę, szansę, żebym udzielił ci wyjaśnień, zanim nas osądzisz. Na pewno zrozumiałaś, że twoje – i moje – przybycie tutaj dokładnie w tym samym czasie nie jest dziełem przypadku. Podobnie jak nie było przypadkiem, że Carole nie

zdołała otruć cię tą swoją herbatką. Jest zazdrosną kobietą. Ale odbiegliśmy od tematu.

Constance milczała.

– Od samego początku czułem, że jesteś jedną z tych wyjątkowych osób, o których mówiłaś w gospodzie. Pamiętasz tę rozmowę?

– Oczywiście.

– Już wtedy uważałem, że możesz być jedną z nas. Od dwustu lat nie przyjęliśmy do naszej rodziny żadnego nowego członka. Tylko ktoś naprawdę szczególnie może zrozumieć, kim jesteśmy. Ty jesteś taką osobą. Ten bunt w tobie, to pragnienie wolności, ta tęsknota...

Wyczuwam, że pragniesz żyć według własnych zasad.

– To prawda.

Gavin zdziwił się, jakie to łatwe, jakie wydawało się naturalne.

– I masz w sobie mrok.

– Mrok?

To było coraz bardziej zachęcające.

– Tak, ale to dobry rodzaj mroku. Mroku, który przynosi światło.

– Kim jesteś?

– Jestem czarownikiem. Moi rodzice byli czarownikami, podobnie jak moi dziadkowie i przodkowie sześć pokoleń wstecz, mieszkający w Exmouth, a jeszcze wcześniej w Oldham, kolonii Nowe Salem na moczarach, w Salem, na Wyspach Brytyjskich i tak aż do zarania dziejów. Urodziłem się w tej tradycji i była ona dla mnie czymś tak naturalnym jak dla chrześcijan ich wiara. Nasze praktyki komuś z zewnątrz mogą się wydawać zaskakujące, ale podobnie można postrzegać msze w kościele, jeśli nie wie się nic o chrześcijaństwie. Spieszę dodać, że nie walczymy z chrześcijaństwem. Wyznajemy zasadę: żyj i pozwól żyć innym. Nie jesteśmy okrutni. Na przykład nigdy nie moglibyśmy uczestniczyć w tym okropnym masowym mordzie kobiet i dzieci, które znajdowały się na pokładzie parowca. Tego czynu dopuścili się tak zwani chrześcijanie.

Gavin przerwał, przyglądając się jej z zaciekawieniem i próbując wejrzeć w jej umysł.

– Spójrz na piękno tej komnaty, na starożytne rzeczy, jakie tu zgromadzono, na historię i cel, jakie są tu wyczuwalne. Wiem, że

wiodące tu korytarze mogą wydawać się odpychające, ta krew, smród i cała reszta. Widzisz, Constance, nasze sabaty są prawdziwe.

A prawdziwa ofiara wymaga prawdziwej krwi i prawdziwego ciała oraz, dodam na marginesie, prawdziwej zmysłowości.

I znów jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nie był w stanie odgadnąć jej myśli. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Nie próbowała się opierać. Jej dłoń była chłodna i wilgotna, ale i tak ją ścisnął.

– Nie chcę cię nakłaniać do przyjęcia naszych wierzeń. Pozwól jednak, że opowiem ci trochę o naszej historii i pochodzeniu. Jestem pewien, że i tak znasz większą jej część. Za próbę wybicia się na wolność Lucyfer i jego poplecznicy zostali wygnani z nieba. Ale nie zostali wtrąceni do piekła. Skończyli tu, na ziemi, a my jesteśmy *Maleficarum*, ich duchowymi potomkami. Lucyfer, zbuntowany anioł, daje nam swobodę, żebyśmy byli tym, kim chcemy, i robili to, czego pragniemy.

– A ty pragniesz nawrócić mnie na tę wiarę.

Gavin zaśmiał się i wbrew sobie się zaczerwienił.

– Nieprzypadkiem znalazłaś się tu akurat dziś. Ty i ja byliśmy kierowani przez siły potężniejsze od nas. Gdybyśmy zignorowali te siły, narazilibyśmy się na niebezpieczeństwo.

– Jakiego rodzaju siły?

– Tego wieczoru dwoje członków naszej wspólnoty miało odprawić rzadki rytuał polegający na złożeniu istotnej ofiary. Jednakże nie przebiegł on zgodnie z planem.

– O jakiej ofierze mówisz?

– Oddajemy cześć Lucyferowi, ale hodujemy śmiertelnego diabła jako ogniskową dla naszego kultu. Jest pół demonem, pół człowiekiem. Nazywa się Morax i mieszkał w tych tunelach od wielu lat. Jest symbolem duchowej bramy, ośrodkiem mającym pomóc nam skomunikować się z niewidzialnym światem. Żyjemy jednak w burzliwych czasach. Twój przyjaciel Pendergast odkrył i sprofanował naszą starą osadę, usuwając ważne artefakty. To był wstrząs dla *Daemonium*, naszych obrońców. Jak wspomniała mi Carole, domyśliłaś się, że kolonia czarownic nie wymarła wbrew powszechnym przypuszczeniom, lecz przeniosła się na południe. A konkretnie tutaj.

W rezultacie naszą wspólnotę dotknął kryzys największy od roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego. Możemy przetrwać, zachowując nasze istnienie w tajemnicy. Cały czas głosiliśmy, że czarownicy i czarownice, ci prawdziwi, którzy uciekli z Salem, wymarli wiele stuleci temu. Jednak po tym wszystkim, co ostatnio wydarzyło się w Exmouth, po zabójstwach i związaną z tym uwagą mediów, nasz kowen stanął w obliczu groźby ujawnienia. Co gorsza, bluźniercze użycie Inskrypcji Tybane przez Dunwoodych w celu zatuszowania morderczej historii ich rodziny musiało rozgniewać *Daemonium*. To zmusiło nas do uczynienia tego, co w przeszłości robiliśmy zaledwie kilkukrotnie, do złożenia w ofierze naszego żyjącego demona, żeby przebłagać moce ciemności. Ostatni raz złożyliśmy naszego demona w ofierze podczas huraganu w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. W rezultacie z całą pewnością zostaliśmy uratowani od zagłady. Dlatego wczoraj przywództwo kowenu zdecydowało, że ponownie musimy poświęcić naszego demona Moraxa, ofiarowując go Lucyferowi, żeby zyskać jego przychylność i utrzymać nasz kult w sekrecie. Miało się to odbyć wczesnym wieczorem w pierwszą noc pełni księżyca.

– Ale coś nie poszło zgodnie z planem?

– Demon uciekł, zanim rytuał został dokończony. Mimo to musi zostać złożony w ofierze. I po to tu jestem: żeby dokończyć rytuał, którego nie dopełnili moi bracia. Morax jest teraz w Exmouth, wolny po raz pierwszy w życiu, i zaspokaja swoją żądzę krwi. Kiedy jednak się nasyci, wróci tu. To jedyny dom, jaki zna. A kiedy wróci, będę gotowy.

– A kiedy złożysz go w ofierze, co wtedy?

– Niezbadane są wyroki Lucyfera. Będziemy chronieni, choć nie potrafię powiedzieć w jaki sposób. Wyhodujemy kolejnego demona z tej samej linii genetycznej. – Gavin skinął głową w stronę łukowatego przejścia prowadzącego do celi kobiet. – Mają w sobie gen, który przybył do nas z wielorybnikami z południowego Pacyfiku jeszcze w osiemnastym wieku, kiedy do naszego zboru dołączyła rodzina odległych wyspiarzy. Wśród tych wyspiarzy pospolitą cechą był pewien defekt fizyczny, a mianowicie niektóre ich dzieci rodziły się z ogonami. To były prawdziwe ogony, Constance, a nie szczątkowe, miały wykształcone kręgi na przedłużeniu kości ogonowej. Kiedy moi

przodkowie zobaczyli, że kobiety z tej rodziny urodziły taką istotę... No cóż, możesz sobie tylko wyobrazić ich ekscytację. To był Morax odrodzony, Morax ucieleśniony, taki, jakim go opisywano i przedstawiano w pradawnych tekstach. To był dar dla nas od Lucyfera. Natychmiast stał się głównym elementem w ceremoniach naszego kultu. I tak już pozostało, a jego potomkowie są z nami po dziś dzień. – Znów skinął głową w stronę przejścia. – Matka urodziła obecnego Moraxa, córka urodzi następnego.

– To bardzo pouczające – rzekła Constance.

Uśmiechnął się do niej.

– To głęboka i potężna filozofia, Constance, nie sposób pojąć jej całej naraz. Musisz nią żyć i oddychać nią tak jak my od wielu tysięcy lat. Nikomu nie wadzimy. Raz w miesiącu namaszczone ołtarz krwią Moraxa, którą utaczamy regularnie. W naszych rytuałach krew ma kluczowe znaczenie. Poza tym żyjemy zwyczajnie, jak inni. Modlimy się, prosimy o pomoc i komunikujemy się z *Daemonium*, niewidzialnymi zastępami demonów i diabłów, odpowiednikami chrześcijańskich świętych. Nie warzymy jednak mikstur w kociołkach, z wykorzystaniem oczu traszki, ani nie wbijamy szpilek w laleczki. Wyznajemy filozofię wolnej woli. I mogę jedynie dodać, że w naszej grupie kobiety i mężczyźni są sobie równi.

– I chcesz, żebym do was dołączyła.

– Tak, ale chodzi o coś więcej. Carole Hinterwasser i Mark Lillie, nasi poprzedni przywódcy, ponieśli śmierć z ręki demona, co wynosi mnie do rangi przywódcy społeczności. Potrzebuję partnerki. Chcę, żebyś to ty nią była.

Wciąż nie potrafił odczytać jej emocji. Postąpił krok w jej stronę.

– Wyczuwam w tobie nie tylko głębokie zrozumienie, ale także rozpaloną do białości, choć znakomicie kontrolowaną zmysłowość.

Nadal na niego patrzyła, nie poruszając się i nie zdradzając swoich myśli. Gavin nigdy dotąd nie spotkał równie opanowanej osoby. To tylko umacniało go w przekonaniu, że pisane jej było połączyć się z nim.

Poszedł za ciosem.

– Zmysłowa rozkosz stanowi ośnowę naszej religii. Tak właśnie celebруем dar życia, poprzez naszą fizyczność, nasze ciała, krew

i organy rozkoszy. Lucyfer każe nam, abyśmy tak oddawali mu cześć: celebrując zmysłowe rozkosze ciała.

– Innymi słowy – rzekła Constance – czcicie zmysłowość i fizyczność.

– Nazywamy je seksualnym dyskursem.

– Publicznym?

– Jak w wypadku wszystkiego, co czcimy. Wszystko celebруем wspólnie. Świętowanie seksualnego dyskursu w obecności pozostałych zwiększa podniecenie i rozkosz. Obserwujemy rytuały sabatu właśnie tu, w tej komnacie, na tym ołtarzu.

– A więc kopulujecie na ołtarzu na oczach tłumu?

– Najogólniej mówiąc, tak. Dwie wybrane osoby, niepoślubione sobie, które nie miały wcześniej ze sobą bliższych związków, zaspokajają się nawzajem seksualnie właśnie tu, na tym ołtarzu, namaszczonym krwią Moraxa. Mogę cię zapewnić, że będzie to doznanie seksualne, jakiego nigdy wcześniej nie miałaś okazji doświadczyć.

– Jakiego ja nigdy nie miałam okazji doświadczyć? – spytała Constance.

– A ja będę miał zaszczyt wprowadzić cię do naszej społeczności.

– Tu i teraz?

– Nie planowałem tego. Zwykle robi się to na oczach całej grupy. Mamy jednak sytuację kryzysową, a pewne siły sprawiły, że spotkaliśmy się właśnie tu i teraz... tej nocy. Zatem... tak. Dla każdego, kto pragnie do nas dołączyć, ten akt jest obowiązkowy.

– A jeśli odmówię?

Gavina zaskoczyła ta odpowiedź. Jak dotąd świetnie go rozumiała, wyraźnie podobało jej się to, co mówił.

– Po co te spekulacje? Przecież i tak do nas dołączysz, ja to wiem.

– Naprawdę?

Poczuł, że ogarnia go niepokój, może nawet panika. Zastanawiał się, co powiedzieć, jak przypieczętować to, co nieuchronne.

– Czemu nie miałabyś się do nas przyłączyć? Jesteś doskonała. Jesteś wszystkim, czego poszukujemy. Nie wątpię, że będziesz wspaniałą przywódczynią.

– A jeśli nie zechcę?

– Proszę, Constance, rozważ moją propozycję, ponieważ to twoja pierwsza, ostatnia i jedyna szansa. Wiem, że masz w sobie głęboką tęsknotę za wolnością. Uwolnijmy ją razem i to będzie naprawdę piękne.

– Piękne.

To słowo, ociekające sarkazmem, zawisło w powietrzu. Gavin poczuł dojmujące rozczarowanie mieszające się ze złością. Może wbrew temu wszystkiemu, czym się z nią podzielił, mimo oznak tego, co ich łączyło i co w niej dostrzegł, ona powie „nie”, druzgocząc wszystkie jego nadzieje. Położył dłoń na kolbie służbowego pistoletu. Nie mógł pozwolić, żeby stąd wyszła. To będzie koniec wszystkiego.

– Constance, dobrze się zastanów.

Teraz jednak zdał sobie sprawę, że jej pozorne zainteresowanie nie wynikało z akceptacji i że jej spokój nie był oznaką zażyłości. Zadawane przez nią pytania miały na celu tylko wydobyć od niego informacji, które mogłyby później zostać wykorzystane przeciw niemu.

– Och, Constance, proszę, nie rób tego.

Znów cisza. Niech będzie. Gavin wiedział, że ta kobieta mogła być wspaniałą przyjaciółką, ale również wyjątkowo groźną przeciwniczką. Czuł, że został oszukany. Jedną z zasad, jakie przyswoił sobie jeszcze w dzieciństwie, mówiła, żeby zawsze samemu zadawać pierwszy cios – i robił to jak najszybciej, zanim przeciwnik zdawał sobie sprawę, że dojdzie do walki.

Tak postąpił i tym razem. To on zadał pierwszy cios. Rzucił się naprzód, wytrącając nóż z jej dłoni, oplatając jedną ręką jej szyję i wkręcając lufę pistoletu w jej ucho. Pchnął ją na najbliższą ścianę i przyszpilił do niej, po czym zakuł w kajdanki.

Było po wszystkim, zanim na dobre się zaczęło. Zupełnie ją zaskoczył. Puścił ją i cofnął się kilka kroków, celując do niej z pistoletu.

– Nie musi tak być – powiedział.

Popatrzyła na niego, a to, co kryło się w jej spojrzeniu, zupełnie zbiło go z tropu.

– Przepraszam, że to zrobiłem, ale muszę tu i teraz wiedzieć, jak brzmi twoja decyzja.

Cisza. Świdrowała go złowrogim spojrzeniem.

Machnął pistoletem.

– Oto twoja chwila prawdy.

W odpowiedzi uklękła i dłońmi w kajdankach podniosła leżący na ziemi *stiletto*. Rozległ się metaliczny trzask, gdy po naciśnięciu sztyftu ostrze wysunęło się z rękojeści.

Zaskoczony Gavin zrobił ostrożnie kilka kroków do tyłu, zastanawiając się, czy Constance umie rzucać nożem. Przypomniawszy sobie jednak, że wciąż miała na przegubach kajdanki, a sposób, w jaki trzymała broń, pozostawiał wiele do życzenia.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytał.

Uniosła dłonie i przyłożyła czubek noża do gardła tuż nad tętnicą szyjną.

– Zamierzam pozbawić cię satysfakcji zgwałcenia i zabicia mnie.

Gdy mówiła, przycisnęła mocno czubek noża do szyi. Wystarczył lekki nacisk, aby skóra została przekłuta i pociekła strużka krwi.

Gavin zamarł z przerażenia, wbrew sobie był pełen podziwu wobec tej kobiety. Była naprawdę niezwykła. Boże, byłaby idealną partnerką. Poczul przypływ pożądania. Zrozumiał jednak, że ona nigdy do nich nie dołączy. Jego podniecenie mieszało się z goryczą porażki.

Pieprzyć to. Miała życiową szansę i ją odrzuciła.

Ostrze noża powolutku zaczęło zagłębiać się w ciele. Gavin wiedział, że nie blefowała – wołała się zabić, niż mu oddać. Chciała się zabić – i robi to. Wielki żal wynikający z faktu, że jej nie posiadzie, przepełnił go innym podnieceniem.

– Śmiało – powiedział w pełnym napięcia wyczekiwaniu.

Patrzył, jak Constance szykuje się do ostatecznego pchnięcia. Nóż wbił się głębiej. Gavin był tym urzeczony, nigdy nie widział niczego równie zmysłowego. Kiedy obserwował, jak zagłębia nóż w swoją delikatną białą szyję, i zobaczył rubinową krew ściekającą po jej bladej skórze, poczuł potężny dreszcz przenikający jego ciało.

I wtedy wyraz w jej oczach nagle się zmienił, nieznacznie, ale jednak. Znieruchomiała.

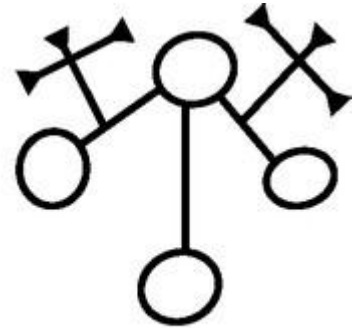
– Nie przerywaj – rzucił ochryple, a w jego uszach dudniła krew. – Zrób to. Zrób to teraz.

Ostrze wysunęło się z rany. Krew wciąż płynęła szkarłatną

strużką, ale było to tylko powierzchowne skaleczenie. Gavina przepełniły rozczarowanie i gniew, po krótkiej chwili uniósł pistolet.

– Byłem pewien, że zdobędziesz się na odwagę – wycedził. – Myliłem się.

Constance bez przerwy patrzyła mu w oczy, lecz niespodziewanie spojrzała w bok. Gavin, zrozumiałwszy nagle straszną prawdę, odwrócił się, by pojąć, że udało jej się odwrócić jego uwagę i w ten sposób przypieczętować jego los, bo właśnie w tym momencie wyszczerzone psiołowe monstrum dało długiego susa w jego stronę i poczuł dłoń o twardych, kanciastych palcach, w żelaznym uścisku zamykającą palce wokół jego ramienia.



To była druga wizyta Juana Rivery w Exmouth, a gdy powiódł wzrokiem w głąb głównej ulicy miasteczka, stwierdził, że miejsce to przypominało teraz raczej scenę z *Piekle* Dantego. Ekipa SWAT, którą dowodził, wysiadła ze swoich pojazdów i dalej podążała pieszo; ich pierwszym zadaniem było zabezpieczenie tego obszaru, aby ratownicy medyczni mogli pozbierać ciała, zarówno martwych, jak i rannych. Z tyłu za nimi założono tymczasowy punkt dowodzenia, słychać było włączone radia, jęk syren, zapalono silne reflektory. Dwa wojskowe wozy opancerzone stały z silnikami na biegu jałowym, a karabiny maszynowe kalibru .50 były gotowe do użytku, gdyby zabójca, lub zabójcy, znów się pojawił.

Wyglądało jednak, że sprawcy się ulotnili. W miasteczku panowała cisza – grobowa cisza. Z miejsca, gdzie stał, Rivera mógł widzieć dwa ciała leżące pośrodku ulicy. Kiedy jednak wyteżył wzrok, przenikając nim ciemność, odniósł wrażenie, że dostrzega co najmniej jeszcze jedno, nieco dalej, lecz równie bezwładne. Szybko przemieszczająca się północno-wschodnia burza zaczęła słabnąć, ulewa straciła na sile, podobnie jak wiatr. Latarnie pogasły, w domach też było ciemno wskutek przerwy w dostawie prądu. Całą okolicę rozjaśnił blask bijący z dogasającego, niemal całkiem już spalonego domu, stojącego w połowie długości ulicy; cała ta upiorna sceneria była skąpana w pomarańczowej poświacie.

Koszmarne odkrycie, jakiego zwiad dokonał na Dune Road – komendant policji rozszarpany w radiowozie – wytrąciło Riverę

z równowagi. Raporty, jakie otrzymywał w drodze tutaj, były fragmentaryczne: szalone relacje o potworach, demonach, anarchii i masowych morderstwach. Sierżanta nazwiskiem Gavin nigdzie nie było i nie odpowiadał na żadnej z policyjnych częstotliwości wywoławczych. Rivera zastanawiał się, czy on także nie żyje.

Co, u diabła, tu się wydarzyło? Rivera nerwowo przełknął ślinę i zebrał się w sobie. Będzie sporo czasu, aby to wyjaśnić; teraz musieli jak najszybciej zabezpieczyć teren, udzielić pierwszej pomocy i ewakuować rannych.

Wziął do ręki radio i zaczął wydawać rozkazy, a ekipa SWAT ruszyła truchtem wzdłuż ulicy w zwartym szyku. W miarę jak przesuwali się coraz dalej, obrazy rzezi stawały się dobitnie oczywiste. Jeden z członków oddziału zaczął się modlić pod nosem i jego słowa dały się słyszeć przez radio, dopóki Rivera go nie uciszył. Usłyszał inne komentarze, wypowiedziane szeptem spekulacje, zdławione przekleństwa. Co, u diabła? Zastanawiał się. Terrorysty? Naćpane świry? Szalejące gangi?

Poczuł się trochę dziwnie; wszystko wokół wyglądało nierealnie. Po pełnym wahania i niechęci sposobie, w jaki poruszali się jego ludzie, zorientował się, że nie chcą się do tego przyznać, ale są naprawdę przerażeni. To nie była miejska przemoc, to nawet nie była wojna. To było coś jak z filmu grozy.

Próbował otrząsnąć się z zaniepokojenia i przejąć kontrolę nad sytuacją. Siłąc się na zdecydowany ton, zaczął wydawać krótkie, konkretne rozkazy, rozsyłając dwuosobowe drużyny na prawo i lewo w celu zabezpieczenia głównej ulicy i przecznic. Pierwsze ciało, do którego dotarli, wyglądało, jakby je zmasakrowała dzika bestia.

Z radia dobiegły pierwsze raporty:

– Ofiara przed domem numer jedenaście przy Main Street! Dwie ofiary w gospodzie!

Z początku doniesienia były sporadyczne, stopniowo jednak zaczęły spływać coraz większą falą na częstotliwości awaryjnej.

Jakby mogli w ten sposób zapanować nad chaosem, ludzie Rivery zaczęli wypełniać swoje obowiązki powoli i skrupulatnie, wręcz podręcznikowo; to była grubsza sprawa, naprawdę poważna, i wszystko,

co zrobią, zostanie poddane gruntownej, wielostopniowej analizie. Ze względu na skuteczną, zważywszy na okoliczności, jego ludzie wytyczali i zabezpieczyli perymetr, a następnie wezwali karetki. Bez włączonych syren. Po kilku minutach pojawili się ratownicy medyczni; podbiegali do licznych ofiar, by dokonać wstępnych oględzin, a jeśli to było konieczne, udzielali pierwszej pomocy.

Rivera zauważył, że niewiele ofiar potrzebowało pomocy.

Potem trzeba było przejść do oczyszczenia domów. Przy głównej ulicy znajdowało się około dwudziestu budynków mieszkalnych. Frontowe drzwi do trzech z nich były wyłamane. Tam odkryto kolejne ciała. Zabite były nawet zwierzęta domowe.

W końcu natknęli się na żywych: rodziny ukrywające się w piwnicach, na poddaszu lub w ciasnych składzikach, tak przerażone, że prawie nie były w stanie się poruszać ani mówić. A gdy już się odblokowały, opowiadały o istocie, którą udało im się dostrzec w mgnieniu oka: o demonie z ogonem i pyskiem jak u psa. Ludzie Rivery posłusznie słuchali tych rewelacji, kręcąc głową z niedowierzaniem. W ciemnościach, pośród burzy, gdy nastąpiła przerwa w dostawie prądu, nikt nie był w stanie dobrze przyjrzeć się temu czemuś, w każdym razie nikt, kto pozostał przy życiu.

Podczas zaciętych walk w Iraku Rivera był świadkiem wielu dramatycznych, pełnych chaosu i grozy zdarzeń, kiedy wypadki rozgrywały się tak szybko i brutalnie, że później nikt nie był w stanie stwierdzić, co właściwie się wydarzyło. Tak najwyraźniej było i w tym wypadku. Ocaleni nie potrafili powiedzieć niczego, co byłoby przydatne lub wiarygodne, mimo że ich relacje wydawały się zbieżne. Gdyby tylko udało mu się znaleźć kogoś, kto dostatecznie długo i uważnie przyjrzał się zabójcy...

Jak na zawołanie usłyszał krzyk. Zza jednego z domów wyszedł, słaniając się na nogach, mężczyzna i chociaż nie był zalan w sztok, nie był także całkiem trzeźwy: wzrok miał dziki, wrzeszczał na całe gardło i wymachiwał rękami. Dostrzegł Riverę i podbiegł do niego, rozkładając szeroko ręce. Zanim Rivera zdążył zareagować, postać zamknęła go w panicznym uścisku ramion jak tonący, który chwyta swojego ratownika.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu! – zawołał. – To koniec świata.
Demony z piekła rodem zstąpiły na ziemię!

Mimo że Rivera starał się utrzymać na nogach, mężczyzna przewrócił go swoim ciężarem ciała. Dwóch żołnierzy uwolniło dowódcę od natręta, przyszpilając mężczyznę do ziemi. Tamten wciąż się szamotał i pokrzykiwał. Rivera wstał i pochylił się nad mężczyzną, siląc się na spokojny ton.

– Jak się pan nazywa?

Tamten odpowiedział kolejnymi okrzykami.

– Czy to ważne? – ryknął z przejęciem. – Świat się kończy, teraz nazwiska przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie!

Rivera nachylił się ku niemu i przyłożył dłoń do jego twarzy.

– Przybywam z pomocą. Jestem porucznik Rivera. A jak pan się nazywa?

Mężczyzna zaczął uwalniać się spod wpływu dojmującej paniki. Spojrzał na Riverę; miał wytrzeszczone oczy, a po twarzy spływały mu strużki potu.

– To nie koniec świata – ciągnął spokojnie Rivera. – Chcę, żeby mnie pan posłuchał. Słyszysz mnie pan? Niech pan skinie głową.

Mężczyzna popatrzył i w końcu pokiwał głową.

– Jak się pan nazywa?

Ochrypliły jęk.

– Boyle.

– Panie Boyle, czy jest pan ranny?

Boyle pokręcił głową przecząco.

– Co pan widział?

Boyle zadrżał.

– Zbyt wiele.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Widziałem... demona.

Rivera przełknął ślinę.

– Czy zechciałby pan opisać napastnika?

– Ono... a raczej on... nadszedł od ulicy... biegł... i wydawał dźwięki. Powtarzał to samo raz po raz...

– Co mówił?

– Coś, co brzmiało jak „oonce”, „oonce”... Był potworny, gigantyczny, miał ze dwa metry dziesięć wzrostu. I pysk jak u psa. Przegniłe zęby. Był nagi. Miał odrażającą żółtą skórę. I cuchnął. Jak gnojówka.

– Był nagi? Przy tej pogodzie?

– Tak. I... miał ogon.

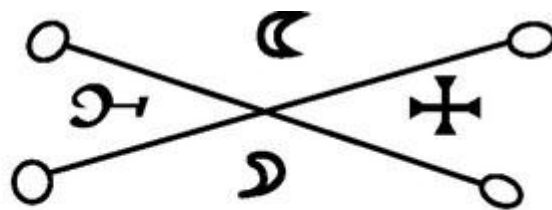
– Ogon?

To było rozczarowujące; relacja tego faceta do niczego im się nie przyda, podobnie jak opowieści całej reszty.

– Okropny ogon, choć nie taki prawdziwy, ciągnął się za nim jak wąż. I miał wielkie łapska, którymi rozrywał ludzi na strzępy jak... jak... – Boyle znów zaczął się trząść. – O Boże... O Boże!

Rivera pokręcił głową i wstał.

– Zaprowadźcie tego mężczyznę do karetki. Postradał zmysły.



Pistolet wypadł Gavinowi z ręki, gdy stwór pochwycił go za przegub, pociągnął ku sobie z głośnym warknięciem i brutalnym ruchem wykręcił mu nadgarstek. Rozległ się trzask zerwanych ścięgien. Gavin skrzywił się z bólu, ale nie krzyknął; patrzył tylko, jakby był w szoku.

Constance zastygła w bezruchu. A więc to jest demon Morax, pomyślała z uczuciem dziwnego oderwania. Mimo wszystko stwór był człowiekiem albo raczej bardzo go przypominał. Wyglądał jak wysoki mężczyzna o przeraźliwie zdeformowanej twarzy, z wysuniętym do przodu pyskiem, długimi zębami, wystającymi z mięsistych warg, z grzebieniem strzałkowym wznoszącym się jak kościsty irokez na szczycie zdeformowanej czaszki. Skórę miał żółtawą, poprzecinaną smugami brudu, upstrzoną krostami, strupami i pokrytą tysiącem małych blizn; był łysy i nagi, a jego smród wypełnił wonne wnętrze komnaty ofiarnej. Jednak uwagę Constance zwrócił przede wszystkim ogon. Nie był to typowy ogon zwierzęcia, raczej długi splot różowego ciała, które było wiotkie, a jego masywny koniec najeżony od szczeciniastego włosia. Ten ogon był jak martwy, ciągnął się za nim niczym bezwładna, sparaliżowana kończyna.

Mężczyzna schwycił Gavina dłonią masywną jak niedźwiedzia łapa; wielkie kanciaste paluchy kończyły się brązowymi paznokciami. Spojrzał na Gavina, a jego źrenice zwężyły się z nienawiścią. Obaj mężczyźni zastygli przez chwilę w groteskowej pozie.

Wreszcie stwór wydał z siebie wściekły syczący dźwięk, który przełamał bezruch.

Gavin skrzywił się i przemówił, zachowując niezwykłą trzeźwość umysłu:

– Już dobrze, Moraxie. Wszystko będzie dobrze. Już jesteś w domu. Puść mnie, proszę.

Morax tylko powtórzył gardłowy syk. To brzmiało jak „szyyn” albo może „syyn”, ale Constance nie potrafiła go zrozumieć.

– Sprawiasz mi ból – mówił Gavin. – Puść mnie, proszę.

W odpowiedzi Morax znów szarpnął go za przegub. Dał się słyszeć ostry, suchy trzask. Sierżant stęknął, ale, co zaskoczyło Constance, zachował niewzruszoną postawę.

Nawet gdyby nie usłyszała jego opowieści, nie miałyby wątpliwości, że tych dwóch łączy długa i burzliwa historia, która najwyraźniej wkrótce się zakończy w ten czy inny sposób. Ci dwaj byli tak skupieni na sobie, że Constance rozumiała, iż oto nadarza się okazja do ucieczki, o ile tylko zachowa należyta ostrożność. Jednak droga, którą dotarła do tej komnaty, była zablokowana przez dwóch antagonistów. Będzie musiała uciec dalej, w głąb tuneli. Cofnęła się krok, potem drugi, starając się obserwować przebieg konfrontacji.

– Moraxie – powiedział Gavin. – Teraz ja jestem przywódcą kowenu. Co oznacza, że w pewnym sensie jesteśmy partnerami. To, czego doświadczałeś przez wszystkie lata, było złem i...

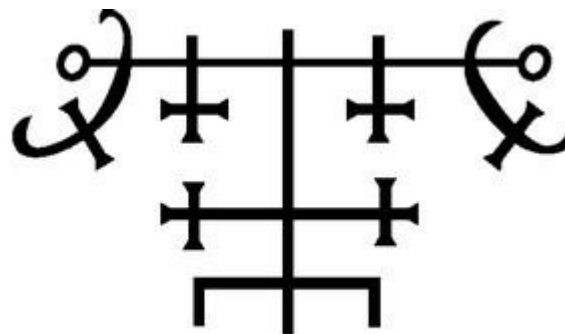
Z nagłym rykiem stwór szarpnął i urwał Gavinowi dłoń z taką łatwością, jakby odrywał udko kurczaka. Gavin z krzykiem zatoczył się do tyłu, rozpaczliwie usiłując zatamować krwawienie. W jego wytrzeszczonych oczach malowało się przerażenie. Demon znów zaryczał.

Constance przesuwała się powoli i spokojnie wzdłuż tylnej ściany pomieszczenia. Tamci dwaj byli tak pochłonięci konfrontacją, że zupełnie o niej zapomnieli. Cokolwiek się stanie z Gavinem, nie będzie to nic dobrego i nie miała ochoty tego oglądać. Stwór wydawał się aż ociekać nienawiścią.

– Proszę – powiedział łamiącym się głosem Gavin. – Szanujemy cię, jesteś dla nas bardzo ważny... Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Teraz, gdy ja znalazłem się u władzy, wszystko będzie inaczej. Wyciągnął zdrową rękę w błagalnym geście.

Morax, rozwścieczony tą przemową, wydał nieartykułowany ryk, schwycił sierżanta za drugi przegub i znów szarpnął z całej siły. Tym

razem Gavin nie wytrzymał, z jego ust wypłynął przeraźliwy krzyk, po czym sierżant osunął się na kolana. To był ostatni raz, kiedy Constance go widziała, zanim pokonała załom muru i wślizgnęła się do pogrążonego w ciemnościach korytarza, wiodącego do ciągnącego się dalej labiryntu podziemnych tuneli.



Pendergast przystanął u szczytu niskiej piaszczystej wydmy i spojrzął z góry na ruiny Oldham, leżące w porośniętej trawami niecce, usianej tu i ówdzie karłowatymi sosnami. Burza słabła, deszcz ustawał, wiatr też wyraźnie stracił na sile. Morze jednak wciąż zawzięcie atakowało kamienisty brzeg. Księżyc w pełni wyłonił się spomiędzy chmur i skąpał srebrzystą poświatą na wpół pogrzebane mury, otwory piwniczne i fragmenty skorup oraz potłuczonego szkła i miki, połyskujące matowo na wilgotnym piasku.

Ślady istoty niemal całkiem zostały zatarte, ale wciąż pozostały wgłębienia widoczne na piasku i wśród kamieni, za którymi Pendergast mógł podążać – były wśród nich te należące do stwora i mniejsze, niewątpliwie pozostawione przez Constance.

Na podstawie rozłożenia otworów piwnicznych Pendergast był w stanie określić, gdzie przez to miasteczko przebiegała kiedyś główna ulica. Na jej drugim końcu dostrzegł zwalony, ceglany mur, wznoszący się na masywniejszym fundamencie z granitowych bloków – były to z pewnością ruiny kościoła w Oldham. Zbliżył się na skraj otworu piwnicznego przy kościele; teren ten usłany był na obrzeżach rozłupanymi kamiennymi blokami, obłuzowanymi ceglami, deskami, rozmaitymi śmieciami, a przy drugim końcu przykryty płachtą zbutwiałego płótna żaglowego.

Zszedł do zniszczonej piwnicy i poświecił latarką wokoło, bardzo szybko skupiając uwagę na odsłoniętej żelaznej płycie na jednej ze ścian, niedaleko porzuconej płóciennej płachty. Ukląkł przy płycie i obejrzał

zawiasy. Stwierdził, że płyta była używana, i to nawet dość często. Uniósł ją ostrożnie, starając się nie robić hałasu, i poświecił do środka latarką ołówkową. Wąskie kamienne schody wiodły w dół, do wnętrza tunelu, który niknął niedaleko w ciemnościach.

Oślaniając latarkę dłońmi, wślizgnął się do wnętrza piwnicy i opuścił za sobą płytę. Zgasivszy latarkę, przykucnął na schodach i nasłuchiwał z uwagą; łoskot fal był teraz przytłumiony, a z podziemi nie dochodziły żadne dźwięki, napływał stamtąd jedynie odór śmierci i rozkładu, zmieszany ze słabym zapachem topionego wosku.

Pendergast wyjął les baera i znów nasłuchiwał. Wciąż nic.

Ponownie zapaliwszy latarkę, zlustrował wzrokiem schody i dostrzegł wyraźne oznaki świadczące o tym, że niedawno ktoś tędy przechodził: drobinki piasku, wilgoć deszczu i częściowy, lecz dający się rozpoznać odcisk bosej stopy. Znów poczuł ogarniające go skrępowanie – oto miał przed sobą niezbity dowód, że przeoczył coś naprawdę istotnego. Ale gdy spróbował rozważyć w myślach znaczenie tego namacalnego dowodu, okazało się, że nie znajduje wytłumaczenia dla niespodziewanego pojawienia się w Exmouth monstrualnego bosonogiego masowego mordercy ani wyjaśnienia, dlaczego akurat teraz postanowił rozpętać w miasteczku prawdziwe piekło.

Głęboki niepokój o bezpieczeństwo Constance walczył w nim z ostrożnością, gdy zszedł po schodach i ruszył w głąb tunelu, stąpając miękko jak kot. Na ścianach widniały piktogramy, zarówno dawne, jak i względnie nowe, przedstawiające demoniczne postacie, symbole i stare łacińskie sentencje.

I wtedy to usłyszał: zwierzęcy pomruk, gardłowy i świszczący zarazem, nieznacznie tylko przypominający ludzką mowę. Zastygł w bezruchu, nasłuchując. Dźwięk był zniekształcony przez płataninę tuneli. W pewnej chwili rozległ się głos, błagalny i znów zbyt niewyraźny, aby dało się zrozumieć słowa czy choćby rozpoznać płec wypowiedzianej je osoby.

Zwierzęcy ryk poniósł się echem w głąb tuneli. Zaraz potem dał się słyszeć kolejny, a w odpowiedzi rozległ się zrównoważony głos, błagalny, zrazu cichy, potem coraz donośniejszy, aż w końcu przeszedł w wysoki, przenikliwy wrzask.

Pendergast zerwał się do biegu, tunel rozwidłał się, agent zaś skręcił w prawo, kierując się w stronę miejsca, skąd wydawał się dobiegać dźwięk. Dotarł jednak do kolejnego rozgałęzionego tunelu i gdy wybrał jedną z odnóg, zabrnął w ślepią uliczkę. Zawrócił i w tej samej chwili usłyszał echo potwornego krzyku; nie miał już wątpliwości, że był to męski głos, ale przepełniony tak dojmującą grozą, że nie potrafił stwierdzić, z czyich ust się wydobył. Ale gdzie podziała się Constance?

Skręciwszy w kolejny tunel, w świetle latarki ujrzał coś, co wyglądało jak kałuża krwi; ustawił latarkę pod innym kątem i odnalazł dwa ciała leżące na wznak, z rozrzuconymi na boki kończynami i szeroko otwartymi oczami. Rozpoznał je jako należące do mieszkańców Exmouth: jedną ofiarą był rybak, który podwiózł Constance na posterunek policji, drugą widział któregoś wieczoru w gospodzie. Obaj mężczyźni zostali brutalnie rozszarpani, wręcz rozdarci na strzępy w nieopisany sposób. Od miejsca, gdzie walały się trupy, prowadziły krwawe ślady bosych stóp. Pendergast zbadał to miejsce w świetle ołówkowej latarki. To, czego się zdołał dowiedzieć, zdradzało naprawdę przerażającą historię. I wtedy, jakby dla potwierdzenia tej grozy, w głąb tuneli poniosło się echo kolejnych wrzasków przepełnionych bólem i cierpieniem.

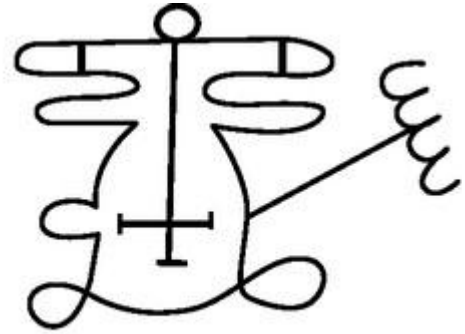
Constance Greene macała przestrzeń przed sobą obiema dłońmi, idąc wzdłuż śliskich ścian tunelu. Słabe światło przenikające z korytarza zostało daleko w tyle i teraz otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Wciąż miała na przegubach kajdanki, a sztylet był ukryty na powrót w kieszonce, w fałdach jej sukni. Odgłosy potwornego bólu i udręki niosły się głośnym echem przez tunele. Constance miała w swoim życiu okazję widzieć wiele okropności, ale niewiele wśród nich było równie odrażających jak to, co teraz rozgrywało się za jej plecami.

Dźwięki zaczęły cichnąć, w miarę jak zaczęła się agonja Gavina. Znów skupiła się na obecnym zadaniu – ucieczce z tego piekła i wymknięciu się szalonej istocie, która tu mieszkała. Miała nadzieję – choć zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to mało prawdopodobne – iż na drugim końcu tych tuneli znajduje się wyjście. Jeżeli nie, to może przynajmniej znajdzie miejsce, w którym będzie się mogła ukryć

i poczekać, aż nadarzy się okazja do ucieczki.

Gdy zapuściła się dalej w głąb podziemnego kompleksu, smród nie zmalął, zastąpiła go zimna woń pleśni, grzybów i wilgoci. Rzecz w tym, że w tych ciemnych krętych tunelach całkiem straciła orientację i nie wiedziała, jak miałyby wrócić tam, skąd przyszła. Ciemność jej jednak nie przerażała – przywykła do niej – i w pewnym sensie nawet dodawała jej otuchy. Constance wierzyła w swoją zdolność wtapiania się w mrok, stawania się jednością ze ścianami. W swoim czasie dezorientacja ustąpi, a ona poczuje się jak u siebie... o ile tylko będzie miała dość czasu.

Tymczasem z tyłu za nią rozległ się ostatni udręczony jęk i w tunelach zapadła cisza. Demon skończył z Gavinem i odszedł.



Uniósł ręce. Były czerwone i wilgotne. Oblizął je. Smakowały jak pręty jego klatki. Spuścił wzrok. Głowa Złego leżała przekrecona do dołu, z wyrwanym językiem i wytrzeszczonymi oczami.

Pociągnął nosem i węsząc, poczuł dziwne zapachy. Dziewczyna uciekła.

Uniósł stopę i dużym paluchem szturchnął trupa w oko. Tamten patrzył na coś, co znajdowało się gdzieś daleko stąd. Bardzo daleko.

Gdzie była dziewczyna?

Znów zaczął węszyć. Chciał ją stąd przepędzić. To był jego dom. Jego terytorium. Nie jej. Pozbył się tych zniechęconych twarzy. Już więcej tu nie przyjdą. Odtąd to miejsce należy do niego.

Minął ołtarz i zgasił płomyk. Zrobiło się ciemno. Mrok był jego przyjacielem. Sprawiał, że inni zachowywali się głupio i byli przerażeni. Dziewczyna zmierzała w stronę ślepych uliczek.

Jego łańcuchy zniknęły. Nagle zjawił się ten dziwny człowiek i ostrzegł go przed zabójczymi mężczyznami, którzy mieli przyjść tu wkrótce po niego, a potem sforsował kłódkę w jego drzwiach. Teraz był wolny. Mógł pójść wszędzie, nawet do Miejsca Powyżej. Ale on był już

w Miejscu Powyżej... i wcale nie było tam tak, jak obiecywali. Oni go okłamali. To, o czym marzył całe życie, okazało się kłamstwem. Jak wszystko inne, o czym mówili. Mówili na to „słońce”. Sprawili mu tyle bólu. Okrwawiony Nóż i wszystkie inne potworności miały mu zostać zrekompensowane pewnego dnia, kiedy, jak obiecali, zabiorą go na słońce, by mógł poczuć ciepły żar na niebie. Ciemności już nie będzie, wszędzie nastanie światłość.

Kiedy tak o tym myślał, o bólu, okłamywaniu i zimnej czerni, jaką odnalazł w Miejscu Powyżej, takiej jak ta tutaj, poczuł, że znów ogarnia go wściekłość. Silniejsza niż kiedykolwiek.

Ruszył w stronę ślepych uliczek. W ślad za kobietą.



Od dzieciństwa Constance nieobca była ciemność. Wbrew dezorientacji parła naprzód w poczuciu celu.

Ściany były wilgotne, ociekały wodą, czasami jej palce napotykały pająki lub krocionogi, które pierzchały w panice, kiedy przechodziła obok nich. Usłyszała też szczury, które z cichym popiskiwaniem czmychały w ciemność, schodząc jej z drogi. W powietrzu czuć było woń pleśni, szlamu i zgnilizny. Nie było tu ruchów powietrza i coraz trudniej się oddychało. Z całą pewnością nie było tu żadnego wyjścia.

Macając wzdłuż ściany, dotarła do załomu korytarza. Przystanęła, nasłuchując. Usłyszała jedynie cichy szum fal, wibrację przenikającą grunt dokoła i słaby chlupot wody. Było cicho jak makiem zasiał.

Pokonała załom korytarza, a jej stopy odnalazły oparcie na wilgotnym podłożu, dłonie wciąż przesuwają się wzdłuż ściany. Musnęła palcami jakiegoś owada – krocionoga, który wpadł jej do rękawa i otarł się gwałtownie o skórę – i przystanęła, by go strząsnąć. Ponownie zaczęła się zastanawiać nad znalezieniem jakiejś kryjówki, odrzuciła jednak tę ewentualność, uznając ją za ostateczność. Ten demon Morax z pewnością znał tunele lepiej niż ona. Uzbrojona tylko w sztylet i ze skutymi rękami nie miałyby szans go zabić. Po tym, co ten potwór zrobił z Gavinem, wiedziała, że z nią postąpi tak samo.

Z tej strony nie było wyjścia. Będzie musiała ominąć Moraxa i opuścić to miejsce tą samą drogą, którą tu dotarła.

Pendergast odwrócił się od dwóch ciał z wyprutymi wnętrznościami. Zawrócił i pobiegł bocznym tunelem w stronę, z której

dobiegały krzyki, chociaż zaczęły już cichnąć. Szybko dotarł do kolejnego rozgałęzienia tunelu, gdzie przystanął, nasłuchując z uwagą, ale w ciszy, jaka nagle zapadła, nie był w stanie określić kierunku, skąd dochodziły wołania.

Zdumiał go rozmiar sieci tuneli. Najwyraźniej tworzone ją długo, może nawet przez stulecia, na co mógł wskazywać fakt, że poszczególne sektory podziemi różniły się od siebie pod względem stylu i sposobu, w jakich zostały zbudowane. Był to dowód na to, że prace trwały latami. Podobnie wyglądały katakumby, które niegdyś odwiedził w Rzymie: sekretne miejsce kultu. Ale te tunele skrywały znacznie więcej, o czym mogły świadczyć dziwaczne symbole na ścianach, smród czegoś, co tu mieszkało, i inne wonie, gorsze od tego fetoru.

Zbadawszy grunt, skręcił w lewy korytarz, który jego zdaniem wydawał się częściej wykorzystywany. On także kilkakrotnie się rozgałęział, ale agent za każdym razem wybierał bardziej uczęszczaną odnogę. Kilka minut później skręcił za róg i ujrzał przed sobą celę więzienną. W kratę wpuszczone były otwarte na oścież metalowe drzwiczki. Odór bijący z celi zwał z nóg i świadczył o tym, że to miejsce było długo użytkowane, a ten, kogo tu przetrzymywano, był pozbawiony jakichkolwiek udogodnień sanitarnych, nie wspominając o zapewnieniu mu możliwości przestrzegania podstawowych zasad higieny.

Poświecił latarką po prymitywnej celi i stwierdził, że ma jakieś trzydzieści metrów długości i kończy się ścianą, pod którą ułożono barłóg z brudnej słomy, opodal była przelewająca się kloaka i połamany stół. Była tam też stalowa obroża najeżona ostrymi kolcami, przymocowana do smyczy z metalowych ogniów. Wisiała na jednej z gołych kamiennych ścian. Ukląkł, by przyjrzeć się śladom mieszkańca tej celi na wilgotnym, piaszczystym podłożu, odciskom bosych szorstkich stóp pasujących do tych, których tropem dotarł tu z Exmouth. To właśnie tutaj, zamknięty pod kluczem, był uwięziony zabójca, i to od bardzo dawna.

Pendergast wyprostował się i cały czas przyświecając sobie latarką ołówkową, obejrzał kłódkę, która kiedyś wisiała na drzwiach, a teraz leżała otwarta na ziemi. Pobieżna inspekcja zmieniła się w dłuższe

drobiazgowe badanie. Agent wziął kłódkę do ręki i uważnie ją obejrzał; w którymś momencie wyjął nawet przenośną lupę, by przyjrzeć się przez nią mechanizmowi. Była to prawie nowa kłódka marki Abloy, wykonana ze stali tak, że nie sposób było jej otworzyć prostymi urządzeniami w rodzaju klucza uderzeniowego. Ta mocna kłódka stanowiłaby spore wyzwanie nawet dla Pendergasta. Zauważył jednak, że została sforsowana tak subtelnie i sprytnie, że wyglądała na zamkniętą, chociaż wcale tak nie było.

Coś w metodzie otwarcia kłódki wydało mu się znajome i zmroziło mu krew w żyłach.

Po zakończeniu inspekcji wszedł do celi, aż na sam jej koniec, przestępując nad brudami, starymi kośćmi kurczaka, kawałkami gnijącej skóry i połamanymi szpikowymi kośćmi. Tłuste karaluchy pierzchały przed promieniem jego latarki. Pod przeciwległą ścianą na ziemi leżały kajdanki i łańcuchy, obręcze były otwarte. One także stanowiły najnowsze modele, wykonano je względnie niedawno. Każda z obręczy kajdanek miała osobny otwór na kluczyk. Pendergast ponownie przyjrzał się uważnie każdemu zamkowi, a jego blada twarz wyglądała jak wyciosana z marmuru.

Strażnicy zadali sobie sporo trudu i nie szczędzili kosztów, by utrzymać więźnia w celi. Kiedy jednak tu przybyli, nie mogli wiedzieć, że obręcze kajdanek zostały wprawnie otwarte, zamki sforsowano, a co za tym idzie, istota mogła się uwolnić i ich zaatakować.

Bez wątpienia strażnikami byli ci dwaj, na których ciała natknął się w sąsiednim korytarzu.

Kiedy zbadał ostatni zamek, jego zwykle niewzruszona dłoń zaczęła drżeć i upuścił łańcuch. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię z niedowierzaniem.

Do jego uszu znów dobiegł dźwięk. Po dłuższej chwili otrząsnął się z odrętwienia i wstał. Constance wciąż była gdzieś w tym kompleksie tuneli i najwyraźniej groziło jej większe niebezpieczeństwo, niż przypuszczał.

Starając się skupić całą uwagę, poderwał się na nogi i pobiegł przez cuchnące korytarze, znów podążając głównym przejściem i nie zważając na to, że robi hałas. Po pokonaniu kilku zakrętów i załomów

korytarza dotarł do szerokiego tunelu prowadzącego do dużego, bogato zdobionego pięciokątnego pomieszczenia oświetlonego przez świece, pośrodku którego znajdował się ołtarz. Przystanął, rozglądając się wokoło srebrnymi oczami. Na ołtarzu spoczywała płatanina tkanek i kości. Była tak zdeformowana, że Pendergast potrzebował dłuższej chwili, aby się zorientować, że ta masa była kiedyś istotą ludzką. Mięśnie wciąż drgały; ten człowiek zginął całkiem niedawno. Gdzie jednak podział się zabójca, który pozostawił po sobie tę stertę rozdartych wnętrzności?

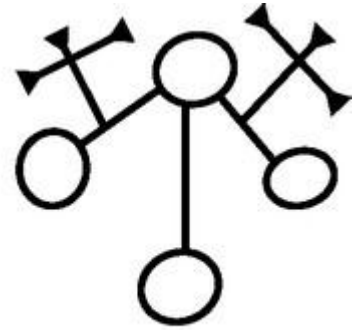
Odwrócił się dokoła własnej osi z les baerem w dłoni, omiatając światłem latarki ciemniejsze nisze, powoli obszedł całą komnatę, zanim jednak dotarł do ostatniej wnęki, postać, którą widział wcześniej, gdy zaatakowała Mourdocka – naga, żółtawa i zwierzęca – wyskoczyła z ciemnego kąta. Pendergast wycelował i strzelił, ale stwór zrobił zaskakująco dziwny obrót w powietrzu i wymierzył stopą silne kopnięcie, wytrącając mu z dłoni pistolet. Pendergast wykonał półobrót, by zneutralizować siłę kopnięcia, i równocześnie zadał stworowi krótki, podstępny cios w przeponę. Kiedy monstrum przeleciało tuż obok niego, długim ogonem przecięło powietrze, próbując dosięgnąć twarzy agenta. Pendergast przetoczył się po ziemi, podniósł na nogi i obrócił przykucnięty, wyciągając z niedużej pochewki przy łydce model zmodyfikowanego noża bojowego Fairbairna-Sykesa, z krótką stałą głownią, ale potwór wykorzystał przewagę impetu, by ponownie zaatakować, i rzucił się z gwałtownym warkotem. Zwalił się na Pendergasta, który próbował pchnąć go nożem, jednak tamten schwycił wielką ręką za ostrze i spróbował wyrwać agentowi nóż z dłoni. Stal rozplatała masywne łapsko, pociekła krew. Pendergast, zmuszony do wypuszczenia latarki, próbując skupić całą uwagę na walce i zepchnąć na plan dalszy nowe, znacznie poważniejsze źródło niepokoju, próbował rozorać nożem rękę unieruchamiającą krótką stalową klingę. Latarka potoczyła się pod ścianę, wciąż rzucając słaby blask. Kiedy walczyli o nóż, cuchnący demon rozwarł pysk, schwycił płatek ucha Pendergasta połamanymi, poczerniałymi zębami i odgryzł go przy wtórze pękających chrząstek. To uwolniło Pendergasta od ciężaru przygniatającej go bestii i zdołał kopnąć ją kolaniem w klatkę piersiową, gruchocząc jej kilka

zeber. Demon jednak wyrwał Pendergastowi nóż, tracąc przy tym kilka palców, opuścił głowę i spróbował pchnąć agenta na ścianę. Pendergast wykonał unik, uskakując płynnie w bok, zwinniej niż toreador, i to potwór ostatecznie uderzył w kamienną ścianę, podczas gdy Pendergast zaszedł go od tyłu.

Agent szybko rozejrzał się dokoła, poszukując pistoletu. Les baer leżał obok potwora, ale nóż był bliżej, na prawo od niego. Rzucił się, by go podnieść, ale demon, zamiast próbować go zablokować, jak się tego spodziewał, z potężnym chrupnięciem nadepnął ogromną stopą na latarkę. Zapadła ciemność.

Trzymając nóż w ręku, Pendergast przetoczył się dwukrotnie po podłodze i poderwał na nogi, jednak stwór to przewidział i z impetem rzucił się na niego i trafił go w bok. Agent znów wykonał błyskawiczny obrót, tnąc nożem na odlew i zatapiając ostrze głęboko w ciele przeciwnika. Demon zawył z bólu i wytrącił nóż z dłoni Pendergasta, po czym na chwilę się odsunął. Pendergast wykorzystał tę okazję, żeby wycofać się w głąb tuneli, które się za nim łączyły. Macając szaleńczo rękami przed sobą, odnalazł pod palcami kamienną ścianę i zaczął biec. Biegł szybciej, niż to było bezpieczne, ale cały czas przesunął ręką po szorstkiej powierzchni wilgotnej ściany, chociaż nie miał pojęcia, dokąd właściwie zmierza.

Wiedział, że został pokonany i – o ile jego obawy okażą się słuszne – że ta istota w tunelach stanowi najmniej ważny z jego obecnych problemów.



To była podręcznikowa procedura. Gdy Rivera przepatrywał okolicę, odniósł wrażenie, że znów uczestniczył w ćwiczeniach antyterrorystycznych i antykryzysowych, w których brał udział dziesiątki razy w Lawrence i Bostonie. Całe miasto uznano za jedno wielkie miejsce zbrodni. Uzbrojone karabiny maszynowe, opancerzone wozy bojowe zabezpieczały wszystkie drogi wjazdowe i wyjazdowe z miasteczka, ratownicy medyczni krzżeli się wokół nieruchomych ciał, karetki podjeżdżały i odjeżdżały w ciszy, członkowie zespołu SWAT przeprowadzali patrole, przesłuchiwali te ofiary, które nie były poważnie ranne, i prowadzili obserwację całej osady, na wypadek gdyby zabójca powrócił. Wszystko wyglądało jak przykładowy obraz celowych i sprawnie zorganizowanych działań. Coraz bardziej zdenerwowany tłum reporterów i wozów transmisyjnych został zatrzymany na wysokości mostu Metacomet; wkrótce trzeba będzie ich tu wypuścić, w przeciwnym razie pismaki dostaną szału. Na razie przestrzeń powietrzna nad miasteczkiem była zamknięta, ale śmigłowce stacji telewizyjnych krążyły nad moczarami i na obrzeżach zamkniętej strefy, gotowe zbliżyć się, gdy tylko zakaz zostanie cofnięty.

Dodatkowi ludzie, podnoszące na duchu rutynowe czynności pomagały Riverze pozbyć się nieprzyjemnego napięcia, nie mówiąc o niepokoju związanym z tą dziwną sytuacją. Wbrew wszystkiemu nie udało im się zrozumieć, co się tu wydarzyło, zidentyfikować zabójcy ani ustalić motywów, jakie nim kierowały. Gdyby wierzyć któremuś ze świadków, za to wszystko, co się stało, odpowiadało humanoidalne

monstrum, nagie, brudne, z psim pyskiem i ogonem, które poruszało się szybko jak wilk i rozdzierało swoje ofiary na strzępy gołymi rękami.

No jasne.

Tyle że teraz odkryli całe mnóstwo śladów gołych stóp o rozmiarze szesnaście, i to wszędzie, w całym mieście, także w domach, które zostały splądrowane, wiele z tych śladów było odcisniętych we krwi. Jeden zabójca. Nie rozszalała tłuszcza, nie zamieszki ani nawet gang ogarnięty żądzą mordu. W kwestii rysopisu sprawcy Rivera część z tego, co usłyszał, złożył na karb hysterii i przerażenia. Ale nie wszystko. Jakiś szurnięty, wielki i bez wątpienia przebrany w kostium zabójca rozpętał w tym mieście piekło, dając upust morderczym żądzom. To, kim był, dlaczego to zrobił, skąd przybył i dokąd się udał, dopiero się okaże.

Jeden zabójca. Rivera znów poczuł, że narasta w nim niepokój.

Nastąpił kluczowy przełom w sprawie: jeden z bardziej spostrzegawczych funkcjonariuszy zauważył kamerę monitoringu przed sklepem odzieżowym, który zabójca musiał kilkakrotnie minąć. Kamera nagrywała na okrągło, całą dobę, siedem dni w tygodniu, i mogła działać nawet przy słabym oświetleniu. Co najważniejsze, przełączyła się na zasilanie awaryjne, kiedy doszło do przerwy w dostawie prądu. Ekipa Rivery włamała się do sklepu i zabrała nagrania cyfrowe, które teraz odtwarzano w mobilnym centrum dowodzenia. Nagranie było dość ciemne z uwagi na brak oświetlenia, udało się jednak trochę rozjaśnić obraz i – spojrzał na zegarek – już za chwilę będą mogli je obejrzeć. Dopóki Rivera nie zobaczy nagrania, nie chce nawet spekulować, jak jeden osobnik, w dodatku na bosaka, mógł dokonać tych wszystkich zabójstw i zniszczeń. To było coś, z czym nigdy się dotąd nie zetknął, i potrzebował trzeźwego osądu.

Uniósł radio w dłoni.

– Gil?

– Tak, sir?

– Czy nagranie jest gotowe?

– Cóż, w zasadzie tak, ale muszę panu powiedzieć...

– Nic mi nie mów. Chcę je zobaczyć bez żadnych uprzedzeń.

– Dobrze, sir.

Gil nie wydawał się pewny siebie i zuchwały jak zazwyczaj. Rivera

odwiesił radio i ruszył w stronę centrum dowodzenia mieszczącego się w naczepie dużej ciężarówki podczepionej do masywnego ciągnika. Gdy wszedł po schodkach, powitała go zaskakująca cisza. Nie musiał być jasnowidzem, aby wyczuć, że poziom napięcia sięgał zenitu.

– I co tu mamy? – spytał.

Dostrzegł kilka wymienionych ukradkiem spojrzeń. Gil, operator wideo, skinął głową w stronę ekranu.

– To zapis z kamery przed sklepem. Było ciemno, ale sprzęt pracował, wystarczyło tylko wyostrzyć obraz. Kamera uchwyciła sprawcę przechodzącego ulicą najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Znacznik czasowy jest umieszczony w prawym dolnym rogu. Pierwszy interesujący nas zapis zaczyna się o dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy, a drugi o dwudziestej drugiej zero cztery.

– Obejrzyjmy pierwszy.

Chwila zawahania.

– Dobrze.

Rivera zaplótł ramiona i wlepił wzrok w monitor. W pierwszej chwili nie było widać nic, tylko pusty chodnik, zniekształcony z perspektywy rybiego oka, oraz fragment witryny sklepu i ulicy. W mieście doszło do przerwy w dostawie prądu i na nagraniu nie było żadnych latarni, jednak ziarnisty czerwony obraz wydawał się zaskakująco wyraźny. Nagle pojawiło się jakieś poruszenie i przez ekran przemaszerowała postać. Trwało to niespełna sekundę, ale to wystarczyło.

– Co, do kurwy nędzy? – wycedził Rivera.

Cisza.

– To facet w masce i kombinezonie – rzekł Rivera.

Nikt się nie odezwał, dopóki Gil cichym głosem nie powiedział:

– Puszczę to klatka po klatce.

Rivera patrzył, jak nagranie zostało odtworzone, tym razem klatka po klatce. Sprawca – o ile można go tak nazwać – znów pojawił się w polu widzenia, szedł szybkim krokiem chodnikiem w stronę miasteczka.

– Zatrzymaj! – warknął Rivera.

Gil włączył pauzę.

– Nie wierzę. Cofnij o jedną klatkę.

Operator wykonał polecenie.

– No, kurwa, nie wierzę. Możesz powiększyć twarz?

Twarz została powiększona.

Rivera przyjrzał się, mrużąc powieki.

– To nie jest maska.

– Nie jest – przyznał Gil.

Nikt się nie odezwał.

Rivera oblizał wargi.

– Kontynuuj.

Oglądał nagranie klatka po klatce z coraz większym niedowierzaniem. Było tak, jak mówili świadkowie: mieli do czynienia ze zniekształconym potworem z ogonem. Nie, powiedział sobie w myślach, nie z potworem: to była istota ludzka, człowiek, choć przeraźliwie zdeformowany, jak jakiś dziwoląg. Obraz był rejestrowany z góry i pod kątem, co jeszcze bardziej podkreślało jego wydatny, niemal psi pysk najeżony długimi zębiskami. Ale nos nie był psi, tylko ludzki, złamany jak u pięściarza. Twarz mężczyzny pokryta była krwią, którą powoli zmywał deszcz. Z tej postaci aż biła nienawiść, oczy były przymrużone w szparki, usta rozwarte z wysuniętym językiem, z którego ściekała strużka lepkiej śliny. Mężczyzna szedł naprzód z takim rozmysłem, że aż zmroziło to Riverę do szpiku kości. W tym wszystkim nie było ani odrobiny szaleństwa czy przypadkowości, ten osiłek miał konkretny plan. No i te gigantyczne bose stopy o ponad siedmiocentymetrowych paznokciach, których ślady napotykali wszędzie.

Gil odchrząknął.

– Przejdę do następnego zapisu, kiedy on wraca już po masakrze...

Rivera wyprostował się.

– Nie muszę oglądać nic więcej. Potrzebuję psów. Psów tropiących. Ten sukinsyn zwał na słone moczary i pójdziemy tam za nim.

– Poruczniku?

Gdy Rivera odwrócił się, zobaczył ciemnoskórego osobnika, który stał w drugim kącie przyczepy; składał zeznanie przed jednym z ludzi

Rivery i właśnie postąpił naprzód.

– Kim pan jest? – spytał Rivera.

– Jestem Paul Silas. Mieszkam w pobliżu Dill Town. Usłyszałem, co pan powiedział. Jeżeli wybiera się pan na zalewisko, lepiej, żeby miał pan kogoś, kto zna tę okolicę, albo pan i pańscy ludzie możecie już stamtąd nie wrócić.

Rivera patrzył na Silasa, który emanował opanowaniem i pewnością siebie.

– A pan zna te moczary?

– Troszeczkę. Nikt nie zna ich całych.

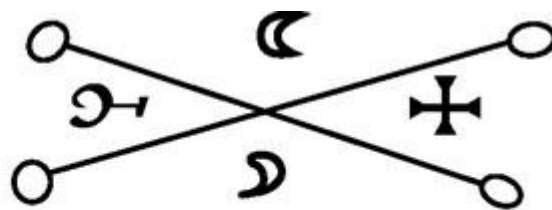
– Widział pan tę istotę na nagraniu?

– Widziałem.

– I nadal chce pan nam pomóc?

Silas wyjrzał z centrum dowodzenia, powiódł wzrokiem w stronę pogrążonego w ciemnościach miasteczka i ponownie popatrzył na Riverę.

– Jasne, że tak.



W kompletnej ciemności Constance wsłuchiwała się w odgłosy walki. Mimo że nasłuchiwała z uwagą, nie potrafiła określić, z kim walczy demon, wiedziała jedynie, że musiał to być ktoś bardzo silny i wytrzymały. Jednak w miarę trwania pojedynku, kiedy demon zawył triumfalnie, wyczuła, że jego przeciwnik przegrywa – a gdy odgłosy szamotaniny ucichły, zapanowała cisza, przerywana jedynie głośnym posapywaniem stwora. Ten ktoś drugi najwyraźniej zginął, co jej nie zaskoczyło.

Rozważyła swoją sytuację. Wiele lat spędziła w ciemnych piwnicach takich jak ta i kiedyś dysponowała naprawdę wyczulonym zmysłem słuchu i powonienia, potrafiła też nieźle widzieć w ciemnościach. Umiała poruszać się w kompletnej ciszy. Zmysły te, przytępione normalnym życiem bardziej, niż się tego spodziewała, znów się włączyły, zapewne za sprawą ciemności i niebezpieczeństwa czyhającego w tych tunelach. Nic nie widziała, nie było tu żadnego światła, ale słyszała wszystko doskonale.

Stwór znów zaczął posapywać, a może węszyć jak pies, próbując zwietrzyć jakąś woń – jej zapach. Tyle że nie było tu cyrkulacji powietrza, dopóki nic się nie poruszało, i musiała to wykorzystać na swoją korzyść.

Z wielką ostrożnością zaczęła oddalać się od źródła dźwięku, delikatnie przesuając jedną ręką wzdłuż ściany i badając jedną stopą grunt przed sobą, aby nie narobić hałasu. Dotarła do jednego, a potem drugiego i trzeciego załomu korytarza, a gdy okazało się, że zabrnęła w ślepią uliczkę, była zmuszona zawrócić. W którymś momencie natknęła się na stertę starych kości, które obróciły się w proch pod jej

dotykiem, kiedy je mijała.

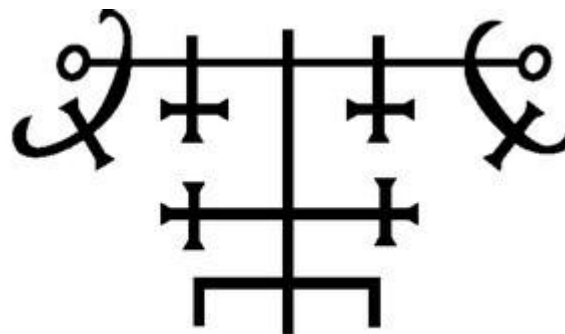
Wyczuła, że weszła do podziemnego labiryntu przecinających się korytarzy, wnęk i ślepych uliczek. Powietrze było tu zupełnie nieruchome, wszystko cuchnęło starością i stęchlizną. Na ziemi leżało sporo starych odpadków, a na ścianach roiło się od krocionogów, pajaków i stonóg. Może stwór nie znał aż tak dobrze tych starych tuneli. Musiała go wyminąć, a potem wydostać się stąd jak najszybciej.

Znów usłyszała głośne warczenie i sapanie i przyszło jej do głowy, że stwór może być ranny. Czuła, że demon wciąż jej szuka.

Ruszyła dalej, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza, chciała jedynie oddalić się od stwora. Kiedy jednak zaczęła iść, odgłosy ucichły. Dotarła do kolejnego rozgałęzienia tuneli i znieruchomiała. Usłyszała, jak stwór się porusza, ciężko dysząc, gdzieś przed nią; kierował się w jej stronę. Przywarła do ściany i czekała, wstrzymując oddech. Dźwięki przybliżyły się, a wynaturzony, jakże znajomy smród zdawał się ją otulać... Po chwili potwór ją minął, przechodząc do sąsiedniego tunelu.

Wypuściła powietrze. Demon najwyraźniej nie miał tak wyczulonego węchu, jak się tego obawiała. A może minął ją rozmyślnie?

Tak czy inaczej, teraz miała szansę. Jeżeli uda się w przeciwną stronę, niż poszedł demon, powinna dotrzeć do wyjścia. A przynajmniej oddali się od stwora. Zaczęła iść, przyspieszając kroku, gdy nagle poczuła zimną, niemal lodowatą dłoń zaciskającą się na jej twarzy i ustach.



Rivera stał przy radiowozie komendanta Mourdocka i patrzył, jak handler zajmuje się psami. Mężczyzna zjawił się błyskawicznie w towarzystwie dwóch potężnych psów gończych, wytrenowanych do polowań na szopy. Jak twierdził, psy wyjątkowo dobrze sprawdziły się na terenach podmokłych i bagiennych. Rivera miał nadzieję, że faktycznie tak było, i zwrócił uwagę, że szybko zbliżał się przypływ.

Tajemniczy Paul Silas stał nieco z boku, wysoki i milczący. Rivera zastanawiał się, czy dokonał właściwego wyboru, przyjmując jego pomoc. To prawda, że ten człowiek sprawiał wrażenie, że jest dawnym wojskowym. Gdy znów powiódł wzrokiem ponad ciemnymi, słonymi moczarami smaganymi wiatrem i unoszącymi się nad nimi oparami mgieł, zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty zapuszczać się do tego piekła bez przewodnika.

Kiedy czekał na przybycie opiekuna psów, opracował podstawową wersję wydarzeń. Zabójca po swoim morderczym przemarszu przez miasto udał się na Dune Road, gdzie dopadł komendanta Mourdocka, a potem zniknął, kierując się na południe. Głośno ujadając, psy zwietrzyły trop z radiowozu i ruszyły na moczary.

Silas podążył za psami, a Rivera pospieszył za nim, żeby nie zostać w tyle; Rivera miał latarkę, a Silas starą czołówkę. Za nimi szło pięciu uzbrojonych po zęby członków ekipy SWAT i oficer z silnym reflektorem, z którego wypływał sięgający na dobre sto metrów oślepiający snop światła.

Handler był potężnym rudobrodym mężczyzną w czapeczce Red

Soksów i sztormiaku. Nazywał się Mike Kenney i najwyraźniej znał swój fach. Psy też wyglądały groźnie. Kenney prowadził je na długich smyczach i w pełni nad nimi panował. Bez wahania podążały za tropem, sunąc pewnie przed siebie i wskazując Kenneyowi kierunek. Rivera nadal prowadził za nimi ekipę SWAT, mając u boku Silasa. Był zaopatrzony w wodoodporny GPS, który miał im pokazywać dokładne położenie.

– Domyśla się pan, dokąd on zmierza? – zwrócił się do Silasa.

– Wygląda na to, że idzie na przestrzał przez moczary. Czyli że kieruje się w stronę Crow Island.

– A co tam jest?

– Nic oprócz karłowatych sosen, piaszczystych wydm, starych ruin i plaży. W większości ten teren jest częścią rezerwatu przyrody.

– A co jest przed nami, o czym powinienem wiedzieć?

Rivera patrzył na GPS, ale nie był w stanie przełożyć tego, co widział na zielonożółtej mapie, na obraz rozszalałej dziczy, w której się znajdowali. Kenney i psy zniknęli wśród morza traw, a za nimi ekipa SWAT, słyszał jednak rozlegające się w oddali ujadanie psów, które zaczęło być nieco bardziej intensywne.

– No cóż – powiedział Silas – jeżeli nadal będzie posuwał się tą trasą, może to oznaczać, że zmierza w stronę kanału Stackyard.

– Co to takiego?

– To główny kanał pływowy w tym zalewisku. Są tu naprawdę bardzo silne pływy. Obecnie znajdujemy się w trzech czwartych poziomu przyływu, kiedy prąd jest najsilniejszy. Osiąga jakieś pięć, sześć węzłów.

– Czy mamy radę przejść przez ten nurt?

Silas parsknął drwiąco.

– Przy takim poziomie wód nie moglibyśmy nawet przepłynąć.

– A więc to go zatrzyma? Zmusi do zawrócenia?

– Jeżeli zabójca przechodził tędy godzinę lub dwie temu, poziom wód był znacznie niższy. Wtedy mógł tamtędy przepłynąć. Będziemy potrzebowali łodzi.

Rivera sklął sam siebie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Odpiął radio i skontaktował się z centrum dowodzenia.

– Barber, chcę, żebyś spuścił na wodę dwa zodiaki. Natychmiast. Wyślij je do kanału Stackyard. Znajdziesz go na mapie topograficznej.

Wyjaśnił, o co mu chodzi, i używając GPS-u, przesłał do centrali swoje koordynaty, aby tamci wiedzieli, dokąd mają wysłać łodzie. Ekipa przywiozła w przyczepie dwa zodiaki. Mogły zostać spuszczone na wodę w parę minut, a ponieważ miały naprawdę mocne silniki i na dodatek był przyływ, Rivera uznał, że dotarcie do umówionego punktu nie powinno im zająć więcej niż dziesięć minut.

– Kanał jest tuż przed nami – rzekł Silas.

Po chwili Rivera i jego ludzie znaleźli się nad brzegiem kanału. Rivera spojrzał przed siebie, na mierzący ponad piętnaście metrów średnicy silny nurt czarnej, szybko płynącej wody, na której powierzchni widać było złowrogie wiry i wypiętrzenia fal. Wiatr hulał nad wodą, chłoszcząc trzcinowe zarośla i przynosząc ze sobą kąśliwe krople deszczu. Promień reflektora przeciął półmrok i oświetlał przeciwległy brzeg, gdzie w błocie widać było ślady stóp.

– A więc przepłynął – rzekł Silas.

– Przybicie łódką do brzegu w tych warunkach to będzie koszmar.

Silas pokiwał głową.

– Domyśla się pan, czemu zmierza akurat tam? Wygląda na to, że wie, dokąd idzie.

Silas pokręcił głową.

Rivera wskazał na kanał.

– Jest ich więcej?

– Tylko trochę sitowia i trzcin oraz parę błotnistych równin, za którymi rozciągają się gęste zarośla.

Kenney mocował się z psami, próbując odciągnąć je od brzegu. Psy niemal szalały, bo opiekun nie pozwalał im zejść do wody. Kenney, który do tej pory przemawiał do nich cichym, spokojnym głosem, zaczął tracić opanowanie.

Rivera podszedł do niego.

– Za chwilę będą tu dwa zodiaki.

– Oby jak najszybciej – odparł handler. – Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby psy były tak podekscytowane.

Psy znów zaczęły gardłowo ujadać i rwały się ze smyczy. Kenney

odezwał się do nich ostro. Pomędzy brzegami płynął wartki, wzburzony nurt, biada człowiekowi lub zwierzęciu, które wpadłoby do tej wody.

Rozległy się trzaski z radia Rivery.

– Jakieś pół kilometra od was – rozległ się głos dyspozytora.

Rivera spojrział w górę rzeki i po chwili w strugach deszczu dostrzegł białe światło, z zielonym i czerwonym po bokach.

– Kenney – powiedział – ty i psy wejdziecie do pierwszej łodzi.

My wsiądziemy do drugiej.

– Dobrze.

– Tylko ostrożnie. To nie będzie miła przejażdżka.

Pierwszy zodiak pojawił się w świetle reflektora, pilot minął miejsce, gdzie stali, po czym pchnął drążek steru w prawo, kierując łódź pod prąd i podpływając wolniej do brzegu, z nieznacznie uniesionym silnikiem i spieniającą wodę śrubą.

– Najpierw psy! – zawołał Rivera.

Łódź ustawiła się równolegle do brzegu i coraz bardziej się zbliżała. Psy, wciąż rwące się wściekle ze smyczy, najwyraźniej nie wiedziały, co mają robić. Kenney mocno ściągnął smycze i rozkazał:

– Do łodzi! Do łodzi!

Przez chwilę wydawało się, że psy wskoczą do motorowego pontonu równocześnie, lecz w ostatniej chwili jeden z nich się zawahał. Z głośnym okrzykiem Kenney i pies wpadli do spienionej wody.

– Koło ratunkowe! – zawołał Rivera. – Rzućcie mu koło ratunkowe.

W silnym świetle reflektora Rivera ujrzał bladą twarz znoszonego przez prąd Kenneya. Nieopodal pies gończy przebierał gwałtownie łapami, walcząc z nurtem. Wytrzeszczył ślepią, skamlał przerażony i próbował rozpaczliwie dopłynąć do brzegu. Pies, ciągnąc za sobą smycz, w którymś momencie napotkał silny wir i zaczął kręcić się po jego obwodzie z wywieszonym jęzorem, podczas gdy Kenney starał się do niego dopłynąć. Skamlenie psa zmieniło się w upiorny charkot, gdy pilot zodiaka dodał gazu i skierował łódź w stronę Kenneya, a drugi pies, siedzący w pontonie motorowym, zaczął głośno ujadać i sprawiał wrażenie, jakby on też miał lada chwila wyskoczyć za burtę. W kilka sekund zodiak dopłynął do Kenneya i rzucono mu koło ratunkowe.

Handler pochwycił je i został podholowany do łodzi, po czym wspólnie pilot i jego pomocnik wciągnęli go do pontonu.

– Ratujcie psa! – zawołał opiekun.

Pilot zawrócił łódź, kierując ją w stronę spienionej kipieli. Zanim jednak tam dotarli, pies już poszedł pod wodę. Rivera zdążył jeszcze tylko dostrzec w świetle reflektora błyszczące obwisłe uszy i wywieszony jęzor, a na koniec dwie obracające się łapy, które szybko zostały wciągnięte w szarą, rozszalałą toń.

Kenney wydał z siebie przejmujący, rozpaczliwy jęk i trzeba go było powstrzymać, żeby nie wskoczył do wody za swoim pupilem. Łódź zatoczyła jeszcze kilka kręgów wokół tego miejsca, ale pies już nie wypłynął na powierzchnię.

Z radia dobiegł głos Rivery.

– Niech pan dowiezie ich na drugi brzeg – zwrócił się do pilota. – Musimy iść dalej, choćby z jednym tylko psem.

– Tak jest.

– Niech podpłynie drugi zodiak.

Drugi ponton motorowy, który był zbyt daleko, by wziąć udział w akcji, zbliżył się i zrobił zwrot pod prąd, kierując się ku brzegowi. Mężczyźni wskoczyli do łodzi, Rivera na samym końcu, po czym ruszyli w drogę na drugą stronę kanału. Po chwili dziób pontonu zarył w błoto na przeciwległym brzegu obok pierwszego zodiaka i kilka sekund później znów znaleźli się na lądzie.

– Mój pies! – krzyczał Kenney. – Musimy wrócić po mojego psa!

Rivera schwycił go za ramię i potrząsnął nim.

– Już po twoim psie. Mamy robotę do wykonania.

Mężczyzna, którego czapka ociekała wodą, a ubranie było przemoczone, spojrzął na Riverę, jakby niczego nie rozumiał. Nie ma mowy, żeby poszedł dalej z nimi. Rivera odwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Dobra, odwieź pana Kenneya z powrotem do centrum dowodzenia. Psa zatrzymamy.

– Nie, nie! – zaprotestował handler. – Tylko ja mogę zajmować się psami!

– Zabierzcie stąd Kenneya! – Rivera schwycił smycz. – W drogę.

Wyruszyli wśród gęstwiny traw.

Rivera pozostawił wciąż protestującego Kenneya na brzegu. Silas szybko i cicho szedł tuż obok niego. Pies znów złapał trop i pognął naprzód długimi susami, głośno ujadając.

– Wygląda na to, że faktycznie zmierzał w stronę południowego krańca Crow Island – rzekł Silas.

– Tak, ale czego, u diabła, miałby tam szukać? – spytał Rivera.

– Cóż, jeśli nadal będzie podążał tą trasą, powinien dotrzeć do ruin Oldham.

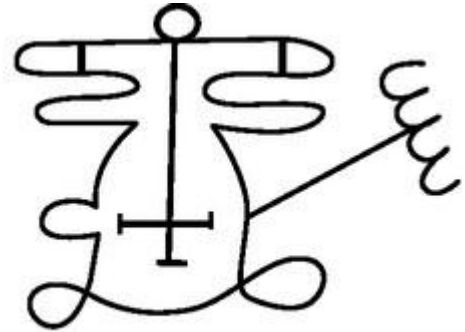
– Oldham?

– Starej wioski rybackiej, która została spustoszona przez huragan w latach trzydziestych. Teraz nic tam nie ma oprócz dołów piwnicznych i...

– I czego?

Silas parsknął drwiąco.

– To zależy, czy wierzy pan w stare legendy.



Constance wrywała się tylko przez chwilę, do momentu gdy poczuła ciepły oddech omiatający jej ucho i usłyszała wypowiedziane szeptem słowo:

– Aloysius.

Rozluźniła się, a on ją puścił.

– Musimy uciekać – wyszeptał jej wprost do ucha. – Nie mamy szans z tym zabójcą na jego terytorium.

– Masz rację – przyznała, czując się niezręcznie pomimo poważnego zagrożenia, w jakim się znaleźli. – Ale kompletnie się pogubiłam.

– Niestety ja również.

To ją zaskoczyło.

– Pogubiłeś się?

– Coś... odwróciło moją uwagę. Wiesz, gdzie jest zabójca?

– Przechodził tędy przed chwilą. Może zdołam go usłyszeć.

Chwileczkę. – Zamilkła.

Udało jej się wychwycić prawie niesłyszalne odgłosy istoty, posapującej i krzątającej się gdzieś w pobliżu. Stwór był z całą pewnością ranny. Dźwięki przesunęły się to w jedną, to w drugą stronę, kiedy stwór najwyraźniej ich szukał.

– Słyszysz to? – spytała.

– Obawiam się, że nie. Masz bardziej wyostrzony słuch niż ja.

Znów nasłuchiwała w ciszy. Dźwięki były zniekształcone przez tunele i w końcu ucichły. Czekwała, ale nie rozległy się ponownie.

– Wygląda na to, że się od nas oddala.

– Tak jak się obawiałem.

Nie zapytała, czego się obawiał; to było jedno z tych pytań, na które z reguły nie odpowiadał. W końcu się odezwał, a jego głos znów wpłynął szeptem do jej ucha.

– Masz więcej doświadczenia z ciemnymi tunelami niż ja.

Domyślasz się, gdzie może być wyjście?

Po tym, co powiedział, Constance zrozumiała, że ponieważ przez wiele lat błąkała się po podziemnych tunelach i piwnicach rezydencji przy Riverside Drive, to na jej barkach spoczywa teraz odpowiedzialność za ich ucieczkę.

– Może. Słyszałeś o Johnie Pledge'u z Exeter w Anglii?

– Nie. Dlaczego o nim wspominasz?

– Pledge był miłośnikiem żywopłotowych labiryntów. Opracował sposób mający pomóc w wydostaniu się z każdego, nawet najbardziej złożonego labiryntu. Zaczynasz w dowolnym kierunku, przykładając dłoń do ściany po prawej i liczysz zakręty. Po czterech, jeśli wszystkie są zakrętami pod kątem prostym, odrywasz dłoń od ściany i idziesz dalej w tym samym kierunku co na początku, dopóki nie napotkasz kolejnej ściany...

Constance poczuła, że Pendergast przykładą palec do jej ust.

– Po prostu daj mi rękę i prowadź.

Podawała mu dłoń, a on wymamrotał ze zdumieniem:

– Masz na rękach kajdanki.

– Tak. A twoje dłonie są wilgotne. Czy to krew?

– To nic. Unieś, proszę, rękę.

Poczuła, jak manipuluje przy kajdankach. Jedna obręcz otworzyła się, potem druga.

– Jesteś ranny? – spytała.

– Powtarzam: to nic – odrzekł ostrym tonem. – Nie wspominaj o tym więcej.

Po chwili znów się odezwał:

– Wybacz mi oschły ton, Constance. Miałaś rację, a ja się myliłem.

Tu, w Exmouth, rzeczy dzieją się na dwóch poziomach i jeden z nich jest znacznie głębszym poziomem zła niż ten drugi. Ta sprawa nie

przypomina żadnego śledztwa związanego z seryjnymi zabójcami, przy których zdarzyło mi się pracować. Po prostu tego nie dostrzegłem.

– Nieważne – odparła, znów czując się niezręcznie.

Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale tylko dał jej znak, żeby ruszyła przodem.

Zaczęła przesuwać się w głąb korytarza, jedną dłonią dotykając ściany, a drugą trzymając za rękę Pendergasta i stopą wyszukując drogę przed sobą. W tunelach panowała cisza. Kontynuowała marsz, posługując się metodą Pledge'a, odliczając zakręty, a zadanie ułatwiał fakt, że niemal wszystkie miały kąt prosty.

Pendergast zatrzymał się.

– Powietrze jest tu świeższe – powiedział. – Nie tak zatechłe.

– Zauważyłam.

– Wyteż słuch raz jeszcze, bardzo proszę – wyszeptał.

Spróbowała wychwycić jakiegokolwiek dźwięki poza stłumionymi wibracjami fal i kapania wody.

– Nic.

– Tego się obawiałem. Teraz jestem już pewien, że czai się gdzieś w zasadzce. Najlogicznym miejscem byłaby kryjówka w pobliżu wejścia do tych tuneli. Powiem ci, co teraz zrobimy. Pójdę pierwszy. On zaatakuje. Kiedy to się stanie, odwrócę jego uwagę, podczas gdy ty przebiegniesz obok i wydostaniesz się na zewnątrz. Będę tuż za tobą.

– Wiesz dobrze, że cię nie zostawię.

– Jeżeli tego nie zrobisz, zginiemy oboje. Zrób, proszę, tak jak mówię.

– Mam sztylet.

– Daj mi go.

Wyjęła broń pomiędzy fałd sukni i mu ją podała.

– Obiecuj mi coś. Kiedy dotrzemy do wyjścia, masz zacząć biec i nie zatrzymywać się ani na chwilę.

– Dobrze – skłamała.

I gdy znów miała poprowadzić go dalej, zawahał się.

– O co chodzi? – spytała.

– To wyjątkowo niefortunny moment, żeby o tym mówić, ale muszę to powiedzieć.

Poczuła, że jej serce zaczyna bić coraz szybciej.

– Musisz być przygotowana na konfrontację, Constance.

– Jestem gotowa.

Zapadła krótka chwila ciszy.

– Nie. Nie na tę konfrontację. Na inną.

– Nie rozumiem.

– Gdyby coś mi się stało, niczego z góry nie zakładaj.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Pendergast przystanął w ciemnościach.

– Ktoś tu był. Ktoś, kogo, obawiam się, zarówno ja, jak i ty znamy zbyt dobrze.

Constance poczuła, jak w ciemnościach przenika ją lodowaty chłód.

– Kto? – spytała, ale po jego głosie zorientowała się, kogo miał na myśli. Lodowaty chłód z miejsca przerodził się w palący żar.

– Odkryłem, że ktoś manipulował przy kajdankach i kłódce na drzwiach celi tej istoty. Zrobił to wyjątkowo sprytnie. Dlaczego? W grę wchodzi tu naprawdę perwersyjna logika i mam niezbitą pewność, że wiem, kto się nią kieruje.

– Czy to ma coś wspólnego z postacią na wydmach?

Pendergast zbył jej pytanie, mówiąc krótko:

– Tak, lecz nie czas teraz na wyjaśnienia. Posłuchaj, proszę.

Bezgranicznie ufam Proctorowi. Gdyby coś mi się stało, oddaj się w jego ręce. On będzie dla ciebie tym wszystkim, kim ja jestem teraz. Twoim obrońcą i opiekunem. Powtarzam: niezależnie, co się stanie, niezależnie, co mogłoby się wydawać, niczego z góry nie zakładaj.

– Ale, Aloysiusie... – zaczęła, zamilkła jednak, kiedy poczuła na ustach dotyk jego palca.

Zaraz potem Pendergast ścisnął jej dłoń, dając znak, by poprowadziła go w głąb tunelu.



Szli dalej, pokonując kolejne zakręty. Wkrótce Constance zwróciła uwagę, że powietrze stało się chłodniejsze i dało się w nim wyczuć jakieś poruszenie; zbliżyli się do wyjścia. Mimo że świeższe, powietrze wciąż było przesycone odrażającym odorem bestii.

Zdała sobie sprawę, że Pendergast doszedł do tego samego wniosku, bo nagle przystanął i samym tylko dotykiem zmusił ją, by stanęła z tyłu za nim.

Dalej podążali w kompletnej ciszy i znacznie wolniej niż dotychczas. Znajdowali się teraz w długim prostym tunelu, który, jak podejrzewała, prowadził do świata zewnętrznego. Po minucie dała Pendergastowi znak, żeby znów się zatrzymał, by mogła ponownie nasłuchiwać.

Wychwyciła ciężki oddech. Bestia wyraźnie próbowała nad nim zapanować, ale nie mogła przestać sapać i dyszeć. Była przed nimi. Constance oznajmiła jej obecność, lekko ściskając Pendergasta za rękę. Odpowiedział ściśnięciem jej dłoni, dając do zrozumienia, że on też to usłyszał.

Puścił jej rękę, a potem kreśląc palcem litery na skórze jej dłoni, bardzo powoli i zmuszając przekazał Constance następującą wiadomość:

RUSZAM NA TRZY
BĄDŹ TUŻ ZA MNĄ
GDY WYWIĄŻE SIĘ WALKA
BIEGNIJ I NIE ZATRZYMUJ SIĘ

Ścisnęła jego rękę na znak, że rozumiała. Ujął jej dłoń

i stuknąwszy w nią delikatnie palcami trzy razy, w mgnieniu oka zniknął, rzucając się naprzód bezszelestnie jak wylatujący z jaskini nietoperz.

Pospieszyła za nim, biegnąc na oślep, z ramionami wyciągniętymi przed sobą.

Nagły ryk rozdarł powietrze na wprost niej, a potem dał się słyszeć odgłos ostrza rozcinającego ciało, jakby nóż rzeźnika porcjował mięso. Po chwili rozległ się hałas gwałtownej, desperackiej walki. Przebiegła obok i już miała się zatrzymać, gdy Pendergast zawołał:

– Biegnij dalej, jestem tuż za tobą!

Gnali przez mrok, wciąż na oślep, aż Constance usłyszała, jak stwór ponownie puścił się za nimi w pościg przy wtórze wysokich gardłowych wrzasków. Zrozumiała, że Pendergast zadał demonowi poważny cios, ale najwyraźniej stwór wciąż mocno trzymał się na nogach i nie zamierzał odpuścić ani tym bardziej wyzionąć ducha.

Nagle Constance zobaczyła w oddali światło i w ciemnościach zamajaczyły kamienne schody. Zatrzymała się i odwróciła, by ujrzeć Pendergasta biegnącego w jej stronę.

– Nie zatrzymuj się! – powtórzył, mijając ją.

Pokonał kolejne stopnie, po czym silnym pchnięciem ramienia otworzył żelazną uchylną klapę pełniącą funkcje drzwiczek. Obrócił się na pięcie, pomógł Constance wydostać się na zewnątrz, zatrasnął żelazne drzwiczki, a następnie wyniósł ją z piwnicznego dołu. Znaleźli się wśród ruin Oldham. Gdy biegli w stronę plaży, Constance usłyszała, jak demon z bluźnierczym skrzeczeniem przebił się przez żelazną płytę drzwiczek.

Minęli właśnie wydmy i dotarli na poziom plaży. Kiedy demon ich dogonił, Pendergast odwrócił się, żeby stawić mu czoło ze sztyletem w ręce i znowu nakazał Constance, aby biegła dalej. Ona jednak się zatrzymała i odwróciła, by ujrzeć, jak Pendergast i demon zderzają się z potężnym impetem i splatają w morderczym uścisku. Pendergast trzymał nóż uniesiony do ciosu, a Morax, pozbawiony teraz dwóch palców, usiłował mu go wyrwać; cała ta scena była skąpana w słabym świetle przedświt. Burza osłabła, jednak morze wciąż było niespokojne – wielkie fale dźwigały się w górę i sunęły pośród pióropuszy piany, by

roztrzaskać się o brzeg i rozlać się po plaży. Powietrze było pełne pyłu wodnego.

Constance patrzyła przez chwilę niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. Z przerażeniem zauważyła, że Pendergast jest poważnie ranny. Przód jego koszuli był rozdarty, a twarz po jednej stronie podrapana i ociekająca krwią. Demon wił się i skręcał, gdy obaj walczyli o zyskanie przewagi, jednak ostatecznie to olbrzym ją zdobył i wyrwawszy sztylet z ręki Pendergasta, cisnął go do morza. Zamachnął się na agenta potężnym ramieniem; Pendergast uchylił się przed ciosem, lecz osłabiony od ran, stracił równowagę. Potwór poharatał go ogromnym łapskiem, rozdzierając mu ubranie i zmieniając je w okrwawione strzępy.

Pendergast cofnął się i teraz walczący zmienili taktykę: wymierzali bloki i ciosy, aż zepchnęli się na brzeg morza. Pendergast wycofał się aż do wody, jakby realizował jakąś przemyślaną strategię i chciał w ten sposób zyskać przewagę nad przeciwnikiem. Jednak strategia zawiodła, gdyż Morax potężnym ciosem odrzucił Pendergasta w spienioną wodę. Kiedy agent próbował podźwignąć się na nogi, demon pochylił się nad nim i uniósł ogromną dłoń, szykując się do zadania zabójczego ciosu.

Constance straciła panowanie nad sobą. W przypiływie milczącej furii przebiegła po wilgotnym piasku, rzuciła się do wody i wskoczyła na grzbiet monstrum. Chwyciła palcami jego czaszkę i zatopiła zęby w jego szyi. Jej usta wypełnił ohydny smak gumowatego ciała. Stwór, zaskoczony gwałtownością ataku, zawył przeciągle i odwracając się od Pendergasta, zaczął wirować wkoło, próbując dosięgnąć Constance i uwolnić się od niej. Jego palce raz po raz chwytaly jej ubranie, rozrywając materiał. Ona jednak wczepiła się uparcie w jego wydatne czoło i szarpnąwszy z całej siły, wyrwała z szyi potwora strzęp tkanek, po czym go wypluła i wgryzła się ponownie, usiłując sięgnąć tętnicy szyjnej.

Demon, rycząc z bólu, zatoczył się do wody. Pojawiła się kolejna fala i runęła na nich, w jednej chwili oboje zostali pochłonięci przez wzbierającą lodowatą wodę. Szok wywołany chłodem sprawił, że Constance rozluźniła chwyt i ześlizgnęła się z grzbietu demona. Nie umiejąc pływać, zaczęła rozpaczliwie wymachiwać rękami i nogami

w spienionej kipieli, aż poczuła, że spod jej stóp wzbijają się chmury piasku, i zrozumiała, że wytracająca siły fala wynosiła ją na brzeg. Wpiła palce w wilgotny piach, żeby woda nie wciągnęła jej na powrót w otchłań. Poczuela, że piasek prześlizguje się między jej palcami, kiedy silne ramiona pochwyciły ją i podniosły na nogi. Oto ujrzała przed sobą Pendergasta, który patrzył na nią ze zgrozą. Dopiero po chwili zorientowała się, co było tego powodem – w przyływie przerażenia zapomniała, że wciąż miała między zębami strzęp ciała wyrwany z szyi potwora.

Tymczasem Morax brnął przez wodę w ich stronę z twarzą wykrzywioną z bólu i wściekłości. Pendergast podbiegł, żeby stanąć między Constance i demonem i raz jeszcze ci dwaj zwarli się z impetem. Pendergast z wysiłkiem zepchnął potwora do wody, ale po chwili ich obu porwała sunąca ku brzegowi gigantyczna fala.

Spieniona biała woda zwała Constance z nóg i żeby nie została pochłonięta przez żywioł, dziewczyna rozpaczliwie orała palcami piach. Tym razem udało jej się utrzymać, a fala się cofnęła. Ciesząc się chwilą odpływu, wpełzła dalej na plażę, tam gdzie woda już nie sięgała.

Słońce właśnie wzniosło się ponad krwawym horyzontem, rzucając blady poblask na jej twarz. Zamrugła ospale powiekami. Widziała jedynie wielkie karmazynowe grzywacze, przetaczające się ku brzegowi, a następnie wycofujące się przy wtórze głośnego łoskotu. A pośród fal stał demon. Nagle zaprzestał wszelkiej walki i wpatrywał się we wschodzące słońce jak urzeczony, na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech, jedna ręka uniosła się, jakby próbował dotknąć gorejącej tarczy, palec wskazywał na nią, a spieniona woda wokół jego nóg poczerwieniała od tętniczej krwi.

Gdzie był Pendergast?

Constance podniosła się, krzycząc:

– Aloysiusie! Aloysiusie!

Wyteżyła wzrok, patrząc ku oślepiającej pomarańczowej powierzchni morza i wtedy go zobaczyła, jego blade oblicze unosiło się i opadało tuż za strefą przyływu. Ramiona agenta prawie się nie poruszały.

– Aloysiusie!

Zrobiła kilka niepewnych kroków i weszła do wody. Rozpaczliwie próbował płynąć, ale był najwyraźniej osłabiony, ciężko ranny, a prądy szybko zaczynały go znosić z dala od brzegu.

– Aloysiusie!

Jak przez mgłę usłyszała dochodzące skądś ujadanie psa.

Morax osunął się w czerwoną od krwi wodę.

Constance, potykając się, weszła do morza. Nie zważała na fale rozbijające się o jej nogi. Brnęła w stronę walczącego desperacko Pendergasta, mimo że przecież nie umiała pływać, a podarta ciężka suknia krępowała jej ruchy.

– Zatrzymać ją! – zawołał ktoś z tyłu za nią.

Nagle po obu jej stronach pojawili się ludzie. Jeden krzepki ogorzały mężczyzna schwycił ją za ramiona, drugi złapał w tali. Próbowwała się wyrwać, ale wywlekli ją na brzeg.

– Puśćcie mnie! – zawołała.

Rozległ się głos mężczyzny:

– Nic nie możesz zrobić.

Walczyła jak lwica, krzycząc i wyrywając się.

– Nie widzicie? Jest za słaby, żeby płynąć!

– Widzimy go. Wezwiemy łódź ratunkową.

Wciąż się wyrywała, ale tamtych było zbyt wielu.

– On tonie! Ratujcie go, na miłość boską!

– Nikt nie może wejść do tej wody! – dał się słyszeć ten sam męski głos.

– Tchórze!

Próbowała sama wejść do wody, ale pojawiło się więcej mężczyzn i chociaż walczyła jak opętana, zdołali ją wyciągnąć i zawlec w stronę wydm. Zobaczyła jeszcze czterech mężczyzn w mundurach wojskowych. Wspólnymi siłami udało im się ją unieruchomić, mimo że wyrywała się, pluła i kopała.

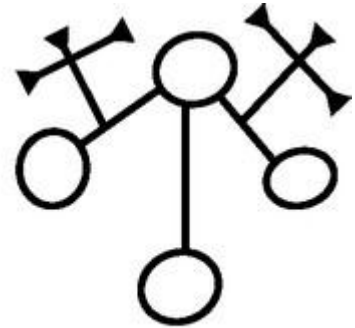
– Zabiję was! Puśćcie mnie!

– Jezu, cóż za dzika kocica! Nie do wiary, że potrzeba nas aż sześciu, żeby ją powstrzymać!

– Nie mam na to czasu. Dajcie apteczkę.

Rozciągnęli ją na piasku. Przyszpilili do ziemi twarzą do dołu,

zakuli w kajdanki i unieruchomili, a zaraz potem poczuła ukłucie zimnej igły zagłębiającej się w jej udzie... i nagle wszystko stało się dziwne i odległe.



Epilog

Listopad

Proctor delikatnie otworzył podwójne drzwi do biblioteki, aby pani Trask mogła wejść do środka ze srebrną tacą, na której stała zastawa do herbaty.

W pomieszczeniu panował półmrok rozjaśniony jedynie ogniem dogasającym w kominku. Przed kominkiem, w fotelu, Proctor mógł dostrzec nieruchomą postać, niewyraźną w słabym świetle.

Pani Trask podeszła ku postaci i postawiła tacę przy fotelu.

– Pomyślałam, że dobrze pani zrobi filiżanka herbaty, panno Greene – rzekła z troską w głosie.

– Nie, dziękuję, pani Trask – powiedziała cicho Constance.

– To pani ulubiona. Jaśminowa, pierwszorzędna. Przyniosłam także kilka magdalenek. Upiekłam je dziś po południu. Wiem, że je pani lubi.

– Nie jestem głodna. Dziękuję, że się pani fatygowała.

– Cóż, zostawię je tutaj, na wypadek gdyby zmieniła pani zdanie. –

Pani Trask uśmiechnęła się z matczyną troską, odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z biblioteki. Zanim dotarła do Proctora, uśmiech zniknął z jej ust, zastąpiony ponownie przez niepokój.

– Nie będzie mnie tylko parę dni – rzekła półgłosem. – Moja siostra powinna wrócić do domu ze szpitala najdalej w przyszły weekend. Na pewno dasz sobie radę?

Proctor pokiwał głową, po czym patrzył, jak pani Trask skierowała się z powrotem do kuchni, zanim znów podniósł wzrok na postać

siedzącą w fotelu.

Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd Constance wróciła do rezydencji przy Riverside Drive. Wróciła ponura i milcząca, bez agenta Pendergasta i bez słowa wyjaśnienia, co się wydarzyło. Proctor potrzebował czasu, cierpliwości i wysiłku, żeby wyciągnąć z niej całą historię. Nawet teraz jej opowieść wydawała się bez sensu i nie był pewien, co się właściwie stało. Wiedział jednak, że ten wielki dom bez Pendergasta diametralnie się zmienił. Podobnie jak Constance.

Po powrocie z Exmouth zamknęła się w swoim pokoju i całymi dniami stamtąd nie wychodziła, przyjmując posiłki z wielką niechęcią. Kiedy w końcu się pojawiła, wydawała się całkiem odmieniona: była wymizierowana jak zjawa. Proctor zawsze miał wrażenie, że była opanowana, pełna rezerwy i wyjątkowo pewna siebie. Jednak w kolejnych dniach stawała się coraz bardziej niespokojna i przepelniona dziwną nerwowością: krążyła po salach i korytarzach, jakby czegoś szukała. Porzuciła wszystkie zajęcia, którymi pasjonowała się do tej pory: badanie linii rodowej Pendergasta, studia antykwaryczne, lekturę i grę na klawesynie. Po odwiedzinach porucznika D'Agosty, kapitan Laury Hayward i Margo Green odmówiła widywania się z kimkolwiek. Poza tym sprawiała wrażenie czujnej – Proctor nie potrafił tego inaczej określić, ale wydawało mu się, jakby stale miała się na baczności. Przebłyski dawnej Constance pojawiały się z rzadka, kiedy zadzwonił telefon albo kiedy Proctor przynosił pocztę odebraną ze skrytki. Wiedział, że miała nadzieję, iż nadejdzie jakaś wiadomość od Pendergasta. Ale nie nadchodziła.

Proctor postawił sobie za punkt honoru, żeby zebrać wszelkie informacje o zniknięciu swojego pracodawcy. Poszukiwania jego ciała trwały pięć dni. Ponieważ zaginiony był agentem federalnym, zaangażowano wyjątkowe siły. Kutry gwardii przybrzeżnej przeczesywały wody u wybrzeży Exmouth; miejscowi funkcjonariusze i członkowie straży przybrzeżnej sprawdzali wybrzeże od granicy New Hampshire aż do Cape Ann, wypatrując jakichkolwiek śladów Pendergasta, choćby strzępów odzienia. Nurkowie starannie zbadali skały, na których mogło uwięznąć ciało wyniesione przez prądy, a dno morskie przebadano z użyciem sonaru. I nic. Sprawa oficjalnie

pozostawała otwarta, lecz martwa. I chociaż wyniki poszukiwań nie dały ostatecznego rozstrzygnięcia, po cichu uważano, że Pendergast, ciężko ranny po starciu z potworem, musiał się natknąć na wyjątkowo silny prąd znoszący, a osłabiony walką z falami i wyziębiony w wodzie o temperaturze rzędu dziesięciu stopni Celsjusza, został wyniesiony przez prądy na otwarte morze i utonął.

Proctor usiadł obok Constance. Uniosła wzrok i popatrzyła na niego przez chwilę, posyłając mu wąty, prawie niedostrzegalny uśmiech. A potem znów przeniosła wzrok na ogień w kominku. Dogasające płomienie rzucały ciemne cienie na jej fiołkowe oczy i krótko obcięte ciemne włosy.

Odkąd wróciła, Proctor najlepiej, jak potrafił, starał się o nią zadbać, wiedział bowiem, że tego właśnie życzyłby sobie jego pracodawca. Jej rozchwianie emocjonalne wzbudziło w nim głębokie pragnienie otoczenia jej opieką – jak na ironię, bo w normalnych okolicznościach Constance była ostatnią osobą, która mogła pragnąć czyjejs opieki. A jednak, mimo że nie mówiła tego otwarcie, wydawała się zadowolona, iż się nią zajmował i o nią troszczył.

Postanowił raz jeszcze spróbować do niej dotrzeć, pomóc wyrwać ją – przynajmniej na pewien czas – z zaklętego kręgu poczucia winy i straty, w którym została mentalnie uwięziona.

– Constance? – rzekł łagodnie.

– Tak? – spytała, nie odrywając wzroku od ognia.

– Czy zechciałabyś raz jeszcze opowiedzieć mi ostatnią część tej historii? Wiem, że już to robiłaś, ale wciąż nie do końca rozumiem, co się stało – co się naprawdę wydarzyło – podczas walki z tą... istotą zwaną Moraxem, kim ona właściwie była i jak udało jej się... pokonać pana Pendergasta.

Przez dłuższą chwilę milczała. Wreszcie poruszyła się niespokojnie i wciąż wpatrując się w ogień, zaczęła mówić:

– Wyjaśniłam ci już, że wskutek defektu genetycznego w postaci szczątkowego ogona Morax wyglądał tak, jak wyglądał, a czarownice i czarownicy z Exmouth wykorzystali tę anomalię genetyczną i potęgowali ją poprzez hodowlę, tak jak inni hodują psy konkretnej rasy. Te czarownice i czarownicy mieli obsesję na punkcie jego podobieństwa

do demona Moraxa, którego wizerunek pojawiał się w ich starych grimuarach i spisach demonów. Kobiety, które wydawały te istoty na świat, były traktowane jak reproduktorki, jak podludzie, były przetrzymywane w zamknięciu w strasznych warunkach i wykorzystywane dosłownie i w przenośni do udziału w obrzędach satanistycznych. To dlatego Morax, kiedy się w końcu uwolnił, skierował swój morderczy gniew w pierwszej kolejności przeciwko członkom kowenu. Niewinne osoby, skądinąd nieliczne, które padały jego ofiarą, po prostu miały to nieszczęście, że znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze albo, oględnie mówiąc, weszły mu w drogę.

– Ale... – Proctor szukał odpowiednich słów. – Jak ten dziwoląg zdołał pokonać pana Pendergasta?

Constance przez chwilę patrzyła na serwis do herbaty, po czym znów przeniosła wzrok na tańczące płomienie.

– On nie pokonał Aloysiusa. Stwór umarł.

– Ale pan Pendergast...

– Nie zginął – dokończyła stanowczym tonem, jednak Proctor po raz pierwszy wychwycił w jej głosie nutę powątpiewania. Znikło gdzieś opanowanie, które towarzyszyło jej od chwili powrotu.

Proctor wziął głęboki oddech. Ponownie spróbował skupić myśli Constance na czymś innym.

– Jak wobec tego ten stwór zdołał zabić aż tylu ludzi?

– Sposób, w jaki był traktowany, zmienił go w socjopatyczną bestię. Tylko jedno pomagało utrzymać go w ryzach, poza batem i kajdanami, ma się rozumieć. Była to obietnica, jaką najwyraźniej mu złożono, albo raczej, którą składano mu wielokrotnie, że pewnego dnia zostanie zabrany na powierzchnię, żeby zobaczyć słońce i mógł pławić się w jego ciepłych promieniach. Wszystko wskazuje na to, że miał na tym punkcie obsesję. Kiedy uciekł z labiryntu podziemnych tuneli i ujrzał ciemną, bezksiężycową noc, uznał, że został oszukany. I dał upust swojej wściekłości – Przerwała.

– Ale... zanim umarł, jego pragnienie się spełniło.

– Nie na wiele się to zdało.

Constance wyprostowała się w fotelu.

– Proctorze, skoro mowa o tunelach... Postanowiłam zejść do podziemi.

Jej oświadczenie kompletnie zbiło go z tropu.

– Chcesz powiedzieć: na dół, gdzie mieszkałaś wcześniej?

Nie odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Aby... nauczyć się akceptować to, co nieuniknione.

– Czemu nie możesz robić tego tutaj z nami? Nie możesz znów zejść na dół.

Odwróciła się i spojrzała na niego z taką intensywnością, że przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Zdał sobie sprawę, że nie zdoła nakłonić jej do zmiany decyzji. Przynajmniej dała do zrozumienia, że w końcu zamierza zaakceptować, iż Pendergast odszedł na zawsze, a to już jakiś postęp. Może.

Wstała z fotela.

– Napiszę list do pani Trask z instrukcją, jakie rzeczy i niezbędne przybory ma pozostawić w windzie towarowej. Będę przyjmowała jeden posiłek dziennie, dokładnie w południe. Niech go zostawia w windzie towarowej na przykrytym półmisku.

Proctor także wstał. Ujął ją za ramię.

– Constance, musisz mnie posłuchać...

Spojrzała na jego dłoń, a potem popatrzyła mu w oczy takim wzrokiem, że natychmiast ją puścił.

– Dziękuję, Proctorze, że respektujesz moje życzenia.

Ponownie go zaskoczyła, gdy wspiąwszy się na palce, delikatnie pocałowała go w policzek. A potem odwróciła się i wolno, niemal lunatycznym krokiem przeszła na drugi koniec biblioteki, gdzie za fałszywym regałem ukryta była winda towarowa. Odsunęła regał, wślizgnęła się do czekającej windy, zamknęła ją za sobą – i już jej nie było.

Proctor przez dłuższą chwilę wpatrywał się w to miejsce. To było jakieś szaleństwo. Pokręcił głową i odwrócił się. I znów nieobecność Pendergasta kładła się mrocznym cieniem na całą rezydencję, także na niego. Poczul, że zawiódł, jeżeli chodziło o Constance. Potrzebował czasu, aby przemyśleć to wszystko w samotności. Wyszedł z biblioteki,

przeszedł przez hol, otworzył drzwi prowadzące do wyłożonego dywanem korytarza i wspiął się po półkolistych schodach prowadzących do starych kwater dla służby. Dotarłszy na podest drugiego piętra, przeszedł przez kolejny korytarz, aż stanął przed drzwiami do swojego niewielkiego mieszkania. Otworzył je, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

Powinien był silniej zaprotestować, sprzeciwić się jej planom. Teraz, gdy zabrakło Pendergasta, to on był za nią odpowiedzialny. Wiedział jednak, że nic, co mógłby powiedzieć, nie skłoniłoby jej do zmiany decyzji. Dawno temu nauczył się, że choć potrafił poradzić sobie niemal z każdym, wobec niej był kompletnie bezsilny. Miał poza tym jeszcze jedną pilną sprawę rodzinną, z którą musiał się uporać – zastanawiał się, co powiedzieć Tristramowi, synowi Pendergasta, który przebywał obecnie w szkole w Szwajcarii i jak dotąd nie wiedział jeszcze o zaginięciu ojca. Miał jedynie nadzieję, że za jakiś czas Constance zmierzy się z rzeczywistością i pogodzi się z nią, a następnie powróci do świata żywych.

Dłoń w rękawiczce schwyciła go od tyłu na wysokości klatki piersiowej, zamykając uchwyt z niesamowitą siłą. Proctor, choć zaskoczony, zareagował instynktownie, wykonując gwałtowny ruch do przodu i w dół, w nadziei że uda mu się uwolnić z chwytu napastnika. Tamten jednak przewidział jego reakcję i ją zablokował. W jednej chwili Proctor poczuł ukłucie igły zagłębiającej się w jego szyi. Zamarł w bezruchu.

– Odradzam wykonywanie jakichkolwiek ruchów – rozległ się dziwny, jedwabisty głos, który Proctor rozpoznał, co było dla niego nie lada szokiem.

Proctor znieruchomiał. Zaskoczyło go, że ten człowiek – że w ogóle ktokolwiek – zdołał go tak zaskoczyć. Jak to możliwe? Był pochłonięty innymi sprawami, nieuważny, niedbały. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Przede wszystkim dlatego, że jak wiedział, ten człowiek był największym wrogiem Pendergasta. Wydawało się, że nie żyje, tymczasem, jak wszystko na to wskazywało, powrócił.

– Masz znacznie większą wprawę w walce wręcz niż ja – ciągnął łagodny, miękki głos. – Pozwoliłem sobie nieco wyrównać szanse. To,

co utkwilo w twojej szyi, jest igla strzykawki. Nie wcisnałem jeszcze tłoczka. Strzykawka zawiera dawke pentotalu sodu. Dodam, że bardzo duza dawke. Zapytam cie tylko raz, a odpowiedzią twierdzącą niech będzie rozluźnienie twojego ciała. To, jaka będzie twoja reakcja, zdecyduje, czy otrzymasz dawke, która tylko cie uspi, czy dawke, która okaże się śmiertelna.

Proctor rozważył możliwości. A potem rozluźnił ciało.

– Doskonale – powiedział głos. – Nazywasz się Proctor, o ile dobrze pamiętam?

Proctor milczał. Nadarzy się okazja, aby odwrócić wypadki na swoją korzyść, prędzej czy później okazja na pewno się nadarzy. Musiał tylko dobrze się zastanowić.

– Już od jakiegoś czasu obserwuję tę rodzinną rezydencję. Pan domu oszedł i wszystko wskazuje, że na zawsze. Zrobiło się tu ponuro jak w grobowcu. Aż dziw bierze, że nie nosisz się na czarno.

Proctor w myślach rozważał rozmaite scenariusze. Musiał wybrać jeden z nich, a potem go zrealizować. Potrzebował czasu, kilku sekund...

– Nie jesteś w nastroju do pogawędek? No i dobrze. Mam sporo na głowie. Czeka mnie mnóstwo roboty, tak więc niniejszym mówię ci: dobranoc.

Gdy tłoczek strzykawki się przesunął, Proctor zdał sobie sprawę, że właśnie skończył mu się czas i wbrew temu, na co liczył w skrytości ducha, mimo wszystko zawiódł.

¹ Cytat z *Jak wam się podoba* W. Szekspira w przekł. L. Ulricha – wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

² Cytat z *Makbeta* W. Szekspira w przekł. L. Ulricha.

Sekretne pomieszczenie.

Tajemniczy wrak statku.

Morderstwo na odludnych trzęsawiskach.

Z pozoru prosta sprawa okazuje się bardziej skomplikowana i złowieszcza, niż agent Pendergast mógł się spodziewać.

Pendergast, wspólnie ze swoją podopieczną Constance Greene, udaje się do nadmorskiego miasteczka Exmouth, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie kradzieży bezcennej kolekcji wina. Jednak wewnątrz piwniczki na wino agent odkrywa coś znacznie bardziej niepokojącego: zamurowaną wnękę, w której niegdyś znajdował się szkielet człowieka.

Wkrótce okazuje się, że Exmouth ma bardzo mroczną i burzliwą historię, a ów szkielet może stanowić klucz do pradawnej tajemnicy i tragedii skrywanej przez lata. Grzechy przeszłości wcale nie zostały zapomniane. Miejscowa legenda głosi, że w roku 1692, kiedy w pobliskim Salem trwało polowanie na czarownice, grupa prawdziwych wiedźm zbiegła do Exmouth.

Wkrótce na trzęsawiskach wokół miasteczka zostają znalezione zwłoki. Jedynym tropem prowadzącym do rozwiązania zagadki są tajemnicze symbole. Czy te demoniczne znaki mogą mieć związek z pradawną kolonią czarowników i wiedźm, która od lat nie powinna już przecież istnieć?

To jak Gwiazdka dla miłośników thrillerów, kiedy na okładce książki znów pojawiają się nazwiska Preston i Child. Zagorzali miłośnicy tego cyklu nie będą zaskoczeni, gdy okaże się, że prawdziwy zwrot akcji czeka ich dopiero w finale... Duet Preston i Child po raz kolejny udowadnia, że jeżeli chodzi o zaskakiwanie swoich czytelników i tworzenie niesamowitych fabuł łączących historię z zagadką kryminalną, nie mają sobie równych.

„Suspense Magazine”

© Deborah Fringsold



Douglas Preston i Lincoln Child są autorami wielu intrygujących, uznanych przez krytykę i czytelników, bestsellerowych thrillerów, m.in. dwóch serii: z agentem Pendergastem i Gideonem.

Patron medialny

CHIP



Zamówienia
burdaksiazki.pl
tel. +48 22 360 37 77

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbkę książki



